

JOSEPH CONRAD

ZŁOTA STRZAŁA

(PRZEŁOŻYŁA ANIELA ZAGÓRSKA)

Ryszardowi Curle poświęcam

KILKA SŁÓW OD AUTORA

Wszystkim krótkim przedmowom, które zdarzało mi się pisać do moich książek, dawałem nagłówek: «Kilka słów od autora». Dla zachowania jednolitości i ryzykując nawet możliwość pewnych nieporozumień - tym słowom wstępnym dam nazwę tę samą.

Złota strzala - jak to wskazuje karta tytułowa - jest powieścią, która się snuje w okresie ujętym objaśnieniem wstępnym i końcowym. Ale te objaśnienia stanowią zarazem organiczną część całości opowiadania, a przeznaczeniem ich jest rozpocząć i zakończyć powieść. Poza tym są niezbędne dla zrozumienia opisywanych przeżyć, ponieważ określają czas, miejsce i historyczne okoliczności, które wpływają na losy ludzi uwikłanych w sprawy rozstrzygające się w przeciągu dwunastu miesięcy. Był to najprostszy sposób ułatwienia sobie kroków wstępnych do dzieła, nie mającego z natury rzeczy nic wspólnego z kromką.

Złota strzala jest moją pierwszą książką, która się ukazała po wojnie. Rozpocząłem ją pisać jesienią roku 1917, a ukończyłem latem 1918. Wspomnienie o niej kojarzy mi się z najciemniejszymi godzinami wojny.

Godzimy te, w zgodzie ze znanym przysłowiem, poprzedziły brzask - brzask pokoju.

Kiedy spoglądam teraz na te korty pisane w dniach natężenia i grozy, myślę, że oblicze ich tchnie dziwną pogodą. I w rzeczy samej, pisane były spokojnie - ale wcale nie z zimną krwią. Być może nawet, że jedynie tak właśnie byłem w stanie pisać w owych czasach, pełnych zarazem groźby i wiary w przyszłość.

Z tematem tej książki nosiłem się przez długie lata; był on nie tyle własnością mej pamięci, co częścią mej istoty. Tkwił zawsze w moich myślach, zdawał się być tuż pod ręką gotowy do ujęcia - a jednak wzdragałem się go dotknąć. Uczucie, które mnie wówczas ogarniało, wydawało mi się nieśmiałością; w rzeczywistości był to tylko bardzo zrozumiały brak wiary w samego siebie.

Kiedy zbieramy owoce wspomnień, ogarnia nas lęk, aby nie uszkodzić ich dostatej piękności - zwłaszcza jeżeli przeznaczone są na targowisko. Ponieważ zaś w tym wypadku owoce te są produktem mojego ogrodu - moja troska o nie jest aż nadto zrozumiała. I choć niektórzy krytycy wyrażali ubolewanie, że nie napisałem tej książki o jakie piętnaście lat wcześniej, ja żalów tych nie podzielam. Jeżeli bowiem postanowiłem napisać ją w tak późnych latach życia, to jedynie dlatego, że odpowiednia chwila przedtem nie nadeszła. A zdecydowane wyczucie takiej chwili jest czymś, co nie podlega dyskusji. Nie zamierzam przeto brać pod uwagę żalów owych krytyków; jestem bowiem zdania, że ich opinie w sposób wprost zdumiewający pozbawione są jakiegokolwiek związku z literacką oceną.

Nie starałem się nigdy ukrywać źródła, z którego czerpałem tworzywo na tę książkę - książkę, którą tak długo wahałem się napisać. Jednak zdarzyło się, że jacyś panowie ze świata literacko-reporterskiego z triumfem dokonali odkrycia: oto w tej powieści odnaleźli mojego Dominika ze Zwierciadła morza pod jego własnym imieniem! - zaiste, nadzwyczajna to domyślność - oraz rozpoznali balancellę «Tremolino» w bezimiennym okręciku, na którym Mr. George uprawiał swoje fantastyczne rzemiosło i gdzie się -schronił szukając 'ulgi w bólu od nieuleczalnej rany. Nie jestem zaskoczony podobnymi okazami subtelnej przenikliwości. Istotnie - jest to ten sam człowiek i ten sam statek. Ale do zakończenia Zwierciadła morza potrzebne mi były tylko dzieje losów małego «Tremolino». Zaś co do tej książki - nie miałem nigdy zamiaru rozwijać w niej tematu, który przed laty ledwie musnąłem piórem, i to w związku z zupełnie innym rodzajem miłości. Jeżeli jednak wziąć pod uwagę anegdotyczny charakter obu utworów, to opowiadanie

O «Tremolino» i opowieść o Złotej strzale mają jeden rys wspólny: są nim przeżycia związane z wtajemniczeniem się w żywioły namiętności - poprzez ogniową próbę i udrękę, którym stawienie czoła wymagało siły decyzji i wytrwania. Nic innego i tylko to jedno stanowi przedmiot paru końcowych stron *Zwierciadła morza* oraz całego tomu *Złotej strzały*. Te kartki i ta książka składają się na całość moich wspomnień.

I mogę zapewnić czytelników, że - pomimo wielu usterek - wszystko, co zawierają, podane jest wiernie. Składałem to oświadczenie i podkreślam je, ponieważ wśród licznych przychylnych mi opinii tu i ówdzie podchwyciłem nutę nieufności. Posądzają mnie o zatajenie faktów, o rozmyślną niejasność przedstawionych sytuacji; zarzucają niezrozumiałość motywów. Ale fakty, których nie podaję, i mnie są nie znane, a tego, co jest niejasne, ja sam nie mogłem zrozumieć. Jeżeli zaś innych braków nie dostrzegłem, to dlatego, że mój dar widzenia jest bardzo niedoskonały. I na to już nie ma rady. Nie mogłem uzupełnić braków tej książki czerpiąc z zasobów własnej pomysłowości - nie byłem nigdy bardzo pomysłowy. W tym zaś wypadku posługiwanie się wyobraźnią uważałbym za coś wyjątkowo nieuczciwego.

A zatem: bynajmniej nie nieśmiałość - jedynie powód maturalnej sprawił, że postanowiłem trzymać się ściśle w granicach niczym nie ozdobionej prawdy. Pokusiłem się o zdobycie sympatii! czytelników bez pozowania na wszechwiedzę, bez poniżania się do wybiegów i bez sięgania po taniaść przejawskrawionych uniesień.

J. C.

OBJAŚNIENIE WSTĘPNE

Stronice tej książki wybrane zostały ze stosu rękopisów przeznaczonych widocznie dla oczu jednej tylko kobiety. O ile się zdaje, była ona przyjaciółką autora z czasów dzieciństwa. Rozstali się niemal dziećmi. Minęło wiele lat od tej pory. W pewnej chwili coś jej widocznie przypomniało towarzysza młodości, bo napisała do niego te słowa:

«Doszły mnie w ostatnich czasach wieści o Panu. Wiem już, dokąd Pana życie doprowadziło. Pan zapewne sam wybrał drogę, która tam wiodła. Ale w naszych oczach, t j. w oczach ludzi, których Pan zostawił poza sobą, wyglądało to tak, jakby się Pan zapuścił w bezdrożną pustynię. Myśleliśmy o Panu jak o kimś zaginionym. I oto ten zaginiony ukazuje się na nowo, a choć się już może nigdy nie zobaczymy, pozdrawiam Pana wspomnieniem i wyznaję, że ogromnie bym pragnęła poznać dzieje tej drogi, która zawiodła aż tam, gdzie Pan jest obecnie.»

On zaś odpowiedział: «Myślę, że Pani jest jedyną żyjącą istotą, która pamięta mnie dzieckiem. Od czasu do czasu dochodziły mnie słuchy o Pani, ale rozmyślałam o tym, kim jest Pani teraz. Może gdybym to wiedział, nie ośmieliłbym się wziąć pióra do ręki. Ale nie wiem! Pamiętam, że byliśmy nierozłącznymi towarzyszami. Istotnie przebywałem z Panią nawet więcej niż z Jej braćmi. A potem odleciałem tak jak ten gołąb z bajki O dwóch gołębiach. Skoro już mam mówić o sobie, pragnąłbym dać Pani wrażenie, że Pani sama była tam obecna. Może przeceniam Pani cierpliwość, zamierzając opowiedzieć dzieje mego życia różniącego się tak bardzo od Jej życia nie tylko biegiem wydarzeń, ale i duchem, który je kształtował. Może Pani nie zrozumie, może niejednym się zrazi. Wszystko to powtarzam sobie, ale wiem, że w końcu ulegnę. Pozostało mi bowiem żywe wspomnienie z tych dawnych dni, gdy Pani miała około piętnastu lat i zawsze robiła ze mną wszystko, co chciała.»

I uległ. Dzieje swego życia, przeznaczone dla niej, rozpoczyna od szczegółowej opowieści przygody, która rozwijała się przez przeciąg mniej więcej dwunastu miesięcy. W opracowaniu, w jakim ją tu podajemy, została ona ogołocona z wszelkich ubocznych uwag i dysertacji, a także z objaśnień skierowanych bezpośrednio do przyjaciółki z dzieciennych lat autora. Jednak i w tej formie opowiadanie urosło do znacznych rozmiarów. Wynika z tego, że autor nie tylko miał dobrą pamięć, ale przy tym umiał pamiętać.

Ta pierwsza wielka przygoda, jak ją autor nazywa, rozpoczyna się w Marsylii i tam się też kończy. Mogła zresztą rozgrywać się w każdym innym miejscu, co nie znaczy, aby ludzie, o których mowa, mogli równie dobrze zetknąć się ze sobą w oderwanej przestrzeni. Miejscowość ma tu znaczenie określone. Co do epoki, to łatwo ustalić na podstawie

wydarzeń, że akcja rozgrywa się w latach osiemdziesiątych, kiedy to Don Carlos de Bourbon, zachęcony powszechną w Europie reakcją przeciwko ekscesom komunizującego republikanizmu, usiłował zdobyć dla siebie tron, walcząc z bronią w ręku wśród wzgórz i wąwozów Guipuzcoa. Jest to może ostatni poryw pretendenta do korony, jaki historia zanotuje wysuwając - jak to zwykle bywa - poważne zastrzeżenia natury moralnej, zabarwione wstydliwą melancholią wywołaną przeświadczeniem, że romantyzm w dziejach wygasa. Historycy są bowiem takimi samymi ludźmi jak my wszyscy.

Historia nie ma jednak nic wspólnego z tym opowiadaniem. Nie należy w nim również dopatrywać się moralnego usprawiedliwienia ani potępienia ludzkich postępów. Autor spodziewał się co najwyżej współczucia dla swej pogrzebanej młodości, przeżywanej raz jeszcze u schyłku życia wspomnieniem - życia, które przecież nie znaczyło tak wiele. Dziwny z niego człowiek, wszakże nie różniący się tak bardzo od nas samych.

Dodamy tu jeszcze parę słów objaśnienia. Mogłoby się czytelnikowi wydawać, że bohater opowieści zagłębił się niespodzianie, na podobieństwo, nurka, w tę długą przygodę. Otóż z niektórych ustępów (wykreślonych tutaj, gdyż potrącały o niestosowne tematy) jasno wynika, że w chwili spotkania w 'kawiarni Mills na podstawie zebranych wiadomości miał już zupełnie wyrobiony pogląd na zapalczywego młodzieńca, którego mu przedstawiono w ultraprawomyślnym salonie.

To, czego się Mills dowiedział, wskazywało, że młody dżentelmen wylądował zaopatrzony w odpowiednie świadectwa, obecnie zaś trwoni życie na ekscentryczne wybryki w towarzystwie miejscowej cyganeria. (ta przynajmniej wydała z siebie jednego poetę), a poza tym kuma się z ludnością Starego Miasta, gdzie ma przyjaciół wśród pilotów, celników, marynarzy i robociarzy wszelkiego gatunku. Sam siebie uważał, w sposób dość dziecinny, za wilka morskiego, i rzeczywiście już się wslawił jakąś nieokreśloną i niezbyt legalną wyprawą w Zatoce Meksykańskiej. Wobec tego przyszło Millsowi na myśl, że ekscentryczny chłopak mógłby być właściwym człowiekiem do podjęcia się misji leżącej bardzo na sercu sympatykom legitymizmu, a mianowicie do zorganizowania dostaw broni i amunicji drogą morską dla oddziałów Don Carlosa. W celu omówienia tej sprawy z Dona Rita1 odkomenderowano właśnie z Kwatery Głównej rotmistrza Blunta.

Mills od razu nawiązał łączność z Bluntem i podsunął mu tę myśl.

Rotmistrz uznał ją za trafną. Wobec tego obaj panowie, Mills i Blunt, puścili się w ten karnawałowy wieczór na poszukiwanie naszego młodzieńca i - o ile by to okazało się możliwe - postanowili wciągnąć go do tej imprezy. Blunt chciał go oczywiście poznać i ocenił go raczej dodatnio jako osobistość obiecującą, a skądinąd nieszkodliwą. W taki oto

naturalny sposób wprowadzony został w świat słynny, a jednocześnie tajemniczy Monsieur George: wynik kontaktu dwóch mózgów, z których żaden nie poświęcił mu, jako człowiekowi narażającemu swe życie, ani jednej myśli.

Poufny ton nadany pierwszemu ich spotkaniu oraz wprowadzenie do rozmowy historii Dony Rity można wytłumaczyć celem, do którego zmierzali. Mills chciał oczywiście o wszystkim się dowiedzieć, co zaś do rotmistrza Blunta, podejrzewam, że w tym czasie o niczym innym nie był w stanie myśleć. Trzeba nadmienić, że Dona Rita była tą osobą, która miała młodzieńca zwerbować, w gruncie rzeczy bowiem namówienie kogoś na podobną imprezę, połączoną z szalonym ryzykiem, nie było rzeczą błahą nawet w wypadku, gdy chodziło o wciągnięcie młokosa.

Nie można zaprzeczyć, że Mills postąpił tu jak człowiek bez wielkich skrupułów. W pewnej chwili w czasie jazdy na Prado i w nim zrodziło się wahanie. Możliwe jednak, że dzięki swej przenikliwości zrozumiał dobrze naturę człowieka, z którym miał do czynienia, a może mu jej nawet zazdrościł. Ale nie moją rzeczą jest usprawiedliwiać Millsa. Co się zaś tyczy młodzieńca, którego można by nazwać jego ofiarą, to on - rzecz oczywista - nie odczuł urazy do Millsa ani przez jedną chwilę. Znamienny to przykład przemożnego wpływu, jaki silna indywidualność może wywierać na młodych.

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Pewne ulice posiadają własną atmosferę, otoczone są powszechną sławą i szczególniejszą miłością swych mieszkańców. Jedną z takich ulic jest «La Cannebiere» - i zabawne powiedzenie: «Gdyby Paryż miał swoją Cannebiere, byłby Marsylią», jest żartobliwym wyrazem dumy rozpierającej serca marsylczyków. Ja także pozostawałem pod jej urokiem. Była to dla mnie ulica prowadząca w nieznane.

Na jednym jej odcinku rzucało się w oczy pięć wielkich kawiarni jarzących się od światła. Tego wieczora zaszedłem do jednej z nich. Wnętrze było właściwie puste i nadmiernie oświetlone, wyglądało odświeżenie, ale wesoło. Na sławetnej ulicy panował wyraźny chłód (był to wieczór karnawałowy), a że nie miałem co robić, więc czułem się trochę osamotniony. To sprawiło, że wszedłem do kawiarni i zasiadłem przy stoliku.

Karnawał miał się ku końcowi. Każdy, bogaty czy biedny, myślał tylko o tym, by użyć ostatków. Gromady masek, trzymających się za ręce i wydających okrzyki czerwonoskórych Indian, przebiegały ulice w szalonych podskokach, podczas gdy podmuchy mroźnego mistralu targały płomieniami gazowych lamp, daleko jak okiem sięgnąć. Był w tym wszystkim pierwiastek szaleństwa.

Może dlatego czułem się osamotniony, że nie miałem maski ani kostiumu, że nie wydawałem dzikich okrzyków i że moja osoba w ogóle nie harmonizowała z tym wariackim żywiołem. Nie byłem jednak smutny. Wróciłem właśnie z mojej drugiej podróży do Zachodnich Indii. Oczy miałem jeszcze pełne tropikalnego przepychu, a pamięć pełną przejmujących przygód; nie zawsze zgodnych z prawem i posiadających swoisty urok, gdyż przygody te trochę mną wstrząsnęły i zabawiły ogromnie. Mimo to nie zmieniły mnie do głębi. Były one jak gdyby przeżyciami innych ludzi - nie moimi własnymi. Pozostałem równie młody jak poprzednio, niepojęcie młody, jeszcze wspaniale bezmyślny i ogromnie chłonny.

Możecie mi wierzyć, że nie myślałem wtedy o Don Carlosie i jego walce o koronę. Cóż mnie to mogło obchodzić? Nie myślimy zazwyczaj o rzeczach, które codziennie się narzucają w artykułach gazet i w rozmowach z ludźmi. Złożywszy po powrocie kilka wizyt stwierdziłem, że większość moich znajomych zalicza się do legitymistów i interesuje się żywo wypadkami na granicy hiszpańskiej z przyczyn politycznych, religijnych lub tylko romantycznych. Mnie nie zajmowało to wcale. Widocznie nie byłem dość romantyczny, a

może, przeciwnie, romantyczniejszy od tych pocziwych ludzi. Rzecz wydawała mi się dość zwykła: ten człowiek, jako pretendent, zabiegał po prostu o własne sprawy.

Na pierwszej stronie ilustrowanego pisma, które leżało na pobliskim stoliku, wyglądał on malowniczo: wielki, silny mężczyzna, z broda strzyżoną w kwadrat, siedział na kamieniu na tle dzikiego krajobrazu górskiego z rękami złożonymi na rękojeści szabli. Moje oko zatrzymało się na tym śmiało skomponowanym drzeworycie. (Nie istniały jeszcze wtedy bezwartościowe reprodukcje z migawkowych zdjęć fotograficznych.) Romantyczność tego obrazka przeznaczonego na użytek: monarchistów zwróciła jednak moją uwagę.

W tej samej chwili gromadka masek wtargnęła do kawiarni. Tańczyły trzymając się za ręce w jednym rzędzie, prowadzone przez otyłego mężczyznę z tekturowym nosem. Ten wtargnął pierwszy w dzikich podskokach, a za nim koło dwudziestu masek, przeważnie pierrotów i pierrotek, które tworząc łańcuch okręcały się dokoła krzesel i stolików; oczy ich jarzyły się w kartonowych twarzach, piersi dyszały, ale wszystko odbywało się w tajemniczym milczeniu. Byli to ludzie z uboższej sfery (kostiumy z białego perkaliku w czerwone kropki), wśród nich jednak dostrzegłem młodą dziewczynę w czarnej sukni, usianej w złote (półksiężycy - suknia była krótka, ale sięgała wysoko pod szyję).

Większość stałych bywalców kawiarni nie podniosła nawet głowy sponad gazet czy gier.

Dziewczyna, mająca wyobrazić Noc, miała na twarzy czarną, aksamitną maseczkę, zwaną po francusku *un loup*. Nie mogłem pojąć, co skłoniło Jej Wysokość do przyłączenia się do tak prostackiej kompanii. Nie osłonięte jej usta i zarys brody wskazywały na wytworną urodę. Cała ta gromadka przebiegła dokoła mego stolika. «Noc» musiała zauważyć mój wzrok, utkwiony w nią, bo wysuwając się naprzód z wirującego łańcucha, pokazała mi języczek cienki jak różowe żądło. Byłem tym tak zaskoczony, że nie zdążyłem odwzajemnić się pełnym uznania: «*Très joli*», gdy zakręciła się koło mnie i odbiegła w podskokach. Tak wyróżniony, przeprowadziłem ją wzrokiem do drzwi wejściowych, przy których maski nagle przerwały łańcuch splecionych rąk i usiłowały wybiec wszystkie na raz. Dwaj panowie, wchodzący z ulicy, stanęli w progu, zatrzymani przez tłum. «Noc» pokazała im języczek, co było zapewne jej nałogiem. Wyższy wzrostem mężczyzna (w wieczorowym stroju pod lekkim, szeroko rozpiętym płaszczem) z wielką przytomnością umysłu pogłaskał ją pod brodę. Drugi mężczyzna, blondyn, o gładko wygolonych, czerstwych policzkach i szerokich barach, miał na sobie szare ubranie, kupione widać nie na miarę, gdyż wydawało się zbyt obcisłe na jego potężny kadłub.

Ten człowiek nie był mi całkowicie obcy. Od tygodnia czy więcej wypatrywałem go

w różnych publicznych lokalach, w których mogą spotykać się mężczyźni w prowincjonalnym mieście. Ujrzałem go po raz pierwszy (w tym samym szarym, obcistym ubraniu) w jednym z legitymistycznych salonów, gdzie zdawał się być przedmiotem wyraźnego zainteresowania obecnych, a szczególnie kobiet. Dosłyszane przeze mnie nazwisko brzmiało: Monsieur Mills. Dama, która mnie przedstawiała, korzystając ze sposobności szepnęła mi na ucho: «Krewny Lorda X» (*Un proche parent de Lord X*). Po czym dodała: «i bliski przyjaciel króla» - mając oczywiście na myśli Don Carlosa.

Spojrzałem na tego «*proche parent*» mię ze względu na jego parantelę, ale dlatego, że wzbudził mój podziw swobodą, z jaką się poruszał przy tak okazałych kształtach i w tak ciasnym ubraniu. Po chwili ta sama osoba dorzuciła objaśnienie: «Znalazł się między nami jako *naufragé*».

To dopiero zainteresowało mnie na dobre. Nie widziałem dotąd nigdy rozbitka. Ocknęła się we mnie cała chłopięcość. Rozbicie się okrętu uważałem za nieuniknione wydarzenie w mej przyszłości, prędzej czy później.

Przez ten czas mężczyzna, który mnie tak żywo za interesował, rozglądał się spokojnie i nie odzywał się, dopóki któraś z obecnych pań nie zwróciła się do mego bezpośrednio. W salonie było kilkanaście osób, w tym większość kobiet, chrupiących ciasteczka i rozprawiających namiętnie. Mogło to być zebranie Komitetu Karlistów o charakterze niezupełnie oficjalnym. Mimo młodego wieku i braku doświadczenia zdałem sobie z tego sprawę, a byłem przecież o wiele młodszy od reszty towarzystwa. Milczący pan Mills onieśmiał mnie swoim wiekiem (przypuszczam, że miał trzydzieści pięć lat), swym spokojem i jasnymi, przenikliwymi oczami. Ale pokusa była zbyt wielka i zagadnąłem go impulsywnie o ten rozbity okręt.

Zwrócił ku mnie swą wielką, wygoloną twarz ze zdziwieniem w bystrych oczach, w których wyrazie zaszła subtelna przemiana (jakby w jednej chwili mnie przejrzał i nie znalazł nic podejrzanego); wejrzenie jego było przyjazne. O rozbiciu statku dowiedziałem się niewiele. Powiedział mi tylko, że nie stało się to na Morzu Śródziemnym, ale po przeciwnej stronie południowej Francji, w Zatoce Biskajskiej.

- Nie jest to właściwe miejsce do rozpoczynania takich opowiadań - zauważył rozglądając się po pokoju z nikłym uśmiechem, równie pociągającym jak zresztą cała jego nieco rubaszna, lecz ujmująca postać.

Wyraziłem żal z tego powodu. Pragnąłem usłyszeć wszystko, jak było. Odpowiedział, że nie ma w tym tajemnicy i że może przy następnym spotkaniu...

- Gdzie możemy się spotkać? - zapytałem. - Ja, wie pan, nie bywam często w tym

domu.

- Gdzie? Oczywiście, że na Cannebière. Każdy każdego spotyka, przynajmniej raz na dzień, w przejściu naprzeciwko Giełdy.

Była to zupełna prawda. Ale chociaż wypatrywałem go dzień po dniu, nie pojawiał się nigdzie w godzinach uświęconych obyczajem. Towarzysze mych beczynnych chwil (a wszystkie były teraz beczynne) zauważyli mój niepokój i drwili ze mnie jawnie. Chcieli się koniecznie dowiedzieć, czy ta, której ukazania się oczekuję, jest brunetką czy blondynką; czy fascynująca istota, trzymająca mnie w napięciu oczekiwania, zalicza się do arystokratek czy do portowych piękności; wiedzieli bowiem, że mam stosunki w obu tych - jeśli można się tak wyrazić - kołach towarzyskich. Sami należeli do paczki cyganów, niezbyt licznej - było nas bowiem pół tuzina - grasującej pod przewodnictwem pewnego rzeźbiarza, którego w skróceniu nazywaliśmy Prax. Moje przezwisko brzmiało: Młody Ulisses. Lubiłem to przezwisko.

Kpiąc sobie ze mnie czy nie kpiąc, byliby zdziwieni, gdybym porzucił ich towarzystwo dla przywitania się z zażywnym, sympatycznym Millsem. Ja zaś gotów byłem każdej chwili rzucić swobodną kompanię rówieśników, by zbliżyć się z poważaniem do tego zajmującego człowieka. Właściwą tego przyczyną nie było nawet rozbicie się okrętu. Bardziej jeszcze interesował mnie i pociągał przez to, że nie można go było nigdzie spotkać. Obawiałem się, że wyjechał znieacka do Anglii albo do Hiszpanii, i ta myśl przyprawiała mnie o śmieszłą depresję, jak gdybym 'był przez to utracił jakąś jedyną sposobność. Radosna reakcja wywołana jego widokiem ośmieliła mnie teraz do przesłania mu znaku z drugiego końca kawiarni przez podniesienie ręki.

Zmieszałem się w następnej chwili widząc, że zbliża się do mego stolika wraz ze swym przyjacielem. Ten ostatni był wzorem elegancji. Przypominał zupełnie postacie snujące się w pobliżu Opery Paryskiej w piękne wieczory majowe. Typowy paryżanin. A jednak uderzyło mnie w nim coś, co nie wskazywało na absolutnego Francuza, jak gdyby narodowość była tylko dopełnieniem typu i mogła przedstawiać różne stopnie doskonałości. Co do Millsa nie mogło być wątpliwości: ten był «wyspiarzem» w każdym calu. Obaj lekko uśmiechali się do (mnie. Zażywny Mills przedstawił nas i usłyszałem nazwisko: rotmistrz Blunt.

Podaliśmy sobie ręce. Nazwisko to niewiele mi mówiło. Zdziwiłem się tylko, że Mills tak dobrze zapamiętał moje. Nie chcę popisywać się skromnością, ale wydawało mi się, że kilka dni powinno być aż nadto wystarczyc, aby człowiek tej miary co Mills zapomniał o mym istnieniu. Co się tyczy rotmistrza, to przyjrząwszy mu się z bliska, uderzony byłem

doskonałą poprawnością jego osoby. Smukłość postaci, ubiór, postawa, pociągła, 'smągła, starannie wygolona twarz, wszystko w nim było tak nienaganne, że graniczyłyby z banalnością, gdyby nie ruchliwe czarne oczy o wejrzeniu tak ostrym, jakiego się nie spotyka codziennie w południowej Francji, a jeszcze rzadziej we Włoszech. Inna rzecz, która w nim zastanawiała, to nie dość zawodowy wygląd, jak na oficera przedzierzgniętego w cywila. Ta druga niedoskonałość też była interesująca.

Może się komuś wydawać, że rozmyślnie przeanalizowuję swoje wrażenia, ale wierzcie człowiekowi, który miał burzliwe i bardzo twarde życie, że tylko subtelne odcienie, podpatrzone w osobach, kontaktach i wydarzeniach, budzą zainteresowanie i warte są zapamiętania, poza tym właściwie nać więcej. A w tym wypadku - proszę zauważyć - był to ostatni wieczór mego niedługiego życia, w którym jeszcze nie znałem tej kobiety. Były to więc jakby ostatnie godziny jakiejś poprzedniej egzystencji. Nie jest moją winą, że to wrażenia zlały się w decydującym momencie ze wspomnieniem pospolitego szychu kawiarni i zwariowanymi odgłosami karnawału dolatującymi z ulicy.

My trzej wszakże, mimo że byliśmy sobie zupełnie obcy, przybraliśmy, siedząc przy stoliku, postawy pełne uprzejmej powagi. Gdy podszedł do nas kelner i gdy zamawiałem kawę, pierwszą rzeczą, jakiej się dowiedziałem o rotmistrzu Bluncie, było to, że cierpi na bezsenność. Niewzruszony Mills począł napychać swoją fajkę. Poczujęm się nagle niezmiernie zakłopotany, a uczucie to wzmoгло się, gdy ujrzałem wchodzącego do kawiarni Praxa, przebranego w średniowieczny kostium przypominający strój Fausta z trzeciego aktu. Niewątpliwie chodziło tu o Fausta operowego. Lekka opończa spływała z jego ramion. Posuwistym, teatralnym krokiem zbliżył się do naszego stołu i zwracając się do mnie - jako do Młodego Ulissesa - zaproponował, abym wyszedł z nim na pola asfaltowe i pomógł mu narwać stokroci do przybrania komnaty na diabelską ucztę, którą przygotowywano naprzeciwko, w "Maison Dorée", na piętrze. Usiłowałem wymownym potrząsaniem głowy i piorunującym spojrzeniem zwrócić jego uwagę na to, że nie jestem sam. Cofnął się nieco, jakby zdumiony tym odkryciem, zdjął aksamitny beret przybrany piórami, w niskim pokłonie zamiótł nim podłogę, po czym zadzierzystym krokiem zeszedł ze sceny, trzymając lewą rękę na rękojeści sztyletu zatkniętego za pas.

Przez ten czas mój nieco rubaszny, acz wysoko skoligacony Mills zapalał fajkę, wyrzezaną z wrzosowego korzenia, zaś wytworny rotmistrz uśmiechał się sam do siebie. Okropnie zirytowany przeproszałem ich za to wtargnięcie tłumacząc przy tym, że ten intruz, w przyszłości wielki rzeźbiarz, a skądinąd całkiem nieszkodliwy chłopak, widocznie wchłonał w siebie tej nocy za wiele świeżego powietrza, które uderzyło mu do głowy.

Mills spojrzał na mnie swymi niebieskimi oczami o przyjaznym, okrutnie przenikliwym wejrzeniu poprzez kłęby dymu okalające wieńcem jego wielką głowę. Uśmiech smukłego, smagłego rotmistrza przybrał wyraz uprzejmości. Czy wolno mu zapytać, dlaczego mój przyjaciel nazwał mnie «Młodym Ulisesem»? i w sposób wytwornie żartobliwy natychmiast dorzucił uwagę, że Ulisses był przemyślną figurą. Mills nie zostawił mi czasu na odpowiedź.

- Ten stary Grek wślawił się przede wszystkim jako włóczęga - wtrącił - i pierwszy historyczny żeglarz. - I nieznacznie kiwnął fajką w moją stronę.

- *Ah! vraiment?* - zapytał uprzejmy rotmistrz niedowierzająco i jakby ze znużeniem. - To pan jest marynarzem? W jakim znaczeniu tego słowa? Rozmawialiśmy po francusku, użył więc terminu *homme de mer*.

Mills znowu wtrącił spokojnie: - W takim samym znaczeniu, w jakim pan jest wojskowym (*homme de guerre*).

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem z ust Blunta jedno z uderzających jego powiedzeń. Miał dwa takie powiedzenia - to było pierwsze: «Żyję ze swej szabli.»

Wypowiedział to w sposób wytwornie niedbały, co w połączeniu z treścią oświadczenia kazało mi zapomnieć języka w gębie. Wytrzeszczyłem tylko na niego oczy. Dodał najnaturalniejszym już tonem:

- Drugi pułk kastylskiej kawalerii. - Po czym z naciskiem po hiszpańsku: - *En las filas legitimas*.

Usłyszałem głos Millsa siedzącego nieruchomo jak Jowisz w swych obłokach: - Przyjechał tu na urlop.

- Oczywiście nie rozgłaszam tego faktu na prawo i na lewo - rotmistrz zwrócił się wprost do mnie - podobnie jak mój przyjaciel nie chwali się swą przygodą z rozbiciem okrętu. Nie powinniśmy zbyt przeciągać struny tolerancji władz francuskich. Nie byłoby to ani zbyt poprawnie, ani zbyt bezpiecznie.

Uczułem się nagle ogromnie zadowolony z mej kompanii. Mieć przed oczami człowieka, który «żyje ze swej szabli», trącać go niemal łokciem! A więc tacy ludzie istnieją po dziś dzień! Nie przyszedłem na ten świat za późno! Po drugiej stronie stołu siedział z wyrazem czujnej, niewzruszonej życzliwości człowiek, który sam przez się mógł budzić zainteresowanie, człowiek mający za sobą historię rozbicia się okrętu, i to historię, o której nie należało mówić. Dlaczego?

Zrozumiałem bardzo dobrze dlaczego, gdy mi powiedział, że na rzece Clyde załadował się na pokład małego parowca, który jego krewny, «bardzo zamożny człowiek» -

jak mnie objaśnił - (prawdopodobnie Lord X - pomyślałem) wynajął w celu przewożenia broni i innego sprzętu dla karlistów. Ten statek nie uległ rozbiciu w zwykłym znaczeniu tego słowa. Wszystko szło doskonale do ostatniej chwili, kiedy nagle pojawiła się «Numancja» (pancernik republikański) i począwszy ich ścigać zagnała na francuski brzeg, poniżej Bayonne. W kilku słowach, ale z widocznym zadowoleniem ze swej przygody, Mills opowiedział nam, jak sam dopłynął do plaży mając na sobie tylko spodnie i pas z pieniędzmi. Pociski padały dokoła, dopóki malutka kanonierka francuska nie wypłynęła, z Bajonny i nie wypłoszyła «Numancji» z wód terytorialnych. Był niezmiernie zabawny - ja zaś oczarowany obrazem, jaki powstał w mej wyobraźni: ten spokojny człowiek, toczony przez przybrzeżne fale i wynurzający się bez tchu w przyodziewku wyżej opisanym, na jasnym brzegu Francji, w charakterze przemytnika sprzętu wojennego! Nie został jednak aresztowany ani wygnany, skoro go miałem przed oczami. Jakim sposobem i dlaczego znalazł się tak daleko od miejsca, które było widownią wypadku - pozostało interesującą zagadką. Zapytałem go o to wprosił z naiwną niedyskrecją, która go widocznie nie uraziła. Objął mnie, że ponieważ statek nie zatonął, tylko osiadł na mieliźnie, więc przemywany ładunek powinien znajdować się w dobrym stanie. Francuscy celnicy czuwali nad wrakiem. Gdyby tę ich czujność można było jakoś uspić, a przynajmniej osłabić, dużo karabinów i naboju dałoby się spokojnie przenieść nocą na hiszpańskie łodzie rybackie i byłyby ocalone dla karlistów. Mills sądził, że można by tego dokonać...

Z powagą zawodowca odpowiedziałem, że można doskonale tego dokonać, byle się miało przed sobą kilka nocy spokojnych, co się rzadko zdarza na wybrzeżu.

Pan Mills nie obawiał się żywiołów. Trudność - jego zdaniem - polegała na niewygodnej, nadmiernej gorliwości francuskich celników, z którą trzeba było sobie jakoś poradzić.

- Na Boga! - krzyknąłem ze zdumieniem - francuskich celników nie da się przekupić. To nie jest południowo-amerykańska republika.

- A czyż to w ogóle republika? - mruknął Mills wciągając ze skupieniem dym z drewnianej fajki.

- Czyż nie?

Mruknął znowu: - W tak małym stopniu... Na to roześmiałem się, a po twarzy Millsa przemknął lekko rozbawiony uśmiech. Nie, o łapówkach nie było mowy - przyznał - ale ruch legitymistyczny posiadał wielu sympatyków w Paryżu. Właściwa osoba mogłaby ich poruszyć, a jakieś napomknienie ze strony wyższych władz, zwrócone do miejscowych urzędników, że nie należy zbytnio troszczyć się o ten wrak...

Najzabawniejszy ze wszystkiego był chłodny i rozsądny ton, jakim Mills mówił o tym zdumiewającym projekcie. Pan Blunt siedział jakby nieobecny, wodząc oczami po całej kawiarni. Dopiero w chwili kiedy zatrzymał podniesione oczy na różowej nóżce jakiejś zażywej boginki, wyobrażonej na suficie w wielkim skrócie na olbrzymiej kompozycji w stylu włoskim, wycedził niedbale te słowa: - Ona to panu bardzo łatwo urządzi.

- O tym samym upewniał mnie w Bajonnie każdy agent karlistowski - odrzekł Mills. Byłbym pojechał prosto do Paryża, ale powiedziano mi, że się tu schroniła dla wypoczynku, zmęczona, niezadowolona... Nie jest to bardzo zachęcający raport.

- Te jej ucieczki są dobrze znane - mruknął pan Blunt. - Zobacz ją pan w każdym razie.

- Tak. Mówiono mi, że pan...

Wtrąciłem się do rozmowy:

- Czy panowie chcą powiedzieć, że zamierzają użyć kobiety do przeprowadzenia swego planu?

- Dla niej to bagatela - zauważył obojętnie Blunt. - Do takich -rzeczy kobiety są najodpowiedniejsze. Mają mniej skrupułów.

- I więcej odwagi - wtrącił Mills niemal szeptem.

Blunt milczał przez chwilę, po czym zwracając się do mnie:

- Widzi pan - rzekł swoim na j wytwornie j szym tonem - mężczyzna mógłby w tym wypadku dostać kopniaka i zlecieć ze schodów.

Nie wiem dlaczego, ale poczułem się urażony tym powiedzeniem. Nie dlatego, żeby nie zawierało prawdy. Mój rozmówca nie dał mi czasu na wtrącenie jakiegokolwiek uwagi. Zapytał mnie niesłychanie uprzejmie co wiem o republikach południowo-amerykańskich. Wyznałem, że bardzo niewiele. Wędrując po Zatoce Meksykańskiej wstępowałem to tu, to tam, spędziłem między innymi kilka dni na Haiti, które - jako republika murzyńska - było czymś jedynym w swoim rodzaju. Na to rotmistrz Blunt zaczął rozwodzić się obszernie na temat Murzynów. Mówił o nich ze znajomością rzeczy, rozumnie, z rodzajem pogardliwego sentymentu. Uogólniał, analizował, sypał anegdotami o czarnych. Wzbudziło to moje zainteresowanie. Słuchałem jednak z pewnym, niedowierzaniem i dużym zdziwieniem. Co mógł wiedzieć o Murzynach ten człowiek o salonowych manierach, który ze swą powierzchownością bywalca bulwarów wyglądał na wygnańca w prowincjonalnym mieście?

Mills siedział milcząc i ze zwykłym sobie czujnym, przenikliwym wyrazem zdawał się czytać w moich myślach, pokiwał bowiem lekko fajką i objaśnił:

- Rotmistrz pochodzi z Południowej Karoliny.

- A! - mruknąłem. Po króciutkiej pauzie słyszałem drugie z oświadczeń pana Blunta:

- Tak jest. *Je suis Américain, catholique et gentilhomme.*

Wypowiedział te słowa tonem stanowiącym tak silny kontrast z uśmiechem, który bądź co bądź podkreślał wypowiedziane słowa, że nie wiedziałem, czy odpowiedzieć podobnym uśmiechem, czy poważnie się skłonić. Nie uczyniłem ani jednego, ani drugiego i zapadło między nami dziwne, dwuznaczne milczenie.

Doprowadziło nas ono do ostatecznego poniechania mowy francuskiej. Przemówiłem pierwszy, proponując moim towarzyszom, aby spożyli ze mną kolację, jednakże nie naprzeciwko, gdzie odbywa się pewno niejedna «piekielna uczta» i gdzie może być zbyt hałaśliwie, ale w innym, wykwinniejszym lokalu, znajdującym się poza Cannebiere na bocznej ulicy. Schlebiało to trochę mojej miłości własnej, że mogłem się pochwalić posiadaniem zarezerwowanego raz na zawsze narożnego stolika w “Salon des Palmiers”, zwanego inaczej “Salon Blanc”, gdzie panuje atmosfera legitymistyczna i niezmiennie przyzwoita - nawet w czasie karnawału.

- Dziewięć dziesiątych osób, które tam bywają - rzekłem - podziela zapatrywania polityczne panów, jeśli to może być zachętą. Chodźmy i weselmy się - zachęcałem.

Nie czułem snę szczególnie wesołym, pragnąłem tylko pozostać w tej samej kompanii i przełamać nie wytłumaczone uczucie przymusu, który sobie uświadomiłem. Mills popatrzył na mnie bacznie z lekkim, dobrotliwym uśmiechem.

- Nie - rzekł Blunt - po cóż byśmy tam mieli iść? Wyproszą nas nad ranem i trzeba będzie wracać do domu, by tam walczyć z bezsennością. Czy może być coś wstrętniejszego?

Uśmiechał się cały czas, ale jego głęboko osadzone oczy nie miały wyrazu kapryśnej uprzejmości, który usiłował im nadać. Podsunął inną myśl: dlaczego nie mielibyśmy spędzić tej nocy u niego? Posiada produkty potrzebne do sporządzenia potrawy własnego pomysłu, której sława dotarła do najdalej wysuniętych placówek kawalerii Jego Królewskiej Mości. Przyrządzi nam tę potrawę. Ma przy tym kilka butelek białego wina, całkiem możliwego, które będziemy pili w kubkach ze rżniętego weneckiego szkła. Słowem, biwakowa uczta. I nie wyprosi nas nad ranem. O nie! Gdyż nie sypia wcale.

Czyż potrzebuję mówić, że byłem zachwycony tym pomysłem? Oczywiście. A jednak jakoś się zawahałem i spojrzałem na Millsa, któremu przysługiwało starszeństwo. Powstał z miejsca bez słowa. To było decydujące, gdyż żadne tajemne ostrzeżenie ani nieokreślone przecucie nie mogło mnie powstrzymać od pójścia za przykładem tego spokojnego człowieka.

II

Ulica, przy której mieszkał pan Blunt, była wąskim, pustym, cichym i mrocznym zaułkiem, oświetlonym gdzieś tam gazowymi latarniami. Wystarczyło wszakże tego światła, by móc dostrzec charakterystyczną cechę tej uliczki: wiele tyczek od chorągwi, sterczących nad bramami - była to bowiem dzielnica konsulatów. Zauważyłem, zwracając się do Blunta, że ma sposobność oglądania co rano flag wszystkich narodowości z wyjątkiem własnej. (Amerykański konsulat znajdował się po przeciwnej stronie miasta.) Blunt odburknął przez zęby, że unika - jak może - zetknięcia się z własnym konsulem.

- Czy pan boi się tamtejszego psa? - spytałem żartobliwie. Piesek konsula ważył około półtora funta i znany był w całym mieście, gdyż konsul obnosił go ciągle na ręku, krążąc z nim po ulicach; najłatwiej zaś było spotkać go na Prado w godzinach modnej przechadzki.

Uczułem niestosowność mego żartu, gdy Mills nachylił się do mego ucha:

- Tam są sami yankesi.

Bąknąłem zmieszany:

- Ach, naturalnie.

Książki są niczym. Nie przychodziło mi dotąd na myśl, że wojna domowa w Ameryce nie przeszła jeszcze do archiwów historii, że rozgrywała się zaledwie dziesięć lat temu. Ten dżentelmen pochodził przecież z Południowej Karoliny. Zawstydzilem się trochę swego nietaktu.

Przez ten czas rotmistrz Blunt borykał się z opornym zatraskiem drzwi wchodowych. W swym operowym kapeluszu, zsuniętym na tył głowy, wyglądał jak konwencjonalny okaz modnego hulaki. Dom, przed którym staliśmy, nie był wielopiętrową kamienicą, jak większość domów na tej ulicy. Posiadał tylko jeden rząd okien ponad parterem. Ślepe mury po obu jego stronach wskazywały, że poza nim znajduje się ogród. Ciemna fasada nie przedstawiała określonego stylu i przy migotliwym świetle ulicznej latarni całe domostwo wyglądało jak zapadłe w ziemię. Tym większe było moje zdziwienie, gdy weszliśmy do sieni wykładanej czarnym i białym marmurem, o iście pałacowych rozmiarach. Taką się przynajmniej wydawała w mroku. Blunt nie odkręcił kurka jedynej gazowej lampki, ale kroczył naprzód po czarno-białej posadzce wskazując nam drogę. Minął schody, minął jakieś drzwi z ciemnego, połyskującego drzewa, o ciężkiej mosiężnej kłamce, wiodące do jego pokoju. Prowadził nas prosto do pracowni na samym końcu korytarza.

Była to izba raczej niewielka, rodzaj dobudówki po tej strone domu, która wychodziła na ogród. Wewnątrz paliła się wielka lampa. Podłoga była wykładana zwykłymi kamiennymi

plytami, ale porozrzucane 'tu i ówdzie dywany, jakkolwiek bardzo zniszczone, musiały być niezmiernie cenne. Stała tam także piękna kanapa obita wzorzystym różowym jedwabiem, ogromny tapczan zasłany poduszkami i wspaniałe, zresztą mocno obszarpane fotele rozmaitych kształtów, okrągły stół, a pośród tych wszystkich wytwornych sprzętów pospolity żelazny piecyk. Ktoś musiał rozpaść go niedawno, bo huczał w nim ogień, a ciepło rozchodzące się po pokoju wydawało się błogie po zimnych podmuchach mistralu, który na dworze przejmował chłodem do szpiku kości.

Mills bez słowa rzucił się na tapczan i wsparty na łokciu spoglądał w zamyśleniu na oddalony kąt pokoju, w którym stał ocieniony przez olbrzymią rzeźbioną szafę manekin na zawiasach, bez głowy i rąk, ale o wspaniale ukształtowanych członkach. Ustawiony w skulonej pozie, zdawał się być zawstydzony wlepionym w siebie wzrokiem.

Podczas gdy rozkoszowaliśmy się «biwakową» ucztą (potrawa była rzeczywiście, znakomita, a nasz gospodarz pomimo zniszczonej szarej kurtki wyglądał na skończonego eleganta), wzrok mój ciągle kierował się w stronę tego kąta. Blunt spostrzegł to i zauważył, że osoba cesarzowej widocznie mnie pociąga.

- Jest w tym coś niemiłego - rzekłem. - Ta postać zdaje się czaić jak płochliwy szkielet przy wesołej biesiadzie. Ale czemu pan, ją nazywa cesarzową?

- Bo pozowała całymi dniami pewnemu malarzowi w szatach cesarzowej bizantyjskiej... Nie wiem, gdzie on wynalazł te bezcenne materie... Pan go znał, przypuszczam?

Mills skinął powoli głową, po czym pociągnął łyk wina z weneckiego kubka.

- Dom ten jest pełen cennych rzeczy. Podobnie jak wszystkie inne jego domy i jak jego mieszkanie w Paryżu - ten tajemniczy «Pawilon», ukryty gdzieś w Passy.

Mills znał ten Pawilon. Wino, jak przypuszczam, rozwiązało mu język. Blunt utracił także nieco ze swej powściągliwości. Z ich rozmowy nabrałem wyobrażenia, że chodzi o jakąś ekscentryczną osobistość, człowieka ogromnie majątnego, nie tyle samotnika, ile niedostępnego dla ludzi kolekcjonera pięknych rzeczy, a przy tym malarza znanego niewielkiemu gronu osób, a całkowicie nieznanego na rynku malarskim. Ponieważ przez ten czas wypróżniałem mój wenecki kubek w dość regularnych odstępach (gorąco buchające z żelaznego piecyka było zdumiewające i tak wysuszało gardło, że wino o słomianej barwie nie wydawało się mocniejsze od przyjemnie zaprawionej wody), głosy i wrażenia wywołane przez rozmowę nabierały w mym umyśle cech fantastyczności. Nagle spostrzegłem, że Mills, świecąc rękawami koszuli, siedzi bez marynarki. Nie zauważyłem, kiedy ją zrzucił. Blunt także rozpiął zniszczoną kurtkę, ukazując wykrochmalony gors z białym krawatem pod

ciemną, wygoloną brodą. W jego postawie było coś dziwnie bezczelnego - tak mi się przynajmniej zdawało.

Przemówiłem do niego dużo głośniejszym głosem, niż zamierzałem:

- Czy pan znał tego nadzwyczajnego człowieka?

- Na to, aby go znać osobiście, trzeba było być albo bardzo znakomitą osobistością, albo dzieckiem szczęścia. Tu obecny pan Mills...

- Tak, byłem tym szczęściarzem - wtrącił Mills. - Znakomitą osobistością był mój kuzyn. Dzięki temu udało mi się dwa razy wejść do jego domu nazywanego Pawilonem.

- I Donę Ritę widział pan dwa razy? - zapytał Blunt z nieokreślonym uśmiechem i wyraźnym naciskiem. Mills odpowiedział również z naciskiem, ale z powagą w wyrazie twarzy:

- Nie jestem łatwym entuzjastą, jeśli chodzi o kobiety, ale ona była niewątpliwie najcudowniejszym skarbem spośród tych bezcennych dzieł sztuki, jakie on u siebie nagromadził - najcudowniejszym...

- Może - widzi pan - dlatego, że spośród tych wszystkich okazów ona jedna była żywa - odparł Blunt z możliwie najłżejszym odcieniem sarkazmu.

- Niesłychanie żywa - potwierdził Mills. - Nie znaczy to, aby była niespokojna. W rzeczy samej, nie poruszyła się cały czas z tej kanapy, która stała między oknami - pamięta pan?

- Nie. Nie pamiętam. Nie byłem tam nigdy - odrzekł Blunt z błyskiem białych zębów, tak pozbawionym indywidualnego wyrazu, że to wydawało się aż przykre.

- Od niej promieniowało życie - ciągnął Mills. - Posiadała bogactwo życia w sobie, wysokiego gatunku życia. Ponieważ mój kuzyn i Henryk Allègre mieli sobie dużo do powiedzenia, mogłem swobodnie z nią rozmawiać. Podczas drugiej wizyty byliśmy już dobrymi przyjaciółmi, co brzmi dosyć śmiesznie, jeśli się zważy, że według wszelkiego prawdopodobieństwa nie mieliśmy się już nigdy spotkać, ani na tym świecie, ani na tamtym. Nie zaprzętałem sobie głowy teologią, ale wydaje mi się, że na Polach Elizejskich ta kobieta znajdzie się w gronie bardzo wybranych cieni...

Wypowiadał to wszystko swym sympatycznym głosem, tonem niewzruszenie spokojnym. Blunt znowu błysnął niemile białymi zębami i mruknął:

- Powiedziałbym raczej - mieszanych... - I dodał głośniejszym głosem: - jak na przykład...

- Jak na przykład Kleopatra - odparł Mills spokojnie. A po chwili dodał: - Która nie była właściwie nigdy piękna.

- Miałem na myśli raczej La Vallière - wtrącił Blunt z taką obojętnością, że nie

wiadomo było, co z tym robić. Mogło to oznaczać znudzenie poruszonym tematem, mogło też być udane, gdyż w całej jego osobie było coś niejasnego. Co do mnie, nie byłem obojętny. Kobieta jest zawsze interesującym tematem, moja zaś ciekawość była całkowicie rozbudzona.

Mills dumał nad czymś przez chwilę z wyrazem beznamiętnej życzliwości, wreszcie rzekł:

- Tak, o ile wiem, prostota Dony Rity ma tyle odcieni, że i to jest możliwe. Tak, romantyczna, zrezygnowana La Vallière... która odznaczała się szerokimi ustami.

Coś mnie pobudzało do odezwania się.

- Czyżby pan znał i panią La Vallière? - spytałem zuchwale.

Mills uśmiechnął się tylko do mnie:

- Nie, tak stary nie jestem. Ale nie trudno odtworzyć sobie pewne fakty dotyczące postaci historycznych. Zachował się jakiś nieprzystojny wiersz z tej epoki sławiący Ludwika XIV za posiadanie - już dobrze nie pamiętam - za posiadanie:

...de ce bęc amoureux

Qui d'une oreille à l'autre va,

Tra là là...i

czy coś w tym rodzaju. Usta nie potrzebują sięgać od ucha do ucha, ale faktem jest, że duże usta są często oznaką pewnej wspaniałomyślności uczuć i umysłu. Młodzieńcze, wystrzegaj się kobiet o małych ustach! Innych oczywiście także, ale małe usteczka są fatalną oznaką. No, z tego, co słyszałem, sympatycy Don Carlosa nie mogą uskarżać się na brak wspaniałomyślności ze strony Dony Rity. Dlaczegoż bym ja miał ją sądzić? Widziałem ją wszystkiego, powiedzmy, przez godzin sześć... To wystarczyło, aby odczuć urok jej wrodzonej inteligencji i wspaniałej budowy ciała. Zdałem sobie z tego wszystkiego sprawę w przeciągu krótkiego czasu - zakończył - bo ona miała w sobie to, co Francuzi nazywają niebezpiecznym darem osławiania ludzi».

Blunt słuchał markotnie, potakując głową.

- Dziwna rzecz - myśli Millsa wracały jeszcze w przeszłość - żegnając gości, umiała w jednej chwili wytworzyć ogromną odległość pomiędzy sobą a danym człowiekiem. Leciutkie zeszytywnienie doskonałej postaci, zmiana wyrazu twarzy - i czuleś odprawę udzieloną ci przez osobę urodzoną co najmniej w purpurze. Nawet jeśli podała ci rękę, jak to uczyniła w moim wypadku, zdawało się, że dzieli was szeroka rzeka. Zwykły manewr towarzyski? Czy wyzieraający skrawek prawdy? Może ona naprawdę należy do niedostępnych istot. Co pan o tym myśli, panie Blunt?

Było to zupełnie bezpośrednie pytanie, które z niewiadomej przyczyny (jakby już podniósł się we mnie stopień wrażliwości) uderzyło mnie nieprzyjemnie, a raczej dziwnie zaniepokoiło. Blunt zdawał się nie słyszeć. Po chwili zwrócił się w moją stronę.

- Ten ciężki człowiek - rzekł najwytworniejszym tonem - umie być cienki jak igła. To stwierdzenie jej nieprzepartego uroku i ta wątpliwość wyrażona na końcu, po dwóch wizytach zaledwie, które w sumie nie mogły przekraczać sześciu godzin...

A działa się to przecież trzy lata temu. Z takim pytaniem powinien pan być zwrócić się do Henryka Allègre, panie Mills.

- Nie posiadam daru wskrzeszania umarłych - odparł Mills wesoło. - A gdybym go nawet posiadał, to bym się zawahał. Nie można sobie pozwalać za wiele z nieboszczykami, których się za życia ledwo znało.

A jednak Henryk Allègre jest jedyną istotą, która mogłaby o niej coś powiedzieć po latach współżycia nie przerwane od chwili, kiedy odkrył tę kobietę. Byli ze sobą bez przerwy aż do chwili, kiedy on wydał ostatnie tchnienie. Nie chcę przez to powiedzieć, że ona go pielęgnowała. Do tych rzeczy miał zaufanego człowieka. Allègre nie znosił kobiet koło siebie. Ale gdy chodziło o tę jedną, nie mógł znieść jej oddalenia. Była też jedyną, która mu pozowała, gdyż nie znosił modelek w swoim domu. Stąd rodzinne podobieństwo pomiędzy Dziewczyną w kapeluszu a Cesarzowa bizantyjska, chociaż żadna z nich nie jest właściwie portretem Dony Rity... Czy pan zna moją matkę?

Mills skłonił się lekko i przelotny uśmiech zeszedł z jego warg. Blunt utkwiał wzrok w sam środek pustego talerza.

- To może pan zna artystyczne i literackie jej aspiracje - ciągnął Blunt nieznacznie zmienionym tonem. - Matka moja pisała wiersze od piętnastego roku życia. Dotąd pisze wiersze. I ma jeszcze wciąż piętnaście lat: rozpieszczona, utalentowana dziewczynka. Uprosiła więc jednego ze swych przyjaciół poetów, ni mniej, ni więcej, tylko Versoy'a we własnej osobie, żeby jej umożliwił wstęp do domu Henryka Allègre. Poecie zdawało się w pierwszej chwili, że nie dosłyszał. Trzeba zaś panu wiedzieć, że w pojęciu mojej matki mężczyzna, który nie wyłazi ze skóry dla zaspokojenia kaprysu kobiety, nie jest rycerskim człowiekiem. A może pan coś już wie o tym?

Mills potrząsnął głową z rozbawionym wyrazem. Blunt, który podniósł oczy spod talerza, by spojrzeć nań, ciągnął dalej z wielką rozważą:

- Ona w takich razach nie daje spokoju ani sobie, ani swoim przyjaciołom. Jest tak ślicznie niedorzeczna! Domyśla się pan, że ci wszyscy malarze, poeci, kolekcjonerzy i handlarze rupieci - wtrącił przez zęby - którymi otacza się moja matka, nie są po mojej myśli.

Jednakże Yersoy żyje raczej jak człowiek z wielkiego świata. Pewnego dnia spotkaliśmy się w sali fechtunkowej. Był wściekły. Prosił mnie, abym oznajmił matce, że jest to ostatni wysiłek, na jaki stać jego rycerskość. Zadania, którymi go obarczała, były zbyt trudne. W tym wypadku - śmiem przypuszczać - rad był mimo wszystko, że może wykazać, jak wielkie ma wpływy nawet w domu Allègre'a. Wiedział przecież, że moja matka rozniesie to po wszystkich salonach. Yersoy to wytrawna, złośliwa szelma. Wierzch jego łysiny lśni jak kula bilardowa. Musi ją chyba polerować co rano kawałkiem sukna. Oczywiście nie dotarli dalej jak do wielkiego salonu na pierwszym piętrze, olbrzymiego salonu z trzema rzędami kolumn biegnących wzdłuż pokoju. Podwójne drzwi ponad schodami stały szeroko otwarte, jak na przyjęcie królewskiej wizyty. Może pan sobie wyobrazić tę scenę: moja matka, ze swymi białymi włosami upiętymi na modłę XVIII wieku i błyszczącymi czarnymi oczami, wchodząca do tego przepysznego wnętrza w asyście jakiejś łysej, rozdrażnionej wiewiórki - i Henryk Allègre, o postawie surowego księcia, wychodzący na ich spotkanie z twarzą rycerza z epoki wypraw krzyżowych. Jego aksamitny, przytłumiony głos i na wpół przymknięte oczy, które zdawały się spoglądać na przybyłych z wysokości krużganka - pamięta pan te jego sztuczki, panie Mills?

Mills wypuścił wielką chmurę dymu z wydętych policzków.

- Sądzę, że on także był wściekły - ciągnął Blunt beznamiętnym głosem - ale niezmiernie uprzejmy. Pokazał jej wszystkie skarby znajdujące się w pokoju: miniatury, emalie, przedmioty z kości słoniowej, przeróżne potworki z Japonii, Indii, Timbaktu... czy ja wiem wreszcie. Posunął łaskawość do tego stopnia, że kazał znieść do salonu Dziewczyną w kapeluszu wyobrażoną do połowy postaci. Ten obraz bez ramy ustawiono na krześle tak, aby moja matka mogła mu się przyjrzeć. *Cesarzowa bizantyjska* w całej postaci znajdowała się już na przeciwległej ścianie salonu w złotej ramie ważącej z pół tony. Moja matka zaczęła od zasypania «Mistrza» słowami podziękii, po czym pogrążyła się w adoracji przed *Dziewczyną w kapeluszu*. Po chwilo, westchnęła: "To powinno się nazywać *Diaphaneité*, jeśli takie słowo istnieje. Ach, to ostatni wyraz modernizmu!" Nagle podniosła lornetkę i spojrzała na przeciwległą ścianę. "A to? To przecież całe Bizancjum! Kim była ta piękna, posępna cesarzowa?"

"Ta, którą miałem na myśli, nazywała się Teodozja - zgodził się odpowiedzieć Allègre. - Dziewczyna słowiańskiego pochodzenia skądś przywieziona."

Moja matka potrafi być cudownie niedyskretna, gdy ją kaprys poniesie. Nie przyszło jej nic lepszego do głowy, jak zapytać «Mistrza», dlaczego malując te dwie twarze czerpał natchnienie z tej samej modelki. Była niewątpliwie dumna ze swego niezawodnego oka -

dowodziło to istotnie jej spostrzegawczości. Allègre natomiast poczytał to za kolosalną impertynencję, mimo to odpowiedział najśłodszym głosem:

«Może dlatego, że widziałem w niej coś, co czyniło z niej kobietę wszystkich czasów.»

- Moja matka mogła była odgadnąć, że «wchodzi na cienki lód». Jest niezmiernie inteligentna. Ale kobiety bywają czasem tak niepojęcie tępe. Toteż wykrzyknęła: «Jest to więc istota wręcz zadziwiająca.» I sądząc, że to co mówi, pochlebia artyście, poczęła dowodzić, że tylko oko znawcy, który odkrył tyle dzieł sztuki, mogło wypatrzeć takie żyjące чудо... Przypuszczam, że Allègre stracił wtedy panowanie, a może chciał się po prostu pozbyć mojej matki mając dość «znawców» i «mistrzów», którymi go obsypywała od dwóch godzin. Napomknął z najbardziej wyszukaną kurtuazją:

«Ponieważ pand. zaszczyca moje skromne zbiory swymi odwiedzinami, może by pani chciała obejrzeć osobę, która służyła za natchnienie do tych dwóch Obrazów. Ona teraz przebiera się na górze po naszej przejażdżce konnej. Ale to długo nie potrwa. Będzie w pierwszej chwili może trochę zdziwiona, że się ją tak ściąga na pokaz, ale po paru słowach wyjaśnienia i ponieważ chodzi tu o sprawy związane tylko ze sztuką...»

Nigdy nie było dwóch osób równie zaskoczonych. Versoy opowiadał, że mu cylinder wypadł z ręki i powłóczył się z łoskotem. Wyznaję, jakkolwiek jestem nienagannym synem, że rad byłbym widzieć ten odwrót po wielkich schodach. Cha! Cha! Cha!

Śmiał się w sposób, który nie był nienaganny, po czym twarz jego skurczyła się w zawziętym grymasie.

- Ta nieubłagana bestia odprowadziła ich ceremonialnie na dół i pomogła mojej matce wsiąść do dorożki pod bramą z oznakami największego poważania. Nie otworzył wszakże ust składając tylko głęboki ukłon odjeżdżającej. Moja matka nie mogła przyjść do siebie przez trzy dni. Jadam z nią śniadanie prawne co dzień - i nie mogłem zrozumieć, co się stało.

Aż pewnego dnia...

Blunt rzucił okiem na stół, zerwał się i bąknąwszy jakąś wymówkę wypadł z pracowni wąskimi drzwiami umieszczonymi w rogu pokoju.

Wstrząsnęła mną wtedy świadomość, że moja osoba zupełnie nie istniała dla tych dwóch ludzi. Mills ujął twarz w obydwie ręce ściskając fajkę, z której wydobywał od czasu do czasu kłęb dymu, wpatrując się uparcie w przeciwległą ścianę.

Coś mnie skłoniło do zapytania szeptem:

- Czy pan zna go dobrze?

- Nie wiem, do czego on zmierza - odpowiedział sucho. - Co zaś do jego matki, to nie

jest ona takim roztrzepotany ptaszkiem, jakim się wydaje. Podejrzewam w tym interes. Musiał tam istnieć spisek uknuty w celu wydobycia jakiegoś obrazu od Allègre'a dla mego kuzyna czy kogokolwiek innego. A może chodziło po prostu o stwierdzenie, co on ma. Rodzina Bluntów straciła cały majątek, a w Paryżu są różne sposoby zdobywania małych dochodów nie naruszając przyjętych obyczajów, nie przekraczając nawet przepisów prawa. Pani Blunt miała kiedyś niezłe stanowisko za czasów drugiego Cesarstwa i z tego powodu...

Słuchałem z otwartymi ustami, gdyż mogę doświadczenia wyniesione z Zachodnich Indii nie dawały mi dotąd możliwości orientowania się w tego rodzaju sprawach. Mills pohamował się i zmieniając nagle ton dokończył:

- Nie łatwo odgadnąć, do czego byłaby zdolna w danej okoliczności. Poza tym nieposzlakowana kobieta. Zachwycająca starsza pani, prawdziwa arystokratka - tylko w niedostatku.

Uderzenie o drzwi przerwało nam rozmowę i zaraz potem pan John Blunt, rotmistrz kawalerii Jego Królewskiej Mości, pierwszorzędny kucharz (przynajmniej w zakresie jednej potrawy) i gościnnie gospodarz, wszedł do pracowni trzymając między palcami szyjki czterech butelek.

- Potknąłem się i o mało wszystkiego nie potłukłem - wyrzekł niedbale. Jednakże nawet ja przy całej mojej naiwności nie uwierzyłem ani na chwilę, aby się potknął przypadkowo. Podczas odkorkowywania butelek i napełniania kubków panowało głuche milczenie, którego żaden z nas nie brał poważnie, podobnie jak potknięcia się Blunta.

- Pewnego razu - zaczął znowu tym samym głosem - matka moja powzięła heroiczne postanowienie zerwania się w środku nocy. Trzeba znać słownik mojej matki. Znaczyło to, że wstanie i będzie gotowa na godzinę dziewiątą. Tym razem nie Versoy był zaproszony do asysty, ale ja sam. Możecie panowie sobie wyobrazić, jak byłem zachwycony...

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Blunt zwraca się wyłącznie do Millsa, i to raczej do jego umysłowości niż do niego jako do człowieka. Wyglądało to tak, jakby Mills przedstawiał osobę wtajemniczoną, z którą trzeba się liczyć. Ja oczywiście nie mogłem rościć sobie takich pretensji. Jeżeli cokolwiek w sobie miałem, to chyba doskonałą świeżość uczuć i rozbrajającą niewiedzę; dotyczyła ona nie tyle zagadnienia, co może dać życie (gdyż o tym miałem już niejaki pojęcie), ile tego, co ono rzeczywiście w sobie zawiera. Wiedziałem bardzo dobrze, że w oczach tych ludzi nie znaczą absolutnie nic. To nie hamowało napięcia mej uwagi. Rozmawiali wprawdzie o kobiecie, ale 'byłem jeszcze w tym wieku, kiedy ten temat sam w sobie nie przejmuje człowieka do głębi. Losy i przygody męskiego życia byłyby prawdopodobnie silniej oddziaływały na moją wyobraźnię. To, co teraz trzymało moją uwagę

w napięciu - to osoba samego Blunta. Gama olśniewających połysków jego uśmiechu w połączeniu z ponurą zawziętością, którą się wyczuwało w jego tonie, uderzała mnie jako moralny dysonans.

Byłem w wieku, kiedy się sypia wyśmienicie, ale potrzebę snu poczytuje się za dziecinną słabość lat dawno minionych. Czuwanie przychodziło mi bez trudu. Dzięki młodzieńczej świeżości bawiłem się tym kontrastem, jaki zachodził między poznanymi indywidualnościami, faktami, z jakimi mnie zapoznano, i moralną ich oceną, a moim własnym zasobem doświadczeń wyniesionych z Zachodnich Indii. Nad tym wszystkim zaś górowała postać kobieca, która przedstawiała się mej wyobraźni w płynnych zarysach, tchnąca na przemian urokiem dziewczęcości, i kobiety dojrzałej, a w obu tych wypadkach nieujęta. Obaj ci mężczyźni już ją widzieli, mnie zaś przedstawiono ją tylko nieuchwytnie, w przelotnych słowach, wypowiedzianych przebiegłym, obco brzmiącym głosem.

Teraz pokazano mi ją znowu w Bois de Boulogne wczesnym rankiem, kiedy wedle ustalonego obyczaju wielki świat uprawia tam konną jazdę. Siedziała na lekkim kasztanku o domieszce wysokiej krwi, mając po jednej stronie Henryka Allègre na skarogniadym, ciężkim wierzchowcu, a po drugiej kogoś z jego znajomych (ten człowiek przyjaciół nie posiadał), widocznie jednego z wyróżnionych bywalców tajemniczego Pawilonu. Nietrudno było zauważyć przyglądając się Donie Ricie z perspektywy Wielkiej Alei, że osoba drugiego jeźdźcy, eskortującego ją po lewej stronie, me była stałym jej towarzyszem. Tego ranka, kiedy Blunt musiał towarzyszyć swej matce dla zaspokojenia jej nieposkromionej ciekawości - wielce według niego nagannej - ukazali się oczom ludzkim kolejno u boku młodej kobiety czy dziewczyny, po stronie rączki ujmującej uzdę, naprzód generał kawalerii w czerwonych spodniach (do którego się uśmiechała), potem obiecujący polityk, który rozprawiał o czymś z wielkim ożywieniem, by nagle zawrócić i przyłączyć się do jakiegoś dygnitarza w czerwonym fezie, cwałującego na białym koniu. Po pewnym czasie rozdrażniony pan Blunt i jego niedyskretna matka (nie mogłem zrozumieć, co właściwie było w tym złego) mieli sposobność oglądania jeszcze jednej zmiany w asyście amazonki. Przybocznym towarzyszem był tym razem pretendent do Korony (Allègre malował wtedy jego portret), którego szczery, donośny śmiech doszedł ich uszu, zanim dostrzegli trójkę jeźdźców zbliżających się stępą. Twarz młodej dziewczyny była zaróżowiona. Nie śmiała się. Wyraz miała poważny, a oczy spuszczone w zadumie. Blunt przyznał, że urok, blask i siłą jej osobowości znalazły wtenczas należyłą oprawę w postaci tych dwóch mężczyzn o postawie paladynów, siedzących na wspaniałych koniach. Jeden był starszy, drugi młodszy, ale w tych dwóch stadiach męskości tworzyli właśnie przepiękny zespół. Blunt nigdy przedtem 'nie widział z tak bliska Henryka

Allègre. Ten ostatni przejechał tuż koło chodnika, na którym Blunt z nienaganną kurtuazją podawał ramię swojej matce (wysiedli bowiem z dorożki), zastanawiając się, czy ta beczelna figura ośmieli się uchylić kapelusza. Allègre nie zrobił tego. Może nie zauważył Bluntów. Nie należał do ludzi strzelających oczami na wszystkie strony. W jego brodzie świeciły srebrne nitki, lecz mocny był jak posąg. W niecałe trzy miesiące później już nie żył.

- Cóż mu się stało? - zapytał Mills, który od dłuższego czasu nie zmienił pozycji.

- Miał wypadek. Ale ociągał się z odejściem. Jechali wtedy na Korsykę z doroczną sentymentalną pielgrzymką, gdyż Korsyka była pierwszą miejscowością, do której ją zawiózł - wtedy, na samym początku.

Muskuły w twarzy Blunta lekko zadrgały. Wpatrując się uporczywie w opowiadającego, jak to czynią prostaczkowie, zauważyłem ten szczegół. Był to skurcz bólu. Musiał sobie zadać cień przymusu, zanim znowu przemówił.

- Przypuszczam, że pan wie, w jaki sposób ją zdobył - mówił dalej tonem swobodnym, który dziwnie raził u tego światowego, opanowanego salonowca.

Mills zmienił pozycję, by przez chwilę spojrzeć na niego badawczo. Po czym rozparł się znowu w fotelu i z zainteresowaniem - nie mówię z ciekawością, mówię z zainteresowaniem - spytał:

- A któż może o tym wiedzieć poza stronami, które tu w grę wchodzi? - Zauważyłem jakiś cień zmiany (może by to nazwać odświeżeniem) w jego niewzruszenie spokojnej postawie.

- Pytam o to, bo jakoś nie słyszało się nic o tej historii. Pamiętam, że kiedyś wieczorem zobaczyłem w restauracji mężczyznę wchodzącego w towarzystwie kobiety, pięknej kobiety, tak pięknej, że zdawała się być porwaną z rajy Mahometa. O Donie Ricie nie dałoby się nic tak określonego powiedzieć. Ale mówiąc podobnym stylem, miałem zawsze wrażenie, że ona wygląda, jakby ją Allègre znalazł w pobliżu jakiejś świątyni, w górach.

Byłem zachwycony. Nie słyszałem nigdy, aby w ten sposób mówiono o kobiecie rzeczywistej i żyjącej, a nie o kobiecie z książki. Nie było to poezją, a wydawało się, że ją to podnosi do rzędu wizji. Byłbym się zapamiętał w tym rozmyślaniu, gdyby nie pan Blunt, który najniespodziewaniej zwrócił się do mnie bezpośrednio:

- Mówiłem panu, że ten człowiek jest przenikliwy jak igła... - A potem do Millsa: - Ze świątyni? Wiemy, co to znaczy. Czarne jego oczy rozbłysły. Czy to koniecznie musiało być w górach? - dodał.

- Albo na pustyni, jeśli pan woli - zgodził się Mills. - Bywały, wie pan, świątynie także na pustyniach.

Blunt uspokoił się nagle i przybrał pozę niedbałą. - W rzeczywistości Henryk Allègre schwytał ją wczesnym rankiem we własnym ogrodzie, pełnym drozdów i innych ptaków. Siedziała na kamieniu, który był fragmentem dawnej balustrady, ze stopami zanurzonymi w mokrej trawie, i czytała jakąś starą i zniszczoną książkę. Była w krótkiej czarnej sukience, kupionej za grosze (*une petite robe de deux sous*) i miała dziurę w jednej z pończoszek. Podniosła oczy i zobaczyła go, stojącego przed sobą, z tą ambrozyjską brodą: patrzył na nią w zamyśleniu jak Jowisz na zwykłego śmiertelnika. Zamienili długie spojrzenie, gdyż dziewczyna była zbyt zaskoczona, aby móc się poruszyć. Nieznajomy mruknął: «*Restez donc.*» Spuściła znowu oczy na książkę, a po chwili usłyszała jego kroki oddalające się po ścieżce. Serce jej biło, gdy przysłuchiwała się świergotowi ptaków nappełniających gwarem powietrze. Nie była wcale przestraszona. Twierdzą to pozytywnie, gdyż sama mi to opowiadała. Czy może być lepsze źródło... - Blunt urwał.

- To prawda. Ona nie należy do osób, które by kłamały mówiąc o swych wrażeniach - mruknął Mills sponad splecionych rąk.

- Nic nie ujdzie jego przenikliwości - zauważył Blunt, zwracając się do mnie z tą dwuznaczną uprzejmością, która przyprawiała mnie zawsze o niemiłe uczucie, gdy o Millsa chodziło. - Absolutnie nic. - Tu znów zwrócił się do Millsa:

- Opowiadała mi, że jeszcze przez kilka minut przesiadła nieruchomo, po czym wstała ze swego kamienia i poszła śladem, owej zjawy. Ale Allègre'a nigdzie już nie było. Pod bramą wjazdową bardzo szpetnego budynku mieszkalnego, który oddziela Pawilon i ogród od ulicy, żona portiera, podparłszy się pod boki, zdawała się na nią czekać. Z daleka zawołała do Rity: «Zostałaś złapana przez właściciela!» Ta stara kobieta, zaprzyjaźniona z ciotką Kity, upoważniła właśnie dziewczynę do korzystania z ogrodu w nieobecności Allègre'a. Ale jego zjawienie się bywało nagłe i nie zapowiadane, tego zaś ranka Rita, przebiegłszy wąską, natłoczoną ulicę, wsunęła się przez drzwiczki do ogrodu, nie dostrzeżona przez dozorczynię i nieświadoma powrotu Allègre'a.

Dziewczynka - gdyż to było wtedy niemal dziecko - wyraziła żal, że jej wejście do ogrodu naraziło tak dobrą osobę na przykrość.

Stara kobieta odezwała się na to ze szczególnym uśmiechem:

«Taka twarzyczka jak twoja nie ściąga na ludzi przykrości. Mój pan wcale się nie gniewał. Powiedział, że możesz tu przychodzić, ile chcesz, choćby co rano.»

Na to Rita nic już nie odpowiedziała i przeszedłszy na drugą stronę ulicy powróciła do składu pomarańcz, w którym spędzała większość godzin dnia - sennych, pustych, bezmyślnych i beczynnych, niczym nie zakłóconych godzin, jak sama je określała. Idąc

ulicą, łyskała dziurą w pończosze. Lecz te dziurawe pończochy nie oznaczały ubóstwa - jej wujostwo mieli zawsze nagromadzonych, przeważnie w skrzyniach, ponad osiem tysięcy pomarańcz - to tylko Rita była wtedy niedbała, nieporządna i całkowicie nie uświadamiająca sobie własnego wyglądu. Mówiła mi, że wtedy nie miała nawet świadomości własnego istnienia. Była niewiele znaczącym dodatkiem w życiu swoich wujostwa, życiu szarym jak dzień o zmierzchu. Ciotka była Francuzką, a wuj, handlarz pomarańczami, baskijskim chłopem. Pod jego to opiekę luminarz rodziny, a drugi wuj Rity, proboszcz na zapadłej parafii podgórskiej w pobliżu Tolosy, przysłał dziewczynkę liczącą wtedy około trzynastu lat. Ona - wie pan - pochodzi z chłopów. No! Taka była geneza *Dziewczyny w kapeluszu* i *Cesarzowej bizantyjskiej* (które w zachwyty wprawiły moją matkę) - tej tajemniczej istoty, którą uprzywilejowane osobistości na wybitnych stanowiskach w sztuce, literaturze, polityce lub po prostu w wielkim świecie mogły oglądać leżącą na dużej sofie podczas zebrań u Allègre'a w jego mało dostępnym Pawilonie; tej Dony Rity, której składano hołdy, nie ukrywanej przed ludzkim okiem, a osłoniętej tajemnicą jak dzieło sztuki z nieustalonej epoki - Dony Rity znanej tylko wtajemniczonymu Paryżowi. Dona Rita, i nic więcej - jedyna w swoim rodzaju, nie dająca się ująć w żadną definicję.

Umilkł z nieprzyjemnym uśmiechem.

- Czyż ona byłaby chłopskiego pochodzenia? - wykrzyknąłem przerywając dziwnie świadome milczenie, jakiś zaległo pomiędzy Millsem a Bluntem.

- Ach, wszyscy ci Baskowie zostali uszlachceni przez Don Sansę II - odparł rotmistrz Blunt niechętnie. - Można tam oglądać herby wyryte nad drzwiami najnędzniejszych *caserios*. Jeśli o to chodzi, Dona Rita ma prawo do swego tytułu, kimkolwiek byłaby bądź sama, bądź w oczach innych ludzi. Na przykład w pańskich oczach, panie Mills? He?

Przez jakiś czas Mills zachował rozmyślne milczenie.

- I po co się nad tym zastanawiać? - mruknął wreszcie chłodno - wylęgnie się czasem w gnieździe w sposób niewytłumaczony dziwny ptak, a los takiego ptaka pozostaje niepewny, wątpliwy. Więc to w takich okolicznościach Allègre zobaczył ją po raz pierwszy? A co dalej?

- Co dalej? - powtórzył Blunt z udanym zdziwieniem - czyż trzeba o to pytać? Gdyby pan się zapytał: «Jak się to stało...», ale łatwo się domyślić, że mi tego nie opowiedziała. Nie rozwodziła się na ten temat - ciągnął dalej z uprzejmym sarkazmem. - Nie dziwiłbym się, gdyby ten przeklęty Allègre, ze swą bezczelną pozą na księcia, uważał fakt wyróżnienia dziewczyny za rodzaj łaski spuszczonej z wysokości Olimpu. Nie umiałbym powiedzieć, jakie wrażenie na umyśle i wyobraźnię wujaszaków i ciotek wywierają odwiedziny tak niezwykłego gościa. Jedynie mitologia mogłaby tu służyć jakąś wskazówką. Chociażby

historia Danae...

- Owszem, jest taka historia - zauważył spokojnie Mills - ale nie przypominam sobie tam żadnego wuja ani ciotki...

- Słyszysz się też czasami o odkrywaniu i nabywaniu cennych, jedynych w swoim rodzaju dzieł sztuki. Podstępne podchodzenia, przebiegłe prowadzone układy, kłamstwa i oszustwa... a wszystko, rozumie pan, jedynie dla miłości piękna...

Wygląd Blunta, z jego ciemną cerą i nieustającym uśmiechem igrającym po zawziętej twarzy, wydał mi się wprost sataniczny. Ręka Millsa bawiła się w roztargnieniu pustą szklanką. Obaj znowu całkowicie zapomnieli o mym istnieniu.

- Nie wiem, jakby się czuło dzieło sztuki w takich okolicznościach - ciągnął dalej Blunt głosem niespodziewanie zgrzytliwym, który jednak natychmiast odzyskał swój zwykły ton. - Nie wiem. To jedno wiem, że Rita nie była Danaą, nigdy, w żadnym okresie swego życia. Nie robiła sobie nic z dziurawych pończoch. I dziś jeszcze nic by sobie z tego nie robiła. Czy ona w ogóle potrafi zachować dla siebie choć jedną parę pończoch? - dodał z rodzajem tłumionej pasji, tak śmiesznej i niespodzianej, że byłbym wybuchnął śmiechem, gdyby najzwyczajniejsze zdziwienie nie odjęło mi głosu.

- Doprawdy? - spokojny Mills objawił błysk zaciekawienia.

- Niewątpliwie - potwierdził Blunt ściągając brwi w bardzo diabelski sposób. - Ona może jeszcze pozostać bez żadnych pończoch.

- Świat jest złodziejski - oświadczył Mills z najwyższym spokojem. - Potrafi ograbić samotnego wędrowca.

- Jakież on subtelny - Blunt przypomniał sobie o mym istnieniu, by wypowiedzieć tę uwagę, która - jak i poprzednie - przyprowadziła mnie do niemiłego uczucia. - To zupełna prawda. Samotny wędrowiec! Jak oni się tam wszyscy pchają, od najniższych do najwyższych! Boże, co to za zgraja! Był wśród nich nawet jeden arcybiskup.

- *Vous plaisantez* - rzekł Mills, nie wykazując zresztą wyraźnego niedowierzania.

- Ja bardzo rzadko żartuję - zaprzeczył z powagą Blunt - dlatego nie wymieniłem Jego Królewskiej Mości, którą niech Bóg ma w swojej opiece. Byłoby to przesadą. Ale koniec jeszcze nie nadszedł - to, co mówiłem, dotyczyło samych początków. Słyszałem, że niektórzy handlarze dziełami sztuki, zwyczajni, wyrachowani handlarze (moja matka zawdzięcza dużo doświadczeń obcowaniu z tym środowiskiem), zdradzają nieraz wyraźną niechęć do pozbywania się okazów nawet za dobrą cenę. To musi być bardzo zabawne. Można by przypuszczać, że wuj i ciotka Rity tarzali się we łzach po podłodze wśród rozsypanych pomarańcz albo bili głowami o ścianę z wściekłości i rozpacz. Ale wątpię, aby tak było.

Przede wszystkim Allègre nie należał do ludzi, którym się przytrafiają pospolite historie. Równie dobrze można przypuścić, że ci ludzie szeroko rozwarli gęby na widok takiej wspaniałości. Nie byli ubodzy, wie pan, więc uczciwość nie obowiązywała ich bezwzględnie. O ile wiem, siedzą do tej pory w dawnym, powszechnie szanowanym domu towarowym i zachowali dawne stanowisko w swoim *quartier*. Nie zachowali tylko siostrzenicy. Mogło to nawet być poświęceniem z ich strony. Słyszałem, o ile się nie mylę, że zaczęli od posyłania dziecka do jakiejś szkoły na rogu ulicy, po czym powierzono jej prowadzenie ksiąg rachunkowych w tym pomarańczowym przedsiębiorstwie. Jak tam było, to było; dość, że pierwszym faktem we wspólnych dziejach Rity i Allègre'a była podróż do Włoch, a później na Korsykę. Allègre posiadał, wie pan, jakiś dom na Korsyce. Teraz jest jej własnością, jak wszystko, co 'kiedykolwiek posiadał, a ja myślę, że ten korsykański pałac najdłużej przy niej zostanie. Bo któż by chciał nabyć taką posiadłość? Przypuszczam, że nie wzięłby jej nikt nawet w podarunku. Allègre budował sobie rezydencje po całym świecie. I ten dom, w którym teraz siedzimy, należał do niego. Dona Rita oddała go swojej siostrze, o ile rozumiem. W każdym razie ta siostra nim zarządza, jest moją gospodynią...

- Jej siostra jest tutaj? - wykrzyknąłem - jej siostra?

Blunt zwrócił się uprzejmie w moją stronę, ale tylko po to, aby mi rzucić długie, milczące spojrzenie. Oczy jego znajdowały się w głębokim cieniu i po raz pierwszy uderzyło mnie wtedy, że jest coś złowieszczonego w wyglądzie tego człowieka, ilekroć przestaje mówić. Myślę, że wrażenie było czysto fizyczne, niemniej każde jego późniejsze odezwanie zdawało się nieodpowiednie, jakby odsłaniało pospolitą, choć udręczoną duszę.

- Dona Rita ściągnęła ją tu z górskiej wioski naumyślnie. Teraz śpi zapewne w którymś z pustych pokoi tego domostwa. Ona - widzi pan - odnajmuje pokoje i zdiera za to porządnie, o ile ktoś zgodzi się płacić, bo dość łatwo jest ją zastraszyć. Nic dziwnego - nie widziała nigdy w życiu tak ogromnego miasta i tylu obcych ludzi. Przez całe lata prowadziła gospodarstwo księdzu wujowi w jakimś górskim wąwozie. Nadzwyczajna rzecz, że pozwolił jej odjechać. Jest w tym jakaś tajemnica, jakiś powód, taki czy inny. Albo teologia, albo względy rodzinne. Świątobliwy wujaszek na swej półdzikiej parafii nie uwzględniłby żadnego innego powodu. Ona chodzi przepasana różańcem. Od chwili gdy zobaczyła prawdziwe pieniądze, nabrała do nich upodobania. Jeśli panowie zabawicie u mnie do rana - mam nadzieję, że tak będzie (bo ja naprawdę nie mogę sypiać) - to ją ujrzycie wychodzącą na nasze o wpół do siódmej.

Nic w niej zresztą nie ma szczególnego - ot, wiejska kobieta lat trzydziestu czterech czy coś w tym rodzaju. Wiejska zakonnica...

Mogę od razu zapewnić, że nie siedzieliśmy u Blunta do rana. I nie tego rana ujrzałem po raz pierwszy Teresę o wiecznie poruszających się wargach i spuszczonej oczach, jak wymyka się z tego domu na wczesną mszę, w zimowym mroku, zalegającym zatraczone miasto i cały ten świat tonący w grzechach. Nie. Nie tego jeszcze ranka ujrzałem nieprawdopodobną siostrę Dony Rity, z jej suchą, ziemistą twarzą i sunącymi ruchami, w stroju przypominającym zakonne habity, z głową ciasno obwiązaną czarną chustką, której spiczaste końce opadały jej na plecy. Rzeczywiście przypominała zakonnice. Wszakże niezupełnie. Ludzie oglądaliby się za nią, gdyby te wycieczki do kościoła o wpół do siódmej rano nie były jedyną okazją, która ją skłaniała do zapuszczania się w bezbożne ulice miasta. Bała się ulic, był to jednak szczególny lęk, nie przed konkretnym niebezpieczeństwem, lecz jakby przed zarazą. Mimo to nie wrywała się do powrotu w góry, gdyż w gruncie rzeczy posiadała nieugięty charakter, chłopską wytrwałość w dążeniu do celu, drapieżny instykt własności. Nie, nie siedzieliśmy do rana u pana Blunta po to tylko, by rzucić okiem bodaj na jej plecy, w chwili kiedy chyłkiem wysuwała się z domu na pobożną pielgrzymkę. Teresa była dewotką. Straszna kobietą. Jej jednostronna chłopska umysłowość była tak niedostępna jak zaryglowana kasa ogniotrwała. Była istotą złowieszczą. Śmiesznie powiedzieć, że jeszcze dzisiaj dopatruję się w tych wszystkich ludziach jakiegoś fatalizmu; postanowiwszy jednak pisać szczerze, nie dbam o to, że się mogę wydać śmiesznym. W moim pojęciu fatalizm musi znajdować swój wyraz i wcielenie, tak jak wszystkie inne siły działające w świecie; czemużby więc nie miał się wcielić w tych właśnie, a nie innych ludzi, choćby inni przedstawiali się wspanialej lub bardziej złowrogo.

Siedzieliśmy jednakowoż u Blunta dość długo, by pozwolić jego zgryźliwości rozwinąć się w pełni i zerować na osobach tamtych dwojga: mężczyzny - Allègre'a, i kobiety - Rity.

Blunt, zwracając się w dalszym ciągu do Millsa, przeszedł teraz, jak się sam wyraził, do aktu drugiego. Podkreślił naprzód to, co było według niego charakterystyczną bezczelnością Allègre'a przechodzącą w swym zuchwalstwie królów, milionerów i włóczęgów. Mianowicie ukazanie Rity całemu światu. Nie był to wprawdzie świat bardzo wielki, za to złożony z samych wybrańców losu. Jakżeby go krótko określić? Chyba jako zespół ludzi, którzy co rano uprawiają konną jazdę w Lasku Bulońskim.

W niespełna półtora roku od chwili, kiedy; zastał ją siedzącą na rozbitej balustradzie kamiennej wśród wysokich traw dzikiego ogrodu, pełnego drozdów, szpaków i wszelakiego gatunku niewinnych stworzeń skrzydlatych, Allègre zdążył rozwinąć w niej wiele talentów, a między innymi nauczył ją sztuki wspaniałego siedzenia na koniu. Toteż zaraz po przyjeździe

do Paryża zabrał ją na pierwszą poranną przejażdżkę.

- Może się pan domyślić, co to była za sensacja - ciągnął Blunt z lekkim wykrzywieniem w twarzy, jak gdyby wymawiane słowa miały cierpki posmak. - I jaka konsternacja! - dodał jadowicie. - Tego wiekopomnego ranka wielu panów, mimo że byli w towarzystwie swoich pań, musiało uchylać kapeluszy, a zwłaszcza ci z nich, którzy mieli zobowiązania pieniężne wobec Allègre'a. Byłby pan zdumiony słysząc nazwiska prawdziwie wybitnych osobistości, które, mówiąc bez ogródek, były jego dłużnikami. A nie mam tu na myśli wyłącznie świata artystycznego. O ile słyszałem, po pierwszych chwilach zdziwienia i popłochu, jaki sprawił widok Rity, na poczekaniu puszczo w obieg jakąś historię o adoptowanej córce - rozumie pan - adoptowanej, ze szczególnym akcentem na tym słowie, co ostatecznie czyniło wersję dość prawdopodobną. Opowiadano mi, że ona w tym czasie wyglądała niesłychanie młodo u boku Allègre'a - mam na myśli niesłychaną młodość wyrazu, oczu, uśmiechu. Musiała być...

Blunt zahamował nagle, ale nie dość szybko, by dogasający pomruk *adorable* nie dotarł do naszych czujnych uszu.

Ocieęwały Mills poruszył się nieznacznie na krześle. Wrażenie, jakiego doznałem, było natury bardziej wewnętrznej; na skutek dziwnego wzruszenia siedziałem całkowicie nieruchomo. Wśród ciszy, jaka zapanowała, postać Blunta wydała mi się bardziej złowieszczą niż kiedykolwiek.

- Rozumie się, że to nie mogło trwać długo - rozpoczął znowu salonowym tonem - cóż dziwnego? To, czego się nasłuchiwała pierwszej wiosny w Paryżu, odbiłoby się nawet na mniej wrażliwej naturze. Allègre - ma się rozumieć - nie zamykał drzwi przed swymi przyjaciółmi, a to nowe zjawisko nie odstraszało ich bynajmniej. Po tej pierwszej porannej przejażdżce miała już stale i po drugiej stronie asystę takiego czy innego jeźdźca. Stary Doyen, rzeźbiarz, był jednym z pierwszych, który się do nich zbliżył. Człowiek w tym wieku może ważyć się na wszystko. Jeździ zwykle na przedziwnym wierzchowcu przypominającym cyrkowe konie. Rita do strzegła go kątem oka w chwili, kiedy ich mijał podnosząc ogromną łapę w jeszcze większej rękawicy i potrząsając nią nad głową, o tak... - (tu Blunt wykonał odpowiedni gest) - w stronę Allègre'a. Minał ich i nagle zawrócił swego fantastycznego rumaka i dopadł ich klusem. Rzuciwszy zwykłe, niedbałe: «*Bonjour, Allègre*», zrównał się z amazonką i kłusując u jej boku z kapeluszem w rękę przemówił do niej swym grzmiącym głosem, ściszone przez pełne czci wzruszenie, co przypominało daleki pomruk morza. Doyen nie ma dobrej wymowy, jedyne słowa, jakie Rita mogła pochwycić, brzmiały: «Jestem starym rzeźbiarzem... Oczywiście to kwestia przyzwyczajenia... Ale ja widzę panią poprzez to

wszystko...»

Nałożył kapelusz mocno na bakier. «Jestem wielkim rzeźbiarzem kobiet - oświadczył - poświęciłem im całe życie, tym biednym, nieszczęsnym stworzeniom, rzeźbiłem najpiękniejsze, najbogatsze, najbardziej kochane... Dwa pokolenia kobiet... Spójrz mi w oczy, *mon enfant*...»

Spojrzeni na siebie. Rita wyznała później, że pod wejrzeniem tego starego człowieka serce jej poczęło bić z taką siłą, iż nie mogła zdobyć się na uśmiech. Jego zaś oczy napełniły się łzami. Otarł je po prostu wierzchem ręki i mamrotał dalej: «Domy się. To wystarcza, by pobudzić człowieka do płaczu. Sądziłem, że mój żywot artysty jest już skończony, a tu, diabli wiedzą skąd, pojawia się takie stworzenie w towarzystwie mego przyjaciela, który nieźle smaruje płótno, ale pani postać wymaga marmuru i brązu... Muszę dokonać swego artystycznego żywota rzeźbiąc pani głowę, potrzebuję jednak kawałka tych ramion, koniecznie... Słyszysz, Allègre? muszę mieć choć kawałek tych ramion. Widzę przecież poprzez tkaninę, że są boskie. Jeśli się takimi nie okażą, gotów jestem zjeść własny kapelusz. Tak! Wyrzeźbię pani głowę, a potem *nunc dimittis*...»

To były pierwsze słowa, jakimi powitał ją świat, a raczej - powiedziałbym - cywilizacja. Góry rodzinne i składnica pomarańcz zapadły w głąb prehistorii.

- Czemu go nie poprosisz, aby odwiedził nas dziś po południu? - zapytał łagodnie Allègre. - On zna drogę do naszego domu.

Stary człowiek podchwycił skwapliwie: «O tak, przyjdę!», i ściągnął konna, oni zaś pocałowali dalej. Rita długo jeszcze czuła bicie serca. Potęga tego głosu, jakby dochodzącego z oddali, te stare oczy wypełnione łzami i szlachetne, zniszczone rysy oddziaływały na nią niesłychanie silnie. Może jednak istotną przyczyną był żar, wciąż jeszcze tlejący żar wielkiej namiętności w sercu starego człowieka.

- On był trochę narwany całe życie - zauważył Allègre spokojnie.

III

Mills opuścił ręce, w których trzymał przy wielkiej swej twarzy wygasłą i zimną już fajkę.

- Hm! żeby tek przeszyć strzałą serce starego człowieka! A zrobił coś przynajmniej?

- Terrakotowe popiersie, o ile mi wiadomo. Czy dobre? Nie wiem. Przypuszczam, że znajduje się w tym domu. Mnóstwo rzeczy zostało tu przysłanych z Paryża, gdy Rita związała Pawilon. Jeżdżąc teraz do stolicy zatrzymuje się w hotelu. Wyobrażam sobie, że popiersie może być zamknięte w jednej z tych oto szaf - ciągnął dalej Blunt wskazując na drugi koniec pracowni, gdzie pośród natłoku monumentalnych szarych mebli dębowych czał się zalękniony manekin, ten sam, który niegdyś, w sposób tak zalotny, nosił na sobie zdumiewający kapelusz *Dziewczyny* i sztywne szaty *Cesarzowej bizantyńskiej*. Zastanawiałem się, czy to także przyjechało z Paryża i czy jeszcze z głową, czy bez głowy? Może, potoczywszy się w jakiś kąt pustego pokoju, została zapomniana w opuszczonym Pawilonie. Wyobrażałem sobie tę głowę na podobieństwo rzepy, bez twarzy, z kołkiem sterczącym w miejscu, gdzie zaczyna się szyja, zapomnianą i bardzo samotną... A Blunt mówił dalej:

- Poza tymi zamkniętymi drzwiami znajdują się istne skarby, brokаты, stare klejnoty, nie oprawione obrazy, brązy, chińszczyzna, japońszczyzna...

I warknął z pasją, na jaką mu tylko pozwalały dobre maniery i opanowanie głosu:

- Nie przypuszczam, aby Rita oddała to wszystko siostrze, ale nie dziwiłbym się, gdyby ta zalękniona wieśniaczka położyła na tym łapę, dla miłości Boga i dobra Kościoła... I żeby się tego nie trzymała zębami - dodał obrazowo.

Twarz Millsa pozostała poważna. Bardzo poważna. Mnie zaś bawiły te małe jadowite wybuchy złowieszczonego Blunta. Zdawałem sobie sprawę, że jestem znowu całkiem zapomniany. Ale nie nudziłem się i nie czułem się senny. To ostatnie wydaje mi się po upływie lat dosyć dziwne ze względu na mój młody wiek i na znużenie, które się odczuwa w godzinie poprzedzającej brzask. Piliśmy przy tym wino koloru słomy - nie powiem «jak wodę» (bo któż by pił tyle wody), no, ale... i siedzieliśmy w oparach tytoniowego dymu, przypominających błękitną mgłę wielkich przestrzeni widywaną czasem w snach.

- Niezawodnie stary rzeźbiarz był pierwszym, który się do nich zbliżył na oczach całego Paryża. Jego to sława ściągnęła Donie Ricie całą serię towarzyszy rannych przejażdżek. Trwało to przez trzy kolejne paryskie sezony wiosenne. Do tej serii zaliczał się znakomity fizjolog, który lubił dawać do zrozumienia, że można by rodzaj ludziki uczynić nieśmiertelnym, a przynajmniej nieskończenie długowiecznym; słynny filozof i psycholog,

który wygłaszał odczyty przed ogromnym audytorium kobiecym, wypychając sobie językiem policzek (na co sobie nigdy nie pozwalał rozmawiając z Ritą); znany ze swej arogancji elegant Cabanel (ale ten towarzyszył jej raz tylko, przez snobizm) i wiele, wiele innych znakomitości nie wyłączając pewnej znanej figury, która później okazała się oszustem. Poza tym istotnie genialna figura.

Wszystko to wyrecytował nam Blunt rozwodząc się nad szczegółami z lubością, omdlewającym, półsennym głosem, który pokrywał tajoną irytację.

- Niezależnie od tego, widzi pan - ciągnął - cała wiedza życiowa Rity, jej znajomość mężczyzn i kobiet (aż do śmierci Allègre'a) ograniczała się do tego, co widziała z wysokości siodła przez dwie godziny dziennie, każdego rana, w ciągu czterech miesięcy do roku. To było absolutnie wszystko. Po prawej ręce miała zawsze asystę Allègre'a, który z samozaparciem i nieprzeniknionym wyrazem twarzy zdawał się trzymać nad nią straż: «Nie tykajcie.» - Allègre nie lubił, aby dotykano jego skarbów, chyba że sam dawał komuś do ręki jakiś jedyny w swoim rodzaju przedmiot, mruczając triumfalnie: «Proszę przyjrzeć się temu z bliska.» O tym wszystkim wiem naturalnie tylko ze słyszenia. Jestem o wiele za małą figurą, rozumie pan, ażebym mógł...

Błysnął białymi zębami w naszą stronę całkiem przyjemnie, ale górna część jego twarzy, ocienione oczodoły i lekko ściągnięte brwi wywierały wrażenie złowieszcze. Przemknęła mi przez głowę definicja, którą stosował do siebie: «*Américain, catholique et gentilhomme*», uzupełniona zadziwiającym stwierdzeniem: «żyje ze swej szabli», a wszystko to wypowiedziane niedbałym, salonowym tonem, zaprawionym drwiną lekką jak powietrze.

Powtórzył z naciskiem, że pierwszy i ostatni raz oglądał Allègre'a z tak bliska owego ranka, kiedy się znajdował z matką w Lasku Bulońskim. Jego Królewska Mość (którą niech Bóg strzeże), nie występująca jeszcze w roli pretendenta, towarzyszyła pannie, jeszcze wtedy pannie, po drugiej stronie, a taka asysta trwała miesiąc czy nawet dłużej. Henrykowi Allègre przyszło nagle na myśl malować portret Don Carlosa. Wywiązało to między nimi rodzaj zażyłości. Pani Blunt zauważyła podobno, że z tych dwóch znakomitych jeźdźców Allègre ma wygląd bardziej królewski.

- Syn ohydneho mydlarza, milionera - komentował Blunt przez zaciśnięte zęby. - Człowiek bez żadnego pochodzenia, nie posiadający absolutnie żadnych krewnych. Ot, wybryk natury.

- To tłumaczy, dlaczego mógł pozostawić jej cały majątek - zauważył Mills.

- Testament, jak sobie wyobrażam - ciągnął Blunt z rozdrażnieniem - musiał być spisany na ćwiartce papieru zaopatrzonej w wizerunek asyryjskiego byka, który sobie obrał

jako dewizę. Co ten byk miał, u licha, znaczyć?... Tak czy inaczej, była to ostatnia przejażdżka, podczas której Rita oglądała świat mężczyzn i kobiet z wysokości siodła. W niecałe trzy miesiące później...

- Allègre umarł, no i... - podchwycił Mills z zainteresowaniem.

- I musiała zsiąść z konia. Zejść w połowie drogi, zejść, rozumie pan, na gołą ziemię. Łatwo odgadnąć, co to znaczyło. Nie wiedziała, co ze sobą począć. Wszak nigdy nie stykała się z ziemią. I wtedy...

- Aha - mruknął Mills.

- Nawet he! he! - jeśli pan woli - odparł Blunt tonem tak mało wytwornym, że choć oczy miałem szeroko otwarte, otworzyłem je jeszcze szerzej.

On zaś nieznośnym swoim obyczajem zwrócił się do mnie ze słowami podziwu dla Millsa, jak gdyby ten spokojny człowiek, którego cenilem, któremu ufałem i dla którego zaczynałem odczuwać rodzaj przywiązania, był tylko manekinem podobnym do bezgłowej, żalostnej lali, ukrywającej się w cieniu, w trwożnej postawie zagrożonej dziewczycy.

- Nic nie ujdzie jego przenikliwości. Z największego oddalenia dojrzy kopkę siana, jeśli go to w danej chwili zajmuje.

Uważałem, że Blunt posuwa się za daleko do granic prostactwa, ale Mills pozostał niewzruszony i tylko sięgnął po kapciuch z tytoniem.

- Nic jednak nie dorówna ciekawości mojej matki. Ona nigdy nie dostrzeże stogu siana i dlatego bywa potem tak zdumiona i podniecona. Dona Rita nie należała oczywiście do kobiet, o których zamieszcza się wzmianki w dziennikach. Ale Allègre był tego pokroju człowiekiem. Toteż wiele pisano o nim w gazetach, a o niej mówiono w salonach. I nagle moja kochana matka dostrzegła stóg siana i cała jej uwaga została tym pochłonięta do granic niedorzeczności. Sądziłem, że to zaciekawienie wyczerpie się, ale gdzież tam! Ta młoda dziewczyna była przyczyną wstrząsu, jakiego moja matka doznała, a także estetycznego wrażenia. Nie zdarzyło się dotychczas, aby ktoś jej zrobił impertynencję, wrażenie zaś musiało być niezmiernie silne i wywołać u niej rodzaj moralnej rewolucji, inaczej bowiem nie umiem sobie wytłumaczyć postępowania mojej matki. Kiedy Rita powróciła do Paryża w półtora roku po śmierci Allègre'a, jakiś obskurny dziennikarz, zręczna szelma, wpadł na pomysł umieszczenia o niej wzmianki jako o spadkobierczyni Henryka Allègre. Spadkobierczyni pana Allègre objęła z powrotem siedzibę pełną skarbów sztuki, w słynnym Pawilonie, tak dobrze znanym elicie artystycznego, naukowego i politycznego świata, nie mówiąc o przedstawicielach arystokracji, a nawet królewskich rodów... Zna pan tego rodzaju elukubracje. Ta wzmianka ukazała się najpierw w «Figaro» - o ile się nie mylę - i kończyła

się króciutkim zdaniem: «Mieszka tam samotnie.» Rita znajdowała się na prostej drodze do pewnego rodzaju sławy. Dzień po dniu ukazywały się takie małe aluzje, Bóg jeden wie, kto wreszcie temu kres położył. Rozpoczął się istny szturm «starych przyjaciół» który mógł być wypłoszyć wszystkie ptaszki z ogrodu. Przypuszczam, że ci przyjaciele - może jeden, może kilku - mając stosunki w prasie potrafili powstrzymać dziennikarskie wybryki. Ale plotka nie dała się powstrzymać, a ponieważ obracała się dokoła stwierdzonego i bardzo znamiennego faktu, więc przyłgnęło do niej i nazwisko. Epizod wenecki był przedmiotem rozmów w wielu domach uczęszczanych przez moją matkę. Rozważano ten epizod z punktu widzenia monarchistycznego z rodzajem szacunku. Mówiono nawet, że natchnienie do Podjęcia czynu i postanowienie wojny toczącej się po drugiej stronie Pirenejów narodziły się w tej główce... Niektórzy wyrażali się o Ricie jako o aniele stróżu legitymizmu. Pan wie chyba, jak wyglądają takie wybuchy monarchistycznych uniesień.

Twarz Blunta wyrażała sarkastyczne obrzydzenie.

Mills skinął głową prawie niedostrzegalnie. Widocznie wiedział.

- Muszę stwierdzić, mimo najgłębszego szacunku, jaki żywię dla mej matki, że ta cała historia uderzyła jej na mózg. Ja znajdowałem się już wtedy w armii królewskiej i nie było mowy o regularnej wymianie listów z Francją drogą pocztową. Matka moja gdzieś usłyszała czy podsłuchała, że spadkobierczyni pana Allègre zamyśla o jakiejś tajemniczej podróży. Oczywiście szczebiotano o tym we wszystkich arystokratycznych salonach. Więc usiadła i ułożyła następującą epistolę:

«Łaskawa Bani! Dowiadując się, że Pani zamierza odwiedzić miejscowość skupiającą obecnie nadzieje wszystkich dobrze myślących ludzi, pozwalam sobie powierzyć Jej kobiecemu sercu macierzyńska; mój niepokój etc., etc.», w zakończeniu zaś prośba o zabranie listu do mnie i przywiezienie jej wiadomości o mojej osobie. Ach, ta zimna krew mojej matki!

W sposób nieoczekiwany Mills wtrącił pytanie, które wydało mi się bardzo dziwne:

- Ciekaw jestem, jak matka pańska zaadresowała to pismo?

Nastąpiła chwila milczenia.

- Nie sądzę, aby uczyniła to stylem owego dziennikarza - odparł Blunt ze swym szyderczym uśmiechem, który kazał powątpiewać zarówno o stałości jego uczuć, jak i o konsekwencji poglądu na opowiadaną przez siebie historię. - Późnym wieczorem służąca mojej matki wsiadła do dorożki z listem i przywiozła z Pawilonu odpowiedź nabazgrana na świstku papieru: «Proszę o przysłanie listu natychmiast[^] a podpinaną wielką literą R. Więc moja matka zasiadła znowu przy swoim ślicznym biureczku, a służąca przejechała się po raz drugi dorożką, przed samą północą. W jakieś dziesięć dni później, w chwili kiedy z mej

avanzadas miałem wyruszyć na nocny patrol, wręczono mi list, a przy nim bilecik z prośbą o odwiedzenie tej, która go pisała, tak aby mogła uspokoić moją matkę co do mego zdrowia i wyglądu. Bilecik był podpisany literą R., ale domyśliłem się od razu i o mało z konia nie spadłem ze zdumienia.

- Czy pan chce przez to powiedzieć, że Dona Rita jeździła niedawno do Kwatery Głównej? - wykrzyknął Mills z widocznym zdziwieniem. - A myśmy sądzili. - wszyscy sądzili - że to sprawa ucięta i zakończona.

- Definitywnie. Nic bardziej zakończonego niż ten epizod. Oczywiście w Tolosie, z rozkazu Kwatery Głównej, zarezerwowano dla niej pokoje w hotelu, dwa mansardowe pokoiki, bo hotel przepelniony był od góry do dołu różnymi figurami stanowiącymi dwór królewski. Mogę jednak pana upewnić, że w ciągu trzech dni swego pobytu nie wysunęła głowy poza drzwi tych apartamentów. Generał Mongroviejo złożył jej oficjalną wizytę w imieniu króla. Generał, widzi pan, a nie żaden domownik królewski. To było wyraźne podkreślenie obecnego ich stosunku. Zabawił równo pięć minut. Jakiś dygnitarz z Departamentu Spraw Zagranicznych przy Kwaterze Głównej zamknął się z nią na kilka godzin. To było oczywiście omawianie sprawy. Potem przybyli razem dwaj oficerowie ze sztabu z objaśnieniami czy instrukcjami dla niej. Potem baron H., jegomość posiadający ładną żonę, który już tak wiele poświęcił dla sprawy! Domagał się natarczywie widzenia się z Doną Ritą i ona zgodziła się przyjąć go. na chwilę. Opowiadano, że był ogromnie zaniepokojony jej przyjazdem, ale po owym *interview* wyszedł od niej promieniejący. Któż jeszcze? Ach tak, arcybiskup. Na pół godziny. Trochę za długo na udzielenie błogosławieństwa, a dalibóg, nie wiem, co on jej mógł dać więcej. Za to ręczę, że coś od niej wyciągnął. Władze wojskowe sprowadziły jeszcze dwóch chłopów z wysokich hał, których również przyjęła. Zakonnik, kręcący się stale przy dworze, wchodził i wychodził od niej kilka razy. No, a w końcu ja! Dostałem urlop z placówki. Rozmawiałem z nią wtedy po raz pierwszy. Miałem tego samego wieczora wracać do pułku, ale zakonnik spotkał mnie na korytarzu i oznajmił mi, że otrzymam rozkaz eskortowania tej najbardziej prawomyślnej i dostojnej pani z powrotem do granicy francuskiej. Przedstawił to jako misję przynoszącą mi najwyższy zaszczyt. Miałem ochotę roześmiać mu się w nos. Jest to zresztą wesoły, jowialny człowieczek, który gotów był śmiać się razem ze mną. Rozkaz doszedł rzeczywiście przed nocą. Zadanie było raczej trudne, gdyż zwolennicy Alfonsa atakowali prawe skrzydło całego naszego frontu i wytworzył się tam ogromny chaos. Wsadziłem Ritę na jednego muła, a jej pannę służącą na drugiego. Ostatnią noc spędziliśmy w zrujnowanej wieży zajętej przez naszą piechotę i wyjechaliśmy stamtąd o świtaniu, pod ostrzałem alfonsistów. Służąca o mało nie umarła ze strachu, a jeden

z naszych żołnierzy został raniony. Przeprowadzenie Rity przez granicę było także niełatwym zadaniem, ale to nie należało już do mnie. Francuska straż graniczna nie powinna jej była oglądać w otoczeniu karlistowskich mundurów. Ta kobieta musi jednak mieć w swym charakterze rys nieustraszoneści. Pewnego razu, gdyśmy się wspinali po nagim zboczu, całkowicie wystawionym na ogień artyleryjski, spytałem ją naumyślnie, zaciekawiony sposobem, w jaki rozglądała się po okolicy: «Trochę emocji? Prawda?» - na co odpowiedziała ściszym głosem: «O tak! Jestem rzeczywiście wzruszona. Po tych wzgórzach biegałam, gdy byłam mała.» Trzeba panu wiedzieć, że w tej samej chwili jeden z naszych żołnierzy został trafiony odłamkiem granatu tuż za nami: kłął strasznie i szamotał się ze swym koniem. A naokoło padały pociski, po dwa na minutę.

Na szczęście amunicja alfonsistów nie jest o wiele lepsza od naszej. Jakież dziwne są kobiety! Obawiałem się, że służąca Dony Rity zeskoczy z muła i umknie gdzieś pomiędzy skały, w którym to wypadku musielibyśmy też zleźć z koni i gonić za dziewczyną. Nie zrobiła tego; siedziała absolutnie nieruchomo na swym mule i wrzeszczała. Po prostu wrzeszczała. W końcu dojechaliśmy do skały osobliwego kształtu, leżącej u wylotu krótkiej, zadrzewionej doliny. Powiedziałem do Rity: «Będziemy musieli rozstać się za kilka minut. O ile mi wiadomo, moja rola kończy się tu, przy tej skale.» Ona zaś odpowiedziała: «Znam dobrze tę Skałę. To mój rodzinny kraj.»

Podczas gdy dziękowała mi za odprowadzenie do granicy, zjawili się trzech chłopów czekających na nasze przybycie; dwóch młodych i jeden stary, z nosem tak wąskim jak klinga miecza i doskonale okrągłymi oczami - typ dobrze znany całej karlistowskiej armii. Dwaj młodzieńcy zatrzymali się pod drzewami, w pewnej odległości, stary zaś podszedł do Rity zupełnie blisko, mrużąc oczy, i zdjął czerwoną *boinę* z tysej głowy. Zauważyłem, że ona uśmiechała się do niego cały czas. Śmiem twierdzić, że znała go równie dobrze jak tę dawną skałę. Bardzo dawną. Odwieczna skała i wiekowy człowiek: dwa drogowskazy jej młodości... Muły ruszyły żwawo naprzód w otoczeniu trzech chłopów, którzy posuwali się piechotą, i cały orszak znikł za drzewami. Tych ludzi musiał niewątpliwie przysłać wuj «*cura*».

Dokoła spokój zupełny: świetlisty ranek, kawałek krajobrazu ujętego w ramy stromych, skalistych zboczy, w oddali parę wysokich szczytów i gdzieś tam cienkie smużki dymów z niewidzialnych *caserios*, wznoszące się ku niebu. Daleko za nami działa umilkły i echo w wąwozach zamarło. Nie wiedziałem do tej pory, co to jest cisza...

- Ani przedtem, ani potem - dodał Blunt po krótkiej przerwie i mówił dalej: - Kamienny kościółek jej wuja, świętego człowieka tej rodziny, mógł znajdować się za

najbliższym występem skalnym lub za najbliższym wzgórzem. Zsiadłem z konia, by zabandażować ramię żołnierza. Było to tylko brzydkie, podłużne draśnięcie. Podczas gdy robiłem opatrunek, w oddali odezwał się dzwon. Dźwięk jego wpływał do ucha rozkosznie, czysty jak światło poranka. I nagle urwał. Pan wie, jak taki daleki dzwon nagle milknie? Nie, doprawdy nie wiedziałem do tej pory, co to jest cisza.

Gdy tak trwałem w zadumie, coś skłoniło chłopaka trzymającego nasze konie do wypróbowania swego głosu. Był to Hiszpan, nie Baskijczyk, i zaśpiewał w kastylskiej gwarze znaną piosenkę:

*O dzwony rodzinnej wioski,
Żegnajcie mi! Odchodzę...*

Głos miał dobry. Gdy przebrzmiała ostatnia nuta, wskoczyłem z powrotem na konia.

To miejsce musiało mieć w sobie urok, coś szczególnego i bardzo odrębnego, bo podczas gdyśmy się rozglądali i zanim łby końskie obróciły się w przeciwną stronę, nasz śpiewak odezwał się: «Ciekaw jestem, jak się nazywa ta miejscowość.» - Druga zaś odrzekł: - «Przecież tu nie ma nawet wioski.» Tamten nalegał: «Nie, ja mówię o miejscu, na którym stoimy.» Na to ranny żołnierz oświadczył, że nie miało ono prawdopodobnie żadnej nazwy. I mylił się, bo miało nazwę. Usłyszałem ją przypadkiem później. Nazywało się - Lastaola.

Kłęb dymu wypuszczony z fajki Millsa prześliznął się pomiędzy moją głową a głową Blunta, który - dziwna rzecz - lekko ziewnął. Wydało mi się to sztuczną afektacją ze strony człowieka o doskonałych manierach, a przy tym cierpiącego na rozpaczliwą bezsenność.

- Takie było nasze pierwsze spotkanie i pierwsze rozstanie - wyrzekł zmęczonym, obojętnym głosem. - Bardzo być może, iż widziała się z wujem w przejeździe, może też przy tej sposobności wymogła na siostrze wyjazd z tego pustkowia. Nie wątpię, że miała od francuskiego rządu przepustkę pozwalającą jej na całkowitą swobodę ruchów. Musiała wystarać się o to w Paryżu przed wyjazdem.

Na twarzy Blunta zaigrał wielkoświatowy, lekko cyniczny uśmiech.

- Rita może w Paryżu uzyskać wszystko, co jej się podoba. Gdyby chciała, mogłaby przeprowić przez granicę całą armię. Gdyby jej przyszła fantazja, uzyskałaby audiencję w Ministerstwie Spraw Zagranicznych o pierwszej w nocy. Drzwi otwierają się szeroko przed spadkobierczynią pana Allègre. Odziedziczyła po nim dawnych przyjaciół, dawne stosunki... Zapewne, gdyby była starą, bezzębną kobietą... Ale nią nie jest. Odźwierni wszystkich ministerstw kłaniają się jej do ziemi, a głosy dochodzące z niedostępnych sanktuariów

brzmia dziwnie skwapliwie przy wydawaniu rozkazu: «*Faites entrer.*» Moja matka wie coś o tym. Śledziła karierę Rity z największą uwagą. A Dona Rita nawet się nie dziwi. Dokonywa rzeczy nadzwyczajnych w sposób tak naturalny, jakby to było kupno pary rękawiczek. Ludzie w sklepach bywają bardzo uprzejmi, a ludzie w świecie nie różnią się wiele od sprzedawców. I cóż taka Rita może wiedzieć o świecie? Oglądała go tylko z siodła. Ach, ona zwolni panu ten ładunek ze statku w jednej chwili. A jak to zrobi... No, z chwilą jak dopnie swego - czy pan mnie słyszy, panie Mills - nie będzie sama dobrze wiedziała, jak się to stało.

- Nie wydaje się prawdopodobne, aby nie zdawała sobie sprawy... - odezwał się spokojnie Mills.

- Zapewne, nie jest idiotką - przyznał Blunt równie obiektywnym tonem. - Ale wyznała mi, nie dawniej jak przed paru dniami, że cierpi na brak poczucia rzeczywistości. Powiedziałem jej na to, że w każdym bądź razie musi posiadać jakieś własne uczucia. Tak - przyznała mi wtedy - jest takie jedno uczucie, co do istnienia którego nie ma wątpliwości. Nie odgadnie pan nigdy, co to było. Niech pan nie próbuje odgadnąć. Mnie się udało dowiedzieć, bo jesteśmy w bardzo dobrej komitywie...

W tym momencie wszyscy trzej zmieniliśmy nieznacznie nasze postawy. Oczy Millsa, wlepione w jeden punkt, na błysk sekundy przeniosły się na Blunta, ja podniosłem się lekko na poduszkach otomany, na której siedziałem. Blunt dokonawszy pół obrotu wsparł się łokciem o stół.

- Zapytałem ją, co miała na myśli. Nie widzę - ciągnął dalej z oblesną uprzejmością - dlaczegobym miał okazywać szczególniejsze względy spadkobierczyni pana Allègre. Nie mówię, abym chciał wyzyskać wtedy jej szczególniejsze usposobienie. Była znużona i wyczerpana. Odpowiedziała mi jednak na pytanie. To był lęk. Powtórzę raz jeszcze: LĘK.

Po krótkiej przerwie dodał:

- Nie może być żadnej wątpliwości co do jej odwagi. Mimo to wypowiedziała wyraźnie słowo «lęk».

Pod stołem dał się słyszeć głośny szmer - to Mills wyprostowywał nogi.

- Osoba obdarzona wyobraźnią - zaczął - młoda, dziewicza umysłowość, wciągnięta bez mała przez pięć lat w atmosferę dysput w pracowni Allègre'a, gdzie się każdą najtwardszą prawdę rozłupywało na drzazgi i każde wierzenie targało na strzepy... To była sfora intelektualnych psów - rozumie pan?

- Tak, tak, bez wątpienia - przerwał Blunt pośpiesznie - dusza bezdomna, intelekt rzucony na fale... Ja jednak, nie będąc ani bardzo subtelny, ani bardzo głęboki, jestem przekonany, że ten lęk jest natury fizycznej.

- Czy dlatego, że powiedziała to panu? - spytał Mills z naciskiem.

- Nie, dlatego że nie powiedziała nic - zaprzeczył Blunt marszcząc gniewnie brwi, ale tonem słodko uprzejmym. - Właściwie ugryzła się w język. A ponieważ jesteśmy dobrymi przyjaciółmi (byliśmy wszak razem pod obstrzałem), wnoszę z jej milczenia, że nie miała czym się chwalić. To samo mógłbym powiedzieć o naszej przyjaźni, na dobrą sprawę.

Twarz Millsa wyrażała najdoskonalszą obojętność. Ale ja, który patrzyłem na niego z całą naiwnością, chcąc odgadnąć, co to wszystko znaczy, odniosłem wrażenie, że ta obojętność jest cokolwiek zbyt doskonała.

- Mój urlop jest farsą! - wybuchnął Blunt z niespodziewanym rozdrażnieniem - jako oficer Don Carlosa nie mam innego stanowiska niż (pierwszy lepszy bandyta. Powinienem być od dawna internowany w tych plugawych barakach awiniońskich... Dlaczego nie internowano mnie dotąd? - dzięki istnieniu Dony Rity, dla żadnej innej przyczyny na świecie. Wiedzą przecież wszyscy, że się tutaj kręcę. Wystarczyłoby jej szepnąć ministrowi Spraw Wewnętrznych za pomocą telegraficznego drutu: «Wsadźcie mi tego ptaszka do klatki» - i rzecz byłaby dokonana bez żadnych formalności... Smutny świat - dodał zmienionym już tonem. - Człowiek żyjący ze swej szabli jest dziś narażony na podobne przyjemności.

Wtedy to po, raz pierwszy usłyszałem śmiech Millsa. Był to śmiech o miłym, głębokim, dobrotliwym brzmieniu, niezbyt głośny i całkowicie pozbawiony domieszki szyderstwa, które tak często kazi ludzkie śmiechy, odsłaniając utajoną twardość serc. Nie był to jednakże wesoły 'śmiech.

- Prawdą jest natomiast, że jestem tu *en mission* - ciągnął rotmistrz Blunt. - Polecono mi pewne rzeczy pokończyć, inne rozpocząć, a według instrukcji, jaką otrzymałem, Dona Rita ma być pośredniczką w -tych sprawach. A dlaczego.? Bo wszystkie łysiny w tym republikańskim rządzie oblewają się pąsem, ilekroć jej spódniczka zaszeleści za drzwiami. A gdy się drzwi otworzą, łyse igłowy pochylają się z najgłębszym poważaniem, jakkolwiek ukłonowi towarzyszy trochę dwuznaczny uśmiech w związku z tym epizodem w Wenecji. To ten nieznośny Versoy wetknął nos w nie swoją sprawę, przypadkiem, jak powiada. Spotkał ich razem na Lido i napisał na ten temat (ci pisarze to straszni ludzie!) coś, co nazwał *Winieta* (przypuszczam, że także przypadkiem) a co wydrukował pod tymże tytułem. Występują tam: książkę, pani i duży pies. Autor opisuje, jak książkę, wysiadając z gondoli, opróżnia swoją sakiewkę w ręce starego, malowniczego żebraka, podczas gdy ona, stojąc w pewnej odległości, zwraca oczy ku Wenecji, a pies romantycznie wyciąga się u jej nóg. Tę piękną *Winieta*, napisana prozą, Versoy umieścił w jednym z wielkich czasopism codziennych, które posiadało dział literacki. Inne pisma nie mające już zgoła nic wspólnego z literaturą

podchwyciły sam fakt. I takie oto fakty wywierają wrażenie na polityków, szczególnie jeśli kobieta jest taką - no taką, jaką jest...

Urwał. Jego ciemne oczy błyskały złowrogo, odwracając się od nas w stronę skulonego manekina. Po czym znów zaczął mówić z wyszukany cynizmem:

- I oto pani przyjeżdża tutaj. Przepracowana, znużona, szukająca wypoczynku dla nerwów. Zawracanie głowy. Zapewniam pana, że ja jestem bardziej nerwowa ode mnie.

Nie wiem, jak on to rozumiał, ale w danym momencie, ze swą smukłą, wytworną postacią, z chudą, przerafinowaną twarzą, po której przebiegały zmienne wyrazy, i niepokojem szczupłych, brunatnych rąk błędzących po stole wśród przedmiotów, zdawał się sam być jednym splotem nerwów. Wskazującym palcem umaczanym w winie, którym stół był zbryzgany, wypisał na rozsypanym popiele z fajki wielką literę R. Potem zajrzał w głąb pustej szklanki. Ja zaś, jak to sobie dziś uświadamiam, patrzyłem i słuchałem Jak prostaczek wprowadzony do teatru. Fajka Millsa leżała w znacznej odległości od niego, pusta i wystygła. Być może, iż zabrakło mu tytoniu. Blunt nerwowo przybrał znowu zwykłą sobie, salonową postawę.

- Oczywiście, że każdy jej krok jest komentowany w najbardziej zamkniętych salonach i w innych środowiskach równie wyłącznych, gdzie jednak plotka przybiera inne zabarwienie. Tam tłumaczą to prawdopodobnie jako *coup de coeur*. Ja zaś sądzę, że Rita jest absolutnie do tego niezdolna. Epizod wenecki - zarówno jego początek, jak epilog - to typowy *coup de tête*, a to samo dałoby się powiedzieć o całej jej działalności, w którą i ja zostałem wplątany (z rozkazu Kwatery Głównej, cha, cha, cha!), o całym naszym stosunku, o zażyłości, w którą się uwikłałem...

Cóż dopiero mówić o mojej matce, która jest rozkoszna, ale tak nieodpowiedzialna jak te narwane księżniczki wywołujące zgorzelenie w swych królewskich rodzinach...

Zdawało się, że Blunt ugryzł się w język, a oczy Millsa, jak zauważyłem, rozwarły się szeroko jak nigdy przedtem. W jego spokojnej twarzy stanowiło to już żywą grę fizjonomii.

- Zażyłość - rozpoczął znowu Blunt z wyrafinowaną ostrością w głosie - zażyły stosunek ze spadkobierczynią Allègre'a ze strony człowieka, no - człowieka takiego jak ja... otwarcie mówiąc, nie jest... Pozostawiam to zresztą pańskiemu sądowi. Jak to wygląda?

- A czy się ktokolwiek temu przygląda? - spytał Mills. Słowa te, padając z jego dobrotliwych ust, brzmiały łagodnie.

- W obecnej chwili nie. Ale nie potrzebuję mówić człowiekowi obeznanemu - jak pan - z wielkim światem, że takie rzeczy nigdy nie uchodzą niepostrzeżeniu. I są kompromitujące, chociażby ze względu na jej fortunę. Mills powstał z kanapy, odnalazł swoją marynarkę,

włożył ją na siebie i odezwał się znowu, rozglądając się za kapeluszem:

- Podczas gdy ona - jako kobieta - jest, że się tak wyrażę, bezcenna.

Pan Blunt wymamrotał tylko: «Oczywiście». Wszyscy podnieśliśmy się z miejsc. Żelazny piecyk już się nie żarzył, a lampa otoczona pustymi butelkami i pustymi szklankami rzucała przyćmione światło.

Pamiętam, że przebiegł mnie silny dreszcz, gdy wstałem z poduszek rozłożonych na kanapie.

- Spotkamy się znów za parę godzin - rzekł Blunt - niech pan nie zapomni przyjść także - zwrócił się do mnie. - Koniecznie. Bez żadnych skrupułów. Jestem upoważniony do zapraszania gości.

Musiał dostrzec moją nieśmiałość, zdziwienie i zakłopotanie. Rzeczywiście nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Upewniam pana, że nie będzie nic niewłaściwego w pańskich odwiedzinach - nalegał z największą uprzejmością. - Będzie jej pan przedstawiony przez dwóch [przyjaciół, przez pana Millsa i przeze mnie. A myślę, że pan nie obawia się kobiety niezwykle czarującej?...

Nie bałem się, ale kręciło mi się cokolwiek w głowie, i tylko spojrzałem na niego w milczeniu.

- Drugie śniadanie punktualnie o dwunastej. Mills pana wprowadzi. Żałuję, że mnie opuszczacie. Spróbuję rzucić się na łóżko na godzinkę, dwie, ale jestem pewien, że nie zasnę.

Odprowadził nas przez korytarz do czarno-białego hallu, gdzie wątyły płomyk gazu jarzył się samotnie. Z chwilą gdy otworzył drzwi wejściowe, zimny podmuch mistralu, wionący wzdłuż ulicy Konsulów, przejął mnie dreszczem do szpiku kości. Idąc z Millsem w kierunku śródmieścia zamieniliśmy zaledwie kilka słów. Wstawał już świt, zimny i wietrzny. Mills kroczył w zadumie nie zważając na przykry chłód, na przygnębiające oddziaływanie wczesnej pory, na posępność opustoszałych ulic, po których hulał wiatr, wznosząc słupy suchego kurzu przed nami, nacierając na nas ze wszystkich bocznych ulic. Maski rozeszły się do domów, a nasze kroki na płytach chodnika rozbrzmiewały nierównym echem jak kroki ludzi idących przed siebie bez celu.

- Spodziewam się, że pan przyjdzie? - spytał nagle Mills.

- Sam nie wiem - odpowiedziałem.

- Czy tak? Niech pan pamięta, że nie zamierzam pana namawiać, podaję tylko do pańskiej wiadomości, że mieszkam w *Hôtel du Louvre* i że wyjdę stamtąd na śniadanie o trzy na dwunastą. Trzy na dwunastą, ani minuty później. Pan sypia dobrze?

Roześmiałem się.

- Rozkoszny wiek - rzekł Mills, gdyśmy wyszli na wybrzeże, po którym kręciły się już mroczne postaci robotników wśród kłającego chłodu poranka. W starym porcie wylaniały się, jak okiem sięgnąć, ciemne zarysy masztów i kadłuby okrętów.

- Może się zdarzyć, że pan prześpi tę godzinę - odezwał się znowu Mills. Te słowa były wypowiedziane wesołym głosem, w chwili kiedy podawaliśmy sobie ręce u wylotu Cannebière. Oddalająca się sylwetka Millsa wyglądała bardzo okazale. Skierowałem się w stronę swego mieszkania. Głowę miałem pełną pogmatwanych obrazów, ale byłem zanadto zmęczony, aby móc myśleć.

CZĘŚĆ DRUGA

I

Zastanawiam się czasem do tej pory, czy Mills życzył sobie, abym zasnął, czy też nie; inaczej mówiąc, czy sprawa interesowała go dostatecznie, by mu na mojej decyzji zależało. Niezmienna dobroć w jego obejściu nie pozwalała mi tego odgadnąć. Nie umiem też przypomnieć sobie własnych uczuć. Czy byłem tą sprawą przejęty? Wspomnienia z tej epoki mego życia mają dziwną właściwość: oto początek jej i koniec zlewają się w jedno uczucie głębokiego, nieprzerwanego, przemożnego wzruszenia, mieszczącego w sobie dwie możliwości: beztruską radość i nieprzewidywalny smutek, jak we śnie przeżywanym na jawie. Sens tej przygody, w którą zostałem wtrącony jakby jednym wielkim podmuchem wyobraźni, wylania się z odległości czasu jeszcze silniej, bo już wtedy zawierał w sobie coś z tych pierwiastków - nie wyzwanego przeznaczenia i wydarzeń, których absolutnie nie można było przewidzieć.

Nie znaczy to, aby wydarzenia te były nadzwyczajne. Były, prawdę mówiąc, zwykłe. To, co dziś mnie uderza i wygląda cokolwiek przerażająco, gdy na nie wstecz spoglądam, to ich punktualność i nieuchronność. Mills był punktualny. Dokładnie o trzy na dwunastą zjawił się pod wyniosłym portalem hotelu Du Louvre w swym źle leżącym ubraniu, świeży i wypoczęty.

Jakże mogłem uniknąć spotkania z tym człowiekiem? Do dziś dnia zachowałem nieuchwytnie przekonanie o wrodzonej dystynkcji jego umysłu i serca, dystynkcji, jakiej nigdy potem nie spotkałem u nikogo. Nie można go było pominąć. I tego oczywiście nawet nie próbowałem. Pierwszą rzeczą, na której wzrok jego się zatrzymał, był powozik «*Victoria*» stojący przed bramą hotelu. Nie przypominam sobie, abym doznawał jakichś szczególniejszych uczuć przy wsiadaniu do tego powoziku, czułem się co najwyżej lekko onieśmielony. Mills wsiadł bez wahania, obejmując mnie od stóp do głów przyjaznym wejrzeniem, które wytworzyło we mnie od razu przyjemne samopoczucie. (Taka już była właściwość tego człowieka.)

Po przejechaniu kawałka drogi nie mogłem się powstrzymać od powiedzenia z nieśmiałym uśmiechem:

- Jakież to dziwne - wie pan - że ja tam panu towarzyszę.

Obrócił się, aby spojrzeć na mnie, i odpowiedział swym dobrotliwym głosem:

- Wszystko wyda się panu niezmiernie proste. Tak proste, że pan będzie mógł z

łatwością swoje stanowisko utrzymać. Pan wie zapewne, że świat jest samolubny, przynajmniej większość ludzi na tym świecie, często - muszę przyznać - nieświadomie, szczególnie jeśli chodzi o ludzi obarczonych jakąś misją, jakąś ideą, mających przed sobą jakiś fantastyczny cel lub tylko fantastyczne złudzenie. Nie znaczy to, aby tacy ludzie byli pozbawieni skrupułów. Nie wiem, czy i ja w tej chwili do nich się nie zaliczam.

- Tego oczywiście nie mogę wiedzieć - odpowiedziałem.

- Nie stykałem się z nią przez długie lata - rozpoczął. - W porównaniu z tym, jaką była, musi być teraz osobą bardzo dorosłą. Z opowiadań pana Blunta

można wnosić, że przeszła przez szereg doświadczeń, które mogły uczynić ją dojrzałą nie nauczywszy wiele. Są oczywiście ludzie, których życie niczego nie uczy. Nie wiem, czy ona się do nich zalicza. Ale dojrzałość to rzecz zupełnie inna. Zdolność cierpienia istnieje w każdej istocie ludzkiej, godnej tej nazwy.

- Rotmistrz Blunt - rzekłem - nie wydaje się człowiekiem szczęśliwym. Ma jakąś urazę do każdego. Wszystko w ludziach go razi, i to, co robią, i to, co mówią. Musi być okropnie «dojrzały».

Mills rzucił mi spojrzenie z boku. Spotkało się ono z takim samym spojrzeniem i uśmiechnęliśmy się obaj nie patrząc sobie wprost w oczy. U wylotu Rue de Rome gwałtowny, zimny podmuch mistralu owionął nasz powóz, który wjeżdżał na szerszą przestrzeń zalaną olśniewającym słońcem nie dającym żadnego ciepła. Skręciliśmy na prawo, objeżdżając we wspinałym tempie dość mizerny obelisk stojący przy wjeździe na Prado.

- Nie wiem, czy pan jest dojrzały, czy nie - rzekł Mills wesoło - ale myślę, że pan się nada. Myślę...

- Proszę mi powiedzieć - przerwałem mu - jaką tam właściwie pozycję ma rotmistrz Blunt?

I wskazałem głową na aleję Prado otwierającą się przed nami w obramieniu zupełnie bezlistnych drzew.

- Całkowicie fałszywą. Nie odpowiadającą ani jego złudzeniom, ani jego pretensjom, ani nawet stanowisku, jakie naprawdę zajmuje w świecie. Zmuszony do lawirowania pomiędzy matką, Kwaterą Główną i stanem własnych uczuć...

- On się w niej kocha - przerwałem znowu.

- Nie ułatwiałoby to sytuacji. Wcale nie wiem, czy tak jest. Ale gdyby nawet tak było, nie nazwałbym tego bardzo idealnym uczuciem. Całe ciepło jego idealizmu skoncentrowało się w tym jednym powiedzeniu: «Américain, catholique et gentilhomme...»

Uśmiech, który ukazał się przez chwilę na jego ustach, nie był złośliwy.

- On w każdym razie doskonale zdaje sobie sprawę z materialnych stosunków w tej sytuacji.

- Co pan ma na myśli? Czy okoliczność, że Dona Rita jest bogatą osobą? - to imię dziwnie swojsko mi brzmiało, gdym je wymawiał - że ma wielką fortunę?

- Zapewne - odparł Mills - ale to była przedtem fortuna Allègre'a. Istnieje poza tym «fortuna» Blunta, który żyje ze swej szabli, i fortuna jego matki. Upewniam pana, że to naprawdę czarująca kobieta, arystokratka w każdym calu, rozumna i znakomicie ustosunkowana. Mówię to poważnie. Ta nie żyje ze swej szabli. Ona... ona żyje ze swej przemyślności. Mam wrażenie, że tych dwoje czasem serdecznie się nie lubi... Jesteśmy na miejscu.

Powozik zatrzymał się w bocznej alei ujętej we dwa rzędy murów prywatnych posiadłości. Wysiedliśmy przed bramą z kutego żelaza, która była uchylona, i obszedłszy kolisty podjazd znaleźliśmy się przed drzwiami dużej willi o wyglądzie raczej zaniedbanym. W blaskach słońca mistral szalał i wył szarpiąc wściekłymi podmuchami nagie krzaki. Wszystko wydawało się tu jasne i ostre: ostre było powietrze, ostre światło, twardy grunt pod nogami.

Drzwi, do których Mills zadzwonił, otworzyły się prawie natychmiast. Służąca, która się w nich ukazała, była niską, ciemnowłosą osobką, lekko ospowatą. Poza tym typowa *femme de chambre*, widocznie bardzo czynna. - Pani powróciła przed chwilą z konnej przejażdżki - rzuciła pośpiesznie i pobiegła na górę zostawiając nas przy drzwiach wejściowych, które musieliśmy sami zamknąć.

Schody pokryte były szkarłatnym dywanem. Blunt jakimś sposobem znalazł się w hallu. Miał na sobie spodnie do konnej jazdy i czarny surdut z obfitymi, kwadratowymi połami. Wydał mi się kimś innym, mógł być na przykład bratem człowieka, który rozmawiał z nami ubiegłej nocy. Unosił się dokoła niego delikatny zapach perfumowanego mydła. Błysnąwszy białymi zębami, odezwał się do nas:

- Cóż za nudziarstwo. Dopiero przed chwilą zeskoczyłem z konia i muszę w tym ubiorze zasiąść do śniadania. Ona przywykła przez całe życie rozpoczynać dzień od konnej jazdy. I twierdzi, że źle się czuje, gdy tego zaniecha. Powiedziałbym, że to zrozumiałe, gdy się zważy, że przez pięć czy sześć lat nie było prawie dnia, w którym by nie siedziała na koniu. Jest to nawet przyczyną jej ucieczek z Paryża, gdzie nie może przecież jeździć sama. Tutaj to oczywiście co innego. A ponieważ minie także nikt nie zna w tym mieście, więc mogę jej towarzyszyć. Nie znaczy to, aby mi to sprawiało szczególniejszą przyjemność.

Te ostatnie słowa były wyraźnie skierowane do Millsa z dodatkiem uwagi

wypowiedzianej półgłosem:

- Przekłeta sytuacja. - Po czym spokojnie zwrócił się do mnie i rzekł z nagłym uśmiechem: - Rozmawialiśmy o panu dziś rano. Jest pań oczekiwany z niecierpliwością.

- Dziękuję panu bardzo - odrzekłem - ale mimo woli zapytuję siebie, co ja tu robię?

Mills, zwrócony twarzą do schodów, podniósł nagle oczy, co sprawiło, że obaj - Blunt i ja - odwróciliśmy się w tę stronę. Kobieta, o której tak wiele słyszałem - i to w sposób, w jaki nigdy nie mówiono przy mnie o żadnej kobiecie - zstępowała teraz ze schodów i pierwszym moim uczuciem było głębokie zdumienie wywołane oczywistością jej istnienia na jawie. Ale nawet wtedy wrażenie wzrokowe, jakie odebrałem, było raczej.) odczuciem barw w obrazie niż żyjących kształtów. Spowinięta była w luźną szatę, rodzaj szlafroka z bladoniebieskiego jedwabiu, haftowanego z przodu i dokoła szyi w czarnożłote desenie i przytrzymanego szerokim pasem z tego samego materiału. Pantofelki były tego samego koloru, z czarnymi kokardami na podbiciu. Białe schody, ciemnoszkarłatny dywan i bladoniebieska suknia wytwarzały efektowne połączenie barw, uwydatniające delikatną karnację jej twarzy, która po pierwszym rzucie oka na całą postać przyciągała nieprzeparacie wzrok dzięki urokowi nieokreślonego gatunku, wymykającego się wszelkiej analizie. Nasuwała ona wspomnienie dawno wymarłych ras, niepamiętnych szeregów dawnych pokoleń, wspomnienie kobiecych twarzy oglądanych na odwiecznych pomnikach lub śpiących w zapomnieniu pod płytą grobową, (gdy patrzyłem na tę postać zstępującą teraz ze stopnia nią stopień z lekko spuszczonej oczami, przypomniały mi się nagle słowa usłyszane tej nocy, słowa Allègre'a, określające ją jako istotę mającą w sobie coś «z kobiet wszystkich czasów»).

Stanąwszy na ostatnim stopniu, podniosła powieki i uraczyła nas widokiem cudownych zębów, równie olśniewających jak u Blunta, ale, zda się, jeszcze mocniejszych; gdy zaś podeszła do nas bliżej, doznaliśmy w sercach - mówię tu właściwie tylko o sobie - żywego poczucia fizycznej doskonałości jej kształtów i równowagi nerwów oraz nie tyle może wdzięku, ile całkowitej harmonii.

Zwróciła się do nas ze słowami: - Przykro mi, że panowie czekali. - Głos miała niski, przenikający, o ogromnie ujmującym, łagodnym brzmieniu. Wyciągnęła rękę do Millsa, serdecznie, jak do starego przyjaciela. Z niezmiernie szerokiego rękawa, podszytego czarnym jedwabiem, wyłoniło się jej ramię, bardzo białe, z perłowym połyskiem w cieniu. Mnie również podała rękę, ale trochę sztywno i jakby z cofnięciem się całej swej osoby, co umiała połączyć z otwartym spojrzeniem prosto w oczy. Była to ręka pięknie ukształtowana. Pochyliłem się nad nią w ukłonie i dotknąłem jej palców. Nie patrzyłem wtedy na twarz Dony

Rity.

W następnej chwili dostrzegła jakieś listy leżące na okrągłym marmurowym stoliku pośrodku hallu. Pochwyciła jedną z kopert zadziwiająco szybkim, niemal kocim ruchem i rozdarła ją, mówiąc do nas:

- Przepraszam, ale muszę... Niech panowie przejdą do jadalnego pokoju. Rotmistrz Blunt wskaże drogę. - Rozszerzone jej oczy wpatrywały się w list. Pan Blunt otworzył jedne z drzwi na oścież, ale zanim przeszliśmy przez próg, uszu naszych doszedł podrażniony krzyk z dodatkiem dziecinnego tupania obiema nóżkami, po czym wybuch śmiechu, w którym brzmiała nuta pogardy.

Drzwi zamknęły się za nami; pan Blunt nas opuścił. Pozostał po drugiej stronie, widocznie celem uspokojenia Dony Rity. Pokój, do któregośmy weszli, przypominał długością swoją galerię i kończył się rotundą o wielu oknach. Był tak długi, że mieścił w sobie dwa kominki z czerwonego, politurowanego granitu. Posadzka, wykładana dwoma gatunkami drzewa w dziwaczne wzory, była tak wywoskowana, że odbijała przedmioty jak cicha, stojąca woda.

Po chwili Dona Rita i Blunt powrócili do nas i zasiedliśmy dokoła stołu. Zanim jednak zdążyliśmy naprawdę rozpocząć rozmowę, nagły, jak w dramacie, dźwięk dzwonka u drzwi frontowych zgasił wzrastające ożywienie. Dona Rita spojrzała na nas kolejno ze zdziwieniem i jakby z podejrzliwością.

Przyjrzawszy się biletowi wizytowemu, który jej wręczono, szepnęła:

- Skąd on mógł wiedzieć, że tu jestem... - i podała bilet Bluntowi, ten zaś z kolei Millsowi, który skrzywił się lekko, rzucił bilet na obrus i szepnął do mnie: - Dziennikarz z Paryża.

- Wygrzebał mnie spod ziemi - rzekła Dona Rita. - Pragnęłoby się okupić spokój największym nawet kosztem, gdyby ci ludzie nie byli zawsze gotowi sięgnąć ręką aż w głąb duszy. To mnie przeraża. - Jej głos wypływał z ledwo poruszających się warg, tajemniczy i przejmujący. Mills przyglądał jej się z ciekawością pełną sympatii. Pan Blunt mruknął:

- Lepiej nie drażnić bestii. - Przez chwilę twarz Dony Rity, o wąskich oczach, szerokich brwiach i wydatnych kościach policzkowych zastygła w zupełnym spokoju, po czym zabarwiła się nieco.

- Ach, niechże wejdzie - rzekła cicho. A zwracając się do Millsa: - On mógłby być naprawdę niebezpieczny - wie pan - gdyby chciał.

Osoba, która wywołała tyle wahania i uwag, jakby rzeczywiście była jakąś dziką bestią, zdziwiła mnie, gdym ujrzał ją wchodzącą. Zdziwiła mnie po pierwsze, piękną białych włosów, po wtóre, swym ojcowskim wyglądem i niewinną prostotą zachowania się. Położono dla gościa nakrycie pomiędzy Millsem i Doną Ritą, która zupełnie jawnie przełożyła listy przyniesione ze sobą na drugą stronę talerza. Z równą bezceremonialnością okrągłe, porcelanowo niebieskie oczy przybysza przeniosły się na koperty, usiłując przyjrzeć się pismu i adresom. Zdawał się, przynajmniej z widzenia, znać panów Blunta i Millsa. Na mnie rzucił głupio zdziwione spojrzenie. Zwrócił się do pani domu:

- Odpoczynek! Zapewne, odpoczynek jest dobrą rzeczą. Słowo daję, myślałem, że zastanę panią samą. Ale pani ma za dużo zdrowego rozsądku - ani mężczyzna, ani kobieta nie są stworzeni do samotności... - Po tym wstępie mówił już tylko do siebie. Doprawdy myślę, że byłem jedyną osobą, która go słuchała z pozorami zainteresowania. Nie mogłem się temu oprzeć. Inni, nie wyłączając Millsa, siedzieli jak gromadka głuchoniemych. Nie. Było w nich nawet coś bardziej oderwanego. Siedzieli jak gromadka figur woskowych, z tym ich nieokreślonym wyrazem pełnym wyższości i tym dziwnym wyglądem, który zdawałby się świadczyć, iż rozumieją symulację swego istnienia. Ja byłem wyjątkiem i nic nie mogło wyraźniej zaznaczyć mojej obcości w tym domu. Całkowicie obca była dla mnie atmosfera moralna, w której ci ludzie żyli, poruszali się, w której przeżywali swoje niezrozumiałe wzruszenia, radości czy smutki. Takiego poczucia absolutnej obcości doznawać musi zagubiony wygnaniec znalazłszy się wśród tubylców i tam dopiero - wśród nich - poznaje przesady, wierzenia i obyczaje, o których dotąd nic jeszcze nie wiedział.

W pewnym znaczeniu przedstawiało się to nawet gorzej i mogło być przyprawiać mnie o większe zakłopotanie. W porównaniu bowiem z tantym wygnańcem, szukającym po omacku drogi wśród powikłań nieznanego schematu życia, ja byłem jednocześnie i owym wygnańcem, i dzikusiem, prostym i niewinnym dzieckiem przyrody. Ci ludzie byli bezwarunkowo bardziej cywilizowani ode mnie. Mieli więcej obrządków i ceremonii, więcej powikłań w tym, czego doznawali, mieli większą znajomość zła, a w subtelnych swych wyrażeniach więcej odróżniali odcieni. Oczywiście. Byłem przecież tak młody! A jednak mogę zapewnić, że właśnie w owej chwili utraciłem wszelkie poczucie niższości. Dlaczego? Niewątpliwie lekkomyślność i nieświadomość młodzieńcza grały tu pewną rolę. Ale było przy tym coś innego. Spoglądając na Donę Rite, na jej głowę wspartą na rękę, na jej ciemne rzęsy spuszczone ma lekko zaróżowione policzki, poczułem, że nie jestem już w swej młodości osamotniony. Kobieta, o której nasłuchiwałem się tego wszystkiego, co tu odtwarzam z całą dokładnością niezawodnej pamięci, objawiła mi się nagle jako istota przede wszystkim młoda, młodsza od wszystkich innych istot na ziemi, młoda jak ja sam (a miałem wtedy mocne poczucie swej młodości), i to objawienie łączyło się ze szczególnym wewnętrznym przekonaniem, że jej rodzaj młodości jest absolutnie taki sam jak mój, że wskutek tego nie może być między nami nieporozumień i że nie potrzebujemy o sobie nic więcej wiedzieć. Wrażenie to było oczywiście przelotne jak promień światła, który wprowadzie nie może długo trwać, lecz nie pozostawia już poza sobą ciemności.

Wprost przeciwnie, roznieciło ono gdzieś w głębi mojej duszy płomyk pewności siebie, niepojętego zaufania do siebie, zrodziło ciepłe, trwałe wyczucie, że oto tu, w tej chwili rozpoczyna się moje indywidualne życie, dzięki tej właśnie wspólności, dzięki temu przemożnemu urokowi.

II

Dla tej - prawdę mówiąc - cudownej przyczyny, byłem jedyną osobą w towarzystwie, która mogła bez przymusu słuchać paplaniny nieproszonego gościa o pięknych białych włosach, tak starannie utrzymanych, tak wspaniale ukarbowanych i tak artystycznie ułożonych, że nie mogły budzić większego respektu niż kosztowna peruka oglądana na fryzjerskiej wystawie. Właściwie chciało, mi się śmiać z tej głowy - co dowodziło, jak mało czułem się skrępowany. Mój umysł był zupełnie swobodny i to sprawiało, że ze wszystkich znajdujących się tu par oczu tylko moje rozglądały się po pokoju bez najmniejszego zakłopotania. Wszyscy inni słuchacze mieli oczy spuszczone, nie wyłączając Millsa, ale u niego - jestem pewien, wynikało to jedynie z delikatności i doskonałego wycucia sytuacji. Nie mogło go to bowiem dotyczyć osobiście. Tymczasem intruz pożerał kotlety - jeśli to były kotlety. Pomimo zupełnej- swobody umysłu, zupełnie nie uważałem, cośmy jedli. Miałem wrażenie, że to śniadanie odbywało się na niby; wyjątek stanowił oczywiście białowłosy gość, który był naprawdę głodny i który - poza tym - musiał mieć przyjemne samopoczucie człowieka górującego nad sytuacją. Pochylał się nad talerzem i rozważnie pracował szczękami, podczas gdy jego niebieskie oczy wodziły bezustannie po otoczeniu, nie patrząc nigdy wprost na żadnego z nas. Od czasu do czasu odkładając na bok nóż i widelec rzucał się w tył na krześle i poczynął lekkim tonem opowiadać paryskie plotki o różnych znanych osobistościach.

Naprzód zaczął obmawiać jednego z wybitnych polityków. «Kochana Rita» go znała. Jego sposób ubierania się datował z roku 1848, a cała postać zdawała się być zrobiona z drzewa i pergaminu. Do tej pory owijał szyję białym halsztukiem, a żony jego nie widziano nigdy w wyciętej sukni. Ani razu, odkąd żyła. Kołnierzyk miała zawsze zapięty pod szyję, podobnie jak jej mąż. Otóż ten człowiek wyznał mi, że ilekroć brał udział w politycznej dyspucie, nie w kwestii zasad, lecz poszczególnych zarządzeń, o które toczył się spór, czuł w sobie gotowość zabicia każdego przeciwnika.

Przerwał opowiadanie, by uzupełnić je komentarzem:

- Ze mną jest coś podobnego. Przypuszczam, że to czysto zawodowe uczucie: doprowadzić do skutku każdy swój zamiar. W codziennym życiu nie zabiłbym muchy. Moja uczuciowość jest zbyt wyostrzona. Serce zbyt czułe. Nazbyt czułe. Jestem republikaninem, jestem czerwony. A nasi obecni panowie i władcy - ci wszyscy ludzie, których pani usiłujesz owinąć sobie dokoła małego paluszka - to ohydni monarchiści w przebraniu! Spiskują

przeciwko wszystkim instytucjom, które ja popieram. Mimo to nie usiłowałem nigdy przeszkadzać w tej małej grze, którą pani prowadzisz, pani Rito. Bo to jest w gruncie rzeczy mała gra. Sama wiesz dobrze, iż wystarczyłoby dwóch, trzech odważnych artykułów - takich w moim stylu - żeby położyć kres tym wszystkim podstępным knowaniom waszego króla. Nazywam go królem przez uprzejmość dla pani. W moim pojęciu to awanturnik łaknący krwi, morderczy awanturnik, i nic więcej. Zastanów się, dziecko drogie, o co ty się rozbijasz? Dla tego bandyty? *Allons donc!* Uczennica Henryka Allègre nie może mieć takich złudzeń co do nikogo. I jaka jeszcze uczennica. Ach, te dawne dobre czasy, kiedy istniał Pawilon! Proszę nie myśleć, że chcę przez to podkreślić jakąś szczególniejszą zażyłość - nie. Ale stosunek ten wystarczał, aby po śmierci naszego biednego przyjaciela ofiarować pani moje usługi, Rito. Czulem, że mogę się przydać - i przyszedłem. Tak się złożyło, iż byłem pierwszy. Pamięta pani, Rito? Cechą naszego biednego, kochanego Allègre'a, która umożliwiała każdemu porozumienie się z nim, była jego zupełna, równomierna, bezstronna pogarda dla ludzkości. Nie ma w tym nic, co by się przeciwstawiało najczystszyemu ideałom demokratycznym - to natomiast, że pani, droga Rito, nie wahała się tyle życia poświęcić królewskiemu awanturnikowi, to może człowieka z nóg zwalić. Bo pani go nie kocha. Nie kochała go pani nigdy, rozumie pani?

Nagłym chwytem ujął jej rękę, na której wspierała głowę, schwycił ją po prostu (co było zupełnie wstrząsające) i trzymając mocno począł ją po ojcowsku poklepywać w najbezpieczniejszy sposób. Rita znosiła to z widoczną obojętnością. A tymczasem jego oczy obchodziły stół dookoła, zatrzymując się na naszych twarzach. Było to nad wyraz przykre. Głupota tego błakającego się wzroku miała jakąś paraliżującą siłę. On zaś mówił dalej, rozlewnie, z szorstką poufalością:

- Przyjeżdżam tutaj spodziewając się zastać dobrą, rozsądną dziewczynkę, która wreszcie przejrzała próżność tych wszystkich poczynań, że zastanę ją w półmroku przyciemnionego pokoju, otoczoną dziełami ulubionych poetów... Powiedziałem sobie: trzeba mi wstąpić do tego kochanego, mądrego dziecka i podtrzymać je w dobrych postanowieniach... A tymczasem wpadam na intymne zebranie przy śniadanku. Wygląda bardzo *intime*... Hę? tak mi się wydaje...

Ten człowiek był przerażający. Jego błakający się wzrok znowu okrążył stół z tępym wyrazem, niewiarogodnie niedostosowanym do słów. Można by myśleć, że wypożyczył sobie na tę wizytę oczu od jakiegoś idioty. I trzymał wciąż jeszcze rękę Dony Rity głaszcząc ją od czasu do czasu.

- To jest zniechęcające - gruchał w dalszym ciągu. - Wydaje mi się, że ani jeden z

panów nie jest Francuzem. I nie wiem, co wy tu wszyscy robicie? To przechodzi moje zrozumienie. Ale gdybyśmy byli Republiką - wiecie iż jestem jakobinem, *sansculotte'em* i terrorystą - gdyby tu, mówię, była prawdziwa Republika ze Zgromadzeniem Narodowym i Komitetem Bezpieczeństwa Publicznego czuwającymi nad interesem narodu, wasze głowy rychło by pospadały. Cha, cha... Żartuję, cha, cha... A należałoby się to wam, oj, należało! Nie bierzcie mi za złe żartu.

Śmiejąc się jeszcze, uwolnił rękę Dony Rity, która bez pośpiechu znów oparła na niej głowę. Nie spojrzała na niego ani razu.

W czasie dość upokarzającego milczenia, jakie nastąpiło po jego słowach, przybysz wyciągnął z kieszeni skórzaną cygarnicę wielkości małej walizki, otworzył ją i spojrzał z krytycznym zaciekawieniem na sześć znajdujących się tam cygar. Niezmordowana *femme de chambre* postawiła na stole tacę z czarną kawą. Każdy z nas, zadowolony ze sposobności zajęcia się czymkolwiek, sięgnął po filiżankę, on zaś zaczął od powąchania swojej. Dona Rita dalej siedziała wsparta na łokciu, a zamknięte jej wargi miały wyraz nieopisanej słodyczy. Nie było nic niedbałego w jej postawie. Twarz jej, o delikatnej 'karnacji róży, ze spuszczonej oczyma, zastygła w długotrwałym bezruchu, była tak pociągająca, że czułem nieprzytomną chęć obejścia stołu i ucałowania ręki, na której się wspierała, tego mocnego, kształtnego przedramienia, jaśniejącego nie lśnieniem marmuru, ale blaskiem ciepła i życia. Tak dalece zdążyłem już spoufalić się z nią w myślach. Oczywiście nie uczyniłem nic podobnego. Nie był to odruch nieopanowany, raczej poryw serdecznej 'tęsknoty o charakterze czysto uczuciowym i pełnym szacunku. Spełniłem ten akt w myśli, spokojnie, niemal uroczyście, podczas gdy srebrnowłosej dureń, rozpierając się na krześle i sapiąc nad swym cygarem, rozgała się na nowo. To, co mówił, pozornie było niewinne. Oznajmił «kochanej Ricie», że znajduje się teraz w drodze do Monte Carlo. Ot, długoletnie przyzwyczajenie w tej porze roku. Gotów jednak w każdej chwili wrócić do Paryża, o ile może tam być użyteczny swej *chère enfant*, wrócić na dzień, na dwa, na trzy, wyrzec się nawet w tym roku podróży do Monte Carlo, byle się jej przysłużyć i oszczędzić jej powrotu do stolicy. Mógłby na przykład postarać się o właściwą opiekę nad Pawilonem wypełnionym skarbami sztuki. Co się w ogóle ma stać w przyszłości z tymi skarbami?... Na to Dona Rita, nie poruszając się wcale, odezwała się po raz pierwszy przyciszonym głosem mówiąc, że weszła w układ z policją, która ma czuwać nad bezpieczeństwem Pawilonu. Niedostrzegalne poruszenie jej warg wprawilo mnie w zachwyt.

Ale to nie uspokoiło troskliwego opiekuna. Przypomniał jej, że dzieła sztuki bywały wykradane nawet z Luwru, który - ośmielał się mniemać - był jeszcze gorliwiej strzeżony. A

tam przecież, w połowie schodów, znajdował się ten cudowny gabinet z czarnej laki, zdobionej w srebrne czaple, którego wartość opłaciłaby trud kilku włamywaczy. Trochę workowego płótna, parę taczek i mogliby wszystko wywieźć na oczach ludzi.

- Czy pan to wszystko przemyślał? - chłodno, szeptem zapytała Rita. My trzej tymczasem, dla nadania sobie pozoru swobody, paliliśmy papierosy czekając, co jeszcze usłyszymy.

Nie, nie obmyślał niczego. Ale musi przyznać, że kocha się od lat całych w tym gabinecie z czarnej laki. I cóż stanie się nareszcie z tymi skarbami? Świat ogromnie się tym interesuje. Tu lekko obrócił swą pięknie utrzymaną białą głowę w stronę Blunta i odezwał się do niego bezpośrednio:

- Miałem przyjemność spotkać pańską matkę ostatnimi czasy.

Pan Blunt dość opieszale podniósł brwi i błysnął zębami, po czym odpowiedział niedbałym tonem:

- Nie pojmuję, gdzie pan mógł spotkać moją matkę.

- Gdzie? U antykwariusza Binga - odrzekł tamten z wyrazem najlepszej głupoty. A jednak było w tych paru słowach coś, co zdawało się ostrzegać pana Blunta, że jeśli szuka guza, to znajdzie go na pewno.

- Bing odprowadzał ją do drzwi w ukłonach, ale był czymś tak rozdrażniony, że nawet wobec mnie zachował się potem niegrzecznie. Nie sądzę, aby *Madame votre mère* dobrze robiła, zadzierając z Bingiem. To paryska osobistość i swego rodzaju potęga. Wszyscy ci ludzie mają teraz nerwy wstrząśnięte niepokojem o losy zbiorów Allègre'a. I nie można się dziwić ich zdenerwowaniu. Wielkie wydarzenie w świecie sztuki zależy od jednego słowa pani, moja droga, wszechwładna Rito. Nawiasem mówiąc, pani też powinna pamiętać, że nierozsądnie jest zadzierać z ludźmi. Co pani zrobiła temu nieszczęsnemu Azzolatiemu? Czy naprawdę kazała mu pani wyjść i nie zbliżać się do siebie więcej, czy coś równie okropnego? Nie wątpię, że bywa pani użyteczny bądź w jej własnych sprawach, bądź w sprawie waszego króla. Człowiek, którego prezydent zaprasza na polowania do Rambouillet! Spotkałem go któregoś wieczora; mówiono mi, że wygrywa kolosalnie w karty, ale wygląda biedaczysko okropnie. Skarżył się na pani postępowanie, bardzo się skarżył. Mówił mi, że pani potraktowała go wprost brutalnie. Powiedział mi tak: «Jestem już do niczego, *mon cher*. Parę dni temu, w Rambouillet, ilekroć miałem zajęcia na muszce, przypominały mi się jej okrutne słowa i oczy napępniały mi się łzami. Pudłowałem za każdym strzałem...» Nie nadajesz się pani do dyplomacji, ma *chère*. Zachowujesz się jak dziecko w tej dziedzinie. Chcąc, aby mężczyzna dojrzał, w średnim wieku, coś dla pani uczynił, nie można zaczynać od

doprowadzania go do łez. Sądziłem, że każda kobieta o tym wie. Zakonnica by o tym wiedziała. I cóż pani na to? Czy mam wrócić do Paryża i załagodzić ten spór z Azzolatim?

Czekał na odpowiedź. Zaciśnięcie jego wąskich warg było bardzo znamienne. Pani domu poruszyła głową przecząco, w sposób ledwo dostrzegalny, co mnie zdziwiło, gdyż z całej jej postawy i znieruchomienia zamyślanej twarzy można było sądzić, że znajduje się o sto mil od nas wszystkich, pogrążona w niedościgłych marzeniach. Dziennikarz dał za wygraną.

- No, pora na mnie. Ekspres nicejski przejeżdża o godzinie czwartej. Będę nieobecny przez trzy tygodnie, po czym znowu mnie ujrzycie. Chyba, że mnie tam spotka niepowodzenie i wyjdę splukany - w tym wypadku zobaczycie mnie wcześniej. Nagle zwrócił się do Millsa:

- Czy kuzyn (pański wybierze się w tym roku na południe, do tej swojej pięknej willi w Cannes?

Mills ledwo raczył odpowiedzieć, że nic nie wie o zamiarach swego kuzyna.

- *Grand seigneur et grand connaisseur* - zaopiniował tamten ocieźiale. Wargi mu obwisły i wyglądał na skończonego idiotę pod tą dziwną peruką z własnych białych włosów. Zdawało się doprawdy, że zacznie się ślinić. Ale już po chwili zaatakował Blunta:

- Czy pan także jest na odlocie? Niepokój wewnętrzny?... Wydaje mi się, że nie widziano pana od dłuższego czasu w dawnych pieleszach paryskich. Gdzież pan tak długo przebywał?

- To pan nie wie, gdzie ja przebywam? - odrzekł Blunt z naciskiem.

- Nie. Ja szperam tylko w takich rzeczach, które mogą mi być przydatne - brzmiała nieoczekiwana odpowiedź, wypowiedziana głosem całkowicie bezmyślnym i przełknięta w głuchym milczeniu przez pana Blunta.

Wreszcie okazał gotowość powstania od stołu. - Niech pani pomyśli o tym, com powiedział, droga moja Rito.

- To rzecz skończona, stanowczo i ostatecznie - odezwała się Dona Rita głosem o wiele silniejszym, niż dotąd z jej ust słyszałem. Uczułem się wstrząśnięty, ona zaś dodała: - Całe to myślenie - chcę powiedzieć. - Powróciła już z dalekich krain marzeń, przebudziła się całkowicie. Powstawszy od stołu dała gościowi znak ręką, aby poszedł za nią, co też uczynił, ale bez pośpiechu, jakby z ostrożnym ociąganiem się.

Rozmowa ich toczyła się we framudze okna. Myśmy wszyscy trzej pozostali przy stole, z którego ciemnowłosa służąca szybkimi ruchami sprzątała filiżanki i talerze. Patrzyłem teraz zupełnie otwarcie na profil Dony Rity, nieregularny, ożywiony i niepojęcie fascynujący,

na jej kształtną głowę o wysoko upiętych włosach, które podtrzymywała złota strzała wysadzana klejnotami.

Nie słyszeliśmy tego, co mówiła, ale poruszenia jej warg i gra fizjonomii były pełne wdzięku, pełne przejmującego załączenia, wyrażające jednocześnie śmiałość i łagodność. Mówiła z wielkim ożywieniem, nie podnosząc głosu. Mężczyzna słuchał przygarbiony, wydawał się o wiele za głupi, by cośkolwiek rozumieć. Widziałem, że od czasu do czasu i on się odzywa, ale było to dla naszych uszu nieuchwytne. W pewnej chwili Dona Rita obróciła głowę i zawołała na służącą:

- Podaj mi moją torebkę z kanapy. Na to usłyszeliśmy wyraźnie jego słowa: - Nie, nie. - I nieco cichsze: - Nie masz taktu, Rito... - Po czym nastąpiła jej argumentacja, z której podchwyciłem jedno zdanie, wypowiedziane niskim, przenikającym głosem: - Czemu nie? Pomiędzy starymi przyjaciółmi... - I głosy ich stały się znowu nieuchwytne. Po chwili ujrzałem, że on podnosi jej rękę do ust, ona zaś, zwrócona do nas plecami, wpatruje się przez okno w bezlistny, zapuszczany ogród. Wreszcie wyszedł z pokoju rzuciwszy nam na odchodnym przelotne: «*Bonjour, bonjour*», na które żaden z nas trzech nie odpowiedział.

III

Mills wstał z krzesła i podszedł do postaci w oknie. Ku memu niezmiernemu zdziwieniu pan Blunt, po chwili widocznego, bolesnego wahania, wybiegł za białowłosym intruzem.

Skutkiem ogólnego poruszenia pozostałem sam i począłem to sobie z przykrością uświadamiać, gdy Dona Rita odezwała się spod okna podniesionym głosem: - Nie mam sekretów z panem Millsem. Przyjąłem to jako zachętę do przyłączenia się do nich. Oboje patrzyli na mnie, a Dona Rita dorzuciła:

- Jesteśmy, wie pan, bardzo dawnymi przyjaciółmi z panem Millsem.

Skąpana w złagodzonej odblasku słońca, które nie wpadało bezpośrednio do pokoju, stojąc tak przed Millsem wyprostowana, a uśmiechając się nieznacznie do mnie, wyglądała na osobę niezmiernie młodą, a równocześnie dojrzałą. Ukazały się nawet na chwilę dołeczki w jej policzkach.

- Jak dawnymi? - spytałem odwdzięczając się jej uśmiechem.

- Ach, odwiecznymi - rzuciła pośpiesznie, marszcząc leciutko brwi, po czym zwracając się znów do, Millsa powróciła do przerwanej z nim rozmowy. - Mieć do czynienia z tego rodzaju człowiekiem - to ostateczność, a jednak nie to jest najgorsze. Rzecz przedstawia siłę tak: nie potrzebuję nikomu zdawać sprawy z tego, co robię, ale nie chcę być ciągnana po wszystkich rynsztokach, z których on czerpie swoje środki utrzymania.

Odrzuciła lekko w tył głowę, nie dostrzegłem jednak pogardy, ani gniewnego błysku pod spuszczonej powiekami o ciemnych, długich rzęsach. Wypowiedziane słowa nie dźwięczały. Po raz pierwszy uderzyło mnie jednostajne, tajemnicze brzmienie jej głosu.

- Czy wolno mi powiedzieć - wtrącił Mills z poważnym, dobrotliwym wyrazem twarzy - że będąc tym, czym pani jest, nie potrzebuje się pani niczego obawiać?

- Nie mając już może nic do stracenia - odrzekła bez goryczy. - Nie, to nie jest obawa. To raczej przerażenie. Trzeba pamiętać, że żadna zakonnica nie mogła być bardziej chroniona przed życiem. Henryk Allègre miał swoją wielkość. Zwracając się twarzą do świata zasłaniał go swoją osobą. Był na to dość wielki. Wypełniał sobą całe moje pole widzenia.

- Czy pani to wystarczało?

- I po cóż o to pytać teraz? - odparła. - Prawdę mówiąc... prawdę mówiąc, nie zadałam sobie nigdy tego pytania. Wystarczało czy nie - na nic innego nie było miejsca. On był cieniem i światłem, kształtem i głosem. Chciał, aby tak było. Tego rana, kiedy umierał, zawołano mnie o godzinie czwartej. Wbiegłam boso do jego pokoju. Poznał mnie i wyszeptał:

«Ty jesteś bez skazy.» Bałam się okropnie. Zdawał się nad czymś namyślać, po czym powiedział wyraźnie: «Taki jest mój charakter. Taka jestem.» I to były ostatnie jego słowa. Prawie nie zwróciłam na nie wtedy uwagi. Spostrzegłszy, że leży w bardzo niewygodnej pozycji, zapytałam, czy nie podnieść go trochę na poduszce. Jestem, jak pan wie, bardzo silna i mogłam to zrobić. Robiłam to nieraz. On uniósł rękę znad kołdry; tyle tylko, by dać do poznania, że nie chce, aby go ruszano. I to był ostatni jego gest. Pochyliłam się nad nim, a potem - a potem o mało nie wybiegłam z domu, tak jak stałam, w nocnej koszuli. Myślę, że gdybym była ubrana, uciekłabym do ogrodu, na ulicę - uciekłabym zupełnie. Nie widziałam nigdy śmierci. Mogę powiedzieć, że nie słyszałam o śmierci. Chciałam od niej uciec.

Urwała, by Spokojnie, długo odetchnąć. Spuszczone oczy podkreślały jeszcze zharmonizowaną słodycz i śmiałość tej twarzy, której wyraz stawał się przez to jeszcze bardziej wzruszający.

- *Fuir la mort* - powtórzyła w zamyśleniu tajemniczym swym głosem.

Wielka głowa Millsa poruszyła się z lekka - nic więcej. Spojrzenie Rity Skierowało się na chwilę ku mnie, jakby z przyjaznym potwierdzeniem mego prawa do znajdowania się w tym miejscu. Potem mówiła dalej:

- Można by życie moje nazwać spoglądaniem na sprawy ludzkie z wysokości czwartego piętra - i to przez całe lata. Gdy nadszedł koniec, zdawało mi się, że wypadłam z balkonu na ulicę. Było to równie nagle. Pamiętam, że kiedyś w Pawilonie ktoś opowiadał historię dziewczyny, która wyskoczyła z okna czwartego piętra... Z miłości, o ile wiem - wtrąciła Rita pośpiesznie - i nile zrobiła sobie nic złego. Jej anioł stróż musiał podsunąć pod nią skrzydła w odpowiedniej chwili. Inaczej być nie mogło. Ale co do mnie, wiem tylko tyle, że niczego sobie nie połamałam, nawet serce pozostało całe. Niech pana to nie gorszy, panie Mills. Pan może tego nie rozumie.

- Być może - potwierdził Mills, niewzruszony - ale niech pani nie będzie tego zbyt pewna.

- Henryk Allègre miał bardzo wysokie wyobrażenie o pańskiej inteligencji - rzekła niespodziewanie, z uderzającą powagą. - Opowiadając to wszystko, chciałam tylko zaznaczyć, że po jego odejściu byłam nie tyle złamana, ile oślepią, oszołomiona, a niedostatecznie ogłuszona. I tak się wtedy złożyło, że ten człowiek znalazł się w pobliżu. Jakim sposobem się dowiedział?... Dochodzenie jest widać jego fachem. Umie wśliznąć się wszędzie, gdzie zechce. W pierwszych dniach był istotnie użyteczny i potrafił swym postępowaniem wpoić we mnie przekonanie, iż samo niebo go zesłało. W moim nieszczęściu

myślałam, że nigdy mu za to wszystko dostatecznie nie odpłacę... No, i płacę do tej pory, ciągle.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - spytał Mills cicho - gotówką?

- Ach! To w gruncie rzeczy mało znaczy - odrzekła. - Powiedziałam już panu, że nie to jest najgorsze. Najgorsze jest, że pozostałam w tym domu, z którego chciałam uciec w nocnej koszuli. Pozostałam zaś dlatego, że nie wiedziałam, co z sobą dalej robić. On znikł, wpadłszy widocznie na jakiś inny trop. Ale proszę nie myśleć, że byłam opuszczona - przeciwnie! Ludzie wchodzili i wychodzili, rozmaici ludzie - i tacy, których Henryk Allègre znał, i tacy, których nie chciał znać. Miałam przez cały czas wrażenie jakichś knozań i intryg dokoła mej osoby. Czułam się moralnie zmiażdżona, obolała od stóp do głów. Aż pewnego razu doręczono mi bilet wizytowy Don Rafaela de Yillarel, hiszpańskiego granda. Nie znałam go, ale jak pan wie, nie było prawie osobistości otoczonej sławą lub będącej na wyższym stanowisku, o której by przy mnie nie mówiono w Pawilonie. O nim słyszałam tylko tyle, że jest niezmiernie surowy i pobożny, że co dzień bywa na mszy i tym podobne. Ujrzałam przed sobą wątego człowieczka o żółtej, wydłużonej twarzy i zapadniętych oczach fanatyka, inkwizytora czy mnicha bez habitu. Brakowało mu tylko różańca w chudych palcach. Spojrzał na mnie piorunującym wzrokiem, a ja nie mogłam pojąć, czego ten człowiek może chcieć ode mnie. Spodziewałam się, że wyciągnie krucyfiks i lada chwila wyda wyrok skazujący mnie na stos. Tymczasem nie - spuścił oczy i zimnym, urzędowym głosem oznajmił, że przybywa z polecenia króla, o którym mówił: «Jego Majestat.» Zdumiona byłam tym obrotem sprawy. Zastanawiałam się, dlaczego nie wsunął rąk do rękawów płaszcza, jak to czynią bracia z żebrzących zakonów chodząc po kweście. Wyjaśnił mi, że księżę prosi o pozwolenie złożenia mi osobiście wizyty kondolencyjnej. Widywaliśmy go bardzo często w ciągu ostatnich miesięcy tegorocznego pobytu w Paryżu.

Henrykowi Allègre przysłała ochota malowania jego portretu. Odbywaliśmy też razem, co rano, konne przejażdżki. Odpowiedziałam prawie bez namysłu, że będę księciu rada. Don Rafael wydał się zgorzony moją bezceremonialnością, jednakże me wyrzekł ani słowa, tylko uklonił się w pas, na sposób bardzo zakonny. Gdyby był jeszcze płasko skrzyżował dłonie na piersiach, wrażenie byłoby zupełne. W momencie kiedy wycofywał się z pokoju, nie wiem, co mnie skłoniło do wykonania głębokiego dygu. Pozostałam sama, pod wrażeniem nie tylko jego osoby, ale i własnego zachowania się. Kazałam tego popołudnia zamknąć drzwi przed wszystkimi obcymi i księżę nadszedł niebawem, z twarzą odpowiednio przyobleczoną w smutek. Ale już po pięciu minutach śmiał się jak zwykle, po swojemu, aż grzmiało w całym domu. Pamięta pan, ten jego gromki śmiech, któremu nie można się było oprzeć?...

- Nie - odrzekł Mills dosyć nagle - ja go nigdy nie widziałem.

- Nie?... - spytała ze zdziwieniem. - A jednak pan...

- Rozumiem - przerwał Mills. - To rzecz przypadku. Trzeba pani wiedzieć, że jestem tego rodzaju samotnikiem, który siedzi w książkach, ale ma ukryty pociąg do przygód. I ta żyłka nagle się odezwała, co mnie samego zdziwiło.

Rita słuchała z głową przyjaźnie ku niemu zwróconą i zagadkowym, milczącym wejrzeniem spod powiek.

- Znam pańską szczerość i lojalność... Więc tak. Przygody i książki? Ach, książki! Jakież ja stopy książek przeczytałam!

- Tak - mruknął Mills - zwykle się to robi.

Wyciągnęła rękę i wsparła ją lekko na rękawie Millsa.

- Niech pan posłucha. Nie potrzebuję się usprawiedliwiać, ale gdybym znała choć jedną kobietę, gdyby mi dano sposobność obserwowania kobiet, może bym się była miała na baczności. Ale nie znałam, jak pan wie, żadnej. Jediną kobietą, z którą obcowałam, byłam ja sama, a powiadają, że nikt nie może poznać sam siebie. Nie przychodziło mi po prostu na myśl, że należy wystrzegać się ciepła, które on ze sobą wnosił, i tej nieujarzmionej wylewności, jaka go cechuje. Pan i on byliście jedynymi ludźmi (choć tak krańcowo różnymi), którzy nie zbliżali się do mnie jako do drogiego okazu ze zbiorów Allègre'a, jak do rzeźby z kości słoniowej czy przedmiotu z sewskiej porcelany. Dlatego zachowałam pana tak dobrze w pamięci. O, ale pan nie był wylewny! Co do mnie zaś - rychło zaczęłam żałować, że nie jestem jakimś okazem, rzeźbionym przedmiotem ze słoniowej kości, brązu czy porcelany: *pâte dure*, nie *pâte tendre*. Takim sobie ładnym okazem.

- Rzadkim, tak. Nawet jedynym w swoim rodzaju - rzekł Mills przyglądając się jej spokojnie. - Ale niech pani nie usiłuje obniżyć swej wartości. Pani nie jest ładna, pani jest gorzej niż ładna. W jej wąskich oczach pojawił się figlarny błysk.

- Czy pan to powiedzenie znalazł w swoich książkach? - spytała.

- Tak - odrzekł Mills śmiejąc się z lekka. - To powiedzenie znalazłem w książce. Autorka powiedziała to o sobie, kobieta bardzo niepospolita, która umarła przed paru laty. Była aktorką. Wielką artystką.

- Wielką artystką... Szczęśliwa osoba! Miała tę osłonę, tę odzież ochronną, podczas gdy mnie nic nie chroni przed złą sławą - nagie stworzenie wystawione na każdy podmuch wiatru. Tak, wielkość w sztuce jest ochroną. Zastanawiam się, czy we mnie coś by się znalazło, gdybym próbowała swoich sił? Ale Henryk Allègre na żadną próbę nie pozwalał. Powiedział mi, że czegokolwiek bym dokonała, nie byłoby to nigdy dość dobre w stosunku

do tego, czym jestem. Szczyt pochlebstwa! Może myślał, że nie posiadam talentu w żadnym kierunku. Być może. On to powinien był wiedzieć. Ale od tej chwili zaczęłam przypuszczać, że jest zazdrosny. Nie był zazdrosny o ludzi, tych nie bał się więcej niż złodziei czyhających na jego zbiory, ale mógł być zazdrosny o to coś, co we mnie dostrzegał, o tę jakąś pasję, tak łatwą do rozbudzenia. Jeśli tak było, na pewno sobie tego nie wyrzucił. Nie zapomnę nigdy jego ostatnich słów. Kiedy mnie zobaczył stojącą przy swoim łóżku, niemal symboliczną w swej bezbronności i opuszczeniu, nie znalazł nic innego do powiedzenia, jak: «Taki już jestem.»

Wpatrując się w nią, zapamiętałem się w tej kontemplacji. Nie zdarzyło mi się widzieć osoby mówiącej, u której by mięśnie twarzy tak nieznacznie się poruszały. Przy całej pełni życia, twarz jej pozostawała dziwnie nieruchoma. Wydawało się, że słowa pełne ognia czy patosu tworzą się same w powietrzu, poza jej wargami. Rysunek tych warg był prawie niezmienny - wyrażał słodycz, powagę i siłę, jakby się zrodził z natchnienia artysty. W naturze nie oglądałem nigdy, ani przedtem, ani potem, nic równie doskonałego. Wszystko to składało się na ten urok, jaki rzuciła na mnie, a spoglądając na Millsa zauważyłem, że on także wygląda na człowieka urzeczonego. Skoro i on uległ, nie miałem powodu wstydzić się swej kapitulacji.

- Jak pan wie - zaczęła znowu niespodziewanie - przyzwyczajona byłam do wszystkich oznak szacunku.

- To prawda - mruknął Mills jakby mimo woli.

- Tak było - potwierdziła. - Instynkt powinien był mnie przestrzec, że jedyną dla mnie ochroną jest zejście w cień, ale nie wiedziałam, gdzie tego cienia szukać, jak go znaleźć. O tak, odzywał się ten instynkt... ale były poza nim inne... Jak to panu wytłumaczyć? Nie wiedziałam, jak się trzeba strzec przed samą sobą - tego nie wiedziałam. Nie było żywej duszy, do której mogłabym przemówić, od której mogłabym otrzymać przestrożę. Ani jednej kobiecej duszy, która by te rzeczy zrozumiała, w której bym mogła ujrzeć własne odbicie. Zapewniam pana, że jedyną kobietą, która kiedykolwiek zwróciła się do mnie bezpośrednio, i to listownie, była...

Spojrzenie jej pobiegło w stronę, z której ukazał się pan Blunt powracający z hallu. Dorzuciła pośpiesznie przyciszonym głosem:

- Jego matka.

Promieniejący, machinalny uśmiech pana Blunta błysnął ku nam z drugiego końca pokoju, ale reszta jego osoby nie podążyła za tym uśmiechem. Zboczył w stronę bliższego kominka znalazłszy papierosy położone na gzymsie, wsparł się o niego łokciem wchłaniając

w siebie ciepło jasno płonących szczap drzewa. Miałem wtedy sposobność podpatrzenia drobnej, niemej sceny. Zdawało mi się, że spadkobierczyni Henryka Allègre - nie mogąca zapewnić sobie ani incognito, ani innego rodzaju ulgi w położeniu budzącym powszechną zazdrość - chciała przemówić do Blunta a odległości, kiedy naraz ufny i ożywiony wyraz zamarł na jej twarzy, jakby go zgasiła jakaś nagła myśl. Nie znałem jeszcze wtedy odrazy, jaką Rita miała do wszelkiego rodzaju fałszu i wybiegów, jej lęku przed wszystkim, co zatrać o nieszczerłość czy brak lojalności. Mimo to wyczułem, że w ostatniej chwili cała jej istota wzdrygnęła się przed jakimś cieniem podejrzenia. I mnie jednocześnie nasunęło się pytanie, co za interes mógł mieć Blunt do tego ohydneho przybysza? - i to interes widać niecierpiący zwłoki, skoro wybiegł za gościem aż do hallu. Czy chciał go obić jedną z lasek, które się tam znajdowały? Białe włosy, tak podobne do kosztownej peruki, nie mogły stanowić poważnej przeszkody. Ale nie o to widocznie chodziło. Jakkolwiek wyglądała ta przeprawa, w zbyt wielkiej odbyła się ciszy. Muszę zaznaczyć, że żadne z nas nie wyrzało przez okno i że wcale nie wiedziałem, kiedy ten człowiek wyszedł - i czy w ogóle wyszedł. W rzeczywistości był już daleko i mogę od razu powiedzieć, że go już więcej w życiu nie spotkałem. Przeszedł przez moje pole widzenia jak wiele [innych osób z tej epoki - figur o niezatartych zarysach, nieco fantastycznych, wyostrzających mój instynkt pogardy i przyćmiewających pamięć, w której walczą ze sobą do dziś dnia jasne blaski i brzydkie cienie tych niezapomnianych dni.

IV

Było już po czwartej, gdyśmy z Millsem opuścili mieszkanie Dony Rity. Blunt jeszcze ubrany jak do konnej jazdy, odprowadził nas do samych drzwi, przy czym prosił o przysłanie mu pierwszej spotkanej dorożki.

- Nie podobna przecież w tym stroju przechadzać się po ulicy - tłumaczył błyskając w uśmiechu białymi zębami.

Począwszy od tego miejsca zamierzam przepisywać notatki, które robiłem w tym czasie w małych, czarnych zeszytach, odnalezionych wśród starych rupieci - tanich, pospolitych zeszytach, które z biegiem lat nabrały wzruszającej patyny i godności zniszczonych, postrzępionych dokumentów. W wypowiedaniu się na papierze nigdy nie byłem zbyt mocny. Dotychczasowe moje życie przejawiało się całe na zewnątrz. Nie byłem z natury tajemniczy ani nawet systematycznie skryty, gdy chodziło o zwykłe czynności, które mogły być nierozważne, ale nie wymagały ostrożnego omawiania, a tym bardziej tajemnicy. Teraz jednakże, w ciągu czterech godzin, które minęły od południa, zaszła we mnie całkowita zmiana. Na dobrą czy na złą dolę, wychodziłem z tego domu zobowiązany do przedsięwzięcia, o którym nie wolno było mówić - przedsięwzięcia, które wielu ludziom mogło się wydawać bezsensowne, może nawet śmieszne, ale które było połączone z dużym ryzykiem, a poza tym obowiązywało do dyskrecji wymaganej przez zwykłą lojalność. Może dlatego, że poczułem się skazany na przeżywanie w milczeniu własnych myśli, bez możliwości szukania oparcia w życiu innych ludzi, zrazu może tylko dlatego zabrałem się do pisania dzienniczka, w sposób zresztą fragmentaryczny, dość nieregularny.

Robiłem te notatki nie tyle w celu utrwalenia w pamięci wydarzeń (nie dbało się wtedy o jutro), ile dla jaśniejszego zdania sobie sprawy z ówczesnej rzeczywistości.. Gryzmołem je na lądzie, gryzmołem na morzu, a w obu wypadkach zapiski te odzwierciedlały nie tylko naturę faktów, ale i stopień napięcia moich wrażeń. Możliwe, że wtedy dopiero pokochałem morze dla niego samego. Kobieta i morze objawiły mi się jednocześnie, jako dwie mistrzynie mające mnie pouczyć o wartościach życia. Nieograniczony bezmiar morza, niezgłębiony powab kobiety - te dwie czarodziejskie moce, które z pokolenia na pokolenie urabiają ludzkie dusze, zawładnęły teraz z kolei moim sercem.

Pozostało mi niezapomniane wspomnienie bezkształtnej potęgi morza i wszechwładnego uroku tej kobiecej postaci, w której tętnach pulsowała raczej boskość niż krew.

Rozpocznę tu od notatek pisanych u schyłku tego dnia:

“Rozstanie z Millsem na wybrzeżu. Szliśmy obok siebie w całkowitym milczeniu. On jest stanowczo za stary, bym mógł z nim rozmawiać swobodnie. Pomimo całej wyrozumiałości i powagi, z jaką się do mnie odnosi, nie wiem, w który klawisz uderzyć, i wcale nie jestem pewien, co o tym wszystkim myśli. Gdyśmy podawali sobie ręce przy rozstaniu, zapytałem go, jak długo zamierza jeszcze pozostać w Marsylii. Odpowiedział, że to zależy od R., która przeprowadza jakieś układy mające umożliwić mu przejście przez granicę. Chciałby bowiem przekonać się naocznie, jak wygląda teren, na którym «zasada legitymizmu» stwierdza swe istnienie z bronią w ręku. Dla mego pozytywnego umysłu brzmiało to wprost fantastycznie. Wyeliminowanie pierwiastka osobowości ze sprawy, która wydawała się być zwykłą polityczno-dynastyczną awanturą, nie mieściło się w mej głowie. A zatem nie chodziło mu o Donę Rite ani o Blunta, ani o osobę pretendenta do tronu, z jego szczerym, zaraźliwym śmiechem, nie chodziło o tych wszystkich polityków, arcybiskupów i generałów, mnichów, *guerrillas'ów* i przemytników na lądzie i na morzu, ani o tych podejrzanych agentów i ciemnych spekulantów szukających szczęścia z narażeniem własnej, cennej skóry. Nie! To «zasada legitymizmu» stwierdzała swoje istnienie! Dobrze - gotów byłem i taki pogląd uwzględnić, wszakże z jednym zastrzeżeniem: niechże wszyscy pracują dla tej pochłaniającej idei, bylebym ja, najpóźniejszy rekrut, nie czuł się zniewolony przez «zasadę legitymizmu». Mój czyn miał wynikać z najzupełniej niezależnej decyzji. Nigdy dotąd nie byłem tak świadom własnej osobowości. Ale Millsowi nie wspomniałem o tym ani słowem. Powiedziałem tylko, że byłoby lepiej, aby nas nie spotykano zbyt często razem na ulicy, z czym się zgodził. Serdeczny uścisk dłoni. Spojrzałem z rozczeniem na jego szerokie plecy. Nie przyszło mu na myśl obejrzeć się za mną. Czymże byłem w zestawieniu z «zasadą legitymizmu»?

Późnym wieczorem poszedłem na poszukiwanie Dominika. Ten śródziemnomorski żeglarz był takim właśnie człowiekiem, jakiego mi było potrzeba. Miał wielkie doświadczenie w dziedzinie nielegalnych wypraw morskich i wkładał w takie imprezy dużo sprytu i odwagi. To, że nie wiedziałem, gdzie Dominik mieszka, nie grało roli wobec faktu, że wiedziałem, gdzie się kocha. Właścicielka małej, cichej kawiarni na wybrzeżu, niejaka Madame Léonore, osoba lat 35, o rzymskich rysach, bystrych czarnych oczach, podbiła jego serce od lat wielu. W tej to kawiarence, z głowami pochylonymi ku sobie nad marmurowym stołem, rozpoczęliśmy z Dominikiem poufną i nie kończącą się pogawędkę, podczas gdy Madame Léonore, ze złotymi kolczykami odcinającymi się od pięknie utrefionych kruczonych włosów, szeleszcząc czarną jedwabną spódnicą przechadzała się cokolwiek niedbale tam i z powrotem,

by mieć sposobność położenia od czasu do czasu ręki. na ramieniu Dominika.

Nieco później, gdy kawiarenka opustoszała po odejściu zwykłych bywalców - przeważnie ludzi zatrudnionych na statkach przy ładowaniu - przysiadła się spokojnie do naszego stolika i wpatrując się we mnie badawczo swymi czarnymi, roziskrzonymi oczyma, spytała poufale Dominika, co się też stało młodemu Signorino. Tak mnie nazywała. Byłem dla niej Signorinem Dominika. Nie znała mego właściwego nazwiska, a nasz stosunek był dla niej zawsze rodzajem zagadki. Orzekła, że jakaś zmiana zaszła we mnie od czasu, gdy widziała mnie po raz ostatni. Dźwięcznym głosem o bogatym brzmieniu zachęcała Dominika, aby przyjrzał się mym oczom. Musiało mi się poszczęścić w miłości albo w kartach! - docinała. Na to Dominik odburknął wzgardliwie, że nie należę do ludzi, którzy by się o takie szczęście ubiegali. Wyjaśnił ogólnikowo, że znalazło się kilku młodych panów, którzy obmyślili doskonały sposób pozbycia się nadmiaru czasu i pieniędzy. Skoro jednak potrzebują pomocy człowieka świadomego rzeczy, to on, Dominik, nie uchyla się od przyłożenia ręki do ich przedsięwzięcia. Lekceważący stosunek Dominika do przekonań, poczynań i zdolności ludzi należących do klas wyższych obejmował również «zasadę legitymizmu», nie mógł on jednakże pominąć okazji rozwinięcia swych szczególniejszych uzdolnień na polu tak dobrze sobie znanym od dawna. W młodych latach był przecież zagorzałym przemytnikiem.

Obecnie układaliśmy się o kupno zwinnego statku i doszliśmy do przekonania, że musi to być *balancelle*, coś zupełnie odmiennego od statków zwykle używanych. Dominik wiedział o jednej, która byłaby całkowicie odpowiednia, ale znajdowała się w tej chwili na Korsyce. Wyraził gotowość udania się z rana do Bastii łodzią pocztową. Piękna, dostojna Madame Léonore słuchała go przez cały czas z uśmiechem, rozbawiona widać tym, że jej stary chłop przyłącza się tak skwapliwie do żakowskiej wyprawy. Pożegnała nas tego wieczora słowami: «Wy, mężczyźni, nigdy nie dorastacie», przy czym dotknęła leciutko siwych włosów nad skronią Dominika.”

W dwa tygodnie później:

“Popołudnie spędzone na Prado. Prześliczny dzień. Głębokie wzruszenie połączone z uczuciem lęku w chwili, gdy dzwoniłem do drzwi. Dlaczego? W rotundzie znajdującej się w głębi długiej sali jadalnej, zalanej popołudniowym światłem, Dona Rita, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na otomanie wśród stosu poduszek w postawie starożytnego bożyszczka lub małego dziecka, kiwa na mnie ręką z daleka i woła mile zdziwiona: «Co? Już pan wrócił?» Zdaję szczegółowo sprawę ze swych poczynań i gawędzimy przez dwie godziny. Pomędzy nami stoi waza z brązu zawierająca trochę wody, do której wrzucamy

niezliczone ilości papierosów ledwo napoczętych, nie czując nawet ich smaku w zapale interesującej rozmowy. Uderza mnie bystrość, z jaką ona podchwytuje to co najważniejsze, a także jej wielka inteligencja, przejawiająca się w wypowiedzianych uwagach. Szybko zanika między nami wszelki ceremoniał i wkrótce spostrzegam, że ja również siedzę na skrzyżowanych nogach pouczając Ritę o właściwościach różnych statków śródziemnomorskich i wysławiając przed nią romantyczne uzdolnienie Dominika w zakresie żeglugi. Zdaje mi się, że opowiedziałem jej całe dzieje tego człowieka, wspominając nawet o istnieniu Madame Léonore, której kawiarenka miała służyć za kwaterę główną dla marynarki Jego Królewskiej Mości. Rita powiedziała w zamyśleniu: «*Ah! Une belle Romaine*», po czym wyznała, że lubi, gdy się mówi o ludziach tego pokroju z szacunkiem, pomnąc na ich ludzką godność. Pragnęła poznać Dominika, by choć raz zobaczyć człowieka, na którym można polegać. Chciała wiedzieć, czy on dał się wciągnąć w tę awanturę tylko ze względu na mnie. Odpowiedziałem, że w pewnej mierze niewątpliwie z tego względu. Byliśmy ściśle zespoleni ze sobą w czasie podróży do Zachodnich Indii, skąd powróciliśmy razem. Dominik przy tym wie, że na mnie także można polegać. Przede wszystkim jednak robi to z upodobania. Jest w nim jakaś piękna beztroska i żyłka do awanturniczych przedsięwzięć.

- A u pana? - spytała. - Czy to też beztroska?

- W pewnej mierze - odrzekłem. - I do pewnych granic.

- To panu się prędko sprzykrzy.

- Jak mi się sprzykrzy, to pani otwarcie powiem. Może mnie także oblecieć strach.

Pani chyba wie, z jakim to jest połączone ryzykiem, nie mówiąc już o narażaniu życia.

- Na przykład? - spytała.

- Można być na przykład wziętym do niewoli, badanym i skazanym na tak zwane «galery» w Ceucie.

- I to wszystko z miłości do...

- Nie do legitymizmu, to pewne - przerwałem lekkim tonem. - Po co zresztą pytać o takie rzeczy?

Czy zadajemy pytania posągowi przeznaczenia, tej zasłoniętej postaci, która nie zna własnych myśli ani własnego serca? Nie ma wcale serca. Cóż by jednak było, gdybym ja zaczął rozpytywać panią, która przecież posiada serce i nie jest posągiem zasłoniętym dla moich oczu?...

Opuściła swoją śliczną, młodzieńczą głowę o tak mocnym zarysie, a tak delikatnym wyrazie. Odkryta jej szyja miała doskonałą okrągłość trzonu kolumny. Była przyodziana w ten sam szlafroczek z grubego, niebieskiego jedwabiu, który spowijał całą jej postać. Rita, jak

się zdaje, nosiła w tej epoce albo amazonkę, albo tę szatę, szczelnie przywierającą do tułowia, a nisko wyciętą na piersiach. Brak wszelkiej ozdoby dookoła szyi i szerokość rękawów odsłaniających głęboko nagie ramiona, sprawiały wrażenie wielkiej bliskości jej ciała, co by mogło wywoływać uczucie niepokoju, gdyby nie zupełna tego nieświadomość w jej zachowaniu. Tego dnia nie miała żadnej barbarzyńskiej strzały we włosach. Były one mocno szczesane do tyłu, z przedziałem na boku głowy i przewiązane czarną wstążką. Znikła miedziana aureola znad czoła i dookoła skroni. Ta surowość uczesania przydawała do wielu odmian jej wyglądu jeszcze wyraz dziecięcej niewinności. W naszym wzajemnym zbliżeniu zauważyłem wielki postęp wywołany nieświadomie przez entuzjastyczne zainteresowanie przedmiotem rozmowy, a w chwilach milczenia przez porozumiewawczy bieg naszych myśli. Ta szybko wzrastająca zażyłość - Rita istotnie posiadała ten dar - mieściła w sobie wszelkie możliwe odcienie: powagi, podniecenia, zapału, nawet wesołości. Śmiała się kontraltem, ale śmiech jej nigdy nie trwał długo, a ilekroć się urywał, cisza w pokoju, zalanym gasnącym światłem z licznych okien, zdawała się być przesycona ciepłem wibracji jej głosu.

Już zabierałem się do wyjścia po dość długiej przerwie, podczas której zapadaliśmy jakby w półsen, gdy Rita ocknęła się nagle ze spokojnym westchnieniem.

- Zapomniałam, że istnieję - rzekła.

Ująłem jej rękę i podniosłem ją do ust naturalnym ruchem, bez zastanowienia, gdy uczułem, że ramię, z którego ta ręka wyrasta, staje się nieczułe, bierne jak kończyna wypchanego zwierzątka, a cała osoba Rity zastyga w bezruchu. Opuściłem tę rękę porywczo, zanim się zbliżyła do moich ust, a była tak bezwładna, że opadła ciężko na tapczan.

Stałem jeszcze przed Doną Ritą, gdy podniosła ku mnie - nie oczy, ale całą twarz, z wyrazem zdziwionego oczekiwania, może prośby.

- Nie! To dla mnie nie dosyć - rzekłem.

Ostatnie blaski dnia rozświeciły jej podłużne, zagadkowe oczy, lśniąco jak drogocenna emalia w mroku ocienionej głowy, która w swym bezruchu nasuwała wizję z dalekiej przeszłości, wizję nieśmiertelnego dzieła sztuki, a nie przemijającego życia. W głosie jej był głęboki spokój. Zaczęła się tłumaczyć:

- To tylko przyzwyczajenie, a może instynkt, jak pan woli. Rodzaj samoobrony, bo inaczej... chciałoby mi się nieraz odrąbać to ramię.

Przypomniałem sobie, w jaki sposób jej ręka poddawała się dotknięciom białowłosego łotra, co uczyniło mnie posepnym i idiotycznie upartym.

- Bardzo pomysłowe, ale ja się na takich sztuczkiach nie rozumiem - oświadczyłem.

- Niech pan to sobie powetuje - odezwał się jej tajemniczy głos, podczas gdy

zaciemniona postać pozostała obojętna, nieruchoma pośród nagromadzonych poduszek. Ja również nie wykonałem żadnego ruchu. Odpowiedziałem przyciszonym głosem:

- Nie. Dopóki pani nie wyciągnie sama tej ręki do mnie - kiedyś.

- Kiedyś... - powtórzyła w jednym tchnieniu. Nie było w tym ironii, raczej wahanie, a może odraza?... cóż mogłem wiedzieć.

Wyszedłem z domu w dziwnym stanie posepnego zadowolenia z samego siebie.

A teraz ostatni wyjątek z notatnika. W miesiąc później:

Dziś po południu, gdy szedłem do jej willi, towarzyszyły mi po raz pierwszy niejasne obawy. Jutro wyruszam na morze. Będzie to pierwsza, a co za tym idzie, próbna wyprawa. Nie mogę się oprzeć dojmującemu wzruszeniu, gdyż taka próba nie może się żadną miarą nie udać. W tego rodzaju przedsięwzięciach nie ma miejsca na błędy. Czy spośród ludzi, których zgodziłem, każdy okaże się dostatecznie inteligentny, wierny i odważny? Jeśli chodzi o zespół, wydaje się to niemożliwe, ponieważ jednak każdej jednostce wyznaczam ograniczoną rolę, może potrafi poszczególnym zadaniom podołać. Czy tylko wszyscy okażą się punktualni? Przedsięwzięcie, którego powodzenie zawisło od punktualności wielu osób, chociażby najlepiej usposobionych i gotowych do bohaterских ofiar, wisi niejako na włosku. Zauważyłem, że ta sama troska nurtuje Dominika. On się też zastanawia. A gdy przeżuwa swoje wątpliwości, uśmiech jego, ukryty pod ciemnym, kręconym wąsem, nie uspokaja mnie bynajmniej. W takich rozmyślaniach jest jednak coś pobudzającego, i droga do willi wydała mi się wskutek tego krótsza niż zwykle.

Wpuściła mnie milcząca, wiecznie zakrzęta służąca, która znajduje się zawsze tam, gdzie potrzeba, i zawsze dokądś się śpieszy. Otwiera gościowi drzwi i natychmiast znika obrzuciwszy go w przelocie spojrzeniem bystrych czarnych oczu, pozbawionych połysku, jakby ktoś na nie chuchnął.

Wchodząc do pokoju, dostrzegam Millsa, który siedzi w fotelu przysuniętym do samej otomany. Biorę sobie drugi fotel i oto siedzimy obok siebie, naprzeciwko Dony Rity, zagłębionej w poduszkach. Jest serdeczna i uprzejma, a jednocześnie daleka, z tym wyrazem odwiecznej powagi w podłużnych, zacienionych oczach i tym przelotnym uśmiechem, który zdaje się błędzić dokoła jej warg, a nigdy na nich nie osiada, Mills był właśnie powrócił z hiszpańskiej granicy. Widocznie dopytywał Ritę o «oddanego przyjaciela» w białej peruce chcąc wiedzieć, czy nie dawał jej się więcej we znaki. Wywnioskowałem to z ich rozmowy dotyczącej złamanego serca pana Azzolatiego. Odpowiedziawszy ukłonem na ich powitanie, usiadłem obok nich i słuchałem, co mówiła Rita zwracając się z powagą do Millsa:

- Ależ nie, upewniam pana, że Azzolati nie uczynił mi nic złego. Znałam go od dawna.

Był częstym gościem w Pawilonie, choć osobiście nigdy z nim wiele nie rozmawiałam za życia Henryka Allègre. Inni mężczyźni bywali bardziej zajmujący, on zaś zachowywał się w stosunku do mnie z pewną rezerwą. Taki międzynarodowy polityk i finansista - przeciętne nic. Bywał przyjmowany, jak wielu innych, dlatego tylko, że jego osoba bawiła Henryka Allègre i syciła pogardę, jaką on żywił dla całego świata. Nienasycona to była pogarda...

- Tak - wtrącił Mills - wyobrażam to sobie.

- Ja zaś wiem aż nadto dobrze. Gdy zostawialiśmy sami, Henryk Allègre dawał przede mną upust swej ironii. Jeśli komukolwiek danym było widzieć ludzkość odartą z szat - jak danym było owemu dziecku z niemieckiej bajki oglądać nagiego króla - to tą osobą byłam w pierwszym rzędzie ja! Karmił tym moje uszy - uszy dziecka! Na szczęście było ono za młode, by umrzeć ze strachu, i nie dość dojrzałe, by zrozumieć, a nawet uwierzyć. Ale wtedy, bądź co bądź, otaczało mnie jego ramię. Śmiałam się czasem. Śmiałam się! Z tej destrukcji, z tych ruin! - Tak - rzekł Mills bardzo spokojnie, w przeciwieństwie do jej podniecenia. - Ale pani ma na swe usługi nieśmiertelny urok życia. Pani jest częstką Niezniszczalnego.

- Czy tak?... Nie otacza mnie jednak teraz niczyje ramię. Śmiech? - Gdzież się podział śmiech? Któż mi go odda?

I krótko się zaśmiała, na niską nutę. Nie wiem, jak reagował Mills - co do mnie zaś, przyciszona, posępna vibracja tego śmiechu rozebrzmiała echem w mojej piersi, w której przez chwilę uczułem pustkę - coś, jakby rozwartą przestrzeń przyprawiającą o zawrót głowy.

- Śmiech uleciał z mego serca, które dotąd czuło się otoczone opieką. Poczucie bezpieczeństwa odeszło. I mnie samą także czeka śmierć.

- Oczywiście - rzekł Mills niewzruszonym głosem. - W każdym razie śmierć w obecnym ciele...

- Ach, tak? Dziękuję! To słaba pociecha. Przechodzenie z jednego ciała w drugie na podobieństwo podróży, którym zmieniano konie na każdej stacji pocztowej. Słyszałam już o tych rzeczach...

- Nie wątpię, że pani słyszała - Mills przybrał ton uległy. - A czy nie usłyszymy jeszcze czego o Azzolatim?

- Owszem, posłuchajcie. Doszła mnie wiadomość, że został zaproszony na polowanie do Rambouillet, w niewielkim gronie, bo to nie było polowanie reprezentacyjne. Dużo rzeczy obija się o moje uszy. Potrzebowałam. pewnej informacji, a także przesłania pewnych wskazówek jednemu z dyplomatów, który miał się tam znajdować. Ten dostojnik nie chciał nigdy zetknąć się ze mną bezpośrednio, chociaż próbowałam tego wielokrotnie.

- Nie do wiary! - zadrwił Mills uroczyście.

- Ten pan nie dowierzał sobie, swojej wrażliwości. Widać urodził się ostrożnym - tłumaczyła Rita drwiąco, przy czym jej usta niedostrzegalnie zadrżały.

- I nagle przyszło mi na myśli wykorzystać Azzolatiego, który ustawicznie przypominał się mojej pamięci powołując się na dawną przyjaźń. Nie zwracałam dotąd uwagi na jego patetyczne odezwy. Tym razem jednak siadłam i napisałam do niego list zapraszając go na obiad do swego hotelu. Pan wie zapewne, że nie mieszkam już w Pawilonie. Nie mogę teraz znieść Pawilonu. Ilekroć jestem zmuszona tam pójść, już po godzinie zaczynam wyczuwać, że w tym domu straszy. Zdaje mi się, że dostrzegam za kolumnami znajomą postać, jak przesuwają się przez drzwi, znika, znów się ukazuje... Za zamkniętymi drzwiami słyszę lekkie kroki... Moje własne?...

Jej oczy i na w pół rozchylone wargi pozostały nieruchome, dopóki Mills nie odezwał się łagodnie:

- Dobrze. A co z Azzolatim?

Sztywność jej postawy znikła jak płat śniegu na słońcu.

- Och, Azzolati! Zaczęło się to bardzo uroczyście. Przyszła mi ochota ubrać się wspaniale. Próba wypadła jak najpomyślniej. Azzolati wyglądał przez chwilę na zaskoczonego, jakby przez pomyłkę wszedł do niewłaściwego pokoju. Nie widział mnie dotąd nigdy *en toilette*, rozumie pan? Dawniej bowiem po zrzuceniu z siebie sukni do konnej jazdy nie miałam zwyczaju się ubierać. Drapowałam się tylko - pamięta pan, panie Mills? To odpowiadało mojej opieszałości, mojemu dążeniu do całkowitej swobody ciała, jak wtedy, gdy pasłam kozy... Ale mniejsza z tym. Moim celem było wyrzeć wrażenie na Azzolatim. Chciałam pomówić z nim poważnie.

Było coś kapryśnego w szybkim mruganiu jej powiek i subtelnym drzeniu ust.

- Proszę sobie wyobrazić, że jemu przyszedł ten sam pomysł do głowy. Na obiad *tête-à-tête* wystroił się ten pajac jak na dworskie przyjęcie. Na klapie fraka umieścił wszystkie orderki nawleczone na długą szpilkę, a gors od koszuli przepasał na ukos szeroką, pomarańczową wstęgą. Zdaje mi się, że to był order bawarski. Azzolati - to wielki katolik! Ambicją jego było stać się bankierem wszystkich Burbonów na świecie. Resztkę włosów farbował na kolor kruczoczarny, a końce jego wąsów sterczały jak druty. Wyczułam, że gotów dać się ugnieść jak wosk w moim ręku. Na nieszczęście miałam tego dnia kilka rozmów dość przykrych, co mnie tak wzburzyło, że musiałam opanowywać nagle zachcianki tłuczenia szklanek, talerzy czy innego gwałtownego odruchu, w którym by moje uczucia mogły się wyładować. Jego uległość pogarszała tylko stan moich nerwów. Gotów był uczynić dla mnie wszystko pod warunkiem, że póki będzie żył, moje drzwi nigdy się przed nim nie

zamkną. Pan pojmuje bezczelność tego żądania, prawda? Ton, jakim to było wypowiedziane, był także nicksenny. Odparłam opryskliwie, że zaliczam się do plemienia Nomadów, a zatem żadnych stałych drzwi nie posiadam. Skłonił się na to ironicznie, tak nisko, że omal nosem nie dotknął talerza, i prosił pokornie, abym sobie przypomniła, że - o ile mu wiadomo - posiadam cztery domy na własność. Ja zaś słysząc to poczułam się bardziej bezdomna niż kiedykolwiek - ot, jak mały piesek, który zabłądził na ulicy i nie wie, w którą stronę biec. Gotowa byłam się rozplakać, a ten błazen Wpatrywał się we mnie z idiotycznym uśmiechem, który zdawał się mówić: «A co, potrafię zaszachować?...» Zgrzytnęłam zębami. Po cichu, ma się rozumieć. Panowie uważają mnie pewnie za bardzo niemądrą?

Urwała jakby w oczekiwaniu odpowiedzi, ale żaden z nas się nie odezwał, więc ciągnęła dalej:

- Przychodzą na mnie -takie dni. Często muszę godzinami słuchać fałszywych zapewnień, pustych słów, całego szeregu kłamstw, tak że gdy wieczór zapadnie, nie czuję się już zdolna do niczego, nawet do przyjęcia prawdy, gdyby mi się ona miała objawić. A ten idiota uraczył mnie bezczelną szczerością, której nie byłam w stanie znieść. Rozpoczął od zwierzeń. Chełpiąc się swoim olbrzymim powodzeniem w interesach jął utyskiwać na przepracowanie, które nie pozostawia mu czasu na rozrywki, na miłość, na podziwianie piękna, słowem, na to wszystko, co koi ludzkie serca. Jego serce! Pragnął, abym z nim współczuła. Powinnam była, oczywiście, tych zwierzeń wysłuchać, gdyż za przysługi się płaci. Ale byłam zdenerwowana i zmęczona, a on mnie niemożliwie nudził. Wyraziłam mu w końcu swoje zdziwienie, że człowiek tak kolosalnie bogaty jeszcze się ubiega o pomnożenie majątku. Przypuszczam, że popijał w ciągu rozmowy dużo wina, bo wymknęła mu się w odpowiedzi rzecz wprost okropna, której już absolutnie nie mogłam znieść. Po utyskiwaniach i rzewnych westchnieniach nagle ukazał żądło:

- Nie! - wykrzyknął. - Pani sobie nawet nie wyobraża, jaka to rozkosz czuć pod stopami tę zebrzącą hołotę, tych wszystkich kochanych, uczciwych, nieskazitelnych głodomorów, i patrzeć, jak się to wije i ślini.

Wystarczyłoby tych słów, by uznać go za skończone bydlę, ale trzeba było słyszeć ton, jakim je wypowiedział! Uczułam, że moje obnażone ramiona stają się zimne jak lód. A jeszcze przed chwilą robiło mi się słabo z gorąca. Zerwałam się od stołu i zadzwoniłam na Różę, aby przyniosła mi futro. Nie po ruszając się z krzesła rzucał na mnie ukośne, zaciekawione spojrzenia. Ledwo służąca zarzuciła mi futro na ramiona i odeszła, sprawiłam Azzolatiemu największą niespodziankę, jaka go kiedykolwiek w życiu spotkała.

- Proszę wynieść się natychmiast - rzekłam. - Może pan sobie deptać po biednych

ludziach, ile się panu podoba, ale do mnie już nie wolno się panu odezwać.

Wsparł głowę na rękę osłaniając sobie oczy i siedział tak nieruchomo, aż musiałam go zapytać - całkiem spokojnie - czy życzy sobie, abym go kazała wyprowadzić na korytarz? Wciągnął głęboko powietrze do płuc. «Pragnąłem być uczciwy wobec pani, Rito.» Zanim jednak doszedł do drzwi, odzyskał nieco zwykłej bezczelności. «Pani też potrafi deptać po nieszczęśliwym człowieku - rzekł. - Nie mam nic przeciwko temu, aby znaleźć się pod jej ślicznym pantofelkiem, i przebaczam pani, Dono Rito. Sądziłem, że pani pozbyła się pospolitego sentymentalizmu, że pani posiada niezależny umysł. Zawiodłem się, oto wszystko.» - Mówiąc to, udawał, że ociera łzę z oka - stary krokodyl! - i wyszedł pozostawiając mnie otuloną w futro przed rozżarzonego kominka. Szczękałam zębami, które dzwoniły jak kastaniety. Czy panowie słyszeli kiedy równie głupią historię? - dokończyła tonem wielkiej szczerości, z głębokim, nieodgadnionym spojrzeniem, które biegło w jakąś dal poza nami.

Z chwilą gdy przestała mówić, usta jej zastygły w tak doskonałym spokoju, że zastanawiałem się, czy to one wypowiedziały to wszystko, czy też ta opowieść powstała w moim umyśle.

Po jakimś czasie Dona Rita znów zaczęła mówić jakby do samej siebie:

- Czasem mi się zdaje, że zdejmuję pokrywki z pudełek i dostrzegam w nich okropne ropuchy, wytrzeszczające na mnie oczy. W każdym pudełku bez wyjątku. To jest nieuniknione, gdy się ludzi dopuszcza na bliższą odległość, niż «dzień dobry» i «dobranoc». Bywa z niektórymi i tak, że gdy wystrzegamy się dotknięcia ich pokrywek, to oni uchylają je sami. Często nie wiedzą, nie domyślają się nawet, co pokazują. Niektóre ich zwierzenia - to gorzkie obelgi, z czego nie zdają sobie sprawy. Przypuszczam, że taki Azzolati uważa się za wspaniałą, drapieżną bestię. Inni znowu mają siebie za wzór delikatnych, szlachetnych, wyrafinowanych dżentelmenów, a gotowi zawsze korzystać z kobiecej niedoli i nic sobie z tego nie robić. Ach! Idioci!

Zupełna nieobecność gniewu w tym głośnym rozmyślaniu nadawała mu charakter wzruszającej prostoty. My zaś - jakby to rzeczywiście była tylko medytacja - udawaliśmy, że nic nie słyszemy. Mills zaczął opowiadać o swoim pobycie wśród wojska Jego Królewskiej Mości i spostrzeżeniach, jakie tam uczynił. Przekonałem się, że ten książkowy mól potrafi przedstawiać rzeczy barwnie i plastycznie. Jego podziw dla dzielności i poświęcenia żołnierzy łączył się z ogromnym niesmakiem, jakim nappełnił go widok niewłaściwego użytkowania tych cennych zalet. Zauważył bowiem u kierowników tej wielkiej imprezy żalostną krótkowzroczność, fatalny brak decyzji oraz jakiegokolwiek planu działania.

Potrząsnął głową.

- Uważam, że pani, Dono Rito, powinna usłyszeć prawdę przed wszystkimi innymi ludźmi. Nie dość dobrze rozumiem, co pani właściwie wkłada w tę grę.

Zaróżowiła się jak nieruchomy posąg na pustyni w blaskach porannej zorzy.

- W każdym razie nie serce - rzekła spokojnie. - Może mi pan wierzyć.

- Wierzę. Byłoby więc może wobec tego lepiej...

- Nie, *Monsieur le Philosophe*. Nie byłoby lepiej. Proszę nie robić takiej poważnej miny - dodała tkliwie wesołym głosem. Nuta tkliwości zdawała się być u niej dziedzictwem, na które złożyły się wieki, wesołość zaś samym rdzeniem jej istoty.

- Pan zapewne sądzi, że kobieta, która postąpiła tak jak ja, nie kładąc serca na szalę - że taka kobieta jest... Ale skąd pan może wiedzieć, jakim odruchom ulega serce, gdy sobie tak bije z dnia na dzień?...

- Nigdy bym się nie ośmielił pani sądzić. Czymże ja jestem wobec wiedzy, z którą się pani urodziła? Pani jest tak dawna, jak dawny jest świat.

Przyjęła to z uśmiechem. Przyglądając się jej z całą niewinnością, zdumiałem się nad spostrzeżeniem, jak wiele ponęty może zawierać w sobie rzecz tak przelotna jak uśmiech, bez udziału innych rysów twarzy i przy tym nieruchomym wejrzeniu.

- Dla mnie jest to *pun d'onor* wobec pierwszego przyjaciela z wyboru.

- Rozstaliście się bardzo prędko - zaryzykował Mills, podczas gdy ja siedziałem cicho, z uczuciem dziwnego ucisku serca.

- Niech pan ani na chwilę nie przypuszcza, że wycofałam się pod wpływem strachu - rzekła. - To mnie się bano. Pan musiał nasłuchiwać się wielu plotek w Kwaterze Głównej?

- O tak - odpowiedział Mills znacząco. - Jasnowłose i ciemnowłose zmieniają się jak liście, które wiatr przynosi i zmiata. Nie wiem, czy pani zauważyła, że liście gnane wiatrem robią wrażenie szczęśliwych?

- Tak - rzekła - te liście już nie żyją. Czemużby więc nie miały być szczęśliwe? A teraz «ludzie odpowiedzialni» nie mają już chyba powodu do obaw?

- Na ogół nie. Czasem, czasem może się wydawać, że ów listek przywrze. Taka na przykład pani...

- Ach, nie chcę wiedzieć. Rozumiem wszystko - jestem przecież równie stara jak świat.

- Tak - wyrzekł Mills w zamyśleniu. - Pani, nie jest liściem. Pani mogłaby być tornadem.

- Daję panu słowo - rzekła - iż był czas, kiedy im się zdawało, że ja go mogę porwać,

odwieść od powziętych zamiarów, unieść ponad nich wszystkich. Prawdę mówiąc, nie pochlebiały mi te ich obawy. Nie było w tym zuchwałego rozmachu, który by mógł wzbudzić wielką namiętność. Nie było smutku godnego wielkiego uczucia.

- A, więc to jest sens tej weneckiej zagadki? - spytał Mills wpatrując się w nią przenikliwie.

- Jeśli się panu podoba tak ją rozumieć, Senor - odparła obojętnie.

W poruszeniu jej oczu o przymglonej poświacie ukazał się przebłysk psoty, gdy spytała:

- Czy widywał pan tam Don Juana Blunta?

- Zdaje mi się, że mnie unikał. Przebywa zresztą stale w pułku, na wysuniętych placówkach. To jeden z dzielniejszych oficerów. Niektórzy uważają go za ryzykanta.

- Ach, dlaczego miałby szukać śmierci? - rzekła tonem nieokreślonym. - Szukać śmierci jako przystani. W jego życiu nie będzie na to nigdy nic dostatecznie wielkiego.

- Pani jest rozdrażniona. Musi pani odczuwać brak jego obecności, Dono Rito.

- Rozdrażniona? Nie! Tylko znużona. Ale oczywiście, że jego nieobecność jest mi niewygodna. Nie mogę przecież sama odbywać konnych przejażdżek. Samotna amazonka łykająca kurz i słony pył wodny na Corniche'y zanadto zwracałaby uwagę. A poza tym przyznaję, że boję się samotnych spacerów.

- Pani się boi? - wykrzyknęliśmy obaj jednocześnie.

- Wy, mężczyźni, jesteście niesłychani. Dlaczego żądacie ode mnie odwagi? Dlaczegożbym nie miała się bać? Czy dlatego, że nikt na świecie nie dbałby o to, co by mnie mogło spotkać?

Było po raz pierwszy jakieś załamanie się w jej głosie. Nie mieliśmy nic do powiedzenia. Ona zaś dodała po długim milczeniu:

- Istnieje do tego uzasadniony powód. Istnieje niebezpieczeństwo.

Ze zdumiewającą wnikliwością Mills od razu stwierdził:

- Coś zapewne odrażającego.

Skinęła lekko głową parokrotnie. Na to Mills odrzekł z przekonaniem:

- A zatem nie może to mieć nic wspólnego z istotą pani. W takim razie...

Nagły impuls pchnął mnie do wtrącenia dziwacznej rady:

- Powinna pani wyjechać ze mną na morze. I tam mogą grozić niebezpieczeństwa, ale nie będzie strachu przed niczym odrażającym.

Rzuciła na mnie spłoszone spojrzenie zupełnie u niej niezwykle, które wydało mi się cudne. I nagle, jakby dostrzegając mnie po raz pierwszy, wykrzyknęła tonem pełnym żalu:

- Ach - i ten jeszcze! Po co, dlaczego ma narażać życie dla sprawy, która i tak wkrótce rozsypie się w proch?

- Pani się w proch nie rozsypie - odrzekłem.

- Ten młody entuzjasta zawsze powróci do swego morza - stwierdził Mills. Powstaliśmy wszyscy z miejsc. Zatrzymała na mnie oczy i powtórzyła z rodzajem kapryśnej zazdrości:

- Morze! Fioletowe morze! On za nim tęskni.

W nocy, pod gwiazdami, spotkanie kochanków... - Te dwa słowa, którym towarzyszył tęskny uśmiech, lekko zaprawiony drwiną, przeszły mnie dreszczem od stóp do głów. Zwróciła się do Millsa:

- A pan? - zapytała.

- Ja wracam do ksiązek - oświadczył z powagą. - Moja przygoda już skończona.

- Każdy wraca do swej miłości - dodała żartobliwie. - Jakże ja w swoim czasie kochałam książki!

Zdawało mi się, że zawierają w sobie całą mądrość świata, a także moc czarodziejską. Niech mi pan powie, panie Mills, czy znalazł pan wśród tych wielu, wielu ksiąg bodaj jedną, która by nauczyła odgadywania przeznaczeń zwykłych śmiertelników, która by dawała moc wejrzenia w przyszłość?

Mills potrząsnął głową.

- Co? Nawet w moją przyszłość? - Przymiliła się, jakby istotnie wierzyła w moc czarodziejską ksiązek.

Mills znowu potrząsnął przecząco głową.

- Nie, tej mocy nie posiadam. Nie jestem magikiem, podobnie jak pani nie jest zwykłym śmiertelnikiem. Pani ma w swym władaniu odwieczne uroki. Pani jest stara jak świat. Z nas dwojga to pani raczej może wróżyć przyszłość tym biednym śmiertelnikom, na których spoczęły jej oczy.

Opuściła powieki i wśród głębokiego milczenia, jakie zapanowało, dostrzegłem lekkie wznoszenie się i opadanie jej piersi.

Wreszcie Mills wypowiedział z naciskiem:

- Żegnaj, stara czarodziejko.

Uścisnęli sobie ręce serdecznie.

- Żegnaj, biedny czarnoksiężniku - odrzekła.

Wydawało mi się, że Mills chce jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Na mój ukłon, złożony z daleka, Dona Rita odpowiedziała lekkim pochyleniem całego ciała,

ceremonialnym i pełnym wdzięku:

- *Bon voyage* i szczęśliwego powrotu - rzekła oficjalnym tonem.

Już dochodziłem do drzwi w ślad za Millsem, gdy usłyszałem za sobą jej podniesiony głos:

- O, jeszcze chwilę... Byłabym zapomniała...

Odwrociłem głowę. Słowa odnosiły się do mnie, więc podszedłem do niej wolnym krokiem, zastanawiając się, o czym mogła zapomnieć. Stała na środku pokoju ze spuszczoną głową i niemym blaskiem w głębokich niebieskich oczach. Gdy znalazłem się zupełnie blisko, bez słowa wyciągnęła ku mnie nagie, białe ramię i nagłym ruchem przycisnęła rękę do moich ust. Byłem zbyt zaskoczony, by ją uchwycić z uniesieniem. Ręka oderwała się od moich warg i opadła powoli wzdłuż ciała. Nastąpiło między nami pojednanie, po którym nie mieliśmy sobie już nic do powiedzenia. Odwróciła się do okna, a ja pośpiesznie wybiegłem z pokoju.

CZEŚĆ TRZECIA

I

Po powrocie z tej pierwszej wyprawy zaprowadziłem Dominika do willi, by go przedstawić Donie Ricie. Jeśli jej chodziło o zobaczenie człowieka będącego wcieleniem wierności, pomysłowości i odwagi, mogła te wszystkie cechy w nim jednym odnaleźć. Widoczne było, że się nie zawiodła. Nie zawiódł się także Dominik. W ciągu półgodzinnej rozmowy porozumieli się w zadziwiający sposób, jak gdyby posiadali jakiś wspólny, tajemniczy punkt widzenia na sprawy życia. Wynikało to może z ich wspólnej skłonności do wyłamywania się spod prawa oraz jakiejś niedostępnej wiedzy o rzeczach starych jak świat. W jej uroku i w jego zuchwałej odwadze była prostota i władczość - w pewnym sensie były one warte siebie nawzajem.

Nie można powiedzieć, aby to spotkanie zaimponowało Dominikowi. Żadna kobieta nie mogła mu zaimponować. Ale niewątpliwie dało mu ono do myślenia, gdyż zachowywał się jak człowiek wzbogacony nie tyle doznaniem nowego przeżycia, ile rodzajem objawienia. Później, na morzu, niejednokrotnie wspominał Senorę szczególnym tonem, który przekonał mnie, że przestałem być jedynym bodźcem jego współdziałania. Rozumiałem doskonale, że inaczej być nie mogło. Co się zaś tyczy Dony Rity, to po wyjściu Dominika zwróciła się do mnie z ożywieniem:

- Chciałoby się opiekę nad własnym bezpieczeństwem złożyć w ręce tego człowieka. On wygląda tak, jakby po prostu -nie mógł zawieść zaufania.

Przyznałem, że tak jest, szczególnie na morzu. Dominik nie mógł zawieść. Skorzystałem ze sposobności, żeby zadrwić sobie z jej troski o osobiste bezpieczeństwo, która tak często przebijała z jej słów.

- Można by sądzić, że pani jest koronowaną głową w kraju ogarniętym przez rewolucję - mówiłem.

- To byłoby co innego. Człowiek broniłby wtedy jakiejś idei, dla której warto czy nie warto umierać, albo by uciekł i skończył z tym wszystkim. A ja nie mogę uciec, chyba bym rzuciła własną skórę i zostawiła ją poza sobą. Nie rozumie pan? No, to jest pan głuptaskiem. I łaskawie dodała: - Udaje głuptaska!

Nie wiem co sadzać o tym « udawaniu » ani o tym głuptasku. Jej słowa oszałamiały. A

oszołomienie jest rodzajem głupoty. Poradziłem sobie z tym nie zwracając uwagi na sens jej powiedzenia. Brzmienie jej głosu, jej obecność, przenikająca serce aż do bólu, pochłaniały mnie całkowicie. Były one dla mnie większą tajemnicą niż niezrozumiałe słowa. Tego jednak ona nie mogła wiedzieć. Zabawne wybuchy gniewu, w mowie i w ruchach, wznagały tylko przyrodzoną, nieprzepartą siłę jej uroku. Zdarzało jej się przewrócić wazę z brązu lub cisnąć pudełkiem z papierosami, które sypały się jak grad na podłogę. Trzeba je było zbierać, przywracać porządek na stole, po czym zapadaliśmy w długie milczenie zbliżające nas do siebie tak bardzo, że pierwsze wypowiedziane słowo sprawiało ból, podobny do tego, jaki się odczuwa przy rozstaniu.

W tym to czasie Dona Rita zaczęła mnie namawiać, abym zamieszkał w jej domu przy ulicy Konsulów. Taka przeprowadzka miałaby dodatnie strony.

Nagle moje wyjazdy mogły stać się przedmiotem komentarzy, gdybym dłużej pozostał w dotychczasowej siedzibie.

Z drugiej jednak strony, dom przy ulicy Konsulów znany był jako placówka legitymizmu. Osłaniały go jedynie tajemnicze wpływy tej osoby, którą w poufnych rozmowach, w tajnych zleceniach i dyskretnych szeptach prawomyślnych salonów nazywano «Madame de Lastaola». Tak brzmiało nazwisko, które spadkobierczyni Henryka Allègre zdecydowała się przybrać wtedy, kiedy według własnych słów znalazła się rzucona w ciżbę ludzką «niemal bez wymówienia». Dziwna rzecz: śmierć Henryka Allègre, której biedak z pewnością nie przewidywał, nabrała w mych oczach charakteru okrutnej dezercji. Dopatrywałem się w tym człowieku zdumiewającego, egoizmu pod pokrywką uczucia, którego nie umiałem nazwać. Było to jakby tajemnicze przywłaszczenie sobie jednej istoty ludzkiej przez drugą, jakby wyzwanie rzucone niesformułowanym prawom, dla zaspokojenia nienasyconej, wprost niepojętej pychy. Gdyby nienawidził Rity, nie mógłby brutalniej obciążyć jej olbrzymią fortuna. Zdawało się, iż jego śmierć, nie poprzedzona skruchą, uchyliła rąbek zasłony, za którą kryło się coś wyniosłego i złowrogiego jak kaprys Olimpijczyka. Dona Rita powiedziała mi kiedyś z zabawną rezygnacją:

- Wie pan, *amigo*, podobno trzeba mieć jakieś nazwisko. Tak przynajmniej twierdził adwokat Henryka Allègre. I przynaglał mnie i niecierpliwił się. Swego nazwiska już nie miałam, zabrał mi je Henryk Allègre, jak zabrał wszystko, czym dawniej byłam. I to wszystko poszło z nim razem do grobu. Miałam wrażenie, że moje dawne nazwisko nie byłoby już prawdziwe, dlatego przybrałam imię. - I szepnęła do siebie: - Lastaola - nie tak, jakby jej chodziło o wypróbowanie brzmienia tego słowa, ale tak, jakby wymawiała je we śnie.

Do dziś dnia nie jestem pewien, czy to była nazwa ludzkiej siedziby, jakiegoś

samotnego *caserio* z na wpół zatartą w płaskorzeźbie tarczą herbową nad drzwiami, czy nazwa wioski u wylotu ślepego wąwozu kończącego się skalistym zboczem. O ile wiem, mogło to być równie dobrze wzgórze, rzeka albo las, może połączenie wszystkich tych rzeczy; po prostu kawałek powierzchni ziemi. Zapytałem ją raz o dokładne położenie tej miejscowości, na co odpowiedziała od niechcienia, wskazując skinieniem ręki na głuchą ścianę pokoju: «O, gdzieś tam».

Myślałem, że się już niczego więcej nie dowiem, ale dodała niedbale:

- Wypędzałam tam swoje kozy, około dwunastu sztuk. Pasły się cały dzień od chwili, kiedy mój wuj kończył odprawiać mszę, aż do odezwania się dzwonu na «Anioł Pański».

Ujrzałem w wyobraźni samotne zbocza, o których niedawno opowiadał pan Blunt, a na ich tle zwinne, brodate kozy o cynicznych łbach i małą, mglistą figurkę w słońcu, z aureolą roztarganych, rdzawych włosów dokoła główki.

To ona sama tak je określała mówiąc, że są koloru rdzy. W rzeczywistości były kasztanowate. Parę razy wspomniała przy mnie o tych włosach «koloru rdzy» śmiejąc się z rozdrażnieniem. Do tej pory nie przystosowały się do wymagań cywilizacji - pozostały niesforne. W zapale dyskusji niejednokrotnie spadały na oczy pani de Lastaola, możnej właścicielki skarbów sztuki budzących powszechną zazdrość, spadkobierczyni Henryka Allègre.

Uspodobiona widać do rozpamiętywania przeszłości Kita znów zaczęła mówić, przy czym twarz jej nabrała weselszego wyrazu, z wyjątkiem ciemnoszafirowych oczu, które tak rzadko traciły swe nieruchome badawcze spojrzenie, zdając się wpatrywać w rzeczy niewidoczne dla innych.

- Moje kozy były bardzo poczciwe. Skakałyśmy razem po kamieniach, ale one prześcigały mnie w tej zabawie. Wiecznie zaczepiałam sobie włosy o gałęzie krzaków.

- Włosy koloru rdzy - wtrąciłem.

- Tak. Zawsze takie były. Pozostawiałam też na krzakach strzępy sukienki. Cieniutkiej sukienki, upewniam pana. Niewiele tam było tej tkaniny osłaniającej moją skórę. Nogi miałam spalone od słońca, równie jak twarz. Piegów miałam co niemiara! Na plebani! nie było zwierciadła, ale wuj używał do golenia lusterka niewiększego niż moje dwie dłonie. Którejś niedzieli zakradłam się do jego pokoju i przejrzałam się w lusterku. Jakże się zdumiałam na widok własnych oczu, które się w nim odbijały! Było to zachwycające. Miałam wtedy jedenaście lat i żyłam w wielkiej przyjaźni z kozami. Głos miałam ostry jak u świerszcza, a chuda byłam jak zapałka. Boże! Gdy teraz usłyszę siebie albo też gdy na siebie patrzę, nie wydaje mi się to możliwe. A jednak to byłam ja, ta sama. Pamiętam wszystkie

moje kozy. Mądre z nich były stworzenia. Kłopotu właściwie nie sprawiają żadnego, bo nie mają zwyczaju się rozpraszać. Moje nie czyniły tego nigdy, nawet wtedy, kiedy zmuszona do krycia się, schodziłam im z oczu na długo.

Spytałem - co było rzeczą naturalną - dlaczego musiała się chować. Jej wymijająca odpowiedź brzmiała raczej jak komentarz do mego zapytania:

- W tym właśnie było coś z fatalizmu.

Usposobiło mnie to do przekory, często bowiem przekomarzaliśmy się jak dzieci.

- Doprawdy - rzekłem - pani mówi jak poganka. Cóż pani mogła wtedy wiedzieć o przeznaczeniu? Jakże ono wyglądało? Spłynęło z nieba, czy jak?

- Niechże pan nie mówi nonsensów. Przyszło zwykłą, jezdnią drogą, po której jeżdżą wozy, i miało postać chłopca. Jakież to było diablątko. Ja, rozumie pan, nie mogłam o tym wiedzieć. Chłopiec był moim kuzynem, bogatym kuzynem. My tam wszyscy jesteśmy spokrewnieni, jak w Bretanii. Nie był większy ode mnie, chociaż starszy - taki chłopaczyna w niebieskich spodniach i porządnych trzewikach na nogach. To mnie zainteresowało i zaimponowało. Zawołał na mnie z dołu, odpowiedziałam mu wołaniem z góry, więc przyszedł, usiadł tuż przy mnie na kamieniu i nie mówiąc ani słowa pozwolił się oglądać. Upłynęło z pół godziny, zanim raczył mnie zapytać, kim jestem. A jaki ton przybrał wyniosły! Czułam się onieśmielona tym jego milczeniem i pamiętam, że siedząc poniżej na ziemi robiłam, co mogłam, by przykryć krajem spódniczki moje boscie stopy.

Przerwała opowiadanie, by po chwili wtrącić w smutnym zamyśleniu:

- *C'est comique, eh?*

Spojrzałem na nią współczująco, a ona ciągnęła dalej:

- Był jedynym synem gospodarzy, posiadających dużą fermę w odległości dwóch mil od nas, u podnóża góry. W zimie posyłali go do szkoły w Tolosie. Chłopiec miał niezmiernie wysokie wyobrażenie o sobie i zamierzał w przyszłości założyć sklep w mieście. Poza tym był najbardziej niezadowolonym stworzeniem, jakie mi się zdarzyło widzieć. Miał żalony wyraz ust, żalony oczy i wiecznie był z jakiegoś powodu nieszczęśliwy. Skarżył się, że się z nim źle obchodzą, że trzymają go na wsi, że każą mu pracować. Jęczał, narzekał i groził całemu światu, nie wyłączając ojca i matki. Przeklinał nawet Boga! Tak! Ten chłopak, siedzący na skale jak nędzny, mały Prometeusz, któremu chyba wróbel wydziobywał wątróbkę! I to wśród przepysznego górskiego krajobrazu, cha, cha, cha!

Zaśmiała się kontraltem. Śmiech to był przejmujący, a w jego brzmieniu wyczuwało się pobłażliwość. Nie udzielał się innym, pobudzał najwyżej do uśmiechu.

- Oczywiście, że ja, nieszczęsne stworzenie, nie wiedziałam, co z tym robić, i byłam

cokolwiek zastraszona. Widok tych jego żalonych oczu sprawił, że mu z początku współczułam, prawie tak, jakby był chorą kozą. Ale niezależnie od strachu czy litości - nie wiem dlaczego - zawsze mnie rozśmieszał, i to od pierwszej chwili, od owego dnia, kiedy mi się kazał w milczeniu podziwiać. Tak, już wtedy musiałam co chwila osłaniać sobie usta dłonią - ze względu na dobre maniery - rozumie pan. A nie należałam wcale do łatwo śmiejących się dzieci. Pewnego dnia przyszedł z miną bardzo godną i usiadłszy w pewnej odległości ode mnie oświadczył, że dostał w skórę za włóczenie się po górach.

- Czy za to, żeś był ze mną? - spytałam.

- Z tobą? Cóż znowu. Moi rodzice nie wiedzą, co ja robię.

- Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale mnie to uraziło. Zamiast okrzyku współczucia, którego zapewne się spodziewał, zapytałam go tylko, czy chłosta bardzo bolała. Wstał z miejsca - a w rękę trzymał pręt - i podszedłszy do mnie, rzekł: «Pokażę ci.» Zesztywniałam ze strachu, on zaś, zamiast mnie uderzyć, osunął się na kolana i pocałował w policzek. Powtarzał to raz po raz, a ja zupełnie zmartwiałam i mógł być jak z martwą robić, co by mu się podobało, gdyby się nagle zatrzymał, Wróciła mi wtedy przytomność i rzuciłam się do ucieczki. Daleko nie mogłam odbiec, nie chcąc porzucić swoich kóz. Gonił za mną w kółko dookoła skał, ale oczywiście byłam zbyt rączna dla niego i dla jego pięknych, miejskich trzewików. Zabawa ta niebawem go zmęczyła, a wtedy zaczął ciskać we mnie kamieniami. Od tej pory stale urozmaicał mi życie. Czasem zaskakiwał mnie niespodzianie i musiałam spokojnie wysłuchiwać jego nieszczęsnych bredni, bo chwycił mnie w pól i mocno trzymał. Nawet wtedy zbierało mi się na śmiech. Ilekroć, dostrzegłszy go z daleka usiłowałam się wymknąć, poty obrzucał mnie kamieniami, dopóki mnie nie zapędził do kryjówki w skałach. Sam zasiadał u wejścia i czekał godzinami, tak że nie mogłam stamtąd nosa wysunąć. Rzucił się, złorzeczył mi, a jeśli - jak to bywało - usłyszał mój wybuch śmiechu, zaczynał tarzać się po ziemi i gryźć palce z wściekłości.

Obserwowałam go poprzez gałęzie z głębi szczeliny skalnej i nieraz ogarniał mnie strach. Jakże on mnie nienawidził! Jestem zupełnie przekonana, że gdybym w takiej chwili wybuchnęła płaczem, wtargnąłby do mojej kryjówki i byłby mnie może udusił. O zachodzie słońca rozpoczynała się inna udreka. Kazał mi przysięgać, że zostanę jego żoną, skoro tylko dorosnę. «Przysięgaj, mała nędzniczo!» - wykrzykiwał. A ja przysięgałam. Byłam głodna i nie życzyłam sobie czarnoniebieskich sińców po całym ciele od jego kamieni. Ach, ileż razy przysięgałam! Trzydzieści razy na miesiąc przez dwa miesiące. Na nic by się nie zdało skarżyć się starszej siostrze, Teresie. Gdy pokazałam jej kiedyś moje sińce i napomknęłam o swym utrapieniu, zgorszyła się okropnie. Nazwała mnie grzeszną dziewczyną i bezwstydnym

stworzeniem. To wytworzyło w mojej głowie taki zamęt, że - obcując na przemian z nią i z tym chłopaczyskiem Josem - doszłam do częściowego zidiocenia. Na szczęście po dwóch miesiącach oddano go z domu na dobre. To dziwne, nieprawdaż, aby taka historia przytrafiła się pasterce kóz żyjącej całymi dniami pod okiem Boga, jakby się wyraził mój wuj cura. Teresa zarządzała wtedy domem na plebanii. To straszna osoba.

- Słyszałem o pani siostrze, Teresie - rzekłem.

- Czy tak? O tej dużej siostrze, starszej ode mnie o sześć czy dziesięć lat? Dorasta mi zaledwie trochę powyżej ramienia, ale ja zawsze byłam długą tyczką. Matki mojej nie znałam. Nie wiem nawet, jak wyglądała. W naszych domach wiejskich, tam, wśród wzgórz, nie ma portretów ani fotografii. Nie opowiadano mi też o niej nigdy. Przypuszczam, że nie byłam tego godna. Teresa postanowiła widzieć we mnie samo zło, a teraz jest przekonana, że moja dusza będzie zgubiona, o ile nie poddam się odpowiednim zabiegom celem jej ratowania. Ja zaś nie odczuwam szczególniejszej do tego ochoty. Posiadanie siostry, która zmierza wielkimi krokami ku wiecznemu potępieniu, może być rzeczywiście nieprzyjemne, ale istnieją rekompensaty... To najzabawniejsze, że - o ile wiem - Teresa była tą osobą, która przeszkodziła mi odwiedzić plebanie, gdy w przeszłym roku po powrocie z Quartel Real zboczyłam umyślnie z drogi, by do niej zajrzeć. Nie mogłabym w żadnym razie zabawić tam dłużej niż pół godziny, ale chciało mi się choć raz przekroczyć stare progi. Jestem przekonana, że to Teresa namówiła wuja, aby wyszedł na moje spotkanie do stóp wzgórza. Dostrzegłam 'starca z bardzo daleka i domyśliłam się, o co mu chodzi. Zsiadłam z muła, by pieszo podejść do niego i przechadzaliśmy się przez pół godziny po drodze, tam i z powrotem. Ten wieśniak boży nie wiedział, jak się ma do mnie odnosić. I ja oczywiście czułam się nieswojo, nie było bowiem w pobliżu ani jednej kozy, która by ma. mogła dodać odwagi. Powinnam go była uściskać. Kochałam zawsze tego surowego, naiwnego starca. Ale skoro tylko się zbliżyłam, wyprostował się i oficjalnie zdjął przede mną kapelusz. Aż tak był prostoduszny. Skłoniłam głowę i poprosiłam go o błogosławieństwo. Na to rzekł: «Nie odmawiam błogosławieństwa prawomyślniej legitymistce.» Aż tak potrafił być surowy. Gdy przypomnę sobie, że byłam jedyną dziewczynką w rodzinie, a może na całym świecie, którą on gładził po głowie, jedyną w ciągu jego długiego kapłańskiego życia! Gdy o tym pomyślę... W tym momencie czułam się prawdopodobnie równie nieszczęśliwa jak on sam. Wręczyłam mu kopertę z wielką czerwoną pieczęcią, której widok zupełnie go zaskoczył. Pismo było od markiza de Villarel. Prosiłam go o napisanie do mego wuja jako do człowieka mającego duże wpływy w swym powiecie. Markiz nakreślił własnoręcznie parę pochlebnych słów, pytając przy tym o nastroje panujące wśród ludności. Wuj odczytał list, spojrzął na

mnie posepnie z wyrazem głębokiego wzruszenia i prosił, bym oświadczyła jego ekscelencji, że tutejsi ludzie stoją wszyscy przy Bogu, przy prawowitym królu i dawnych przywilejach. Spytał mnie jeszcze strasznie ponurym głosem o zdrowie Jego Królewskiej Mości. Wreszcie ja się odezwałam: «Pozostaje mi już tylko jedno: wręczyć wujowi dwa funty doskonałej tabaki, które dla wuja przywiozłam.» Cóż innego mogłam staruszkowi ofiarować? Bagażu ze sobą nie miałam. Chcąc pomieścić tabakę w podróźnej torebce musiałam zostawić w hotelu parę zapasowych trzewików. I proszę sobie wyobrazić! Stary ksiądz odepchnął pudełko z całą stanowczością. Byłabym mu je rzuciła na głowę, ale oto nagle stanęło mi przed oczyma jego surowe życie poświęcone modlitwie, pozbawione swobody i jakiegokolwiek przyjemności poza tą szczyptą tabaki, na którą sobie czasem pozwalał. Przypomniałam sobie, jaki bywał nieszczęśliwy, gdy mu zabrakło parę groszy na tytoniowe liście. Twarz mi pałała, ale nie wybuchnęłam gniewem uświadomiwszy sobie, jak bardzo prostym był człowiekiem. Powiedziałam tylko z wielką godnością, że podarunek pochodzi od króla, a ponieważ wuj nie chciał go przyjąć z moich rąk, nie pozostaje mi nic innego, jak rzucić go do strumienia, i uczyniłam ruch, jakbym to miała rzeczywiście zrobić.

- Stój, nieszczęsne dziecko! - wykrzyknął. - Czy to naprawdę dar Jego Królewskiej Mości, którą niech Bóg zachowa? Odrzekłam wyniośle: «Oczywiście.» Spojrzał na mnie miłosiernym wzrokiem, westchnął głęboko i wziął blaszane pudełko z moich rąk. Wyobrażał sobie widocznie, że zgodnie ze swym lekkomyślnym trybem życia wyłudziłam od króla potrzebne pieniądze na zakupienie tej tabaki. Pan nie ma pojęcia, jaki on jest naiwny i jak go łatwo oszukać. Ale proszę nie sądzić, że to był z mej strony cynizm grzesznicy. Skłamałam przed kochanym człowiekiem, nie mogąc pogodzić się z myślą, że ominie go jedyna przyjemność, na jaką pozwala swemu wielkiemu, wycieńczonemu ascetyzmem ciału. Gdy już wsiadałam na muła, mruknął oziębło: «Niech cię Bóg strzeże Senora!» Senora! Cóż za surowość w tym słowie! Lecz serce w nim widocznie zmiękło, bo ledwo ruszyliśmy z miejsca, zawołał za mną strasznym głosem: « Droga do nieba wiedzie przez pokutę!» A po chwili milczenia usłyszałam za sobą raz jeszcze jak echo grzmotu: «Przez pokutę!» Czy to oznaczało groźbę, czy prostoduszność? Może było tylko formułą wypowiedaną z przyzwyczajenia, może zwykłym zabobonem? Jeśli żyje na tym świecie człowiek bezwzględnie uczciwy, to jest nim z pewnością mój wuj. A zresztą, co można wiedzieć?

- Ciekawam, czy pan odgadnie, co potem zrobiłam? Oto zaraz po przejechaniu granicy napisałam z Bajonny do staruszka prosząc o przysłanie mi tu mojej siostry. Wytłumaczyłam, że będzie służyła królewskiej sprawie. Przypomniało mi się bowiem, że posiadam tu dom, ten sam, w którym pan spędził noc na rozmowie z panem Millsem i Don Juanem Bluntem.

Nadawał się on znakomicie na kwaterę dla karlistowskich oficerów przyjeżdżających tu w misji albo na, urlop. W hotelach mogli być nagabywani, dla mego domu zaś mogłam zawsze uzyskać ochronę. Wystarczało parę słów z ministerstwa w Paryżu do prefekta Marsylii. Potrzebowałam tylko kobiety, która by zarządzała tym domem. Gdzież miałam szukać osoby godnej zaufania? Jak się na niej poznać, gdyby się nawet zjawiała? Ja nie umiem rozmawiać z kobietami. Moja Róża oczywiście zrobiłaby dla mnie wszystko, czego bym zażądała, ale bez niej nie umiałabym się obejść. Opiekowała się mną od samego początku. Henryk Allègre wynalazł ją przed ośmiu laty. Nie wiem, czy to była dobroć z jego strony, ale Róża jest jedyną istotą, na której mogę polegać. Ona wie... Ach, czegoż ona o mnie nie wie? I zawsze robi rzecz właściwą, nawet nie proszona. Nie mogłam się z nią rozstać. Ani wymyślić innej osoby poza moją siostrą. Ostatecznie, był to ktoś należący do mnie. Naturalnie nie omieszkałam posłać jej pieniędzy, a ona pieniądze lubi. Co zaś do mego wuja, to nie ma rzeczy, której by nie zrobił dla przysłużenia się królowi. Róża wyszła na jej spotkanie na dworzec. Powiedziała mi później, że niepotrzebnie się troszczyłam o to, czy rozpozna Mademoiselle Therese. Nie było w pociągu drugiej osoby do niej podobnej. Teresa sprawiła sobie suknię z jakiegoś brązowego materiału przypominającą zakonny habit, w ręku miała zakrzywioną laskę, a cały dobytek zawiązany w chustce. Wyglądała jak pielgrzym dążący do świętego miejsca. Róża zaprowadziła ją do mego domu. Po obejrzeniu go Teresa zapytała: «To wszystko należy naprawdę do naszej Rity?» A na twierdzącą odpowiedź Róży: «Długo tu ona mieszkała?» - «O ile wiem, Madame nie zna nawet tego domu, co najwyżej obejrzała go z zewnątrz. Zdaje mi się, że pan Allègre przebywał tu jakiś czas za swoich młodych lat.» «Ten grzesznik, co już umarł?» - «Ten sam» - odpowiedziała Róża, która - jak pan wie - nie dziwi się nigdy niczemu. - «No dobrze, to i grzechy poszły za nim» - stwierdziła moja siostra, po czym zaczęła rozkładać swe manatki.

Róża miała pozostać z nią cały tydzień, ale już po trzech dniach powróciła oświadczając, że Mademoiselle Therese bardzo dobrze sobie daje radę i woli być sama. Po jakimś czasie poszłam ją odwiedzić. Pierwsze jej słowa były: «Nie poznałabym ciebie, Rito». Ja zaś rzekłam: «Jaką masz dziwną suknię, Tereso. Nadawałaby się dla furtianki w klasztorze, a nie do chodzenia po domu». - «Tak, oświadczyła, i wiedz, że o ile mi tego domu nie oddasz na własność, Rito, to powracam na wieś. Nie chcę mieć nic wspólnego z twoim życiem. Ono nie jest dla mnie tajemnicą.» - «Nie sądzę, aby moje życie było dla kogokolwiek tajemnicą - odrzekłam - ale cóż ty możesz o tym wiedzieć?» Powiedziała mi na to, że miewa wiadomości od naszego kuzyna, tego małego łotra, o którym panu opowiadałam. Po ukończeniu szkoły został urzędnikiem w jakimś hiszpańskim przedsiębiorstwie handlowym w Paryżu i postawił

sobie za zadanie donosić rodzinie o wszystkim, co o mnie usłyszał lub co wyśledził przy pomocy tych krewnych, u których mieszkalam jako dziewczynka. Ogarnęła mnie pasja. Zaczęłam biegać po pokoju tam i z powrotem (byłyśmy same na górze), aż Teresa uciekła pode drzwi. Usłyszałam jej pomruk: «To zły duch tak nią miota.» Była tak dalece o tym przekonana, że dla zabezpieczenia się nakreśliła znak krzyża w powietrzu. Nie mogłam się dłużej opanować. Parsknęłam śmiechem i śmiałam się, śmiałam dopóty, dopóki Teresa nie wymknęła się z pokoju. Śmiejąc się jeszcze zesłam na dół i zastałam ją klęczącą w hallu, z twarzą obróconą do ściany; zasłaniała sobie rękami uszy. Musiałam szarpnąć ją za ramiona, chcąc ją wyciągnąć z tego kąta. Nie wydała mi się przestraszona, tylko głęboko zgorziona. W gruncie rzeczy nie jest widać beznadziejnie zła, bo gdy opadłam na krzesło, ogromnie wyczerpana, uklękła przy mnie i obejmując mnie w pół poczęła błagać, abym zawróciła ze złej drogi przy pomocy księży i świętych Pańskich. Przedłożyła mi cały program dla nawróconej grzesznicy. Uwolniłam się wreszcie, a Teresa klęczała jeszcze przed pustym krzesłem. «Modlę się za ciebie rano i wieczór, Rito» - rzekła oglądając się za mną. - «O, tak, wiem, że jesteś dobrą siostrą - odpowiedziałam i już miałam wychodzić, gdy Teresa odwołała mnie: «A co będzie z tym domem, Rito?» - «Ach, możesz go zatrzymać, aż do czasu, kiedy się nawrócę i wstąpię do klasztoru.»

Udało mi się wreszcie wyjść rzuciwszy jeszcze raz okiem na klęczącą Teresę, która oglądała się za mną z otwartymi ustami. Widziałyśmy się od tej pory kilka razy, ale nasze obcowanie, przynajmniej z jej strony, przypomina stosunek surowej zakonnicy do wielkoświatowej damy. Mimo wszystko, zdaje mi się, że jako gospodyni domu potrafi swoim gościom dogadzać. Daję słowo, że ona lubi opiekować się mężczyznami. Nie uważa ich widać za tak grzesznych jak kobiety. Myślę, że pan nie uczyniłby najgorzej zamieszkując pod numerem dziesiątym. Teresa otoczy pana świątobliwym uczuciem - nie wątpię o tym.

Nie mogę powiedzieć, aby perspektywa zostania ulubieńcem tej sielskiej siostry Dony Rity oczarowała mnie. Jeśli mimo to ochoczo przenieśliem się pod numer dziesiąty, to dlatego, że wszystko, co było związane z osobą Rity, posiadało dla mnie szczególny urok. Ona raz jeden przeszła przez ten dom. Ale to wystarczało. Należała do istot, które pozostawiają po sobie ślad. Ci, co ją znali, nie zarzucą mi przesady, gdyż Dona Rita była niezapomniana. Dość napomknąć o tragedii Azzolatiego, śmiesznego, twardego groszora o łatwych łzach obok instynktów (czy mam powiedzieć - sercu?) kryminalisty. I jakże tu się dziwić mnie, który mogę bez przechwałki szcycić się większą subtelnością uczuć od tego błazna, od tego międzynarodowego intryganta! Sama świadomość, że Dona Rita przesunęła się przez mieszkanie, które miało być moją siedzibą pomiędzy dwoma wyprawami morskimi

wymagającymi tak wytężonego wysiłku, napełniła mnie głębokim zadowoleniem. Wszak spojrzenie jej ciemnoszafirowych oczu objęło ściany pokoju, w którym miałem prawdopodobnie zamieszkać, który miał być miejscem mego 'snu. Za moimi plecami, gdzieś w pobliżu drzwi, sielska siostra Rity przemawiała do mnie zabawnie współczującym tonem, naśladowującym znakomicie nieszczerzy sposób przekonywania, który cechuje typową właścicielkę pensjonatu: - «Będzie się pan tu czuł znakomicie, Senor. Ulica jest spokojna. Może się człowiekowi wydawać, że jest na wsi. Dla przyjaciół króla opłata wynosi tylko 125 franków. Będę się panem tak troskliwie opiekowała, że nawet serce pańskie wypocznie.»

II

Dona Rita dopytywała ciekawie, jak się ułożyły stosunki pomiędzy mną a jej siostrą, wieśniaczką, na co znalazłem tylko tę odpowiedź, że wieśniaczka okazała się na swój sposób uprzejma. Słyszając to, Rita zabawnie klasnęła językiem i powtórzyła uwagę zrobioną poprzednio:

- Ona lubi młodych ludzi. Im który młodszy, tym lepiej.

Sama myśl, że te dwie kobiety były siostrami, wywoływała zdumienie. Ich wygląd fizyczny stanowił absolutny kontrast. Była to różnica taka jak pomiędzy istotą żywą, niepospolicie piękną, przesyconą tchnieniem bożym, a twardą, nieobrobioną figurką glinianą. Rzeczywiście, Teresa przypominała jakiś przedmiot szczególny w swoim rodzaju, wykonany z niepolerowanej gliny. Jedyną jej ozdobą był błysk zębów, niespodziany i niewytłumaczony, gdyż nie łączyło się to u niej z uśmiechem. Uśmiechała się z zaciśniętymi szczękami. Nie podobna było uwierzyć, że te dwa ptaki wylęgły się w jednym gnieździe. A jednak... Gdy się je ujrzało razem, to w przeciwieństwie do tego, co się zwykle dzieje, przestawało się wierzyć w możliwość ich pokrewieństwa, bliższego czy dalszego, a nawet w ich wspólne ludzkie pochodzenie. Pierwsza była wspaniałym okazem ludzkiej rasy, druga czymś zaledwie przypominającym człowieka. Nasuwała się wątpliwość, czy obie zostały stworzone na tę samą modłę. Niewysłowione zdumienie budził widok tych dwóch kobiet stojących obok siebie i porozumiewających się tym samym językiem. A jednak... Zmysł psychologiczny jest w nas tak niewyrobinony, że nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy powierzchowni. Uchodzą naszej uwagi najprostsze odcienie, tajemnice przemian i podobieństw. Ogólnie biorąc, jedynym rysem wspólnym (przy ogromnej różnicy gatunku) pomiędzy Teresą a jej siostrą była uprzejmość. Powiedziałem to kiedyś Ricie:

- Bo wie pani, Dono Rito, że pani jest osobą niezmiernie uprzejmą. To jedna z pani charakterystycznych cech, oczywiście cenniejsza niż u innych. Pani umie przemienić najpospolitsze włókno w złotą nić. Ale nie szukajmy innych nazw. Była pani ogromnie uprzejma dla mnie, gdy tu przyszedłem po raz pierwszy.

- Doprawdy? Nie przypominam sobie, abym szczególnie...

- Nie jestem tak zarozumiała, aby przypuszczać, że w tym było coś szczególnego. Tym bardziej że miałem wtedy zamęt w głowie. To, czego się nasłuchiwałem tej nocy, oszołomiło mnie. Mam na myśli historię pani życia, przedziwną opowieść zaprawioną w moim wspomnieniu smakiem wina i spowitą w kłęby dymu, z tym okaleczonym manekinem

bez głowy, wyzierającym z kąta, i z uśmiechem Blunta błyskającym poprzez zasłonę mgły z fajki pana Millsa. Czuję przez cały czas bezwład w ciele przy ogromnym podnieceniu umysłu. Nigdy bowiem nie słyszałem nic podobnego. Nie chciało mi się oczywiście spać, ale nie byłem przyzwyczajony do całkowitego obywatowania się bez snu jak pan Blunt...

- I spędził pan bezsenność na słuchaniu mojej historii? - spytała ze zdziwieniem.

- Proszę tylko nie myśleć, że się na to skarżę.

Nie byłbym się wyrzekł tej sposobności za skarby świata. Pan Blunt w obszarpanej kurtce i białym krawacie, z tym swoim zjadliwo-uprzejmym głosem robił niesamowite wrażenie. Można by sądzić, że improwizował to wszystko w gniewnym podnieceniu. Miałem wątpliwości, czy pani istnieje.

- Pan Blunt bardzo się interesuje moim życiem.

- Każdego ono interesuje - rzekłem - a ja? nie zmrużyłem oka przez całą noc. Spodziewałem się, że wkrótce panią ujrzę. A mimo to jeszcze wątpię.

- O moim istnieniu?

- Niezupełnie. Choć nie byłem pewien, czy pani nie jest wytworem bezsenności pana Blunta. On się widocznie lękał zostać sam, więc opowiadanie mogło być sposobem zatrzymania nas u siebie dłużej.

- Blunt nie ma na to dosyć wyobraźni - rzekła.

- To mi nie przyszło na myśl. Ale był tam przecież Mills, który najwidoczniej wierzył w pani istnienie. Millsowi mogę ufać. Moje wątpliwości były innej natury. Nie wiedziałem, pod jakim pozorem mogę panią odwiedzić. To dziwne, że właśnie mej łączności z morzem zawdzięczam przekroczenie pani progów.

- Nieoczekiwane - chce pan powiedzieć.

- Nie. Dziwne i pełne znaczenia.

- Dlaczego?

- Bo moi przyjaciele mają zwyczaj wmawiania we mnie i w siebie, że morze jest moją wielką, jedyną miłością. Podrwiwali sobie zawsze ze mnie nie mogąc dopatrzeć się w moim życiu żadnej kobiety, ani ukrywanej, ani nie ukrywanej...

- Naprawdę tak było? - zapytała niedbale.

- No tak. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem niewinnym chłopięciem jak ci pasterze opiewani w sielankach z XVIII wieku. Ale nie szafuję lekkomyślnie słowem miłość. Co do morza, to zapewne prawda. Są jednak ludzie, którzy są w stanie powiedzieć, że kochają kielbasę.

- Pan jest okropny.

- To dziwne.

- Ten dobór słów...

- W pani ustach natomiast każde słowo w perłę się przemienia. Przynajmniej w mojej obecności.

Spojrzała uważnie na posadzkę i rzekła:

- To już było ładniej powiedziane. Ale nie widzę tu ani jednej perły.

- To pani jest okropna udając, że nie rozumie. Nie znajduje pani pereł na podłodze? - Bo je chwytam w lot i umieszczam w skarbcu mego serca. Nie jestem tym zwierzęciem, z którego robią kielbasy.

Spojrzała na mnie i z najsłodszymszym uśmiechem wyszeptała: - Nie.

Roześmieliśmy się głośno oboje.

O, dni niewinnych igraszek! Tym razem rozstaliśmy się z lekkim sercem, na wesoło. Ale już wtedy nabrałem przeświadczenia, że nie było na całym świecie nic bardziej godnego kochania jak ta kobieta, nic, co by w tym stopniu obdarzało życiem, natchnieniem i światłem jak jej promieniujący urok. Nie wyłączając nawet słonecznego światła. Byłem tego bezwzględnie pewien.

Pozostawał już tylko jeden krok do zrobienia: świadome poddanie się uczuciu. Trzeba było jasno zdać sobie sprawę, że ten urok, grzejący jak płomień, jest jednocześnie wielkim światłem, które rozświetla ciemności, nadaje nową głębię cieniom i nowy blask barwom, wyostrza do najwyższego stopnia wrażliwość i wzmacnia żywotność myśli pokazując, że to życie, którym człowiek żył dotychczas, było szare i pozbawione tętna. Dla mnie było to objawieniem. Nie mogę tego nazwać wstrząsem duszy. Dusza była już zdobyta, zanim zwątpienie, lęk i udręka znalazły do niej dostęp osłabiając jej ofiarność i egzaltację. Niemniej to objawienie obróciło w proch wiele moich pojęć, w pierwszym zaś rzędzie poczucie beztraskiej swobody życia. Gdyby moje życie posiadało jakiś sens i cel poza samym sobą, powiedziałbym, że to rzuciło cień na wytkniętą drogę. Ale ono nie miało celu ani wytkniętej drogi. Był w nim tylko cień - nieodłączny towarzysz wszelkiego światła. Najsilniejsze światło nie odsłania wszystkich tajemnic. Po rozproszeniu ciemności pozostają cienie, może nawet głębsze przez to, iż są trwalsze i napełniają duszę trwogą przedtem nie znaną. Co będzie, jeśli wkrótce zwyciężą? One same lub to, co się kryje w ich mroku: obawy, zawody, żądza, rozczarowanie - to wszystko, co jeszcze teraz nie dochodzi do głosu wobec triumfalnej pieśni Miłości, rozbrzmiewającej w pełnym świetle dnia. Tak! Spokój jest zupełny. Milczy nawet żądza. Ale nie na długo!

Działo się to, jeśli się nie mylę, przed moją trzecią wyprawą morską. Musiała to być

trzecia, bo pamiętam, że była to wyprawa śmiało obmyślona, a plan wykonany bez zarzutu. Minął już okres próbny i wszystkie przygotowania były udoskonalone. A więc na jednym ze wzgórz unosił się stale niezawodny dymek, a na wybrzeżu płonęła niezawodna latarnia. Nasi przyjaciele, zjednani przeważnie za pomocą brzęczącej monety - a zatem pewni - nabrali do nas zaufania. Takie przedsięwzięcie - rozumowali - nie może być wyskokiem awanturników nie mających nic do stracenia. To odważna robota ludzi mających pieniądze i zdrowy rozsądek. Młody *caballero* ma na biodrach pas wypchany złotem, a ten drugi, z sumiastymi wąsami i nieufnym spojrzeniem, wygląda na mądrego chłopca. Okazywali Dominikowi wielki szacunek, a mnie wielką uległość, gdyż ja rozporządzałem pieniędzmi, jemu zaś przypisywano zdrowy rozum. Nie było to całkiem sprawiedliwe. Wkładałem i ja w to przedsięwzięcie dużo śmiałości i rozwagi, czemu się nawet dziwię teraz, kiedy już lata ostudziły gorącą krew nie naruszając pamięci. Pamiętam, że dowodziłem tą wyprawą z lekkim sercem i trzeźwą głową, mimo że śmiałość moich pomysłów graniczyła z zuchwalstwem. Zależnie od tego, czy postanowienie było nagłe, czy dobrze przemyślane, Dominik albo wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby, albo bacznie się we mnie wpatrywał, zanim lekko skinął głową na znak zgody lub wycedził sarkastyczne: «Czemu nie?» - co zresztą w dużej mierze zależało od jego humoru. Pewnej nocy, kiedyśmy leżeli obok siebie na pościeli suchego piasku pod skałą osłaniającą nas od wiatru, wpatrując się w światło naszego statku, który kołysał się na falach w oddali, Dominik odezwał się nagłe:

- Przypuszczam, że Alphonso i Carlos, Carlos i Alphonso, pojedynczo czy razem wzięci, niewiele pana obchodzą?

Odpowiedziałem:

- Dominiku, gdyby znikli z powierzchni ziemi, razem czy pojedynczo, me odczułbym tego ani trochę.

- Tak mi się zdawało - rzekł. - Człowiek troszczy się tylko o przyjaciół. A przypuszczam, że pana nie łączy z nimi nic więcej niż ich ze mną. Ci karliści nie żałują amunacji. Dobrze. Ale po cóż my popełniamy te szaleństwa, których pan od nas wymaga? Aż mi czasem włosy dęba stają na głowie... - ciągnął na pół poważnie, na pół drwiąco. - A wszystko dla tego Carlosa - i niech go Bóg albo diabeł ma w swojej opiece - dla tej Królewskiej Mości, jak go nazywają. Jest przecież takim samym człowiekiem jak każdy z nas, a żadnym przyjacielem.

- Tak. Dlaczego? - wymamrotałem, myśląc o tym, jak wygodnie jest leżeć na piasku.

Noc była pochmurna, a pod naszą zwisającą skałą ciemność nieprzenikniona. Wiatr przycichał, zrywał się i znów zamierał. Pomiędzy jego krótkimi podmuchami dolatywał mnie

przyciszony głos Dominika:

- To przyjaciel naszej Senory, hę?

- Tak ludzie mówią, Dominiku.

- Połowa tego, co ludzie mówią, jest kłamstwem - stwierdził w sposób dogmatyczny. - Mimo wszystko może być niezłym człowiekiem. Ale królem jest tylko w obrębie swoich gór i jutro może tyle znaczyć co każdy z nas. Takiej zaś kobiecie jak nasza Senora należałby się inny król. Ją by się powinno; postawić gdzieś wysoko, aby ludzie chodzący po ziemi mogli ku niej wznosić oczy. Ale wy, panowie, jesteście inni. Pan, na przykład, nie rad by ją widział na takim podwyższeniu.

- Musiałoby to być dokonane wcześniej, Dominiku - rzekłem.

Milczał przez chwilę. Po czym męski jego' głos dał się znowu słyszeć w ciemności:

- Rozumiem, co pan chce powiedzieć. Ja miałem na myśli tłum ludzki, bo tylko tłum poprzestaje na wznoszeniu oczu. Dla ich królewskich mości to nie dosyć. Niechże jednak serce nie poddaje się zwątpieniu! Każdej kobiecie zdarza się zejść czasem z wysokości, ot nie dla zysku, ale choćby po to, aby zerwać kwiatek, który dziś kwitnie, a jutro więdnie. Na co się zdało pytać, jak długo stała tam nieporuszona. Jest takie przysłowie, bardzo słuszne: «Całowane usta nie tracą na świeżości.»

Nie wiem, co bym mógł odpowiedzieć Dominikowi. On też pewno uważał, że na to odpowiedzi nie ma; zresztą, zanim zdążyłem się odezwać, doleciał nas ze szczytu skały tajemniczy szept:

- Hola, tam na dole! Wybrzeże bezpieczne.

Był to chłopak kręcący się często dokoła stajni przy gospodzie, w której zatrzymywali się poganiacze mułów. Gospoda ta leżała w małej dolince przeciętej płytkim strumieniem i służyła nam tego dnia za schronienie. Zerwaliśmy się obaj na nogi.

- To dobry chłopak - rzekł Dominik. - Nie było go wcale słyhać, gdy laził ponad naszymi głowami.

Niech mu pan tylko nie daje więcej ponad pesetę, Senor, czymkolwiek by się jeszcze przysłużył. Gdyby dostał dwie, chłopak oszalałby na widok takiego bogactwa i gotów byłby porzucić placówkę na Fondzie, gdzie jako goniec oddaje duże usługi; umie się tak przemknąć po ścieżce, że kamyczka nie potrafi.

To mówiąc Dominik usiłował rozniecić ogień z suchych patyków, które nagromadził po południu na tym wzgórzu. Było to w obrębie całej zatoki jedyne miejsce całkowicie osłonięte, niewidoczne ze strony lądu.

Buchnął jasny płomień ukazując jego postać w kapturze i czarnej oponce - takiej,

jaką noszą śródziemnomorscy żeglarze. Jego oczy śledziły niewyraźne światełko tańczące na morzu. Przez ten czas gadał dalej:

- Jediną pańską wadą, Senor, jest to, że pan zbyt hojnie rzuca pieniędzmi. Na tym świecie trzeba dawać z zastanowieniem. Jedyne rzeczy, którymi możemy szafować bez rachuby, to ciosy zadawane nieprzyjacielowi i pocałunki dawane kobiecie... Trochę walki, trochę miłości... o, podpływają ku nam!

Zauważyłem, że światełko kołyszące się w mroku od strony zachodniej poczęło się zbliżać do lądu. Ruch Jego uległ teraz zmianie. Kołysało się wolniutko, sunąc ku nam. I nagle wyłonił się ciemny kształt, podobny do wielkiego, ostro zakończonego skrzydła, które zbliżało się i rosło. Spod tego skrzydła rozległo się wołanie.

- *Bueno!* - mruknął Dominik i z jakiejś butli, której przedtem nie zauważyłem, chlusnął obficie woda na ognisko. Wyglądał jak czarownik, który przy pomocy zaklęcia wywołał z roztoczy morskiej ten fantastyczny cień i ten ludzki głos, tym bardziej że w tej samej chwili zakapturzona jego postać znikła mi przed oczu w ciepłych oparach dymu, wśród syku gaszonego ognia.

- No, zrobione - rzekł - teraz znowu trzeba rozpocząć robotę. Znowu troskać się i trudzić, wywijając rękami i nogami przez szereg, szereg godzin. I wciąż oglądać się poza siebie.

Wspinaliśmy się po stromej ścieżce, niezbyt bezpiecznej w ciemności. Dominik, bardziej obeznany z górami, szedł naprzód, a ja tuż za nim, by w razie obsunięcia się nóg móc uchwycić się jego opończy. Na pierwszym postoju zwróciłem mu uwagę na niewłaściwość tego urządzenia, gdyż niewątpliwie uczepliłbym się jego poły, gdybym czuł, że spadam. Uczyniłbym to odruchowo i pociągnąłbym go za sobą.

Chwyając się jedną ręką jakiegoś krzaka nad głową, majaczącego w ciemności, odburknął, że to prawdopodobne, ale że to «stoi w umowie», i przynaglał mnie do pośpiechu. Dotarliśmy wreszcie do równej powierzchni. Dominik, którego oddech pozostawał zawsze miarowy, gdyż ani wysiłek, ani przestrasz, ani gniew nie były w stanie go zakłócić, odezwał się teraz krocząc ramię w ramię obok mnie:

- Trzeba przyznać, że tak sumiennie wypełniamy te wariackie zamysły, jakby Senora nie spuszczała z nas oka. Jeśli chodzi o ryzyko, to narażamy się - przypuszczam - bardziej, niżby ona sobie tego życzyła, gdyby o nas w tej chwili myślała. Ot, na przykład teraz. Możemy natknąć się na trzech karabinierów, którzy pociągną za cyngiel bez pytania. Nawet pańska rozrzutność nie może zapewnić bezpieczeństwa ludziskom, którzy urągają prawom obowiązującym w tym potężnym kraju. Dlaczego to robią? Dla niebieskich oczu i białych

ramion Senory.

Mówił równym, przyciszonym głosem. Szliśmy przez zupełne pustkowie, z którego tylko gdzieś wyłaniał się niewyraźny zarys karłowatego drzewa - poza tym jedynymi naszymi towarzyszami były obłoki płynące po niebie. Gdzieś bardzo daleko, na zboczu niewidocznej góry migotało światełko. Dominik mówił dalej:

- Czy pan sobie wyobraża, jakby to było przyjemnie leżeć w tym miejscu ze strzaskaną nogą albo z kulą pod żebrem? A taka rzecz może się wydarzyć w każdej chwili. Może spaść jak gwiazda. Widywałem na Atlantyku roje spadających gwiazd. One nie robią nic złego. Błysk jednej szczypty prochu z lufy, skierowanej prosto w twarz, jest gorszą sprawą, a mimo wszystko, jakże miło potykając się w ciemności pomyśleć o naszej Senorze w tej dużej komnacie z wywoskowaną podłogą i mnóstwem okien w głębi. Siedzi sobie na otomanie - czy jak się to zwie - zasłanej dywanami, jakby czekała na prawdziwego króla. Siedzi nieruchoma...

Pamiętał ją dobrze, tę kobietę, której nie można było pozbyć się z pamięci. Położyłem mu rękę na ramieniu.

- To światełko na zboczu za silnie mruga, czy nie zmyliliśmy drogi, Dominiku?

Odpowiedział po francusku, był to bowiem język, którego używał w momentach „urzędowych”.

- *Prenez man bras monsieur.* I niech się pan mocno uczepli, bo się pan znowu może potknąć i zsunąć do jednej z tych paskudnych szczelin, gdzie łatwo sobie roztrzaskać głowę. Nie ubliżając nikomu, po co pan, a ja z panem, kaleczymy sobie po ciemku golenie, by dotarłszy do tego przekłętą światełka dostać na kolację kawałek zrogowaciałej kielbasy i łyk wina śmierdzącego skórzanym worem? Pah!

Trzymałem się mocno jego ramienia. W pewnej chwili, porzucając oficjalną francuszczyznę, wypowiedział swym mocnym głosem:

- Dla dwojga białych ramion, Senor! Bueno!

Ten rozumiał.

III

Wracając z tej wyprawy wylądowaliśmy w starym porcie tak późno, że wszedłszy z Dominikiem do utrzymywanej przez Madame Léonore kawiarenki, zastaliśmy ją już opróżnioną ze zwykłej klienteli; jedynie przy narożnym stoliku, blisko drzwi, jakieś dwa ciemne indywidua grały w karty. Madame Léonore położyła zaraz obie ręce na barkach Dominika i trzymając go tak, na odległość ramienia, wpatrzyła się w oczy śmiałego żeglarza, poszukiwacza przygód, który uśmiechał się do niej spod sumiastych, a tym razem obwisłych wąsów.

Wygląd nasz pozostawiał rzeczywiście dużo do życzenia: twarze nie ogolone, ze śladami słonego pyłu wodnego na spalonej skórze, i oczy nabiegłe krwią po czterdziestoośmiogodzinnej bezsenności. Tak było przynajmniej z moimi oczami. Jak przez mgłę widziałem panią Léonore poruszającą się z niedbałym wdziękiem dojrzałej kobiety, podczas gdy ustawiała przed nami szklanki i butelki z winem szeleszcząc fałdzistą, czarną spódnicą. Pod starannie spiętrzoną fryzurą kruczych włosów czarne jej oczy świeciły promiennie jak gwiazdy, i ja nawet zauważyłem w nich radosne podniecenie wywołane powrotem Dominika - faktem, że ten swobodny włóczęga znowu znajduje się w jej zasięgu, a poniekąd w jej mocy. Przysiadłszy się po chwili do nas dotknęła leciutko kręconych włosów Dominika, które już siwiałły na skroniach (od tej pieczyoty nie mogła się powstrzymać), spojrzała na mnie z dowcipnym uśmiechem stwierdzając, że wyglądam na strasznie zmęczonego, i spytała Dominika, czy sądzi, że zasną tej nocy.

- Nie wiem - odparł - młody jest, a śpiącemu zawsze się coś może przyśnić.

- O czymże wy, mężczyźni, śnicie w tych waszych łodziach kołyszących się tygodniami na wodzie?

- Przeważnie o niczym - odpowiedział. - Mnie co prawda śnią się czasem wściekłe boje.

- I z pewnością uściski miłosne - przerwała mu drwiąco.

- Całować wolę na jawie - wycedził Dominik kołysząc sennie głową wspartą na rękach - godziny czuwania są dłuższe.

- Szczególnie na morzu - rzekła nie spuszczając zeń oczu - ale przypuszczam, że rozmawiacie między sobą o miłości.

- Mogę panią upewnić, Madame Léonore - wtrąciłem i tu zmiarkowałem, iż mówię zachrypniętym głosem - że pani imię wspomina się często na statku.

- Nie jestem tego zbyt pewna. Istnieje przecież ta przedziwna pani, do której go pan zaciągnął na Prado, Signorino. Poszła mu ona do głowy jak szklanka wina młodziutkiemu chłopcu. On jest starym dzieckiem, a ja drugim, jak się okazuje. Aż wstyd wyznać. Któregoś rana prosiłam przyjaciółkę o zastąpienie mnie przez parę godzin w kawiarni, zasłoniłam sobie głowę i pobiegłam tam, na drugi koniec miasta... No, proszę, jak się obaj ożywili! A ja myślałam, że biedaczyska tacy senni, tacy pomęczeni!

Trzymała przez chwilę naszą ciekawość w napięciu.

- No i widziałam twoje cudo, Dominiku - mówiła dalej spokojnym głosem. - Wyjeżdżała konno z bramy i nie zobaczyłabym jej więcej, gdyby nie to (dla pana to mówię, Signorino!), że zatrzymała konia w Głównej Alei czekając na pięknego kawalera. Wąsy miał, o takie, i pokazywał białe zęby uśmiechając się do niej. Jak dla mnie, to ma zanadto głęboko osadzone oczy. To mi się nie podobało. Przypomnił mi jednego strasznie surowego księdza, który przyjeżdżał do naszej wioski, kiedy byłam młoda, młodsza od twojej ślicznej pani, Dominiku.

- To nie był przebrany ksiądz - rzekłem, rozbawiony wyrazem obrzydzenia na jej twarzy - to Amerykanin.

- *Ah, un Americano!* Mniejsza o niego. Mnie chodziło o zobaczenie jej samej.

- Co? Poszłaś na drugi koniec miasta oglądać Donę Ritę? - zakpił Dominik. - A któż zapewniał, że nie może dojść dalej jak do końca wybrzeża, choćby chodziło o życie własne, a nawet moje? - tak twierdziłaś.

- Prawda. Jednak poszłam i wróciłam, a przyjrzałam się jej dokładnie. I możecie mi wierzyć, choć was to zdziwi, że w powrotnej drodze - o *Santa Madre*, jakże to daleko! - nie myślałam o żadnym mężczyźnie, ani o ładzie, ani o morzu.

- I o sobie pani pewnie nie myślała - wtrąciłem.

Nie umiem powiedzieć, czy wskutek niewyspania, czy zmęczenia, mówienie było dla mnie wysiłkiem.

- Nie. Pani musiała myśleć o tamtej kobiecie.

- *Si*. Ona jest bardziej kobietą niż jakakolwiek inna istota na tym świecie. Oczywiście, że o niej myślałam. Bo widzi pan, my nie jesteśmy takie obojętne dla siebie nawzajem jak mężczyźni - z małymi wyjątkami. Mężczyznom się zdaje, że kobiety są dla siebie niezyczliwe, ale to tylko męska zarozumiałość. Czymże ta pani jest dla mnie? O moje stare dziecko się nie boję - tu poklepała Dominika w przedramię, o które opierał głowę patrząc na nią rozmiłowanym wzrokiem. - Między nim a mną to już na śmierć i życie! Ja się tylko cieszę, że on się jeszcze potrafi do czegoś zapalić. Obniżyłby się w moich oczach, gdyby

czasem nie stracił głowy dla czegoś naprawdę pięknego! A w panu nie kocham się jeszcze, Signorino - zwróciła się do mnie z sarkastycznym uśmiechem. Po chwili milczenia, zmieniając ton, dodała miękko, rozmarzonym głosem:

- Głowa jak starożytna gemma - tak, Dominiku - *antica*.

I ta kobieta, urodzona w jakimś ciemnym zaułku Rzymu, będąca przez długie lata igraszką kapryśnego losu, ciągnęła dalej:

- Niczyja twarz mnie tak nie urzekła od czasu - od czasu, gdy byłam szesnastolatką. Wtedy była to głowa młodego jeźdźca ujrzanego na ulicy. Siedział na koniu, nie spojrzał na mnie i nigdy go więcej nie widziałam. Ale zadurzyłam się w nim - na długo, długo! Przedziwną miał twarz. Jej twarz jest tego samego rodzaju. I podobny kapelusz miała na głowie. Męski kapelusz. Ot, taki wysoki...

- Męski kapelusz? - mruknął Dominik z niezadowoleniem.

Pośród wielu dziwów, jakie oglądał na świecie, tego jeszcze nie widział.

- *Si*. Jej twarz mnie urzekła. Wrażenie trwało może krócej, ale poruszyło mnie głębiej, bo nie mam już szesnastu lat, a ona jest kobietą. Tak. Myślałam o niej. Bo i ja kiedyś byłam bardzo młoda i miałam też twarzyczkę do ludzi podobną, choć nie tak wspaniałą. I podobnie jak ona, nie rozumiałam, po co przyszłam na świat.

- A teraz wiesz? - mruknął Dominik z głową wspartą na rękach.

Spojrzała niań przeciągle, otworzyła usta, ale w końcu tylko cicho westchnęła.

- A cóż pani w niej dostrzegła wpatrując się w nią tak długo, że aż panią urzekła? - spytałem.

Nie zdziwiłbym się, gdyby mi znowu odpowiedziała westchnieniem. Nie patrzyła bowiem w moim kierunku i zdawało się, że myśli tylko o sobie samej. Nagle powstała od stołu.

- Co w niej zauważyłam? - powtórzyła głośniejszym głosem. - I po cóż miałabym rozprawiać o innej kobiecie? Ona jest zresztą wielką panią.

Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu, co w lot dostrzegła.

- No, może tak nie jest. Ale ja pana upewniam, że nią jest, duszą i ciałem, bardziej niż jakakolwiek inna osoba na świecie. I to niech pan sobie zapamięta: ona nie jest stworzona dla żadnego mężczyzny. Wyplynie każdemu z ręki jak woda czerpana dłonią.

Wstrzymałem oddech: - Niestała? - zdołałem spytać.

- Tego nie mówię. Może jest pyszna, samowolna, może nadto współczująca... Signorino, pan nie zna dostatecznie kobiet. Może je pan kiedyś pozna, może i nie, ale to, czego się pan od niej nauczy, tego nie zapomni pan nigdy.

- Kobieta, której nie można zatrzymać - wyszeptalem.

Ta zaś, którą na wybrzeżu zwano Madame Léonore, zacisnęła wyciągniętą ku mnie rękę tuż przed moimi oczami i otworzywszy ją natychmiast, ukazała pustą dłoń, co miało mi uzmysłwić wyrażone przez nią przekonanie. Dominik nie poruszył się z miejsca.

Powiedziawszy obojgu dobranoc opuściłem kawiarnię, by odetchnąć świeżym powietrzem i zanurzyć się w ciemną przestrzeń portowego wybrzeża, którą powiększała szerokość całego starego portu. Poprzez smugę świateł ciężkie kadłuby okrętów wydawały się zupełnie czarne, a ich zarysy zlewały się miejscami w jedną niekształtną masę. Minąłem wylot Cannèbiere'y, szerokiej ulicy o wysokich domach i jasno oświetlonych chodnikach zwązających się w perspektywie i ginących z oczu na przeciwległym końcu, gdzie zacierały się już kształty i światła.

Przechodząc rzuciłem na nią okiem, by zanurzyć się w mroczne, opustoszałe ulice oddalające mnie od centrum miasta. Ubiorem nie różniłem się od pierwszego lepszego marynarza, który tylko co wylądował z nadbrzeżnego okrętu: granatowa wełniana bluza, przypominająca *jumper* i beret z czerwonym pomponem, robiony na drutach, zsunięty na ucho. Ten ubiór był nawet powodem, dla którego tak długo zasiedziałem się w kawiarni. Nie życzyłem sobie bowiem, aby mnie poznano na ulicy, a szczególnie, aby mnie zobaczono wchodzącego do domu przy ulicy Konsulów. O tej porze spotkania już nie groziły, bo przedstawienia były skończone i rozsądni obywatele spali w swoich łóżkach. Nie wahałem się przejść przez Plac Opery, skąd publiczność zdążyła się już rozejść. Rzadko spotykani przechodnie śpieszący do domów nie zwracali na mnie uwagi. Spodziewałem się, że ulica Konsulów będzie zupełnie pusta, jak to bywało w nocy. Minąwszy jednak narożnik dostrzegłem troje ludzi, którzy wyglądali na mieszkańców tej dzielnicy. Wygląd ich wydał mi się dziwny. Dwie panny w ciemnych płaszczach wyprzedzały wysokiego mężczyznę w cylindrze. Zwolniłem kroku nie chcąc ich wymijać, tym bardziej że znajdowałem się o kilka metrów od domu. Ku memu niezmiernemu zdziwieniu osoby te zatrzymały się właśnie przed moim domem; jegomość w cylindrze otworzył kluczem zatrzask, wpuścił swoje towarzyszki, wszedł za nimi i mocno zatrzaskał drzwi zastawiając mnie w zdumieniu.

Stałem w miejscu jak idiota, zastanawiając się, co to miało znaczyć, aż doszedłem do wniosku, że nic mi z tej medytacji nie przyjdzie. Poczekawszy jeszcze chwilę, by im dać czas oddalić się z hallu, wszedłem do środka. Mizerny płomyczek gazu migotał równie słabo jak owej nocy, kiedyśmy z Millsem po raz pierwszy kroczyli po tej czarnobiałej marmurowej posadzce, w ślad za rotmistrzem Bluntem «żyjącym ze swej szabli». Trzy obce zjawy nie

pozostawiły tu po sobie śladu - rozwiały się jak duchy - a mnie się zdawało, że w mroku i pustce słyszę niesamowity szept: «*Americain, catholique et gentilhomme. Amér...*»

Nie dostrzeżony przez nikogo, wbiegłem na schody, a potem do mego saloniku, którego drzwi stały otworem... «*et gentilhomme*». Pociągnąłem za taśmę od dzwonka i usłyszałem na dole jego dźwięk, który mógł być zaskoczyć Teresę jak niespodzianie usłyszany jęk pokutującej duszy.

Nie miałem pojęcia, czy Teresa usłyszy ten dzwonek. O ile wiedziałem, sypiała przygodnie na pierwszym lepszym łóżku, które się opróżniło. Mogła była sypiać i na moim. Ponieważ zabrakło mi zapalek, przez dłuższą chwilę siedziałem w ciemności. W domu panowała absolutna cisza. Nagle, bez żadnego poprzedzającego głosu, do pokoju wpadła smuga światła i we drzwiach ujrzałem Teresę z lichtarzem w ręku. Miała na sobie swą zwykłą, brunatną spódnicę. Reszta postaci otulona była czarnym szalem, który zakrywał szczelnie jej głowę, ramiona i łokcie aż do pasa. Ręka trzymająca świecę wyłaniała się spod tej chusty, którą druga, niewidzialna ręka ściągała pod brodę. Oblicze jej wyglądało jak wycięte z obrazu. Rzekła do mnie:

- Pan mnie przestraszył, mój młody pannie.

Był to zwrot często przez nią używany i zdawało się, że z lubością wymawia słowo «młody». Jej żaloszny głos i całe zachowanie się przypominało wiejską kobietę, a zastygła twarz przywodziła na myśl mniszkę z małego, wiejskiego klasztoru.

- Naumyślnie to zrobiłem. Jestem złym człowiekiem - rzekłem do niej.

- Ach, młodych zawsze trzymają siłę figle - odrzekła rozrzuwionym głosem, jakby to twierdzenie napawało ją błogością. - To takie ucieszne.

- Ale odważna z pani kobieta! - zażartowałem. - Pani się mnie przecież nie spodziewała i mogła pomyśleć, że to diabeł pociągnął za dzwonek. On to potrafi.

- Wszystko możliwe. Ale taka biedna dziewczyna jak ja nie lęka się diabła. Serce moje jest czyste. Spowiadałam się wczoraj wieczór. Mogła to być gorsza rzecz. Mógł zadzwonić bandyta po to, by zamordować biedną, bezbronną kobietę. Ta ulica jest bardzo odludna. Cóż by mnie uchroniło, gdyby pan ze chciał mnie teraz zabić i odejść sobie z lekkim sercem?

Mówiąc to zapalała gaz i po ostatnich słowach wysunęła się przez drzwi sypialni pozostawiając mnie w osłupieniu. Zaskoczył mnie ten nieoczekiwany zwrot jej myśli.

Nie wiedziałem, że w mej nieobecności wydarzył się w mieście wypadek okrutnego morderstwa, który oddziałął na wyobraźnię wszystkich mieszkańców. Teresa nie czytywała wprawdzie gazet (uważając je za bezbożne i niemoralne), nie mogła jednak nie słyszeć o tym od osób, z którymi się stykała chociażby w sklepie. Po pewnym czasie wsunęła się znowu

przez drzwi sypialni, hermetycznie spowita w ten sam czarny szal, który miała poprzednio na sobie, z zapaloną świecą w wysuniętej ręce, i uspokoiła mą obawę co do chorobliwego stanu swego umysłu opowiadając mi tę historię morderstwa tonem dziwnie obojętnym, nawet wtedy gdy przytaczała najokropniejsze szczegóły zbrodni.

- Oto do czego prowadzi grzech cielesny (*péché de chair*) - dokończyła oblizując wąskie wargi. - Diabeł zawsze dostarczy okazji.

- Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, aby diabeł mógł namówić mnie do zamordowania pani, Tereso - rzekłem. - I nie podoba mi się łatwość, z jaką pani wysunęła mnie jako przykład. Może pani w innych swoich lokatorach dopatrywać się potencjalnych zbrodniarzy, sądziłem jednak, że pani zaliczy mnie do wyjątków.

Z nieruchomą twarzą, pozbawioną jakichkolwiek wydatniejszych rysów, a oświetloną z dołu płomykiem świecy, wyglądała bardziej niż kiedykolwiek na zjawę, która wyszła z ram starego, szerniałego obrazu o popękanej powierzchni. Przedmiot tego obrazu pozostawał zagadkowy i nieodgadniony. Teresa zacisnęła jeszcze mocniej wargi.

- Niechże tak będzie - rzekłem wyciągając się na kanapie po zrzuceniu trzewików. - Może być, iż każdy człowiek jest zdolny do popełnienia zbrodni. A dużo teraz mieszka u pani zbrodniarzy?

- Tak, nie brak lokatorów - odrzekła. - I na górze, i na dole... Dzięki bożej opiece... - westchnęła.

- Ale, ale! Kim jest ten siwowłosy bandyta w cylindrze, który wprowadzał do domu dwie panienki?

Przybrała prostoduszny wyraz twarzy, w którym można się było dopatrzeć chłopskiej przebiegłości.

- Ach, to są siostry, tancerki z Opery, a tak różne od siebie jak ja i biedna Rita. Ale jedna i druga bardzo cnotliwe dziewczęta. Ten pan, ich ojciec, krótko je trzyma. Bardzo surowy jest dla nich. To podobno ogromnie grzeszne zajęcie. A one, biedaczki, nie mają matki...

- Ręczę, że pani bierze od nich wysoki czynsz, Tereso. Przy tak grzesznym zajęciu...

Spojrzała na mnie dziecięco niewinnymi oczyma i poczęła sunąć ku drzwiom tak równiutko, że płomień świecy ledwo się pochylił. - Dobranoc - wyszeptała.

- Dobranoc, Mademoiselle.

Doszedłszy do progu odwróciła się ruchem nagłym, jak marionetka.

- Trzeba panu wiedzieć, mój młody panie, że pan Blunt, ten kochany, piękny człowiek, przyjechał z Nawarry przed trzema czy czterema dniami. Ach! - dodała z

nieocenionym wyrazem pokory - to taki zachwycający mężczyzna! - I znikła za drzwiami.

IV

Tej nocy nie zmrzyłem oka znajdując się wciąż na pograniczu snu i półjawy. Jedyną rzeczą, jakiej nie doznawałem zupełnie, to uczucie wypoczynku. Nie grały w tym roli zwykłe cierpienia zakochanego młodzieńca. Mogłem nie widzieć Rity, mogłem, się oddalić od niej i być bez niej nie wzmagając przez to męki ani okrutnego poczucia oddalenia, tak przenikliwego, że spalało się czasem samo w przeciągu kilku dni. Daleko czy blisko - to było dla mnie jedno i to samo, gdyż nie podobna było ani naprawdę przeniknąć jej tajemnicy, ani się od niej oderwać. Moje położenie przypominało stan umysłowy ludzi wyznających jakąś dziwną, okrutną wiarę, która narzuca im mistyczne brzemie nieosiągalnej doskonałości, odejmując swym wyznawcom wszelką swobodę i radość życia. Każda wiara obdarza jednak nadzieją, ja zaś nie miałem nadziei ani tych pragnień, jakie budzi przedmiot stojący poza nami, obdarzony mocą pobudzania lub przytłumiania naszych porywów, zależnie od tego, czy się przybliży, czy oddala. To coś tkwiło we mnie samym jak życie samo. Według dość rozpowszechnionego powiedzenia, życie jest «słodkie». Ale rozum ludzki nie przekracza nigdy granicy, poza którą rozpoczyna się groza...

Jedyną dodatnią stroną pełnego, długotrwałego cierpienia jest to, że ono uwalnia człowieka od doznawania mniejszych, drażniących wrażeń. Doszedłszy do tego stanu, w którym się już nie odczuwa pragnień i nadziei, stałem się tym bardziej nieczuły na sensacje niższego rzędu, jak podniecenie i niecierpliwość. Godziny spędzane z nią i godziny spędzane bez niej niewiele się od siebie różniły, bo wszystkie należały do niej. I tu jednak istniały odcienie. Wyznaję, że ten

ranek był dokuczliwszy od wielu innych. Zacząłem oczywiście od skreślenia paru słów zawiadamiając Ritę o swoim powrocie. Zadzwoiłem. Zjawiła się Teresa w swojej brunatnej sukni, bardziej niż kiedykolwiek podobna do mniszki.

- Proszę to zaraz wysłać - rzekłem do niej.

Spojrzała na zaadresowaną kopertę, uśmiechnęła się (popatrzyłem na nią z dołu siedząc przy biurku) i wreszcie ze świątobliwą odrazą wzięła list do ręki.

Stała nade mną jeszcze chwilę usiłując z pobożną poządlnością odczytać coś, co dostrzegła w mej twarzy.

- Ach ta Rita, ta Rita - wymamrotała. - I pan także! Czemu pan usiłuje, jak tylu innych, stawać pomiędzy nią a bożym miłosierdziem? Co panu z tego przyjdzie, a taki z pana miły, kochany, ładny chłopiec. Po to chyba, żeby pogniewać świętych w niebie i zasmucać

naszą matkę, która tam pewnie przebywa w ich gronie.

- *Mademoiselle Thérèse, vous êtes folle.*

Wierzyłem w to, że straciła rozum. A była przy tym przebiegła. Dodałem rozkazującym tonem: - *Allez!* - na co bez słowa, z dziwną potulnością wysunęła się z pokoju. Nie pozostawało mi już nic innego jak ubrać się i cierpliwie czekać do godziny jedenastej.

Godzina ta wreszcie wybiła. Gdybym mógł wtedy, zanurzwszy się w jakąś świetlaną falę, być przeniesiony do mieszkania Dony Rity, oszczędziłoby mi to nieskończonej udręki, zbyt skomplikowanej, by ją tu rozpatrywać. Ponieważ to jednak było niemożliwe, postanowiłem odbyć daleką drogę piechotą. Moje wrażenia były dziecinne i chaotyczne, ponieważ były niezmiernie natężone i prymitywne, ja zaś czułem się bezbronny w ich niesłabnących szponach. Gdybym mógł zapamiętać fizyczne sensacje, jakich wtedy doznawałem, miałbym niezły zbiór nedorzeczności i przeciwieństw. Szedłem lekkim krokiem nie dotykając prawie ziemi, a nogi ciążyły mi jak ołów; serce miałem zgnębione, a umysł podniecony - odczuwałem na przemian zimno i gorąco, byłem bliski omdlenia, a jednocześnie mocny i niezachwiany jak skała, niemal obojętny na to, co mnie otaczało. Dotarłem wreszcie do drzwi, tak okropnie podobnych do wszystkich innych drzwi, a dla mnie naznaczonych fatalizmem; kilka spojonych desek przedstawiało groźny symbol, do którego nie można było się zbliżyć bez uczucia lęku, a jednak te drzwi otwierały się zwyczajnie po naciśnięciu dzwonka. Otworzyły się i tym razem. Jak zwykle. Po wejściu do hallu spodziewałem się ujrzeć plecy wszechobecnej i milczącej Róży, oddalającej się w pośpiechu. Tymczasem nie! Czekala, abym wszedł, co mnie tak zdziwiło, że po raz pierwszy przemówiłem do niej: - *Bonjour Rose.*

Opuściła ciemne powieki na oczy, które powinny były posiadać blask, a były matowe, jakby ktoś na nie chuchnął. Ta dziewczyna nie uśmiechała się nigdy.

Ona, która nie miała nigdy chwili czasu, zamknęła za mną drzwi i nie tylko nie odeszła, ale nawet zaczęła zdejmować ze mnie palto. Ta nowość wprowadziła mnie w zakłopotanie. Krzątając się koło mnie, powiedziała jakby od niechcienia:

- Rotmistrz Blunt jest u pani.

To mnie nie zaskoczyło. Wiedziałem o jego powrocie do miasta, zapomniałem tylko w tej chwili zupełnie o jego istnieniu. Spojrzałem na nią bez szczególnej intencji i już kierowałem się do drzwi jadalni, gdy dziewczyna powstrzymała mnie zawołaniem, cichym, choć zupełnie pozbawionym uczuciowego zabarwienia:

- Monsieur George!

Nie było to oczywiście moje imię. Posługiwałem się nim wtedy, jak posługuję się

obecnie w tym opowiadaniu. W różnych dziwnych środowiskach mówiono o mnie jako o «młodym panu, którego nazywają Monsieur George». Ludzie otrzymujący rozkazy od pana «George'a» kiwali porozumiewawczo głowami. Wydarzenia kręciły się dokoła osoby pana George'a. Nie wątpię, że w ciemnych, krętych uliczkach Starego Miasta pokazywano mnie sobie palcem: «To idzie Monsieur George.» Kilku dostojnym osobom przedstawiono mnie dyskretnie jako Monsieur George. Nauczyłem się odpowiadać na to imię w sposób całkiem naturalny i dla uproszczenia spraw używałem go także przy ulicy Konsulów i na Prado. Musiałem wtedy mieć naprawdę wrażenie, że to imię do mnie należy.

Czekałem, co mi Róża powie. Czekałem dość długo, ona zaś w tej przerwie nie zdradzała śladu zakłopotania ani poruszenia. Musiała to być dla niej chwila zastanawiania się. Usta miała lekko zaciśnięte w sposób znamionujący zdolność wydawania kompetentnych sądów. Patrzyłem na nią przyjaźnie, czując rzeczywistą sympatię do tej szczupłej, pozbawionej wdzięku, a tak godnej zaufania osóbkii.

- I cóż? - spytałem wreszcie, ubawiony jej wewnętrznym wahaniem. Byłem pewien, że nie oznaczało ono nieufności. Róża oceniała rzeczy, ludzi i wypadki wyłącznie z punktu widzenia bezpieczeństwa i dobra Dony Rity. Mogłem więc nie obawiać się podejrzeń. Wreszcie przemówiła:

- Madame nie jest szczęśliwa.

Tej wiadomości udzieliła mi tonem, w którym nie czuło się wzruszenia - raczej oficjalnie. Nie wyczuwało się również przestrogi - po prostu stwierdzenie faktu. Nie czekając na to, jak przyjmę jej słowa, otworzyła drzwi do jadalnego pokoju, lecz zamiast zaanonsować mnie jak zwykle, weszła i zamknęła je za sobą.

Przez krótką chwilę nie słyszałem, aby tam rozmawiano. Żaden głos nie dochodził przez zamknięte drzwi, które w parę sekund później otworzyły się i Róża usunęła się na bok zostawiając mi przejście. Dopiero wtedy doleciał mnie nieco podniesiony głos Rity, która z pewnym zniecierpliwieniem (rzeczą u niej bardzo, bardzo rzadką) kończyła jakieś przeczące zdanie słowami: «...bez konsekwencji». Usłyszałem to, jakbym usłyszał każde inne słowo, bo miała donośny organ głosu. Ale oświadczenie Róży zajmowało teraz cały mój umysł. «*Madame n'est pas heureuse...*» Jej nieszczęście przybrało dla mnie niemal konkretny kształt czegoś w rodzaju ohydneho nietoperza. Byłem zmęczony, podniecony, ogólnie wyczerpany. W głowie czułem pustkę. Jakie zewnętrzne objawy wywoływać może nieszczęście? Nie byłem już tak naiwny, by je łączyć z wyobrażeniem łez, wyrzekań, niezwyklej postawy ciała i wykrzywionych rysów twarzy. Nie wiedziałem, co ujrzę przed sobą, ale to, co zobaczyłem, nie miało w sobie nic niezwykłego, przynajmniej z punktu widzenia dziecinnych wyobrażeń,

z których, jak widać, jeszcze nie wyrosłem.

Tkwiące we mnie jeszcze bojaźliwe dziecko doznało ulgi zobaczywszy rotmistrza Blunta grzejącego sobie plecy przy najdalszym kominku, w postawie zaś Rity nie uderzyło mnie także nic szczególnego - to chyba tylko, że miała rozpuszczone i potargane włosy. Byłem przeświadczony, że powrócili niedawno z przejażdżki konnej i że ona, nie znosząc przylegających sukien (jakkolwiek umiała cudownie się ubierać i każdy ubiór wspaniale na niej wyglądał), zrzuciła z siebie kostium do konnej jazdy i owinąwszy się w fałdy swej niebieskiej szaty, siedziała ze skrzyżowanymi nogami jak młody wódz dzikiego plemienia, spowity w koc. Fałdy tej szaty zakrywały jej nawet stopy. Pod nieruchomym spojrzeniem jej tajemniczych oczu dym z papierosa wznosił się jak dym ofiarny spiralną smugą ponad jej głową.

- Jakże się pan. miewa - powitał mnie Blunt ze zwykłym uśmiechem, który byłby jeszcze uprzejmniejszy, gdyby jego szczęki nie były w tym momencie tak mocno zwarte. Nie mogłem wprost zrozumieć, jak słowa mogły utorować sobie drogę przez tak ścisłą zaporę.

Dona Rita zachęcająco poklepała otomanę wskazując miejsce obok siebie. Usiadłem jednak naprzeciwko niej, w fotelu, który zdawał się być przed chwilą opróżniony przez Blunta. Rita zwróciła się do mnie z tym szczególniejszym blaskiem w oczach, w którym było coś wesołego, a jednocześnie przywodzącego na myśl zamierzchłą przeszłość:

- No, jakże tam?

- Powodzenie zupełne.

- Mogłabym pana uściskać!

Jej wargi poruszały się zawsze bardzo nieznacznie, tym razem jednak odniosłem wrażenie, że te intensywnie wyszeptane słowa powstały w moim sercu - nie jako dźwięk dochodzący z zewnątrz, ale jako wzruszenie, które przeradza się w najwyższą rozkosz. Serce moje pozostało jednak ciężkie.

- O tak, z radości... - wyrzekłem bardzo cicho, z goryczą - z tej waszej prawomyślnej radości.

I tonem precyzyjnie uprzejmym, jakby zapożyczonym od pana Blunta, dodałem:

- Nie chcę być uściskany zamiast króla.

Na tym powinienem był poprzestać. Ale nie poprzestałem. Z przewrotnością, którą należałoby wybaczyć ludziom cierpiącym dzień i noc i jakby pijanym nieszczęściem, ciągnąłem dalej:

- Tak, ze względu na króla. Ze względu na tę starą, porzuconą rękawicę, gdyż wzgardzona miłość nie jest niczym innym jak zmiętą, zużytą szmatą, którą się wyrzuca na

śmietnik w braku ognia, który by ją spalił.

Słuchała nieodgadniona, nieporuszona, z lekkim rumieńcem, zwięzonymi oczami i milczącymi ustami, na podobieństwo posągu wyrzeźbionego przed tysiącami lat dla utrwalenia tej wielkiej, niezgłębionej tajemnicy, jaką jest kobiecość. Nie była to ociążała nieruchomość Sfinksa narzucającego przechodniom swe zagadki, lecz bezruch wyższego rzędu, pełen namaszczenia, bezruch złowieszczygo bożyszczka, który bytuje u samych źródeł namiętności trawiącej ludzkość od zarania wieków.

Rotmistrz Blunt, wsparty łokciem o wysoki komin, odwrócił się od nas nieznacznie. Cała jego postawa wyrażała teraz doskonale oderwanie się od otoczenia. Pragnął widocznie zaznaczyć, że nie chce słyszeć tego, co mówimy. Właściwie nie mógł nas słyszeć. Znajdował się za daleko, a myśmy mówili przyciszonymi głosami. Choć nie ulegało wątpliwości, że nie życzy sobie brać udziału w naszej rozmowie, Dona Rita zwróciła się niespodzianie wprost do niego:

- Tak jak panu mówiłam, Don Juanie, moją największą trudnością jest to, że mnie nie tylko nie chcą rozumieć, ale nie chcą mi wierzyć.

Żaden stan «oderwania się» nie mógł oprzeć się ciepłej fali tego głosu. Chcąc nie chcąc, musiał to usłyszeć. Zmienił postawę jakby z ociąganiem się i odpowiedział:

- Jest to trudność, na którą uskarżają się wszystkie kobiety.

- Ja zawsze mówiłam tylko prawdę.

- Wszystkie kobiety mówią tylko prawdę - odparł niewzruszony. To ją rozdrażniło.

- Gdzie są ci mężczyźni, których zwiodłam? - wykrzyknęła.

- Tak, gdzie? - zażartował Blunt i uczynił ruch wyrażający gotowość wyjścia na poszukiwanie oszczerców.

- Niech mi pan pokaże choć jednego. Powtarzam - gdzie on jest?

Blunt porzucił udaną obojętność, wzruszył lekko, bardzo lekko ramionami i zbliżając się o krok do otomany rzucił na Ritę uprzejme, rozbawione spojrzenie.

- Tego nie wiem. Zapewne nigdzie. Gdyby się jednak taki człowiek znalazł, ręczę, że okazałby się durniem. Nie może pani przecież obdarzać inteligencją wszystkich, którzy się do niej zbliżają. Tego nie można spodziewać się nawet od pani, która potrafi robić cuda małym kosztem, nie wkładając w to nic z samej siebie.

- Nic z siebie? - powtórzyła podniesionym głosem.

- Dlaczegoż się oburzać? Chwyciłem panią po prostu za słowo.

- ...małym kosztem!... - powtórzyła znowu, głęboko wciągając powietrze.

- Chciałem powiedzieć: bez uszczerbku dla pani osoby.

- Ach tak - rzekła spoglądając na siebie. I dodała cicho: - Dla mego ciała?

- A czyż ono nie jest panią? - wykrzyknął Blunt z tłumioną irytacją. - Nie powie pani przecież, że ono należy do kogo innego. Nie wypożyczyła go pani... To niemożliwe. Znadto w nim pani do twarzy...

- Pan znajduje przyjemność w dręczeniu samego siebie - rzekła, nagle uspokojona. - Żałowałabym pana, gdyby nie przeświadczenie, że to jest bunt zrodzony z pychy. I pan. dobrze wie, że ją pan zaspokaja kosztem mej osoby. Co zaś do reszty... To życie, wielkie działanie, robienie cudów małym kosztem... Zabiło mnie to wszystko moralnie. Słyszysz pan? Zabiło!

- O, pani jest jeszcze żywa - mruknął.

- Tak - odrzekła łagodnie. - Uczucia jeszcze we mnie żyją i jeśli to może sprawić panu najmniejszą satysfakcję, upewniam pana, że potrafię czuć do końca i będę świadoma nawet ostatniego ułknięcia sztyletu.

Milczał przez chwilę, po czym zwróciwszy głowę w moją stronę z uprzejmym uśmiechem przypomniał jej o mym istnieniu.

- Nasze audytorium ma tego dość.

- Zdaję sobie całkowicie sprawę z obecności pana George'a, a także z tego, że on przywykł oddychać innym powietrzem niż atmosfera tego pokoju. Nie uważa pan, że tu czuć stęchlizną? - zwróciła się do mnie.

Pokój był bardzo obszerny, ale istotnie wydał mi się w tej chwili duszny. Tajemnicza kłótnia pomiędzy tym dwojgiem ludzi, odsłaniająca daleko bliższy ich stosunek, niż mogłem przypuszczać, uczyniła mnie tak głęboko nieszczęśliwym, że nawet nie usiłowałem odpowiedzieć na to pytanie. Ona mówiła dalej:

- Więcej przestrzeni! Więcej powietrza! Dajcie mi powietrza, powietrza! - I uchwyciwszy haftowane brzegi niebieskiego szlafrocza uczyniła niecierpliwy ruch, jakby go chciała rozedrzyć i odsłonić piersi w naszych oczach. Żaden z nas się nie poruszył. Jej ręce opadły bezsilnie.

- Zazdroszczę panu, Monsieur George. Jeśli mi przyjdzie zginąć, wolałabym utonąć w morzu, wśród wichru wyjącego w twarz. Jakież to musi być szczęście czuć, jak cały świat zamyka się nad głową!

Nastało krótkie milczenie, po czym rozległ się salonowy głos pana Blunta mówiącego poufnie, a z ożywieniem:

- Zadawałem sobie często pytanie, czy pani nie jest w gruncie rzeczy ogromnie ambitną osobą, Dono Rito?

- Ja zaś zapytuję siebie, czy pan w ogóle posiada serce? - I spojrzała mu prosto w oczy, on zaś z błyskiem białych zębów odezwał się:

- To znaczy, że pani mnie o to pyta. Ale czemuż robić to publicznie? Stwierdzam, że jedna osoba wystarcza na to, aby stworzyć audytorium. Jedna jedyna. Dlaczego więc nie doczekać się chwili, kiedy on powróci do swoich upragnionych sfer powietrza i przestrzeni, z których przybywa?

Ten jego szczególny sposób mówienia o osobach trzecich jak o bezdusznym przedmiotach był drażniący w najwyższym stopniu. Nie wiedziałem, jak na to w danej chwili odpowiedzieć, ale Dona Rita nie pozostawiła mi czasu do namysłu. Zawołają bez wahania:

- Tylko jednego pragnę - aby mnie tam zabrał ze sobą!

Na krótką chwilę twarz pana Blunta zastygła jak maska, po czym zamiast gniewu ukazał się na mej wyraz pobłażania. A ja, w nagłym widzeniu, ujrzałem twarz Dominika, jego zdumienie, przestach i sarkastyczny uśmiech godzący się u niego z najdalej idącą wyrozumiałością. Jakimże wdzięcznym, wesołym i odważnym towarzyszem byłaby Dona Rita! Wierzyłem niezachwianie, że byłaby nieustraszona w każdym przedsięwzięciu, które by ją naprawdę zajmowało. Jej obecność odrodziłaby i pobudzała ten zachwyt, jaki ogarnął mnie od pierwszej chwili, od pierwszego wejrzenia, zanim zdołała otworzyć usta, a nawet spojrzeć w moją stronę. Na statku musiałaby przywdziać ubiór marynarza: granatową wełnianą bluzę otwartą na piersiach i opończę Dominika, która spowilałaby ją całą. Twarz jej pod czarnym kapturem promieniowałaby młodzieńczym urokiem zachowując swój nieprzenikniony wyraz. Niewielka przestrzeń pomostu na naszym stateczku pozwoliłaby jej przybierać ulubioną pozę ze skrzyżowanymi nogami, a szafirowe morze kołysałoby łagodnie nieruchomą postać, której myśli były równie niezgłębione, równie odwieczne jak morska toń. Prawdopodobnie też - równie nieukojszone...

Ten obraz, prosty i barwny jak ilustracja do powieści o przygodach dwojga przedsiębiorczych dzieci, zupełnie mnie oczarował. Czuję, że istotnie jesteśmy oboje dziećmi w obliczu tego wielkoświatowego człowieka, który «żył ze swej szabli». Wykrzyknąłem z zapalem:

- Tak, musi pani się wybrać z nami na wyprawę! Zobaczyłaby pani tyle rzeczy na własne oczy!

Twarz pana Blunta przybrała wyraz jeszcze pobłażliwszy, jeśli to było możliwe. Pomimo wszystko wyczuwało się w tym człowieku coś dziwnie dwuznacznego. Nie podobał mi się ten nieokreślony ton, jakim zauważył:

- Pani rzuca słowa na wiatr, Dona Rita. Weszło to u pani w zwyczaj.

- Podczas gdy rezerwa stała się u pana drugą naturą, Don Juanie.

Powiedziała to z pełną wdzięku, niemal czułą ironią. Blunt milczał przez chwilę, zanim się odezwał:

- Zapewne... Czy wolałaby pani, aby było inaczej?

Wyciągnęła do niego rękę, jakby powodowana nagłym impulsem:

- Proszę mi wybaczyć! Może byłam niesprawiedliwa a pan tylko szczery. W nas obojgu nie ma fałszu. Jeśli kto zawinił, to życie samo. Ja zawsze byłam szczerą z panem.

- Ja zaś zawsze byłem pani posłuszny - odrzekł pochylając się nad jej ręką. Odwrócił się, zatrzymał, by przez chwilę popatrzeć na mnie, i w końcu poprawnie skinął mi głową. Nie powiedział jednak ani słowa, a raczej wysunął się z niedbałą elegancją salonowca, który czuje się swobodny w każdej okoliczności życia.

Dona Rita pochyliwszy głowę odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie zamknął za sobą drzwi. Usłyszałem tylko ich zatrzasknięcie, gdyż patrzyłem na nią.

Pierwsze jej słowa wypowiedziane do mnie brzmiały:

- Niech pan tak na mnie nie patrzy.

Trudno było usłuchać tego rozkazu. Nie wiedziałem dobrze, co zrobić z oczami siedząc naprzeciwko niej. Podniosłem się więc i gotów byłem odejść do okna, byle jej dogodzić, gdy rzekła znowu rozkazującym głosem:

- Niech się pan nie odwraca ode mnie.

Postanowiłem rozumieć to symbolicznie.

- Pani wie dobrze, że tego nie potrafię. Nie potrafię, choćbym chciał. - I dodałem - na to już za późno.

- To niechże pan siada. Tu, na otomanie.

Usiadłem na otomanie. Czy z niechęcią? Tak. Znajdowałem się w tym stadium, kiedy każde jej słowo, gest, milczenie stawało się dla mnie ciężką próbą, która mogła przeważać postanowienie dochowania wierności jej i sobie samemu. Postanowienie - ciężące jak bryła ołowiu na mym niedoświadczonym sercu.

Ale nie usiadłem daleko, jakkolwiek ta miękka, rozkołysana otomana była aż nadto obszerna. Usiadłem nawet dość blisko Rity. Panowanie nad sobą, godność, nawet rozpacz mają swoje granice. Aureola jej rdzawych włosów poruszyła się lekko, gdy opadł na otomanę. W tej samej chwili zarzuciła mi jedną rękę na szyję, wsparła skroń o moje ramię i poczęła szlochać. Odgadłem to jedynie ippo lekkich, konwulsyjnych ruchach, gdyż pozy, w jakich znajdowaliśmy się w stosunku do siebie, nie pozwalały mi nic widzieć poza masą włosów, szczesanych do tyłu, których wymykające się kosmyki - w chwilach gdy się nad nią

pochylałem - laskotały mnie w usta, w policzek, doprowadzając do szaleństwa.

Siedzieliśmy tak jak dwoje ukaranych dzieci na obrazku ilustrującym przygody dwojga małych poszukiwaczy przygód. Nie trwało to długo. Gdy odruchowo, choć z nieśmiałością, wysunąłem rękę szukając drugiej ręki Rity, poczułem na dłoni lżę, dużą i ciężką, która spadła jakby z bardzo wysoka. Tego było za wiele! Musiałem wykonać jakiś nerwowy ruch, bo natychmiast usłyszałem jej szept:

- Niech pan już odejdzie.

Usuając się delikatnie, uwolniłem się od lekkiego ciężaru jej głowy - tej niewysłowionej szczęśliwości i niewysłowionej niedoli - z niemądrym uczuciem, że pozostawiam ją zawieszoną w powietrzu. Oddalałem się na palcach. Jak natchniony ślepiec, prowadzony przez Opatrzność, trafiłem do drzwi, choć nie widziałem ich przed sobą. Dopiero w hallu zjawiła się, jak wywołana zaklęciem, służąca trzymając oburącz moje palto. Pozwoliłem jej się ubrać. Okazało się, że (także jak na zaklęcie) trzyma w ręku i mój kapelusz.

- Nie. Pani. nie jest szczęśliwa - szepnąłem półprzytomnie.

Pozwoliła mi wziąć kapelusz, lecz w chwili gdy wkładałem go na głowę, doszedł mnie jej surowy głos:

- Pani powinna pójść za głosem serca.

Wyrazu «surowy» użyłem niewłaściwie. Ten niespodziany, beznamiętny szelest słów miał w sobie coś mrozącego. Opanowując dreszcz powiedziałem równie chłodno:

- Zrobiła to już kiedyś. O jeden raz za wiele. Róża stała blisko mnie i podchwyciłem wyraźnie nutę lekceważenia w jej pobłażliwie współczującym głosie:

- Ach, o to chodzi... Pani jest jak dziecko.

Trudno było ocenić doskonałość tego twierdzenia wypowiedzianego przez kobietę, którą sama Dona Rita określała jako największego mruka na świecie, choć Róża była najbliższą osobą, jaką miała wśród istot żyjących.

Ująłem oburącz jej głowę i odwracając ją spojrzałem wprost w te czarne oczy, które powinny były mieć swój blask, a nie odbijały nawet światła, jak przydymione szkło. Pod moim przenikliwym wzrokiem pozostały matowe, przymglone, pozbawione - zdawało się - świadomości i głębi.

- Niechże mnie pan puści. Pan. też nie powinien zachowywać się jak dziecko.

Uwolniłem jej głowę.

- Madame mogłaby mieć cały świat u swoich nóg i ma go u swych nóg, ale nic sobie z tego nie robi. Jakże wymowna stała się ta milcząca dziewczyna!

Dla tych lub innych przyczyn jej ostatnie słowa przyniosły mi ogromną ulgę.

- Czy tak? - wyszeptałem bez tchu.

- Tak. Ale po cóż w takim razie żyć w ciągłym lęku i ciągle się dręczyć? - ciągnęła dalej wykazując ku memu zdziwieniu coraz większą samodzielność myśli.

A otwierając przede mną drzwi dodała:

- Ci, co się nie chcą ugiąć, powinni umieć stworzyć sobie szczęście.

Odwróciłem się ode drzwi:

- A czy jest coś, co się temu przeciwstawia? - spytałem.

- Pewno, że jest. *Bonjour Monsieur*.

CZEŚĆ CZWARTA

I

- Taka urocza pani o rękach białych jak śnieg, w popielatej, jedwabnej sukni. Spoglądała na mnie przez śmieszne szkiełka osadzone na długiej rączce. Głos ma dziwnie łagodny, jak jaka święta. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałam.. Strasznie mnie onieśmiałała.

Głos wypowiadający te słowa był głosem Teresy, ja zaś spoglądałem na nią leżąc jeszcze w łóżku otoczonym ciężkimi firankami z brązowego jedwabiu, które w fantastycznych fałdach spływały od sufitu do podłogi. Blask słonecznego dnia był tak przyćmiony przez zamknięte żaluzje, że w pokoju panował przeźroczyستی półmrok. Na tym tle postać Teresy wydawała się płaska, (pozbawiona szczegółów, jakby wycięta z czarnej tektury. Postać ta przesunęła się do okna; usłyszałem trzask i krótki zgrzyt, po czym fala światła uderzyła dotkliwie w moje obolałe oczy.

Co prawda, cała ubiegła noc była dla mnie «obrzydliwością spustoszenia». Po dłuższym szamotaniu się z myślami - o ile można nazwać myśleniem przesywającą świadomość, że ta kobieta istnieje - usnąłem widocznie, ale tylko po to, by rozpocząć szamotanie się z bezsensownym, przerażającym snem, w którym doznawałem wrażenia, że jestem w okowach. Uczucie bezsilności we wszystkich członkach nie opuściło mnie nawet po przebudzeniu się. Leżałem spokojnie, boleśnie porażony przez odradzającą się świadomość bytu i niezdolny do poruszenia ręką ani nogą. Zastanawiałem się, dlaczego nie jestem na morzu, jak długo spałem, od jak dawna Teresa stoi tak nade mną? Słowa jej dopiero teraz zaczęły przenikać do mego mózgu, w którym kłębiło się jak w czyścicu od beznadziejnych pragnień i pytań bez odpowiedzi. Teresa co rano wносиła mi tacę z kawą i miała zwyczaj rozpoczynania rozmowy zaraz po wejściu do pokoju. To była jej metoda budzenia mnie. Odzyskiwanie świadomości łączyło się dla mnie zwykle z usłyszeniem jakiejś bogobojnej maksymy, zachwalaniem pociech duchowych, jakich się doznaje uczęszczając na prymarię, lub też gniewnych utyskiwań na bezwstydną chciwość dostawców ryb i jarzyn. Teresa miała bowiem zwyczaj wracając z kościoła wstępować po zakupy dla domu. Konieczność płacenia sprzedawcom, dawania im prawdziwych pieniędzy doprowadzała pobożną Teresę do wściekłości. Temat jej dzisiejszego monologu był tak niezwykle, że mógł wydawać się dalszym ciągiem sennych majaczeń. Zmuszony do słuchania tej dziwacznej paplaniny, ja -

więzień w okowach - począłem odczuwać wzrastający we mnie bunt nie wiedząc sam dlaczego.

To uczucie buntu nie ustępowało, jakkolwiek byłem przekonany, że już nie śpię. Postać Teresy oddalającej się od okna śledziłem z bezsilnym lękiem zrozumiałym u człowieka, który ma spętane ręce i nogi. W takim położeniu nawet absurd może wydać się groźny. Przysunawszy się do mego łóżka złożyła nabożnie ręce i podniosła oczy do sufitu:

- Gdybym była jej córką, nie mogłaby łagodniej do mnie mówić - rozpoczęła rzewnym głosem.

- Mademoiselle Thérèse, pani gada od rzeczy.

- Ona także nazwała mnie Mademoiselle - tak ładnie! Patrzyłam ze czcią na jej białe włosy, ale co do zmarszczek, mój drogi panie, to proszę mi wierzyć, że ma ich mniej ode mnie.

Zacisnęła usta i rzuciła mi gniewne spojrzenie, jakbym był odpowiedzialny za jej zmarszczki, po czym westchnęła.

- To Pan Bóg zsyła nam te zmarszczki, ale czymże są ludzkie twarze? - ciągnęła dalej pokornym tonem. - Tam w raju i tak będą promienieć chwałą. Tymczasem dziękuję Bogu, że pozwolił mi zachować czyste serce.

- Czy mam jeszcze długo tego słuchać? - omal że nie krzyknąłem na nią. - O czym pani w ogóle rozprawia?

- Mówię o tej słodkiej starszej pani, która przyjechała tu powozem. Nie dorożką. Ja znam dorożki. To był mały, zamknięty pojazd, ze szklaną szybą na przedzie. Musi być bardzo bogata. Zewnątrz cały był lśniący, a wewnątrz wybity pięknym szarym sukniem. Sama otworzyła drzwi. Wysiadała powoli jak królowa. Strasznie się zdumiałam. Taki błyszczący, śliczny powozik. A wewnątrz były niebieskie festony, przepiękne...

Musiała to być zapewne kareta, która tak silne wrażenie wywarła na Teresie, choć nie umiała nazwać tego wehikułu. Z życiem miasta nie stykała się prawie zupełnie. Dotąd знаła tylko skromną dzielnicę, w której robiła zakupy, i parę ulic prowadzących do najbliższego kościoła uczęszczanego przez ubogą ludność. Poza tym miała zwyczaj przesuwać się wzdłuż murów ze spuszczonej oczyma, a jej wrodzona śmiałość, pokrywana pozorem zakonnej pokory, występowała tylko wtedy, kiedy Teresa zaczynała się targować bodaj o trzy grosze. Karety mogła więc nigdy nie widzieć. Po ulicy Konsulów chodzili przeważnie piesi przechodnie mający mało wspólnego z eleganckim światem. Teresa zresztą - nigdy nie wyglądała przez okno. Czaiła się gdzieś w głębi domu, jak pająk, który chce ująć uwagi, i wyskakiwała na człowieka zniecka, z jakichś ciemnych kryjówek, których nigdy nie

zdołałem zbadać.

Wydało mi się, że z tych czy innych powodów przesadza teraz w swoich zachwytach. Trudno w niej odróżnić przebiegłość od prostoty.

- Czy pani chce powiedzieć - spytałem podejrzliwie - że ta osoba zamierza wynająć tu pokoje? Mam nadzieję, że pani jej odmówiła tłumacząc się brakiem miejsca, bo doprawdy, panno Tereso, ten dom nie bardzo się nadaje dla czcigodnych starszych pań.

- Niechże mnie pan nie doprowadza do złości, mój młody panie. Dziś rano byłam u spowiedzi. Czy panu tu nie jest wygodnie? Czy ten dom nie jest dość bogato wyposażony, aby można w nim było gościć każdego?

Ta kobieta o twarzy pół-chłopki, pół-zakonnicy nie widziała nigdy innego wnętrza domu niż wnętrze zapadłego *caserio* wśród rodzinnych wzgórz.

Zwróciłem jej uwagę, że nie była to kwestia urządzenia domu i komfortu, ale kwestia konwenansu.

Nastawiła uszu przy tym słowie, którego prawdopodobnie nigdy nie słyszała, ale myślę, że dzięki niewytłumaczonej kobiecej intuicji odgadła, co chciałem powiedzieć. Wyraz świętej cierpliwości zaakcentował się u niej 'tak wyraźnie, że mimo swej ubogiej intuicji dostrzegłem, jak bardzo Obruszyła się na mnie. Jej opalona cera, już cokolwiek przybladła wskutek przebywania w zamknięciu, przybrała teraz barwę gliny i przypominała dziwną głowę malowaną przez El Greca, którą mój przyjaciel Prax zawiesił u siebie na ścianie i z której się natrząsał nie bez odcienia szacunku.

Teresa, z rękami pokornie złożonymi na brzuchu, opanowała poryw gniewu, tak niestosowny dla osoby której grzechy zostały odpuszczone przed niespełna trzema godzinami. Spytała mnie z najbardziej ujmującą słodyczą, czy nie sądzę, że jest dość uczciwą dziewczyną, by móc się zająć starszą panią z wielkiego świata, który jest, bądź co bądź, pograżony w grzechu. Przypomniała mi, że odkąd była «ot taką» dziewczeczką, już prowadziła gospodarstwo u swego wuja proboszcza, człowieka znanego ze swej świątobliwości w całej okolicy aż po Pampelunę. O charakterze domu stanowi wszak zawsze osoba, która jest panią tego domu. Ona nie może wiedzieć, jacy niecni ludzie mieszkali w tych ścianach za życia bezbożnego, złego człowieka, który posiał zgubne ziarno w serce «naszej Rity», serce aż nadto skłonne do przyjęcia złego ziarna. Ale człowiek ten umarł i ona, Teresa, wie z całą pewnością, że złe zginęło z nim razem na skutek bożego gniewu (*la colère du Bon Dieu*). Teraz nie wahałaby się w razie potrzeby przyjąć tu nawet biskupa, ponieważ «nasza Rita» - nieszczęsna istota o bezbożnym sercu - nic już nie ma wspólnego z tym domem.

Potok namaszczonego słowa płynął z ust Teresy jak strumień jełkiego oleju. Sama ich

obfitość wystarczyłaby, żeby przyciągnąć uwagę słuchacza.

- Czy pani sądzi, że zna serce swojej siostry? - spytałem.

Przymrużyła oczy, by stwierdzić, czy się nie gniewam. Zdawała się posiadać niezachwianą wiarę w cnotliwe skłonności młodych ludzi. Ponieważ zaś przemówiłem głosem spokojnym i nie zaczerwieniłem się przy tym, dała upust swej wymowie:

- Czarne jest, mój panie, czarne. Ja zawsze o tym wiedziałam. Nasz wuj, biedny, zacny człowiek, był zbyt Świętobliwy, by to zauważyć. I zbyt pogrążony w swych rozmyślaniach, by słuchać moich ostrzeżeń, Ten jej bezwstyd na przykład! Gotowa była biegać po okolicy półnaga.

- Tak. Za waszymi kozami. Przez cały dzień! Czemuż pani nie latała jej sukienek?

- Ach, pan już słyszał o kozach? Kochany, młody panie, nie mogłam nigdy przewidzieć, kiedy ona zmieni swoje na pozór słodkie obejście i pokaże mi język. Czy opowiadała panu o tym chłopcu, synu pobożnych, bogatych rodziców, którego usiłowała popsuć podsuwając mu swoje dzikie myśli? Biedne, kochane dziecko odpędziło ją wreszcie, bo raziła jego poczucie przyzwoitości. Widywałam go z rodzicami na mszy, prawie co niedzielę. Łaska boża uchroniła go i teraz ma on poważne stanowisko w Paryżu. Może to kiedy wzruszy serce biednej Rity. Wtedy była okropna. Gdy nie chciałam słuchać jej wyrzekań, mówiła do mnie: Dobrze, siostrze, będę się odtąd ubierała w deszcz i wichry!» A chude to było - jedna wiązka kości. Istne diabłaćko. Pan nie wie, drogi panie, ile zła mieściło się w jej sercu. Pan nie jest na to dość zepsuty. Nie wierzę zresztą wcale, aby pan w głębi swego niewinnego serca mógł być zepsuty. Nie wyśmiewa się pan nigdy ze świętości. Pan jest tylko niedbały. Ot, na przykład nie widziałam, aby się pan kiedy przeżegnał z samego rana. Powinno to wejść w zwyczaj: ledwo pan oczy otworzy - przeżegnać się. To bardzo skuteczny sposób. Odstrasza złego ducha na cały dzień.

Wypowiedziała tę radę tonem powszednim, jakby udzielała przepisu na niezawodny środek przeciw przeziębieniu. Po czym, zacisnąwszy wargi, powróciła do swej natrętnej myśli.

- Dom należy do mnie - powiedziała spokojnie, lecz z takim naciskiem, że - pomyślałem sobie - sam szatan nie potrafiłby wydrzeć go z jej rąk.

_ powiedziała mi to tej pani w popielatej sukni. Powiedziała mi, że Rita oddała mi ten dom i że Bóg na pewno nie dopuści, aby mi go odebrała.

- Co? pani powiedziała to tej siwej damie, osobie całkiem obcej? Pani staje się mniej poczytania z każdym dniem, Mademoiselle Therese. Pozwolę sobie powiedzieć, że straciła pani zdrowy rozsądek i uczucie. Czy pani rozmawia o swej siostrze także z rzeźnikiem i

przekupniem jarzyn? Zwykły dzikus wykazałby więcej powściągliwości. Do czego pani zmierza? Co pani chce przez to osiągnąć? Czy pani to sprawia przyjemność? Czy wyobraża sobie pani, że oczernianie siostry podoba się Panu Bogu? Kim pani jest właściwie?

- Biedną, samotną dziewczyną wśród złych ludzi. Myśli pan, że dobrowolnie znalazłam się wśród tej ohydy? To ta grzeszna Rita nie chciała pozostawić mnie w spokoju, na służbie u świętego człowieka, u wrót kościoła, gdzie czułam się jak u wrót raju. Po prostu usłuchałam wuja. To on kazał mi tu przyjechać i czynić co w mojej mocy, aby ratować jej duszę, skłonić ją do powrotu do nas, do cnotliwego życia. Ale cóż by z tego przyszło? Ona jest oddana światowym, cielesnym myślom. Jakkolwiek pochodzimy z dobrej rodziny, a mój wuj jest najwybitniejszym człowiekiem w okolicy, gdzież się znajdzie szanujący się gospodarz lub inny bogobożny mężczyzna, który by się ośmielił taką dziewczynę wprowadzić do swego domu, między matkę i siostry? Nie! Ona powinna swój źle nabyty majątek oddać tym, co na to zasługują, a sama poświęcić się pokucie.

Te sprawiedliwe uwagi, zakończone niezawodnym przepisem na zbawienie duszy siostry, wypowiedziane były tonem tak rozsądnym i pełnym przekonania, że mogły każdego przyprawić o gęsią skórkę.

- Mademoiselle Thérèse - rzekłem - pani jest ni mniej ni więcej, tylko potworem.

Przyjęła ten szczery wyraz mej opinii, jakby jej ofiarowano najwyszukańsze łakocie. Lubiała, gdy jej wymyślano. Obelgi sprawiały jej przyjemność. Zaspokoilem w pełni to jej upodobanie. Zatrzymałem się dopiero wtedy, kiedy wyczerpał mi się zasób słów i nie pozostawało chyba nic innego, jak wyskoczyć z łóżka i obić ją.

Miałem niejasne wrażenie, że i to by jej się podobało, ale nie uczyniłem tej próby. Minęła chwila, zanim Teresa podniosła spuszczone oczy.

- Pan jest miłym, młodym lekkoduchem nie znającym życia - rzekła. - Nikt nie wie, jakim krzyżem jest dla mnie moja siostra, chyba tylko zacny ksiądz w tym kościele, do którego chodzę co rano.

- I tajemnicza pani w popielatej sukni - poddałem ironicznie.

- Taka osoba mogła była to odgadnąć - odrzekła z powagą Teresa - ale nie powiedziałam jej nic poza tym, że ich dom został mi oddany na własność przez Ritę. I tego nie byłabym powiedziała, gdyby ona pierwsza nie zaczęła mówić o mojej siostrze. O tym powinno wiedzieć jak najwięcej osób. Ricie wierzyć nie można. Wiem dobrze, że Boga się nie boi, ale może liczy się jeszcze z ludzkimi językami, i z tego względu nie będzie śmiała odebrać mi domu. Jeśli jej chodzi o to, abym milczała, czemu mi nie da jakiegokolwiek dowodu na stemplowym papierze?

Wypowiedziała to wszystko jednym tchem, a przy ostatnich słowach jakby się zachłysnęła niespokojnie, dzięki czemu mogłem wyrazić jej swoje zdziwienie, które było niesłychane.

- Ta dama, ta obca osoba, pierwsza zaczęła mówić o pani siostrze? - wykrzyknąłem.

- W jakiś czas po przybyciu zapytała mnie, czy ten dom jest rzeczywiście własnością pani de Lastaola. Była dla mnie tak łagodna, miła i łaskawa, że nie wahałam się upokorzyć przed tak dobrą chrześcijanką. powiedziałam jej, że nie wiem, jakie nazwisko przybrała moja nieszczęsna siostra w swym grzesznym zaślepieniu, ale że ten dom był mi przez nią oddany raz na zawsze. Podniosła brwi patrząc na mnie jednocześnie tak łaskawie, jakby chciała powiedzieć: «Nie dowierzaj temu zbyt, moje dziecko.» Nie mogłam powstrzymać się od ucałowania jej ręki, delikatnej jak puch... Cofnęła ją pośpiesznie, ale się nie obraziła. Powiedziała tylko: «To bardzo wspaniałomyślnie ze strony pani siostry» - w taki sposób, że aż mnie ciarki przeszły. Widocznie już wszyscy wiedzą, jak bezwstydną dziewczyną jest Rita. Wtedy to właśnie śliczna moja pani podniosła szkiełka na długiej złotej rączce i zaczęła mi się przyglądać tak uważnie, że aż się poczułam zmieszana.

- Nie ma czym się martwić - rzekła. - Pani de Lastaola jest osobą bardzo wybitną, która dokonała mnóstwa niezwykłych rzeczy. Nie można jej sądzić tą samą miarą co innych ludzi, a o ile wiem, nie uczyniła nigdy najmniejszej krzywdy nikomu.

- To mnie podniosło na duchu - mówię panu. - Potem powiedziała, że nie trzeba przeszkadzać jej synowi. Postanowiła czekać, aż się sam obudzi. Wiedziała, że źle sypia. A ja na to:

- Słyszę przecież, że wielmożny pan kąpie się teraz w sali fechtunkowej. - Zaprowadziłam ją do pracowni, gdzie obecnie razem przebywają. O dwunastej podam im śniadanie.

- Czemuż, do diabła, nie powiedziała mi pani od razu, że ta przyjezdna dama jest panią Blunt?

- Czyż nie mówiłam? Zdawało mi się, że mówiłam - odpowiedziała niewinnie.

Ogarnęła mnie nagle chęć wydostania się z tego domu, ucieczki przed spotęgowanym żywiołem Bluntów, który tak bardzo mi ciążył.

- Teraz zamierzam wstać i ubrać się, Mademoiselle Thérèse - rzekłam.

Drgnęła lekko i nie patrząc na mnie wysunęła się z pokoju, przy czym gęste fałdy jej brunatnej spódnicy pozostały nienaruszone.

Spojrzałem na zegarek: była dziesiąta. Teresa spóźniła się tym razem z moją kawą. Zwłoka musiała być wywołana niespodzianym przyjazdem pani Blunt, niezależnie od tego,

czy jej syn spodziewał się, czy nie spodziewał wizyty matki. Istnienie dwojga Bluntów w pobliżu niepokoiło mnie w szczególny sposób. Miałem wrażenie, że ich umysłowość jest dla mnie zgoła obca, że są jakby mieszkańcami innej planety i patrzą na wszystko z nieco odmiennego punktu widzenia, który dla mnie pozostanie zawsze nie znany. Wywoływało to u mnie poczucie niższości wręcz nieznośne. To, że pochodzili z innego kontynentu, nie odgrywało tutaj roli. Spotykałem wielu Amerykanów poprzednio, a Bluntowie byli Amerykanami. W jakże małym jednak stopniu! W tym leżała może przyczyna. Rotmistrz Blunt mógł być Francuzem, jeśli chodziło o język, o ton głosu, o sposób bycia. A jednak nie... Dlaczego? Nie mogłem na to znaleźć odpowiedzi. Było to coś nieokreślonego.

Wycierając sobie mocno rękami głowę, twarz i kark rozmyślałem nad tym, że chcąc znajdować się na równej stopie z panem J. K. Bluntem musielibyśmy spotkać się z bronią w ręku, najchętniej z pistoletem, który nie wymaga zbliżenia, ponieważ dość daleko niesie, a jest bronią co się zowie. W moim rozumieniu tylko fizyczne życie Blunta - to, które mogło mu być zabrane - nie różniło się niczym od mojego podlegając tym samym prawom i będąc równie znikome.

Byłbym się uśmiechnął ze swej głupoty, gdyby wszelkie najłżejsze prześliski wesołości nie zostały we mnie zduszone przez nieznośny ciężar mego uczucia dla Rity. Ta miłość druzgotała, zaciemniała wszystko. Gdyby istniały jeszcze uśmiechy na świecie - w co nie wierzyłem - nie byłbym ich dostrzegł. Miłość do Rity... A czy to jest miłość? - zapytywałem siebie z rozpaczą, szcztokując włosy przed lustrem. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy miała jakikolwiek początek, a uczucia, którego początku nie da się wysledzić, nie można traktować poważnie. Jest ono zapewne złudzeniem. A może ta miłość miała podkład w moim stanie fizycznym, może była chorobą pokrewną melancholii, a wiodącą do obłądzenia? Jedyne chwile ulgi, jakie tkwiły mi w pamięci, to te gawędy z Ritą, w oświetlonej słońcem rotundzie, kiedy przekomarzaliśmy się ze sobą jak zacierzowane dzieci o jedno zdanie, o jedno słowo, wśród wielkich wybuchów śmiechu, nie zwracając uwagi na spokojne pojawianie się i znikanie wiecznie krzątającej się Róży...

Łzy napłynęły mi do oczu na wspomnienie tego śmiechu, pamięć zmysłów bywa bowiem bardziej przejmująca niż sama rzeczywistość. Byłem urzeczony tym wspomnieniem. Wszystko, co miało z nią związek, narzucało się mej wyobraźni z okrutną wyrazistością: cała jej postać w ulubionej pozie, zabarwienie jej ciała, jej oczy, usta, połysk jej zębów, złota aureola jej włosów, gładkość jej czoła, nikły zapach perfum przez nią używanych, nawet kształt, miękkość i ciepło pantofelka na wysokim korku, który czasem w zapale dyskusji zsuwał się z trzaskiem na podłogę, a który ja podnosiłem (ciągle w zapale dyskusji) i

odrzucałem na otomanę nie przestając argumentować. Urzekło mnie nie tylko ziemskie zjawisko Rity, urzekła mnie również jej kapryśna natura, słodycz i płomień, to wszystko, co w niej musieli widzieć bogowie, kiedy między sobą mówili o Ricie. Zaiste, byłem przez nią urzeczony, ale urzeczona była również i jej siostra Teresa, kobieta niespełna rozumu... To jednak niczego nie dowodziło. Co się zaś tyczyło łez Rity, to oburzyły mnie tylko, ponieważ nie ja byłem ich przyczyną. Oparcie głowy na moim ramieniu i te dziwne łzy wydawały mi się nieomal obelgą, zwykłą uczuciową komedią. Mogła być równie dobrze oprzeć czoło o wysoki kominek z czerwonego granitu i wyłakać się swobodnie. A gdy podpora stała się zbyt ciężka, kazała mi po prostu odejść. Jakież to wygodne! W tym żądaniu była wprawdzie nuta błagalna, nuta głębokiego patosu, ale mogło to równie dobrze oznaczać zimną bezczelność. Z nią nic nie można było wiedzieć. Smutek, obojętność, łzy i uśmiechy, wszystko zdawało się mieć ukryte znaczenie. Niczemu nie można było zaufać... Wielki Boże! Czyżbym już oszalał jak Teresa? - Z dreszczem trwogi zadałem sobie to pytanie, zajęty wyrównywaniem końców krawata przed lustrem.

Poczułem nagle, że cała ta sprawa mnie zabija. Nie umiałbym określić tego przyczyny, ale sama myśl nie była sztucznym wytworem chorobliwej wyobraźni, lecz wypływała ze szczerego przekonania. Miałem umrzeć z powodu «tej historii», a nie z powodu niezliczonych wątpliwości. Wszelka pewność mogła być również śmiertelna. Na zabicie mnie nie potrzeba było ciosu sztyletu, równie dobrze zabiłby mnie pocałunek. Nie umarłbym od jednego zmarszczenia brwi, od poszczególnego słowa lub czynu, sprawiłaby to raczej konieczność doznawania tych wszystkich wrażeń, razem czy kolejno, konieczność przeżywania «całej tej historii».

W momencie kiedy kończyłem wiązanie krawata, wziąłem już na dobre rozbrat z życiem. To mnie nie obchodziło wcale, bo nie zdawałem sobie sprawy, czy w danej chwili jestem fizycznie i duchowo, od stóp do czubka głowy, bardziej zmęczony, czy bardziej nieszczęśliwy.

Skończywszy z ubieraniem się nie miałem już co robić. Ogarnęło mnie uczucie niedoli bez granic. Jest rzeczą stwierdzoną, że rutyna codziennego dnia, te narzucające się arbitralnie drobnostki są wielką podporą moralną. Ale ubieranie się było skończone. Nie miałem już nic do spełnienia, żadnego z tych obrządków uświęconych przez zwyczaj i nie nastęrczających wyboru.

Wykonanie jakiegokolwiek aktu woli przez człowieka, którego świadomość ogranicza się do poczucia, że «ta historia» go zabija, może być tylko przekomarzeniem się ze śmiercią, jakąś nieszczerą pozą przed sobą samym. Nie czułem się do tego zdolny. Nabrałem natomiast

przeświadczenia, że utrata życia wskutek «tego rodzaju historii» - a raczej absolutna pewność, że je utracę - nie jest sama w sobie niczym strasznym. Najokropniejsze było wyczekiwanie. W tym mieściło się okrucieństwo, tragedia i gorycz. Czemuż, u licha, nie padam martwy od razu? - pytałem siebie ze złością, wyjmując z szuflady czystą chustkę i wsadzając ją do kieszeni.

To już była bezwzględnie ostatnia czynność, ostatni nakaz obowiązującego rytuału. Teraz miałem być pozostawiony sam sobie, a. to było straszne. Zwykle wychodziłem z domu i szedłem w dół do portu, aby rzucić okiem na mój statek, który kochałem uczuciem niezmiernie złożonym, ponieważ łączył się w mym umyśle z obrazem kobiety; czasem nawet wstępowałem na pokład, nie dlatego, żebym tam miał coś do roboty, ale ot tak, dla samej przyjemności - takiej, jaką odczuwa mężczyzna przesiadujący z rozkoszą w towarzystwie ukochanej osoby. Idąc na drugie śniadanie miałem wybór między dwiema restauracjami: jedną odwiedzaną przez cyganerię, drugą wytworną, nawet arystokratyczną, gdzie czekał na mnie zarezerwowany stolik w «petit salon» na piętrze, u szczytu białych schodów. W obu tych lokalach miałem przyjaciół, którzy traktowali moje przygodne wizyty z całą dyskrecją, zabarwioną u jednych odcieniem szacunku, u drugich życzliwą tolerancją. Tę życzliwą tolerancję zawdzięczałem jednemu z najbardziej beztroskich i najbardziej zakamieniałych przedstawicieli cyganerii, człowiekowi, w którego brodzie prześwitywały już siwe nitki. Pewnego razu, położywszy mi na ramieniu swoją ciężką dłoń, wziął mnie w obronę przed zarzutem zdrady, a nawet obcości w stosunku do tego środowiska, w którym powstawały czarowne wizje przybierające piękne i rewolucyjne kształty wśród dymu z fajek i brzęku kieliszków.

- Ten młodzieniec (*ce garçon*) to natura pierwotna, ale w pewnym znaczeniu może i artysta. Zerwał z konwencjonalnością otoczenia. Usiłuje nadać swemu życiu szczególniejszą wibrację i zabarwienie zgodne z własnym poczuciem koloru, a kto wie, czy nie narzuci mu kształtu odpowiadającego własnym wyobrażeniom. Jest już może na tropie arcydzieła, ale zauważcie jedno: jeśli tak jest istotnie, nikt tego arcydzieła nie ujrzy. Będzie istniało tylko dla niego samego. A nawet jemu nie będzie dane oglądać go w całości - chyba na łożu śmierci. Jest w tym coś, dalibóg, pięknego.

Zaczerwieniłem się z zadowolenia; tak piękne myśli nie przeszły mi nigdy przez głowę. A było w tym rzeczywiście piękno... Jakież dalekie było to wszystko! Jakie nieme i martwe. Widmem wydawał mi się teraz ten człowiek z barwną brodą mieniącą się przynajmniej siedmioma odcieniami brunatnego koloru. Cieniami wydawali się inni, jak Baptiste o wygolonej twarzy dyplomaty, *maître d'hôtel* czuwający nad «małym salonem»,

który odzywał się z szacunkiem, odbierając ode mnie kapelusz i laskę: «Rzadko się pana teraz u nas widuje.» I ci wszyscy, których pięknie uczesane głowy pochylały się przede mną w przejściu, witając mnie życzliwym «*Bonjour, bonjour*» i śledząc wzrokiem pełnym zaciekawienia. Także ci młodzi panowie, X i Z, którzy przed wyjściem z restauracji zbaczali umyślnie do mego stolika, by zapytać przyciszonym głosem: «Jak się pan miewa? Czy pokaże się pan gdziekolwiek dziś wieczór?», i to, broń Boże, nie z ciekawości, ale po prostu przez życzliwość. Po czym szli dalej nie czekając najczęściej na odpowiedź. Cóż mnie dziś z nimi łączyło, co mogłem mieć wspólnego z tym całym szystem, z tym prowincjonalnym światem?

Często także jadałem śniadanie u Dony Rity bez uprzedniego zaproszenia. Teraz nie mogłem już o tym pomyśleć. Cóż jeszcze wspólnego mogłem mieć z kobietą, która pozwalała innemu doprowadzać się do tego, by potem, ze zdumiewającym brakiem taktu, wylewać te łzy na moim ramieniu? Rozumie się, że nic. To moje pięciominutowe rozmyślanie na środku pokoju skończyło się nawet bez westchnienia. Umarli nie wdychają, ja zaś faktycznie już umarłem. Brakowało tylko ostatniego dopełnienia: *rigor mortis*, błogosławionego stanu niewiedzy.

Powolnym krokiem minąłem schody i wszedłem do mego saloniku.

II

Okna tego pokoju wychodziły na ulicę Konsulów, cichą jak zwykle. W całym domu, nade mną i pode mną, panowała także głucha cisza. Dom ten był pozbawiony akustyki i wszelkich odgłosów, dzięki czemu przypominał klasztor. Musiał być bardzo solidnie budowany. Ale wśród tej ciszy brakło mi owego rana poczucia bezpieczeństwa i spokoju, jaki się z nią zazwyczaj łączył. Według powszechnego mniemania, umarli lubią odpoczywać w spokoju. Ja jednak nie odczuwałem ani spokoju, ani wypoczynku. Co mi właściwie przeszkadzało w tej ciszy? Było w niej stanowczo coś niepokojącego. Spokój domu był czymś zakłócony. Nagle przypomniałem sobie: przyjechała matka rotmistrza Blunta.

Po co odbyła tę drogę z Paryża? I dlaczego miałbym sobie tym zaprzętać głowę? Hm! aura Bluntów, spotęgowana wibracja Bluntów przenikała zapewne przez te grube ściany i zakłócała ciszę, niemal bardziej kamienną niż same mury. Sprawy *Madame Blunt mère* nie mnie oczywiście nie obchodziły. Zapewne macierzyński niepokój przywiódł ją tu, na południe Francji, wieczornym lub rannym ekspresem. Chciała zapewne przekonać się naocznie, jak wyglądają skutki długotrwałej bezsenności. Bezsenność - świetna rzecz dla oficera kawalerii przebywającego wciąż na wysuniętych placówkach - po prostu dar zesłany z nieba, ale podczas urlopu istne przekleństwo!

Powyższe myśli były całkowicie pozbawione współczucia, raczej połączone z wewnętrznym zadowoleniem, że nie mnie dręczy ta bezsenność. W ostateczności mogłem zawsze usnąć. Zawsze pozostawała mi ucieczka w krainę snów. Jakaż rozkoszą byłoby to dla Blunta. Skazany był na przewracanie się na łóżku z otwartymi oczami przez całą noc i na wstawanie z uczuciem straszliwego znużenia. A czyż ja również nie czułem się znużony wyczekując nieraz długo, długo na sen pozbawiony zwidzeń?

Posłyszałem, że za mną otworzyły się drzwi. Stałem zwrócony twarzą do okna, nie mając pojęcia, czy patrzę na pustynię Sahara, czy na ścianę z cegieł, na krajobraz poprzecinany rzekami i lasami, czy po prostu na konsulat Paragwaju? Myślałem widocznie przez ten czas o panu Bluncie z takim natężeniem, że kiedy zobaczyłem go wchodzącego do pokoju, nie uczyniło to na mnie wrażenia. Zbliżał się do mnie, poprawny jak zawsze i uśmiechnięty mimo zapadłych oczu. Ubrany był jak do wyjścia, był jednak w starej kurtce myśliwskiej, którą sobie szczególnie widać upodobał, bo nosił ją przy każdej sposobności. Była uszyta z samodziału, niewiarogodnie zniszczona i wytarta na łokciach, mimo to widać było od razu, że musiał ją robić pierwszorzędny krawiec londyński. Blunt zbliżał się do mnie

smukły i wytworny każdym swym poruszeniem, każdym rysem twarzy, osadzeniem głowy na ramionach i niedbałą swobodą ruchów - stwierdzając narzucającą się wyższość, nieświadomą, nieopisaną, nieuchwytną wyższość wielkiego pana i wzorowego salonowca nad zwykłym, prostodusznym młodzieńcem. Uśmiechał się swobodnie, poprawny, nieskończenie uroczy: wspaniały cel dla kuli straceńca.

Przyszedł mnie prosić, abym zechciał - o ile mi inne zajęcia nie przeszkadzają - zjeść drugie śniadanie w towarzystwie jego i jego matki, mniej więcej za godzinę. Wypowiedział to w sposób jak najbardziej *degagé*.

Matka zrobiła mu niespodziankę. Najzupełniejszą... Podstawą psychologii jego matki jest jej rozkoszna nieobliczalność. Nie pozostawi żadnej rzeczy jej naturalnemu biegowi (to było powiedziane szczególnym tonem, który jednak natychmiast opanował), byłby mi więc nieskończenie wdzięczny, gdybym zgodził się przyjść i na chwilę przerwał ich *tête-à-tête* (oczywiście, o ile nie mam innego zaproszenia - dodał - błyskając zębami).

Jego matka była rozkosznie, tkliwie nedorzeczna. Wmówiła w siebie, że zdrowie syna jest zagrożone. A gdy już raz wbije sobie do głowy... Może uda mi się czymkolwiek uspokoić jej obawy. Widziała się dwukrotnie z Millsem w czasie jego przejazdu przez Paryż i długo z nim rozmawiała.

Opowiadał jej o mnie (wiemy, jak ten grubas potrafi mówić o ludziach - wtrącił dwuznacznie), ona zaś ze swą nienasyconą ciekawością wszystkiego, co niezwykle (tu przybrał żartobliwy ton synowski, z lżejszym błyskiem zębów), zapragnęła mnie poznać. (Ton uprzedząco grzeczny - zęby niewidoczne.) W dalszym ciągu wyraził nadzieję, że nie będę urażony, jeśli jego matka traktować mnie będzie jak «interesującego młodego człowieka». Nie może bowiem dotąd zapomnieć epoki, w której miała siedemnaście lat i była rozpieszczoną piękną słynną w trzech co najmniej powiatach Południowej Karoliny. A jeśli do tego dodać *sans façon* wielkiej pani z epoki Drugiego Cesarstwa...

Przyjąłem zaproszenie z uśmiechem wytrawnego światowca i z intonacją doskonale poprawną, gdyż było mi zupełnie wszystko jedno, co będę robił za chwilę. Zdziwiło mnie tylko, że jeden człowiek potrafił wchłonąć cały zapas powietrza, jaki znajdował się w pokoju. Zdawało mi się, że nie mam już czym oddychać. Przyjmując zaproszenie nie powiedziałem, że mi będzie bardzo miło albo że się czuję zaszczycony, powiedziałem po prostu, że przyjdę. Blunt oniemiał na chwilę, po czym wsadził ręce do kieszeni i zaczął się przechadzać tam i z powrotem. - Jestem dziś trochę zdenerwowany - rzekł po francusku, zatrzymując się nagle przede mną i patrząc mi prosto w oczy. Oczy jego były zapadłe, mroczne, złowieszcze. Spytałem go z odcieniem złośliwości, której nikt nie odgadł w moim głosie: - Jakże tam z

pańską bezsennością? - Warknął przez zęby: - *Mal. Je ne dors plus.*

Odszedł i stanął przy oknie, zwrócony do mnie plecami. Rzuciłem się na kanapę stojącą obok i wyciągnąłem nogi. Cisza zapanowała w pokoju.

- Czy to nie śmieszna ulica? - przemówił wreszcie Blunt i szybko przechodząc przez pokój kiwnął ręką w moją stronę: - *A bientôt, donc* - po czym znikł za drzwiami.

Obraz tej postaci wrył się głęboko w mój mózg. Nie rozumiałem wtedy ani jego, ani jego matki i przez to wywierali na mnie jeszcze silniejsze wrażenie, przekonałem się jednak później, że te dwie postacie mogły wbić się w pamięć nawet bez tajemniczych osłon. Oczywiście, że matka żyjąca ze swego sprytu i syn «żyjący ze swej szabli» nie są zjawiskiem codziennym: indywidualności tych dwojga były rzadko spotykanym w życiu arcydziełem. Nigdy nie zapomnę jej popielatej sukni, tak niezmiernie stylowej, o sutych fałdach spódnicy i długim staniku - niewysłowionego piękna tej staroświeckiej sylwety, uduchowionej jak widmo - tych czarnych koronek przy srebrnych włosach, tych harmonijnych i powściągliwych ruchów rąk białych i miękkich jak puch, a przywodzących na myśl ręce królowej lub ksieni, wreszcie tych oczu świecących jak gwiazdy i podkreślających wrażenie świeżości, jakie sprawiała cała jej postać - oczu przy tym spokojnych, pewnych siebie, pod których wejrzeniem nic nie miało prawa się ukryć, gdyż wiedziały, że są władczo piękne.

Rotmistrz Blunt z ceremonialnym uśmiechem przedstawił mnie swej matce, po nazwisku. Po czym dodał w formie komentarza spuszczać nieco z oficjalnego tonu:

- To ten Monsieur George, którego sława, jak mama twierdzi, dotarła aż do Paryża.

Sposób, w jaki powitała mnie pani Blunt, jej spojrzenie, intonacja, nawet pochylenie kibici obciśniętej sznurówką, wszystko było jak najprzyjaźniejsze, posuwające się niemal do serdeczności. Odniosłem wrażenie, że oglądam rodzaj wcielonego ideału. Przeżycie nie było jakie! Ale i to było mi obojętne. Pod pewnym względem pomyślna była dla mnie okoliczność, że czując się jak człowiek ciężko chory zachowałem mimo to zupełną przytomność umysłu. Nie zastanawiałem się nawet w tej chwili, co tu właściwie robię. - *Comme c'est romantique* - wyszeptała patrząc w przestrzeń, jakby przemawiała do zakurzonych ścian pracowni, po czym wskazała mi krzesło po swej prawej stronie i pochylając się ku mnie lekko, rzekła:

- Słyszałam to imię, wymawiane przez piękne usta w niejednym monarchistycznym salonie.

Nie odpowiedziałem na te pochlebne słowa. Przemknęła mi tylko przez głowę dziwna myśl, że ona musiała jednak zupełnie inaczej wyglądać, gdy miała siedemnaście lat i nosiła śnieżnobiałe, muślinowe sukienki tam, na rodzinnej plantacji w Południowej Karolinie, w epoce poprzedzającej wojnę secesyjną.

- Chyba nie weźmie pan za złe starej kobiecie, której serce pozostało młode, że będzie pana nazywała tym imieniem?

- Ależ naturalnie. To będzie romantyczniej - odrzekłem z ukłonem pełnym szacunku.

- Tak, nie ma jak romantyzm, póki się jest młodym. Zatem będę pana nazywała Monsieur George - rzekła spokojnie, a po chwili dodała:

- Nie potrafiłam się zestarzeć - takim tonem, jakim mogłaby powiedzieć: «Nie mogłam nigdy nauczyć się pływać.»

Miałem dość przytomności umysłu, by odrzec tym samym tonem:

- *C'est évident, Madame.*

To było oczywiste. Ta kobieta nie mogła się zestarzeć. Jej trzydziestoletni syn cierpiący na bezsenność siedział po drugiej stronie stołu przysłuchując się naszej rozmowie z uprzejmym roztargnieniem. Jego uśmiech pod jedwabistym, czarnym wąsem zaznaczył się teraz wąziutką, ledwo dostrzegalną kreską bieli.

- Pańskie usługi bardzo wysoko są cenione - rzekła z godnością nieco śmieszna, brzmiało to jednak jak pochwała wielkiej damy ze sfer oficjalnych. - Bardzo wysoko. I to przez ludzi, którzy dzięki swemu stanowisku są w stanie ocenić wielkie znaczenie karlistowskiego ruchu. Karliści muszą tam jednocześnie zwalczać anarchię. Ja, która przeżyłam Komunę...

Weszła Teresa z półmiskiem i aż do końca śniadania rozmowa, tak dobrze zaczęta, obracała się już tylko dokoła tematów religijno-monarchistyczno-legitymistycznych traktowanych w najpłytszy, najpospolitszy sposób. Wszystkim Burbonom na świecie musiało w uszach dzwonić. Pani Blunt zetknęła się widać osobiście z wielu przedstawicielami tej dynastii i zdumiewałem się w swym niedoświadczeniu nad głupotą jej sądów i spostrzeżeń. Spoglądając na nią od czasu do czasu, myślałem sobie: „Ta kobieta pamięta niewolnictwo, zna dwa kontynenty, widziała Komunę, wojnę domową i rozkwit Drugiego Cesarstwa, przeżyła grozę dwóch oblężeń, stykała się z najwybitniejszymi ludźmi, z wielkimi wypadkami, korzystała z bogactwa i własnych talentów - i oto siedzi teraz nienaruszona, w gładkim, lśniącem upierzeniu, niczym Feniks, który otrząsnął się z ostatnich śladów kurzu i popiołu, nie tknięta wiekiem, lubująca się w powtarzaniu głupich komunałów, jakby poza nimi nie było niczego na świecie.” I zapytałem siebie w młodzieńczej porywczoci, jak może istnieć tak wietrzna istota.

Teresa postawiła na stole talerz z owocami: kilka pomarańcz, trochę winogron i orzechów. Z pewnością kupiła je bardzo tanio, bo nie wyglądały zachęcająco. Rotmistrz Blunt zerwał się z krzesła:

- Moja matka nie znosi dymu. Czy zechce jej pan dotrzymać towarzystwa, *mon cher*, dopóki nie wypalę cygara w tym śmiesznym ogródku tutejszym. Hotelowy powóz wkrótce powinien nadjechać.

Opuścił nas błyskając zębami w uśmiechu, który miał usprawiedliwić jego wycofanie się. Za chwilę ukazał się znowu, widoczny poprzez oszkloną ścianę pracowni.

Gdy tak przechadzał się po głównej alei «śmiesznego ogródka» tam i z 'powrotem, czynił wrażenie - dzięki swej elegancji i dystynkcji - najwytworniejszej postaci, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem. Zmienił marynarkę

Madame Blunt mère - opuściła *face-à-main*, przez które spoglądała na syna z wyrazem skupienia i aprobaty, nie mającym w sobie nic macierzyńskiego. I zwróciła się do mnie:

- Rozumie pan mój niepokój, kiedy on jest w polu u boku króla.

Mówiąc po francusku, użyła wyrazu «*mes transes*», ale sądząc po jej intonacji, ruchu głowy i sposobie mówienia można było mniemać, że jej chodzi o kogoś z Burbonów. Byłem przekonany, że żaden z nich nie wyglądał tak. dostojnie jak jej syn.

- Rozumiem panią doskonale, Madame. Ale w takim życiu ileż jest romantyzmu!

- Setki młodych ludzi należących do wyższej sfery robi dziś to samo! - rzekła dobitnie.
- Ale ich położenie jest inne. Mają stanowiska, swoje rodziny, do których mogą wrócić. A my? Jesteśmy wygnańcami; oczywiście nie mówię tu o ideałach, o pokrewnym duchu i dawnych bliskich stosunkach, jakie posiadamy we Francji. Jeśli mój syn powróci cało i zdrowo, nie będzie miał nikogo prócz mnie, a ja nikogo poza nim. Muszę myśleć o jego przyszłości. Pan Mills (ach, cóż to za wybitny umysł!) uspakajał mnie co do jego zdrowia. Ale na bezsenność cierpi dalej, prawda?

Wymamrotałem coś w rodzaju twierdzenia nieokreślonym tonem. Na to poczęła mówić prawie szorstko:

- Jakże on niepotrzebnie się dręczy! Położenie wygnańca, jakkolwiek nieszczęśliwe, ma swoje dodatnie strony. Na pewnym szczeblu towarzyskim (majątek nic tu nie stanowi - zostaliśmy zrujnowani przez wojnę w obronie najszlachetniejszej sprawy), na tym wyższym szczeblu można nic sobie nie robić z ciasnych uprzedzeń. Widzimy tego przykłady w środowiskach arystokratycznych na całym świecie. Rycerski, młody Amerykanin może narażać życie dla dalekiego ideału, który jednak ma coś wspólnego z tradycją jego rodu. My, w naszym wielkim kraju, mamy wszelkiego rodzaju tradycje. Ale człowiek dobrze urodzony, posiadający wysokie stosunki, musi wreszcie gdzieś osiąść, urządzić sobie życie.

- Niewątpliwie - odpowiedziałem wodząc oczyma za postacią po drugiej stronie

szyby, przechadzając się tam i z powrotem z niezapalonym cygarem w ręku («*American, catholique et gentilhomme!*...») - co do mnie, nie rozumiem się zupełnie na tych koniecznościach, zerwałem z tymi rzeczami na zawsze.

- Tak. Pan Mills mówił mi o tym. Jakież to złote serce! I jaka nieskończona zdolność współczucia!

Niezależnie od sądów Millsa o mej osobie przypomniałem sobie nagle to, co mówił o pani Blunt: «Ona żyje ze swego sprytu.» Czyżby obecnie, dla jakichś nie znanych mi celów, doświadczała tego sprytu na mnie?

Powiedziałem chłodno:

- W gruncie rzeczy tak mało znam pani syna.

- Och, *voions* - zaprotestowała - zdaję sobie sprawę, że pan jest o wiele młodszy, ale podobieństwo przekonań, pochodzenia, a w gruncie rzeczy może także trochę charakteru, rycerskiej gotowości do ofiary glebie... To być nie może, aby go pan w pewnym stopniu nie rozumiał! On jest nieskończenie skrupulatny a odważny do granic szaleństwa.

Wysłuchałem tego do końca z szacunkiem, choć każdy nerw trząsnął się we mnie i z każdą chwilą wzrastała wroga niechęć do tej wibracji właściwej rodowi Bluntów, którą zacząłem odczuwać w całym ciele, nawet we włosach.

- Nie wątpię o tym, Madame. Słyszałem o wielkiej odwadze pani syna. Wydaje się to tylko naturalne u człowieka, który - wedle własnych słów - «żyje ze swej szabli».

Panią Blunt opuściła nagle jej ponadludzka doskonałość; okazało się, że i ona ma nerwy jak zwykła śmiertelniczka, oczywiście w stopniu bardzo nikłym, który jednak u niej więcej znaczył niż wybuch wściekłości u osoby ulepionej z pośledniejszej gliny. Śliczna jej nóżka o wykwintnym czarnym trzewiku uderzała niecierpliwie o podłogę. Ale nawet w tym przejawie uczuć było coś prawdziwie delikatnego. Nawet gniew dźwięczący w jej głosie miał czyste brzmienie jak u siedemnastoletniej, pięknej panienki.

- Cóż za niedorzeczność! Potomek Bluntów nie wynajmuje swych usług!

- Niektóre rody książęce - rzekłem - wywodzą się od ludzi, którzy to właśnie czynili. Mam na myśli wielkich kondotierów.

Tonem, w którym wyczuwało się burzę, oznajmiła mi, że nie żyjemy już w piętnastym wieku. Dała mi też dość ostro do zrozumienia, że w danym wypadku nie chodzi o założenie nowej rodziny. Jej syn nie jest bynajmniej pierwszym, który to nazwisko nosi. Jego znaczenie polega raczej na tym, że jest ostatnim ze starego rodu, który całkowicie wyginął «w naszej wojnie domowej».

Ostatnie zdanie wypowiedziała już całkiem salonowym tonem. Zdołała opanować

wzburzenie i poprzez oszkloną ścianę uśmiechnęła się do syna z wyrazem zadumy. Ale w jej gorejących oczach pod pięknymi łukami białych brwi zauważyłem niewygasłą iskrę gniewu. Gdyż zaczynała się starzeć! O tak, starzała się i tała w sobie znużenie, może nawet rozpacz.

III

Nagle uczułem, że coś mi się rozjaśnia w głowie, co mnie zresztą mało obeszło. Zrozumiałem, że tych dwoje musiało sprzeczać się ze sobą przez całe rano. Zagadka była rozwiązana: dlatego zaprosili mnie na śniadanie. Chcieli uniknąć jakiejś przykrej, uporczywej i bezcelowej dyskusji, która mogłaby zakończyć się poważniejszą kłótnią. Postanowili więc ściągnąć mnie na dół, do pracowni, dla stworzenia dywersji. Nie mogę powiedzieć, abym się czuł tym dotknięty. Było mi wszystko jedno. Nawet świadomość własnej przenikliwości nie wzbudziła we mnie zadowolenia. Byłbym wolał, alby mnie pozostawili w spokoju, reszta była mi obojętna.

W poczuciu swej wyższości Bluntowie zapewne przywykli posługiwać się ludźmi nie obciążając tym swego sumienia. Mogło to być przy tym koniecznością dla nich, szczególnie dla pani Blunt. «Żyła przecież ze swego sprytu.»

Milczenie przedłużało się nadmiernie i skłoniło mnie do podniesienia oczu, przy czym zauważyłem, że rotmistrza Blunta nie było już w ogrodzie. Wszedł widocznie do domu i zaraz się zjawi. A wówczas odejdę pozostawiając ich samych. „

Następną rzeczą, jaką dostrzegłem, była zmiana nastroju u matki ostatniego potomka rodu Bluntów.

Spłynął na nią rodzaj słodkiego ukojenia. Wszelkie określenia zresztą, takie jak «słodycz, irytacja», wydawały się niemal brutalne w zastosowaniu do jej osoby. Nie podobna wyrazić subtelności i wykwintu wszystkich jej przeobrażeń. Uśmiechnęła się do mnie leciutko:

- To wszystko nie wchodzi tu w grę. Rzeczą istotną jest co innego: mój syn, jak wszystkie natury bardzo wytworne, jest stworzeniem pełnym sprzeczności, których przejścia życiowe jeszcze nie zharmonizowały. Ze mną jest trochę inaczej. Przeżyłam bardzo wiele i naturalnie żyję znacznie dłużej niż on. Przy tym mężczyźni są zawsze bardziej skomplikowani od kobiet, a także bardziej wymagający. A pan, panie George? Czy pan również jest naturą złożoną, czy pan doznaje niespodzianych oporów i trudności w swoim *être intime*, w swym życiu wewnętrznym? Ciekawam, czy...

Odniosłem wrażenie, że odczuwam na całej skórze wibrację Bluntowskiej aury. Zlekceważyłem ten objaw.

- Madame - rzekłem - nie przyszło mi na myśl zbadać, do jakiego rodzaju stworzeń należę.

- O, to bardzo źle. Powinniśmy się zastanawiać, do jakiej kategorii istot się zaliczamy. Grzesznikami Jesteśmy oczywiście wszyscy. Mój John jest grzesznikiem jak inni - ciągnęła dalej z pewnego rodzaju tkliwą dumą, jakby łaskawe stwierdzenie przez nią tego faktu było zaszczytem dla ogółu śmiertelników i poniekąd oczyszczało ich z grzechów.

- Może być, że pan, jest młody... Ale co się tyczy mego Johna... - urwała opierając łokieć o stół i wspierając głowę na rękę, przy czym jej nieskazitelne białe ramię wyłoniło się spośród starych, drogocennych koronek, którymi były przybrane krótkie jej rękawy.

- Cała rzecz w tym, że u Johna zaznaczył się głęboki rozłam pomiędzy nieuniknionymi reakcjami życiowymi powiedzmy, porywami natury - z jednej strony a podniosłym idealizmem jego uczuć i jego zasadami - z drugiej strony. Zapewniam pana, że on gotów stłumić w sobie głos serca.

Nie wiem zupełnie, jaki chochlik trudni się kojarzeniem ludzkich wspomnień, ale wystawiam sobie, jak bardzo wstrząśnięta poczułaby się pani Blunt, gdyby odgadła, że te jej słowa wywołały w mej wyobraźni obraz śniadej pokojówki o matowych oczach, wiernej, niezmordowanej Róży, która podając mi kapelusz szeptała zagadkowo: «Madame powinna iść za głosem serca.»

Owiała mnie atmosfera innego domu, przytłaczająca i płomienna, kusząca i okrutna; jej tchnienie zmiotło w jednej chwili aurę Bluntów jak wiatr pajęczynę i napełniło moje serce porywającymi wizjami i słodkim szeptem, aż do chwili gdy doznałem wrażenia, że to serce pękło pozostawiając mi w piersiach głuchą pustkę.

Potem przez długi czas słyszałem głos *Madame Blunt mère* rozwodzącej się nad czymś z niezmierną swadą. Rozumiałem pojedyncze słowa, ale wśród burzy uczuć nie umiałem ich z sobą powiązać. O ile się nie mylę, rozprawiała o życiu w ogóle, o trudnościach moralnych i materialnych, jakie ono nastrecza, o zadziwiających przemianach, jakie w nim zachodzą, o nieoczekiwanych zetknięciach z ludźmi i o rzadkich wybranych duszach, które prąd życia unosi daleko... Mówiła o literaturze i sztuce, o uszlachetniającym i kojącym wpływie estetyki, o przywilejach, jakie ona nadaje poszczególnym ludziom, wreszcie o tym, że pan Mills (było to pierwsze zdanie, którego sens już w pełni uchwyciłem) zgodził się z nią zarówno co do oceny wewnętrznych wartości indywidualnych człowieka z ogólnego punktu widzenia, jak i co do oceny pewnego zagadnienia leżącego jej na sercu, z którym mu się zwierzyła. Mills posiadał umysł zupełnie wszechstronny. Miał również uniwersalną zdolność współczucia, szeroki pogląd na życie - ach, nie cyniczny, broń Boże - raczej pełen tkliwej wyrozumiałości - rzecz, którą w stopniu doskonałym spotyka się tylko u rzadkich, bardzo rzadkich Anglików. A przy tym ten kochany człowiek był romantykiem! W mowie był

oczywiście powściągliwy, ale ona rozumiała go doskonale. Wywnioskowała, że bardzo mnie lubi.

W tym momencie należało koniecznie coś powiedzieć. Wyczytałem wyzwanie w czarnych, spokojnych oczach utkwionych w mojej twarzy. Mruknąłem więc, że bardzo miło mi to słyszeć. Przeczekała chwilę i rzekła znacząco:

- Pan Mills jest o pana trochę niespokojny.

- To bardzo zacnie z jego strony - odpowiedziałem. Istotnie, przyszło mi na myśl, że to bardzo zacnie z jego strony, choć w moim przytępionym mózgu zrodziło się niejasne pytanie, dlaczego miałby być niespokojny? Nie przyszło mi jednak do głowy zapytać panią Blunt o to. Nie wiem, czy spodziewała się tego zapytania, czy nie, w każdym razie zmieniła teraz pozę, opuszczając swoje cudownie zachowane białe przedramię.

Patrzyłem na nią jak na piękny obraz utrzymany w srebrnych i popielatych tonach, z odbijającą gdzieś na tym tle czarną plamą. Ale się nie odzywałem, pogrążony w swej tępej niedoli. Czekałem jeszcze chwilę, po czym - nagle - zostałem zbudzony z odrętwienia jakimś gwałtownym wstrząsem. Miałem wrażenie, że dom się wali, a to tylko ona spytała:

- Podobno łączą pana serdeczne stosunki z panią de Lastaolla w związku ze wspólną waszą pracą dla dobra sprawy. Jesteście w wielkiej przyjaźni - nieprawda?

- Z Ritą? - bąknąłem jak idiota, bo istotnie byłem ogłupiały jak człowiek, którego zbudzono, aby mu dać kijem po głowie.

- Och, Rita! - powtórzyła niespodzianie cierpko pani Blunt, co dało mi wyczuć, że popełniłem niesłychany nietakt. - Hm, Rita. Niechże będzie tymczasem Rita. Jakkolwiek zupełnie nie rozumiem, dlaczego w rozmowie pozbawiać ją nazwiska. Chyba że jakiś bardzo zażyły stosunek...

Pani Blunt była widocznie podrażniona. Mruknąłem posepnie:

- To nie jest jej nazwisko.

- O ile wiem, jest to nazwisko, które sobie wybrała, co w oczach świata tym bardziej chyba obowiązuje. A pan dotychczas był innego zdania? Mnie się wydaje, że należy bardziej szanować wybór niżli dziedziczność lub prawo. Tym bardziej że pani de Lastaolla - ciągnęła słodziutkim głosem - ta wyjątkowa, czarująca kobieta przerosła ramy konwencjonalizmu. Temu żaden jej przyjaciel nie może zaprzeczyć. Nawet pod tym względem jest istotą wyjątkową. Bo na to się pan chyba zgodzi, że jest zupełnie wyjątkowa?

Oniemiałem i tylko wlepiłem w nią oczy.

- O, widzę, że się zgadzamy. Nikt z jej przyjaciół nie mógłby mi zaprzeczyć.

- Proszę pani! - wybuchnąłem. - Nie wiem, co tu mają ze sobą wspólne przyjaźń i

osoba, którą pani sama uważa za istotę tak wyjątkową. Ja wcale nie wiem jakie jest jej mniemanie o mnie. Nasze stosunki są oczywiście bliskie i oparte na zaufaniu. Czyż i o tym mówi się w Paryżu?

- Ależ nie, skądże znowu - odrzekła swobodnie, przy czym jej spokojne, pałające oczy nie przestały wpijać się we mnie z wyrazem władczym i gniewnym. - O niczym podobnym się nie mówi. Mogę pana upewnić, że nazwisko pani de Lastaola bywa tam wymawiane w zupełnie innym tonie dzięki dyskrecji, z jaką usunęła się w tutejsze zacisze. I - zaznaczam - dzięki dyskretnym wysiłkom jej przyjaciół. Musi pan wiedzieć, że się także do nich zaliczam, jakkolwiek nigdy z nią nie rozmawiałam, a widziałam ją może dwa razy w życiu. Ale przyznaję, że do niej pisałam. Jej osoba, raczej postać ujrzana na obrazie, wtargnęła do mej duszy, do tego jej zakątka, którym rządzi niepodzielnie sztuka i poezja. Pozostałam wierna religii piękna poprzez wszystkie koleje życia. Tak! napisałam do pani de Lastaola i przez dłuższy czas byłam pod jej wrażeniem. Zaczęło się to od zobaczenia obrazu - dwóch obrazów - i usłyszenia sądu pewnego człowieka, który w kulturalnym świecie nie miał równego sobie ani pod względem wiedzy życiowej, ani ujmowania estetycznej prawdy. On wyraził się o pani de Lastaola w ten sposób: «W niej jest coś z kobiet wszystkich epok.» Sądzę, że miał przez to na myśli te wszystkie dary, które składają się na nieodparty urok, na wielką indywidualność. Takie kobiety rzadko się rodzą. Przeważnie brak im sprzyjających warunków. Nie rozkwitają. Giną w cieniu. Wybijają się tylko nieliczne i te pozostawiają piętno czasem nawet na historii... Ale i los tych nielicznych nie jest godzien zazdrości. Stoją one na przeciwległym biegunie tak zwanych niebezpiecznych kobiet», które są zwykłymi kokietkami. Kokietka musi pracować na to, aby zdobyć powodzenie. A one nie potrzebują się wysilać - wystarcza, że istnieją. Czy pojmuje pan tę różnicę?

Pojmowałem tę różnicę. I jednocześnie pomyślałem, że trudno o bardziej arystokratyczne ujęcie tej sprawy. Ta kobieta - ongiś właścicielka niewolników - nigdy nie pracowała, nawet wtedy, kiedy musiała «żyć ze swego sprytu». Wspaniała stara dama! Słuchając jej zapomniałem języka w gębie. Byłem jakby urzeczony wytwornością jej postawy i podniosłym, oderwanym od świata wyrazem jej mądrej twarzy. Podałem się uczuciu podziwu jak prosty niewolnik piękna.

Zachwycał mnie doskonały wdzięk, sposób podnoszenia dostojnej głowy, iście królewska władczość i opanowanie jej głosu. Ale o czymże teraz mówiła? Nie było to już roztrząsanie psychologii niezwykłych kobiet. Przeszła znowu na temat swego syna. Moje zainteresowanie ustąpiło miejsca uczuciu goryczy i pogardliwej uwadze. Nie mogłem powstrzymać się od słuchania, choć usiłowałem puszczać ten potok wymowy mimo uszu.

...Wychowany w najbardziej arystokratycznej szkole paryskiej... w osiemnastym roku życia... zew obowiązku... u boku generała Lee do ostatnich, okrutnych chwil... A po katastrofie - koniec świata - powrót do Francji, do dawnych przyjaciół - bezgraniczna ich dobroć, ale życie puste, bezczynne... Potem rok 1870 - rycerska odpowiedź na wezwanie przybranej ojczyzny - i znowu pustka, rozjątrzenie wyniosłej duszy pozbawionej celu, borykanie się, jeśli nie dosłownie z biedą, to z trudnościami, jakie stwarza brak majątku. I ona, matka, patrząca bezsilnie na marnowanie się człowieka tej miary, człowieka który nie ma ujścia dla swej rycerskiej natury, nie ma przyszłości przed sobą...

- Pan mnie chyba dobrze rozumie, Monsieur George? Taka natura! Przecież to wyrafinowane okrucieństwo losu. Nie wiem doprawdy, czy cierpiałam więcej podczas wojny, czy w latach pokoju. Pan to rozumie, prawda?

Skłoniłem głowę w milczeniu. Czego zgoła nie mogłem pojąć, to przedłużającej się nieobecności Blunta. Czyżby miał dość towarzystwa swej matki? Pomyślałem - bez większej urazy - że ja tu padłem ofiarą, lecz po chwili przemknęło mi przez głowę, że przyczyna tej nieobecności może być bardzo prosta. Będąc już obznajmiony z jego obyczajami wiedziałem, że czasem udaje mu się uciąć półgodzinną drzemkę w ciągu dnia. Musiał pójść do siebie i rzucić się na łóżko.

- Podziwiam go niezmiernie - mówiła dalej pani Blunt tonem bynajmniej nie macierzyńskim. - Jego dystynkcję, jego wyrafinowanie, głębię i żar jego uczuć. Znam go dobrze. Upewniam pana, że nie śmiałybym nigdy mu podsuwać... - tu przybrała postawę dziwnie wyniosłą, która pobudziła moją czujność - nigdy nie ośmieliłabym się przedstawić mu swego poglądu na niezwykle zasługi i niepewne losy kobiety, o której mówiliśmy przed chwilą, gdyby nie przekonanie, że ona - po części z mojej winy - przyciągnęła jego uwagę i... zdobyła jego serce.

Miałem wrażenie, że ktoś wylał mi na głowę kubeł zimnej wody. Ocknąłem się z gwałtownym wstrząsem, uświadomiwszy sobie nagle własne uczucia i niewiarygodne zamysły tej starej arystokratki. Jak podobna myśl mogła zakiełkować, rozwinąć się i dojrzeć na tak wyśmienicie uprawionej glebie, było dla mnie wprost niepojęte. Pani Blunt nie wahała się zachęcać syna do salwowania swej osoby przez zaanektowanie spadkobierczyni Henryka Allègre - kobiety i majątku.

W moim wzroku musiało odbić się osłupienie i niedowierzanie, na które oczy pani Blunt odpowiedziały nieustępliwym, posepnym blaskiem, tak palącym, że odczułem nagle dotkliwe pragnienie. Język dosłownie przysechł mi do podniebienia. Nie wiem, czy nie uległem złudzeniu, ale zdawało mi się, że pani Blunt kiwnęła dwukrotnie głową, jakby

chciała powiedzieć: «Tak jest. Pan się nie myli.» Usiłowałem coś powiedzieć. Ale z miernym skutkiem. Jeśli mnie usłyszała, to tylko dzięki niesłychanie napiętej uwadze, z jaką starała się uchwycić najlżejszy dźwięk.

- Zdobyła jego serce... Jak kilkaset, może kilka tysięcy innych serc... - wymamrotałem.

- Zupełnie inaczej... I to nie przynosi przecież kobiecie żadnej ujmy. Oczywiście, wielka fortuna osłania ją do pewnego stopnia.

- Czy tak? - wybelkotałem i sądzę, że tym razem nie mogła mnie usłyszeć. Moje wyobrażenie o pani Blunt zmieniło się całkowicie. Teraz, gdy już odsłoniła karty, wytworna swoboda jej obejścia wydała mi się złowroga, wielkopański spokój zdradzieckim podstępem, a dostojna łaskawość maską bezgranicznej pogardy dla wszystkich ludzkich stworzeń bez wyjątku. Ujrzałem w niej groźną, starą kobietę o prostych, białych brwiach przypominających wilka. Jakże byłem ślepy. Same te brwi powinny mnie być przestrzec, choć były równie wypielęgnowane jak słodycz jej głosu, gdy dodała:

- Bogactwo osłania naturalnie tylko do pewnego stopnia. Niebezpieczeństwo tkwi w niej samej, biedacze. Ona potrzebuje przewodnika.

Zmusiłem się do odpowiedzi, której szelmowski ton zdziwił mnie samego, choć był udany.

- Nie uważam, aby dotychczas źle sobie radziła - rzekłem. - Pani wie zapewne, że rozpoczęła karierę od pasania kóz?

Przy tych ostatnich słowach powieki jej drgnęły leciutko. Tak, zmrużyła na sekundę oczy, ale już po chwili uśmiechnęła się swobodnie.

- Nie. Nie wiedziałam. Więc opowiadała panu swoją historię? No, to myślę, że jesteście w wielkiej przyjaźni. Pasterka kóz! W znanej bajce dziewczynka poślubiona przez królewicza była - o ile pamiętam - *une gardeuse d'oies*. I Jakże robić z tego zarzut kobiecie! Można by jej równie dobrze zarzucić, że przyszła na świat bez ubrania. Wszystkie rodzą się nie ubrane, prawda? A w miarę lat stają się przeważnie - o czym pan się przekona, Monsieur George, żyjąc dłużej - płochymi istotami, bez poczucia prawdy i piękna - ot, wyrobnice albo strojne lalki. Słowem, pospolite stworzenia.

Wzgarda, jaką się wyczuwało w jej spokojnym tonie, była wprost nieopisana. Zdawała się przekreślać wszystkich ludzi, którzy nie pochodzili z wielkiego rodu Bluntów. Poznawało się w tym pychę republikańskiej arystokracji, która nie zna stopni ani granic i w przekonaniu, że powstała z bożej łaski, sądzi, iż ma przywilej uszlachetniania wszystkiego, czego się dotknie: ludzi, idei, nawet przelotnych upodobań.

- Jakże niewiele spośród nich - mówiła dalej pani Blunt - znalazło warunki sprzyjające rozwojowi ich inteligencji i piękności w tak wysoce artystycznym środowisku, w jakim rozkwitła ta czarująca osoba. Może jedna na milion. Może jedna na całe stulecie.

- Spadkobierczyni Henryka Allègre - mruknąłem.

- Zapewne. Ale John nie żeniłby się z nią jako ze spadkobierczynią Henryka Allègre.

Po raz pierwszy w rozmowie padło to słowo otwarcie, bez obsłonek. Poczuję się chory. Ogarnęła mnie jakaś rozjuszona niemoc.

- Nie - rzekłem. - Ożeniłby się z Madame de Lastaola.

- *Madame la comtesse de Lastaola*, jeśli jej się tak będzie podobało po zwycięskim zakończeniu wojny.

- Pani wierzy w zwycięstwo?

- A pan?

- Ani przez chwilę - oświadczyłem dostrzegając ze zdziwieniem, że jest zadowolona z mojej odpowiedzi.

Była arystokratką do szpiku kości - w gruncie rzeczy nie chodziło jej o nikogo. Przeżyła Drugie Cesarstwo, przeżyła oblężenie, otarła się o Komunę i miała niejedną sposobność przekonania się, do czego ludzie są zdolni w pogoni za szczęściem lub w rozpaczliwym szamotaniu się z losem, kiedy walczą o miłość, o majątek, a czasem o swoją cześć. Stykając się z najrozmaitszymi figurami na najwyższych stanowiskach, potrafiła zachować własny honor tracąc przy tym wszelkie uprzedzenia. Była ponad tym wszystkim. «Wielki świat» był może jedyną rzeczą, z którą się nieco liczyła, ale gdy ośmieliłem się napomknąć o wrażeniu, jakie podobny związek mógł wywołać w świecie, spojrzała na mnie z wyraźnym zdziwieniem.

- Kochany panie! Żyłam w wielkim świecie przez całe moje życie. Jest tym, co jeszcze może być najlepszego, ale tylko z tego powodu, że poza nim nie ma środowiska, które można nazwać przyzwoitym. Wielki świat pogodzi się ze wszystkim, przebaczy wszystko i zapomni o wszystkim w ciągu kilku dni. A w końcu z kimże to ożeni się mój syn? Z uroczą, rozumną, bogatą i zupełnie niepospolitą kobietą. Cóż świat o niej wie? Nic. Widywano ją po kilka godzin co roku w Bois de Boulogne, jeżdżącą konno w towarzystwie człowieka wyjątkowej dystynkcji, znanego z wybrednych, artystycznych upodobań i ze swego kultu dla sztuki - człowieka, który mógł być być jej ojcem sądząc z powierzchowności i sposobu zachowania się obojga. Widziałam ją wtedy na własne oczy. Umyślnie pojechałam do Bois. Zrobiła na mnie bardzo wielkie wrażenie, wzruszyła mnie po prostu. Tak! Mogła uchodzić za jego córkę, jakkolwiek miała w sobie coś tak promiennego, że różniła się od wszystkich córek zwykłych

śmiertelników. Nieliczni ludzie, mający w świecie znaczenie, których Henryk Allègre przyjmował w swoim Pawilonie, traktowali ją z powściągliwością pełną szacunku. Wiem o tym, bo się dowiadywałam. Przebywała między nimi jak cudowne dziecko wśród starszych. A poza tym, cóż może świat o niej powiedzieć? Ze pozostawiona samej sobie po śmierci Henryka Allègre, popełniła błąd? Sądzę, że każdej kobiecie powinno się pozwolić na jeden błąd w życiu. Największym zarzutem, jaki jej mogą postawić, jest fakt, że po uświadomieniu sobie swej omyłki odsunęła od siebie zakochanego mężczyznę poznawszy, iż nie zasługuje na jej miłość, i to, że mu poradziła, aby zajął się wyłącznie dochodzeniem swych praw do korony. A po tej odprawie została wspaniałomyślnie wierna jego idei nie szczędząc ani swej osoby, ani swego majątku. Przyzna pan, że jest to wszystko razem niezwykle.

- Pani przedstawia ją bardzo wspaniale - rzekłem spoglądając w ziemię.

- A czyż taka nie jest? - wykrzyknęła dostojna pani Blunt z zapalem prawie młodzieńczym. Jej czarne oczy, które patrzyły na mną tak spokojnie, jaśniały teraz blaskiem jak przed laty, kiedy była południową pięknoscią, naiwną i romantyczną, nie dotkniętą przez doświadczenie.

- Sądzę, że nie ma cienia pospolitości w tej czarującej istocie. Nie ma jej także w moim synu. Temu pan chyba nie zaprzeczy, że jest on niezwykle?

- Naturalnie - odpowiedziałem tonem doskonale konwencjonalnym. Cały mój wysiłek skupiał się teraz na postanowieniu ukrycia przed nią tego, co było pospolicie ludzkie w mej naturze. Przyjęła moją odpowiedź za dobrą monetę i zdawała się być zadowolona.

- To być nie może, aby tych dwoje nie mogło się porozumieć patrząc na życie z perspektywy najwyższych ideałów. Czy pan może sobie wyobrazić mego Johna rzuconego na pastwę jakiejś białej, zakochanej gąski ze staroświeckiego salonu, w którym czuć stęchliznę? Nie rozumiałaby nawet w części tego, co on czuje i czego mu potrzeba.

- Tak - odpowiedziałem tonem nieprzeniknionym. - Jego niełatwo jest zrozumieć.

- Mam pewne dane - mówiła dalej z tłumionym uśmiechem - które pozwalają mi przypuszczać, że on ma pewną przewagę nad kobietami. Oczywiście nie wiem nać o jego osobistym życiu - ale ot, tak, z powietrza dochodziły mnie pewne słyuchy i trudno mi przypuścić, aby John spotkał się z wyjątkowym oporem, zwłaszcza w tym wypadku. Chciałabym jednak wiedzieć, jak daleko to zaszło.

Uczułem przykrą skłonność do zawrotu głowy, którą opanowałem starając się usilnie nadać memu głosowi naturalne brzmienie.

- Czy mogę zapytać, dlaczego pani mówi mi to wszystko?

- Dla dwóch przyczyn - odrzekła z uśmiechem pełnym wdzięku. - Po pierwsze, pan

Mills powiedział mi że pan jest człowiekiem dojrzałszym, niżby można przypuszczać. W rzeczywistości wygląda pan młodziej, niż się spodziewałam.

- Madame - przerwałam jej. - Mogę posiadać pewne doświadczenie i poczucie odpowiedzialności w swoim zawodzie, ale w tej dziedzinie, w którą niespodzianie wprowadziła mnie nasza rozmowa, jestem całkowitym nowicjuszem. Sprawy tego rodzaju nie obchodzą mnie. Nie mam w nich doświadczenia.

- Niechże się pan nie oczernia - rzekła tomem rozkapryszonej piękności.

- Ma pan przecież intuicję. A w każdym razie ma pan oczy. O ile słyszałam, pan tam ciągle przebywa. Więc mógł pan wywnioskować, jak dalece...

Przerwałam jej znowu, tym razem z goryczą, ale wciąż jeszcze tonem uprzejmego zapytania:

- Czy pani sądzi, że ona jest łatwa?

Pani Blunt wydała się obrażona.

- Sądzę, że jest bardzo trudna. Przecież tu chodzi o mego syna.

Zrozumiałem, że uważa swego syna za człowieka, któremu żadna kobieta nie może się oprzeć. Jednocześnie pomyślałem, że nie będę w stanie doczekać się jego powrotu. Wyobraziłem go sobie leżącego w ubraniu na łóżku i śpiącego jak kłoda. Byłem jednak bezsilny wobec jego matki, która zatrzymywała mnie dla zaspokojenia okropnej, pozerającej ją ciekawości. Teresa dwukrotnie otwierała drzwi wsuwając swą malutką głowę i cofając ją na podobieństwo żółwia. Ale już od jakiegoś czasu straciłem poczucie, że jesteśmy sami w pracowni. Dostrzegłem w kącie tak dobrze mi znanego manekina, który leżał teraz na podłodze. Może to Teresa potrafiła go gniewnym uderzeniem szczotki dopatrując się w nim cech pogańskiego bożka. Leżał wyciągnięty, bez głowy i bez rąk, jak wzruszająca ofiara okrutnego mordy.

- John także trudny jest i wybredny - zaczęła znowu pani Blunt. - Pan oczywiście rozumie, że nie ma nic pospolitego w tym jego opieraniu się bardzo istotnemu uczuciu. Trzeba dobrze znać jego psychologię. On jest tak rozkosznie nedorzeczny!

Poznałem ten frazes. Matka i syn mówili o sobie nawzajem w identyczny sposób. Może ta rozkoszna nedorzeczności była rodzinnym powiedzeniem Bluntów? Istnieją w rodzinach takie utarte określenia i bardzo często zawierają w sobie cząstkę prawdy. Czyżby ta stara kobieta była po prostu nedorzeczna?

- Mieliśmy bardzo przykrą dyskusję przez całe rano - ciągnęła dalej. - John rozgniewał się na mnie, że podsuwam mu to właśnie, czego pragnie cała jego istota. A ja nie poczuwam się do winy. To on zadręcza się skrupułami.

- Aha - odezwałem się patrząc na nieszczęsny manekin, który wyglądał jak ofiara straszliwego mordu. - Chodzi o jej majątek. Można go przecież nie brać.

- Cóż za nonsens! Jakim sposobem?... Nie zmieści się w worku, który można rzucić do morza. Zresztą, czy to jej wina? Dziwię się, że taka rzecz mogła powstać w pańskim umyśle. Wszak to pospolita hipokryzja. Nie! To nie jej majątek zraza mego syna. To coś daleko bardziej subtelne. Nie tyle chodzi mu o jej dawne dzieje, co o terażniejszość. Jest niemądry! Bo nie o tym myśli, co było w jej życiu; on nie może znieść obecnej swobody pani de Lastaola i - o ile rozumiem - zadrecza tym siebie i ją także.

Stłumiłem w sobie jęk i postanowiłem naprawdę z tym skończyć. Ale pani Blunt była już rozpedzona.

- Mimo całej swej wyższości John należy do wielkiego świata i do pewnego stopnia dzielam jego zapatrywania. Nie ma wpływu na panią de Lastaola. To ona go onieśmiela. Żałuję, że ją w ogóle spotkał. Dziś rano parokrotnie spojrział na mnie w taki sposób, jak gdyby był zdolny czuć nienawiść do starej matki... Nie ulega wątpliwości, że on ją kocha, Monsieur George! Ten mój nieszczęsny, wzorowy homme du monde jest ofiarą wielkiego uczucia.

Nastąpiło dłuższe milczenie, po czym usłyszałem słowa wypowiedziane niemal szeptem:

- Wobec przeczulonej wrażliwości i dumy tych dwojga, sprawa jest niezmiernie delikatna. Trzeba ją jakoś rozwiązać.

Powstałem nagle i oświadczyłem pani Blunt jak najgrzeczniej, że mając wyznaczone przez kogoś spotkanie, muszę pozostawić ją samą, za co niezmiernie przepraszam. W odpowiedzi wskazała mi krzesło - i siadłem z powrotem.

- Wspomniałam już, że mam do pana prośbę - rzekła. - Z tego, co opowiadał mi pan Mills, zrozumiałam, że pan przebywał w Indiach Zachodnich i że pan ma tam jakieś interesy.

Zdumiałem się: - Interesy? Byłem tam wprawdzie, ale żadnych interesów...

- Więc dlaczego pan tam nie wraca? - przerwała mi pani Blunt. - Mówię z panem tak otwarcie, gdyż...

- Proszę pani! Choćbym nawet miał jakieś interesy po świecie, to powstrzymywałoby mnie zobowiązanie zaciągnięte wobec Dony Rity, obietnica dopomagania sprawie, której ona służy. Nie będę mówił o tym, jak ważna jest moja rola. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale skoro pani sama mnie w tym oświeciła, nie mam potrzeby pani uświadamiać.

Teraz mówiliśmy ze sobą już zupełnie szczerze.

- Dokąd to pana w końcu doprowadzi? Pan ma całe życie przed sobą. Plany, projekty - może marzenia - słowem, całe życie. I chciałby pan to wszystko poświęcić dla osoby

pretendenta? Dla tej przeciętnej figury zdobiącej okładki pian ilustrowanych?

- Nigdy o nim nie myślałem - odrzekłem szorstko. - Mniemam jednak, że uczucia Dony Rity, jej instynkt czy rycerska wierność...

- Obecność Dony Rity w tym mieście, jej wycofanie się z możliwych komplikacji życiowych w Paryżu wywarły na moim synu jak najlepsze wrażenie. Upraszcza to wiele trudności zarówno materialnych, jak moralnych. Wyjdzie to niewątpliwie na korzyść jej godności, jej przyszłości i spokoju ducha. Ja - rzecz naturalna - myślę przede wszystkim o moim synu. On jest niezwykle wymagający.

Uczułem ostry ból w sercu.

- A więc mam rzucić wszystko i zniknąć - rzekłem podnosząc się z krzesła. Tym razem pani Blunt wstała także, wyniosła i nieugięta, ale mnie jeszcze nie pożegnała.

- Tak - rzekła dobitnie. - Wszystko to jest takie przypadkowe! Co pan ma tu do czynienia? Wygląda pan na człowieka, który wszędzie, gdziekolwiek się obróci, znajdzie przygody równie interesujące, a może mniej niebezpieczne.

Prześliznęła się po słowie niebezpieczne, ale ja je podjąłem.

- Czy wolno zapytać, co pani wie o grożących mi niebezpieczeństwach?

Nie raczyła usłyszeć pytania.

- Poza tym posiada pan również rycerskie uczucia - zaczęła znów nieugięte, wyraźnie i spokojnie. - Pan nie jest głuptaskiem, jak mój syn. On zamknąłby ją na dłuższy czas w klasztorze, gdyby tylko mógł.

- Nie on jeden - mruknąłem.

- Naprawdę? - zdziwiła się. Po czym dodała cig,; - Tak, ta kobieta musi być ośrodkiem przeróżnych namiętności.

Brzmiało to jak głośnie rozmyślanie.

- Ale co pan ma z tym wszystkim wspólnego? Pana to nie dotyczy.

Czekała, abym coś powiedział.

- W rzeczy samej - odrzekłem. - I dlatego właśnie nie widzę, dlaczego miałbym przejmować się tą sprawą w taki czy inny sposób.

- Zapewne - przyznała znużonym głosem. - Mógłby pan jednak zadać sobie pytanie, jaki jest cel dręczenia człowieka o tak szlachetnych uczuciach, choćby był niepoczytalny. Południowa krew czyni go czasem porywczym. Obawiam się...

Wówczas po raz pierwszy od początku rozmowy, po raz pierwszy od pożegnania się z Dona Rita poprzedniego dnia, po raz pierwszy roześmiałem się.

- Czy pani chce mi dać do zrozumienia, że panowie z południowych stanów nie

chybiają nigdy? Wiem o tym - z powieści.

Mówiąc to patrzyłem jej prosto w twarz i pod wpływem mego wzroku ta wytworna dama poczęła wyraźnie mrugać oczami. Słaby rumieniec wystąpił na jej delikatne policzki, ale żaden mięsień w jej twarzy nie drgnął.

Złożyłem jej ukłon pełen głębokiego szacunku i wyszedłem z pracowni.

IV

Przez wielkie, półkoliste, sklepienie okna sieni zobaczyłem karetkę hotelową czekającą na ulicy. Mijając drzwi frontowego pokoju (początkowo był przeznaczony na salon, ale wstawiono tam łóżko dla Blunta) uderzyłem pięścią w ścianę i zawołałem:

- Muszę już iść. Kareta pańskiej matki czeka pod drzwiami.

Nie sądziłem, aby spał. Byłem teraz przekonany, że przewidział z góry, co będzie tematem naszej rozmowy, i nie chciałem, aby wobec tego mógł mnie posądzić o wymykanie się po kryjomu. Ale nie zatrzymałem się, nie mając ochoty go widzieć, i byłem już w połowie schodów, zanim bym mógł usłyszeć jego odpowiedź. Wbiegłem bez szelestu, gdyż schody i podest zasłane były grubym dywanem. Otworzywszy szybko drzwi do mego saloniku zaskoczyłem swym wejściem jakąś me znaną mi osobę, która stała w oknie wyglądając na ulicę, na pół zasłonięta przez firankę. 'Była to kobieta. Nieznajoma, nie oczekiwana kobieta. Podeszła ku mnie szybkim krokiem. Gęsta woalka przesłaniała jej twarz, ubrana była w ciemny kostium i bardzo skromny kapelusz. Szepnęła:

- Byłam pewna, że pan jednak jest w domu...

Podniosła woalkę i wtedy poznałem Różę. Widok jej przyprawił mnie o wstrząs. Dotąd widywałem ją zawsze w czarnym, jedwabnym fartuszkach i białym czepeczku ze wstążkami. Spacerowy kostium zmieniał ją jak przebranie. Spytałem niespokojnie:

- Czy coś się stało z Madame?

- Nic. Przyniosłam list - wyszeptła i ujrzałem w jej wyciągniętej ręce białą kopertę, którą rozdarłem niecierpliwie. Zawierała tylko parę wierszy bez nagłówka:

«Jeśli Pan już wyruszył na morze, to nie mogę Panu darować, że nie przesłał mi Pan w ostatniej chwili zwykłych słów pożegnania. A jeśli nie, to czemu Pan nie przychodzi? Dlaczego mnie Pan wczoraj opuścił? Zostawił mnie Pan płaczącą - co nie wydarzyło mi się od wielu lat - i nie przyszło Panu do głowy powrócić, po godzinie, po dwudziestu godzinach! Takie postępowanie jest wprost idiotyczne.»

Tu następował podpis złożony z czterech magicznych liter, szeroko rozstawionych.

Podczas gdy chowałem list do kieszeni, Róża rzekła poważnie, przyciszonym głosem:

- Nie lubię pozostawiać Madame samej, choćby na krótko.

- A dawno panna Róża czeka w tym pokoju?

- Wydaje mi się, że dawno. Mam nadzieję, że mi pan tego za złe nie weźmie. Siedziałam jakiś czas w sieni, ale przyszło mi na myśl, że mogą mnie tam zobaczyć. Madame

powiedziała, żeby się nie pokazywać, o ile tylko to będzie możliwe.

- Dlaczego?

- Właściwie to ja pozwoliłam sobie to podpowiedzieć mojej pani. Madame jest taka szczerza i otwarta, jak rzadko, ale nie ze wszystkimi można tak postępować. Są ludzie, co sobie wszystko tłumaczą na opak. Siostra Madame powiedziała mi, że pan wyszedł.

- A panna Róża jej nie uwierzyła?

- Nie, proszę pana. Wtedy, kiedy siostra Madame przyjechała, mieszkałam z nią w tym domu blisko tydzień. Teraz chciała, abym jej pozostawiła ten list, ale ja powiedziałam, że trochę zaczekam. Usiadłam w wielkim fotelu w sieni i po chwili, wiedząc, że nikogo nie ma, zakradłam się do pokoju. Znam rozkład tego mieszkania. Powiedziałam sobie: siostra Madame na pewno pomyśli, że mi się czekanie sprzykrzyło i że sobie poszłam.

- A przez ten czas zabawiała się panna Róża wyglądem na ulicę?

- Czas mi się dłużył - odrzekła wymijająco. - Puste *coupé* zajęchało tu mniej więcej przed godziną i jeszcze czeka - dodała patrząc na mnie badawczo. - To dziwnie wygląda.

- Mieszkają tu tancerki - rzekłem niedbale. - Czy Madame pozostała sama?

- Ogrodnik i jego żona są w domu.

- Oni mieszkają od tyłu. Chcę wiedzieć, czy Madame jest sama?

- Pan zapomina, że wyszłam przed trzema godzinami, ale mogę pana upewnić, że tu, w tym mieście, Madame może bezpiecznie pozostawać sama.

- A gdzie indziej nie? Pierwszy raz o tym słyszę.

- W Paryżu, w naszym apartamencie hotelowym, także. Ale w Pawilonie na przykład nie pozostawiłabym pani samej ani przez pół godziny.

- A cóż tam jest w tym Pawilonie? - spytałem.

- Takie mam jakieś dziwne uczucie - mruknęła niechętnie. - O, teraz karetka odjeżdża.

Uczyniła ruch, jakby chciała wyrzeć przez okno, ale się powstrzymała. Ja nie poruszyłem się wcale. Turkot kół po bruku ucichł prawie natychmiast.

- Czy Monsieur napisze odpowiedź? - poddała mi Róża po chwili milczenia.

- Chyba nie warto - odrzekłem. - Będę u was zaraz po powrocie panny Róży. Tymczasem proszę powiedzieć Madame ode mnie, że wolałbym nie widzieć już łez. Proszę to powtórzyć dosłownie. Rzykuję wprawdzie, że mnie nie zechce przyjąć...

Spuściła oczy i rzekła: - *Oui Monsieur* - po czym, idąc za moją radą, uchyliła drzwi i czekała, aż zejdem na dół, by się przekonać, czy droga jest wolna.

Ten dom zdawał się być naprawdę głuchoniemy. W biało-czarnej sieni panowała pustka i absolutna cisza. Blunt musiał niewątpliwie odjechać z matką, co się zaś tyczy

pozostałych mieszkańców, tancerek, Teresy czy innych osób gnieźdzących się w tych murach to mogły one spokojnie wymordować się nawzajem mając absolutną pewność, że dom nie zdradzi ich najłżejszym nawet szmerem.

Wydałem cichy gwizd, którego odgłos - w tej dziwnej atmosferze - zdawał się zamierać w odległości paru metrów, ale Róża usłyszała go i natychmiast zbiegła ze schodów. Na moją radę: «Proszę wsiąść w dorożkę», odpowiedziała skinieniem głowy i wysunęła się przez drzwi, które zamknąłem za nią bez szelestu.

Po pewnym czasie ujrzałem ją znowu na Prado, w czepeczku i czarnym, jedwabnym fartuszk. Odzyskała już swój zwykły wygląd i osobowość, zniekształcone poprzednio przez niezgrabny kostium spacerowy.

- Powtórzyłam Madame pańskie zlecenie - rzekła swym opanowanym głosem, otwierając szeroko drzwi przede mną. Odebrawszy ode mnie kapelusz i palto oznajmiła o moim przyjsciu zwykłym: «*Voilà Monsieur*», i pospiesznie odeszła.

Z chwilą gdy się pojawiłem, Dona Rita, siedząca w zagłębieniu na otomanie, musnęła oczy czubkami palców, a podniósłszy ręce do wysokości twarzy, zawołała z końca pokoju, pokazując mi dłonie:

- Nastal okres suszy!

Spojrzałem odruchowo 'na różowe palce i przystanąłem. Ręce jej opadły niedbale, jakby już były zbyteczne, a twarz przybrała wyraz powagi.

- Tak by się zdawało - rzekłem siadając naprzeciwko niej. - Ciekawym, na jak długo.

- Na długie, długie lata. Jakże mało znajduje się w życiu zachęty! Najpierw ucieka pan od moich łez, potem przesyła mi pan impertynenckie zlecenie, a wreszcie przyszedłszy, przybiera pan postawę pełną szacunku, nie bardzo wiedząc, jak się do tego zabrać. Powinien pan usiąść jeszcze sztywniej, jeszcze bliżej brzegu 'krzesła, aby nie było wątpliwości, że pan nie wie, co zrobić z rękami.

Mówiła to wszystko czarującym głosem, z odcieniem żartobliwym, który zdawał się igrać na powierzchni poważniejszych myśli.

- *Amigo George* - rzekła. - Zadałam sobie trud sprowadzenia pana tutaj, mówię do pana, a pan się nie odzywa.

- O czym mam mówić?

- A cóż ja mogę wiedzieć? O tysiącu rzeczy. Na przykład o tym, że moje łzy pana wzruszyły.

- Mógłbym równie dobrze powiedzieć tysiąc innych kłamstw. Co ja wiem o pani łzach? Nie jestem przewrażliwionym idiotą. Wszystko zależy od ich przyczyny. Bywają łzy

cichego szczęścia. Obieranie cebuli także wyciska łzy.

- Wrażliwy to pan nie jest - zachnęła się. - A idiotą - tak!

- Czy po to pani sprowadziła mnie do siebie, aby mi to oznajmić? - spytałem podrażniony.

- Tak. Gdyby pan miał tyle rozumu co gadająca papuga, którą kiedyś miałam, byłby pan wyczytał między wierszami listu, że sprowadziłam pana tylko po to, alby powiedzieć panu, co o nim myślę.

- Więc proszę mi powiedzieć, co pani o mnie myśli.

- Zrobiłabym to w tej chwili, gdybym potrafiła być choć w części tak niegrzeczna jak pan.

- Cóż za niespodziewana skromność - rzekłem.

- Tych manier musiał się pan nauczyć między marynarzami.

- Nie zniósłbym ani połowy tych bzdur od jakiegokolwiek towarzysza na morzu. Czy pani nie pamięta, że sama kazała mi odejść? Cóż miałem robić?

- Ach, jakież pan jest głupi. Nie mówię, że pan udaje głupiego, ale że nim jest. Czy pan rozumie, co ja mówię? Mogę przesylabizować to słowo: Gł-u-p-i. Uf! Teraz trochę mi ulżyło. *Amigo George*, miły kolego od konspiracji na rzecz króla - i to jakiego króla! *Vive le roi!* No, dlaczego pan nie woła *Vive le roi!*

- Nie jestem pani papugą - rzekłem.

- Oczywiście, że nie. Ona się nigdy nie dąsała. Była rozkosznym i dobrze wychowanym ptakiem, przyzwyczajonym do najlepszego towarzystwa, podczas gdy pan jest chyba tylko włóczęgą bez serca, podobnie jak ja.

- Ośmielę się potwierdzić, że tak jest rzeczywiście, ale myślę, że nikt nie był dotąd tak zuchwały, aby pani to w oczy powiedzieć.

- Owszem. Powiedziano mi coś bardzo podobnego. Sens był w każdym razie taki sam. Ja nie jestem głupia. Mnie nie trzeba prostych słów sylabizować. Same wymknęły się Don Juanowi, choć walczył rozpaczliwie ze sobą, by ukryć prawdę. To było wzruszające. A jednak nie potrafił. Mówił zupełnie jak papuga.

- Z najlepszego towarzystwa - poddałem.

- Tak - jak najwytworniejsza z papug. Ja nie lubię papuziej gadaniny. Brzmi to jakoś niesamowicie. Gdybym żyła w średnich wiekach, wierzyłabym z pewnością, że ptak, który mówi, musi być opętany przez diabła. Jestem przekonana, że Teresa wierzyłaby w to jeszcze i dziś. Moja rodzona siostra przeżegnałaby się wielokrotnie i trzęsłaby się ze strachu.

- Pani nie wyglądała na przerażoną - rzekłem. - Czy mogę wiedzieć, kiedy udzielono

pani tego interesującego spostrzeżenia?

- Wczoraj, niemal w Chwili, kiedy pan tutaj wtargnął, przykro mi było za Don Juana.

- Po co pani mi to mówił? Trudno było tego nie zauważyć. Żałowałem tylko, że nie mam z sobą parasola.

- Te biedne łyzy, których pan nie może mi darować. Jakiż pan dziecinny! Czy pan nie wie jeszcze, że ludzie płaczą zawsze tylko nad sobą? ...*Amigo George*, proszę mi powiedzieć, co my robimy na tym świecie?

- Czy to ma się stosować do ludzi w ogóle?

- Nie. Tylko do ludzi takich jak pan i ja. Ludzi prostych, którzy muszą żyć w świecie przeżartym do tego stopnia przez wszelkiego rodzaju szarlatanerię, że tacy nawet prostaczkowie jak my nie umieją zaufać sobie nawzajem.

- Ach tak? Czemuż więc pani jemu nie zaufa? Pani przecież tylko o tym marzy...

Pochyliła głowę, a głębokie, ciemnobłękitne oczy pod prostymi brwiami wpatrzyły się we mnie wzrokiem nieosobistym, jakby bezmyślnym.

- Co pan porabiał od chwili, kiedy pan stąd wyszedł wczoraj? - spytała.

- Przede wszystkim pamiętam, że z samego rana zwymyślałem strasznie pani siostrę.

- I jakże to przyjęła?

- Jak ciepły deszcz wiosenny. Wchłonęła każdą kropelkę rozpościerając płatki.

- Jakież poetyczne porównanie! Ta kobieta jest bardziej przewrotna, niżby to można przypuszczać zważywszy, kim jest i z jakiego domu pochodzi. Prawda, że i ja wyszłam z tego samego gniazda.

- Ona ma lekkiego bzika. Obdarza mnie wielkimi względami. Nie mówię tego po to, aby się chwalić.

- To musi być pokrzepiające uczucie.

- A jakże. Ogromnie mnie pokrzepiło. Reszta poranka zesła mi na rozkosznych rozmyślaniach o tym i o owym. Drugie śniadanie spożyłem w towarzystwie czarującej kobiety i większą część popołudnia spędziłem z nią na rozmowie. Rita podniosła głowę:

- Czarującej osoby? Kobiety robią na mnie wrażenie takich tajemniczych istot. Nie znam ich zupełnie. Czy i jej pan nawymyślał? 'Czy i ona także, jak pan to wyraził - rozpostarła płatki?

- Ona jest pewnego rodzaju doskonałością i rozmowa z nią nie miała w sobie nic banalnego. Wyobrażam sobie, że gdyby nieboszczka papuga pani nam się przysłuchiwała, spadłaby ze swego pręta. Bo mimo wszystko, droga pani Rito, wy wszyscy, zasiadający w tym Pawilonie Allègre'a, nie byliście niczym innym jak zespołem doskonałych *bourgeois*.

Ożywiła się natychmiast w śliczny sposób. W jej nieruchomych, błękitnych oczach i dokoła purpurowych warg, które, nie poruszając się prawie, umiały wydawać czarowne dźwięki, igrały jak po powierzchni wody przebłyski tajemniczej wesołości, które zdawały się przebiegać i drgać pod jej skórą nawet w chwilach, kiedy była w nastroju najbardziej poważnym. Coś podobnego działo się w rzadkich momentach jej wesołości. Bijące od niej ciepło i promiennosc przebijały się poprzez bezmierny smutek, przesłaniały go, podobnie, jak słoneczne dni naszego życia przesłaniają czasem nieprzewyciężoną ciemność, w jakiej tonie wszechświat, kiedy się zмага ze swym niepojętym przeznaczeniem.

- Ach, gdy to sobie przypomnę!... Może to właśnie było przyczyną, dla której nie mogłam nigdy utrzymać powagi, gdy przy mnie burzono świat do posad. Teraz mi się wydaje, że umiałam przewidzieć z góry, co każdy z nich powie. Powtarzali za każdym razem te same rzeczy, ci wielcy, mądry ludzie, podobni w tym do papug, które zdają się także wiedzieć, co mówią. Nie dotyczy to jedynie pana domu, który nigdy dużo nie mówił, przeważnie siedział milcząc, a mnie się zdawało, że przerasta ich wszystkich przynajmniej o trzy głowy.

- Dozorca ptaszarni - mruknąłem zgryźliwie.

- To pana drażni, gdy wspominam te czasy? - spytała serdecznie. - No, to już nie będę. Dodam tylko jedno - bo nie chcę, aby pan go źle sądził - że w tej ptaszarni on jeden był człowiekiem. Wiem o tym, bo później nieraz ze mną rozmawiał. Dziwna rzecz! Przez sześć lat zdawał się trzymać w ręku cały świat, a i mnie także.

- On i dziś jeszcze ma władzę nad panią! - krzyknąłem porywczo.

- Nie. Nie. Pan pierwszy zaczął o nim mówić. Pan myśli o nim daleko więcej niż ja. - Głos jej opadł i stał się beznadziejnie smutny. - Ja prawie nigdy o nim nie myślę. To nie był człowiek, którego można wspominać przelotnie, a ja nie mam czasu. Niech pan patrzy, dostałam dziś rano jedenaście listów, a do południa pięć depech, które wszystko pogmatwały. I przstraszyły mnie.

Poczęła mi wyjaśniać, że jeden z tych telegramów, ten najdłuższy - na samym wierzchu - na tamtym stole, zawiera jakieś brzydkie insynuacje i pogróżki pod jej adresem. Prosiła, abym przeczytał i wymiarkował, co to« właściwie ma znaczyć. Orientowałem się dostatecznie w ogólnej sytuacji, by dostrzec od razu, że Rita z gruntu się pomyliła, i to w sposób, który mnie zaskoczył. Wykazałem jej to w paru słowach. Ale błąd ten dowodził jednocześnie i pomysłowości, i zaciemnienia bystrego umysłu. Spojrzałem na nią z podziwem.

- Pani Rito, jakaż pani jest cudowna w swym idiotyzmie!

- Doprawdy? Och, *imbécile!* - odparła z czarującym uśmiechem ulgi. - Ale może się

panu tylko tak wydaje w przeciwieństwie do tamtej damy, która ma być doskonałością w swoim rodzaju. Jakież to jest rodzaj?

- Rodzaj wahający się - że tak powiem - pomiędzy sześćdziesiątym a siedemdziesiątym rokiem życia. Spędziłem z nią dziś tête-à-tête dużą część popołudnia i uszliśmy razem spory kawał drogi.

- Mój Boże - wyszeptała rażona zdumieniem. - A przez ten. czas bawiłam tu jej syna. Przyszedł w pięć minut po odejściu Róży, którą posłałam z tym listem do pana - ciągnęła dalej zaleknionym głosem. - Róża dostrzegła go nawet po drugiej stronie ulicy, ale uważała, że powinna przede wszystkim do pana dotrzeć.

- Jestem wściekły na siebie, że tego nie odgadłem - rzekłem z goryczą. - Przypuszczam, że go pani wyprawiła w ciągu pięciu minut, dowiedziawszy się, że ja mam zamiar przyjść. Róża powinna była zawrócić z drogi widząc, że on zmierza tutaj dla uprzyjemnienia pani samotnych chwil. Ta dziewczyna jest w gruncie rzeczy głupia, choć posiada pewien zasób niskiej przebiegłości, która może być czasem niewątpliwie pożyteczna.

- Zakazuję panu mówić w ten sposób o Róży. Nigdy na to nie pozwolę. Nie wolno przy mnie ubliżać Róży.

- Chciałem tylko powiedzieć, że w tym wypadku, nie odgadła życzenia pani. To wszystko.

- Odkąd pana znam, nie powiedział pan nic równie niemądrego. Być może, iż się pan zna na przemycie i na umysłowości ludzi pewnego typu, ale jeśli chodzi o Różę, to pozwoli pan sobie powiedzieć, że w porównaniu z jej inteligencją pański umysł jest bezdennie naiwny, mój kochany zawadiako. Powiedziałabym: «Wstyd!» - gdyby pan nie był - jakże to określić? - tak bardzo dziecinny. Należałoby dać panu klapsa i położyć do łóżka.

Była niezwykła powaga w jej mowie. A gdy umilkła, Wsłuchiwałem się jeszcze długo w prześliczną modulację tego głosu, który niezależnie od tego, co wyrażał, zdawał się być stworzony do wypowiedzania kojących słów miłości. Przyszedł mi nagle na myśl Azzolati, któremu kazała odejść na zawsze, a rozkaz ten musiał być wydany tym samym głosem, który nawet w gniewie przenikał w głąb ludzkiego serca. Cóż dziwnego, że biedaczysko nie mógł tej sceny zapomnieć ani powstrzymać łez stojąc na myśliwskim stanowisku w Rambo'uillet? Mój żal do Rity, jakkolwiek głęboki, już dogasał jak słomiany ogień. Powiedziałem tylko:

- Co pani wie o wychowywaniu dzieci!

Kąciki jej ust dziwnie zadrżały. Uczucie gniewu, szczególnie wywołane jakąś osobistą zaczepką, zabarwiało się u niej zawsze odcieniem rozbajającego humoru.

- No, *amigo George*, dajmy już spokój biednej Róży. Niech mi pan lepiej powie, co

pan sływał z ust tej uroczej starszej pani. Wcielenie doskonałości, prawda? Ja jej nigdy w życiu nie widziałam, ale ona widziała mnie podobno kilka razy. I pisała do mnie trzy razy z powodu różnych okoliczności, ja zaś za każdym razem odpowiadałam na jej listy w takim tonie, jakbym pisała do królowej. *Amigo George*, jak się nisz listy do królowej? Jak pasterka kóz, która mogła stać się ulubienicą króla, ma pisać do starej królowej z dalekiej krainy zza oceanu?

- Zapytam panią, jak zapytałem starą królową: Dlaczego pani mówi mi to wszystko, Dono Rito?

- Aby przekonać się, co pan ma na myśli - odpowiedziała trochę niecierpliwie.

- To pani jeszcze nie wie?

- Nie wiem. Czy można wiedzieć, co drugi człowiek myśli? Ale widzę, że pan tego nie chce wyjawiać.

- I po co? Pani pisała do niej przedtem - okazuje się. Czy pani zamierza dalej prowadzić tę korespondencję?

- Kto wie? - odrzekła głębokim tonem. - Ona jest jedyną kobietą, która do mnie kiedykolwiek pisała. Do ostatniej odpowiedzi dołączyłam wszystkie trzy jej listy prosząc pokornie, aby spaliła je sama. Myślałam, że na tym koniec. Ale może jeszcze wydarzyć się jakaś okazja...

- O! Jeśli jeszcze wydarzy się okazja - rzekłem starając się opanować wzbierającą wściekłość - będzie pani mogła zacząć od słów: «*Chère maman.*»

Pudełko z papierosami, które Rita podniosła ze stołu nie spuszczać ze mnie oczu, fruło w powietrze, a papierosy rozsypały się po całym pokoju. Zerwałem się natychmiast i począłem je starannie zbierać. Za moimi plecami odezwał się obojętny głos Rity:

- Niech się pan nie trudzi. Zadzwoń na Różę.

- Nie potrzeba - warknąłem nie odwracając głowy - Potrafię sam znaleźć swój kapelusz w sieni, gdy z tym skończę...

- Niedźwiedź!

Wróciłem z napełnionym pudełkiem i postawiłem je obok niej na otomanie. Siedziała w pozycji półleżącej, wsparta na łokciach, ze skrzyżowanymi nogami, w niebieskim odbłasku haftowanego szlafroka i rdzawej aureoli niesfornych włosów. Podniosła ku mnie twarz z wyrazem rezygnacji:

- George, mój przyjacielu - nie umiemy się zachowywać.

- Pani nie zrobiłaby kariery na żadnym dworze, Dono Rito - rzekłem. - Pani jest zbyt impulsywna.

- To nie są już nawet złe maniery - to bezczelność. Nie pierwszy raz się to panu zdarza. A jeśli wydarzy się raz jeszcze, uprzedzam, że nie będąc w stanie zmagać się z oszalałym, półdzikim przemytnikiem, pójdę na górę i zamknę się na klucz w swoim pokoju, dopóki pan nie opuści tego domu. Dlaczego mi to pan powiedział?

- Ot tak, z przepełnionego serca.

- Jeśli pańskie serce przepełnione jest tego rodzaju rzeczami, to niech je pan wyjmie i rzuci wronom na pożarcie. Nie! Pan to powiedział umyślnie, aby wydać się groźnym. Ale pan wcale nie jest groźny, raczej zabawny. Niechże więc mnie pan bawi w dalszym ciągu. Proszę mi powiedzieć, co pan słyszał z ust tej starej arystokratki, która uważa, że wszyscy ludzie są sobie równi i że wszyscy mają prawo do szczęścia.

- Kiedy już mało pamiętam. Słyszałem coś o białych gąskach, zamkniętych w dusznym salonie, o tym, że nie byłyby godne... To wydaje się absurdem, ale ta pani wie dobrze, czego chce. Słyszałem też hymny pochwalne na cześć pani. Siedziałem tam jak głupiec nie wiedząc, co powiedzieć.

- Dlaczego? Mógł był pan przyłączyć się do chóru.

- Nie byłem do tego usposobiony, gdyż - widzi pani - dano mi do zrozumienia, tak mimochodem, że jestem osobą nic nie znaczącą i zbędną, która powinna zejść z drogi poważnym ludziom.

- *Ah, par exemple!*

- W pewnym sensie było to pochlebne, ale w danej chwili miałem wrażenie, że podsunęto mi pod nos słoik z musztardą.

Potakiwała głową z rozbawionym, porozumiewawczym wyrazem, przy czym zauważyłem, że temat ją interesuje.

- Co jeszcze? - spytała skwapliwie, pochylając się ku mnie całą postacią.

- Nie warto o tym mówić. Było to coś na kształt pogroźki omotanej niepokojem o to, co mogłoby się przytrafić mojej młodzieńczej i mało znaczącej osobie. Gdyby nie to, że moja czujność już była przebudzona, mogłem być nie dorozumieć się sensu jej słów. Właściwie aluzja do «gorącej krwi południowej» mogła mieć tylko jedno znaczenie. Oczywiście roześmiałem się, ale tylko *pour l'honneur*. I żeby jej okazać, że zrozumiałem. W gruncie rzeczy było mi to zupełnie obojętne.

Dona Rita miała przez chwilę wyraz niezwykle poważny.

- Czy cała rozmowa była panu obojętna?

Spojrzałem na nią gniewnie.

- Cała rozmowa? No, widzi pani, wstałem dziś z łóżka w złym humorze. Nie

wypoczęty. Czuję się tak, jakby mi się życie sprzykrzyło.

Oczy z płynnego szafiru pozostały utkwione we mnie bez wyrazu, nieruchome i tajemnicze jak zwykle, ale twarz przybrała wygląd zamyślony i smutny. Po chwili zaczęła mówić, jakby pod wpływem nakazu:

- Niech mnie pan wysłucha, *amigo*. Długo znosi łąm czyjąś władzę nad sobą, gdyż byłam dość silna, by stworzyć sobie życie w tych warunkach. Poznałam kaprys - można to nawet nazwać szaleństwem - i wyszłam cało z tych doświadczeń, gdyż byłam dość wielka, by nie dać zawładnąć sobą niczemu, co by nie było mnie warte... Rozleciało się to wszystko pod moim tchnieniem jak domek z kart. Jest bowiem we mnie coś, co nie da się olśnić żadnym urokiem wielkości, godnej czy niegodnej tej nazwy. Mówię to panu dlatego, że jest pan ode mnie młodszy.

- Jeśli pani chce, abym stwierdził, że nie ma w pani ani żdźbła małostkowości czy pospolitości, mogę to w każdej chwili uczynić.

Skinęła głową, jakby przyjmując oddaną sobie sprawiedliwość, i mówiła dalej z ogromną prostotą:

- Czymże jest to, co podeszło teraz ku mnie ze wszystkimi pozorami cnoty? Układ pełnoprawny, perspektywa przyjemnego życia otoczonego ludzkim szacunkiem. I nikt nie może powiedzieć, że przywołałam to najłżejszym skinieniem. Palcem nawet nie ruszyłam. Sądzę, że pan o tym wie?

- Nie wiem. Ale nie wątpię o pani szczerości. - Cokolwiek by pani powiedziała, gotów jestem zawsze w to uwierzyć. A przy tym pani nie należy do osób, które są zmuszone pracować.

- Pracować? Co pan przez to rozumie?

- To takie powiedzenie, które tu obilo się o moje uszy. Chcę powiedzieć, że pani nie potrzebuje zadawać sobie trudu.

Przez chwilę zdawała się zastanawiać.

- Niech pan nie będzie tego zbyt pewny - rzekła z przebłyskiem humoru, który uwydatnił tylko smutne brzmienie jej głosu. - Ja sama nie jestem niczego pewna - ciągnęła dalej z dziwną intonacją, w której zadrgała rozpacz. - Nie wiem prawdy o sobie, bo nigdy nie miałam sposobności porównywania siebie z kimkolwiek. Obdarzano mnie drwiącym pochlebstwem, traktowano z udaną powściągliwością lub fałszywym oddaniem się, płaszczono się przede mną w najpoważniejszych zamiarach - mogę pana o tym zapewnić. Ale ten ostatni zastrzyk, jaki mnie spotkał, przyszedł w postaci zupełnie szlachetnego i bardzo sumiennego człowieka. Bo on taki jest! I wzruszył mnie naprawdę.

- Wiem coś o tym. Nawet do łez - rzekłem wyzywająco.

Ale nie wydawała się dotknięta, zaprzeczyła tylko ruchem głowy (co było w gruncie rzeczy śmieszne) i rozwijała dalej wątek swych głośno wypowiedzanych myśli:

- Działo się to wczoraj. Zachowywał się niezmiernie poprawnie i był niezmiernie godny, co objawiało się w przesadnej delikatności, z jaką mnie traktował. Ale ja znam wszystkie jego nastroje. Nawet krotochwilne. Nie słuchałam go, myśląc o czym innym. O rzeczach, które nie były ani poprawne, ani krotochwilne, ale nad którymi musiałam zastanowić się spokojnie, rozpatrując je z punktu widzenia najgłębszego, na jaki mnie było stać. I dlatego się w końcu rozplakałam. Wczoraj.

- Stwierdziłem to właśnie wczoraj i uległem słabości: czułem się mianowicie przez jakiś czas wzruszany.

- Jeśli pan chce mnie znowu doprowadzić do płaczu, to uprzedzam, że się to panu nie uda.

- Wiem. On tu był dzisiaj znowu - i nastąpi susza.

- Istotnie, był tu dziś. Zapewniam pana, że zupełnie nieoczekiwanie. Wczoraj jeszcze urągał całemu światu - mnie, która go przecież nie stworzyłam - samemu sobie, a nawet swojej matce. Przemawiał językiem - powiedziałabym - papuzim, językiem tradycji i moralności takiej, jak ją pojmują członkowie tego bardzo wyjątkowego klubu, do którego on należy. Gdy sobie jednak pomyślałam, że te biedne, wytarte słowa wyrażają prawdziwą namiętność, byłabym mogła zdobyć się nawet na współczucie. Lecz on zakończył to wszystko powiedzeniem, że nie można wierzyć ani jednemu mojemu słowu, czy coś w tym rodzaju. Pan już wtedy był i musiał to słyszeć.

- I to dotknęło panią do żywego - rzekłem. - Dopiękło do tego stopnia, że pani zapomniała o godności i rozplakała się na pierwszym lepszym ramieniu, jakie się znalazło w pobliżu. A ponieważ to, co powiedział, było tylko dalszym ciągiem papuziej gadaniny (bo mężczyźni powtarzają te rzeczy kobietom od początku świata), przeto wrażliwość pani wydaje się dziecinna.

- Co za przenikliwość! - zauważyła z pobłażliwym, drwiącym uśmiechem. I zmieniając ton: - Dlatego nie spodziewałam się dziś jego odwiedzin, natomiast pan, którego oczekiwałam, poddawał się przez ten czas urokowi rozmowy tam, w pracowni. I nawet nie przyszło panu na myśl... prawda? Więc cóż się stało z pańską przenikliwością?

- Powtarzam, że byłem znużony życiem.

Po jej twarzy przebiegł znowu przelotny i roztargniony uśmiech, jakby myślała o sprawach bardzo dalekich, po czym ocknęła się i mówiła dalej z ożywieniem:

- Wszedł do pokoju uśmiechnięty i żartobliwy.

Znałam dobrze ten jego nastrój. Panowanie nad sobą nie jest pozbawione piękna, ale niewiele dopomaga człowiekowi o tak tragicznych oczach. Spostrzegłam, że jest wzruszony - na swój poprawny, powściągliwy sposób - i że usiłuje mnie także wzruszyć przemawiając z całkowitą prostotą. Powiedział mi że odkąd zbliżyliśmy się do siebie, nie zaznał chwili spokoju. Nie zdarzyło mu się spać jednym ciągiem nawet godziny, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy śmiertelnie znużony powracał ze służby na wysuniętych placówkach. Tęskni więc do powrotu na front, a nie ma odwagi oderwać się od tego miejsca. Zdobył się na tak daleko idącą prostotę! *C'est un très galant homme*, człowiek absolutnie uczciwy nawet w stosunku do samego siebie. Powiedziałam mu wtedy: «Cała rzecz w tym, Don Juanie, że to nie miłość pana dręczy, tylko podejrzliwość.» Mogłam była powiedzieć «zazdrość», ale nie chciałam użyć tego słowa. Papuga powiedziałaby jeszcze, że nie dałam mu żadnych praw do zazdrości. Ale nie jestem papugą. Namiętność ma swoje prawa, które uznaję. Ta jego zazdrość nie dotyczy ani mojej przeszłości, ani przyszłości. On jest podejrzliwie zazdrosny o mnie samą, o to, czym jestem, o moją duszę nawet. Jego pojęcie o duszy przypomina pojęcia Teresy - wierzy, że może być w stanie łaski albo potępienia, i wcale nie ma ochoty być skazany wraz ze mną na potępienie przed swym własnym trybunałem. To niezwykle szlachetny i lojalny człowiek, ale ja mam także swoją chłopską, baskijską duszę i wcale sobie nie życzę, aby za każdym razem, gdy odrywa się od moich stóp - o tu, *mon cher*, są ślady na dywanie - żeby za każdym razem czuł potrzebę moralnego otrzepywania się z kurzu. Nie chcę tego! Przenigdy!

Porywczym ruchem wyciągnęła papierosa z kasetki,trzymała go chwilę w palcach i położyła z powrotem.

- A przy tym, ja go nie kocham - wyrzekła powoli, jakby do samej siebie i jakby zastanawiając się nad gatunkiem tej myśli. - Nigdy go nie kochałam. Z początku jego tragiczny wygląd - zimny, salonowy uśmiech robiły na mnie wrażenie. Ale za często patrzyłam w jego oczy. Ten bezdomny, arystokratyczny republikanin ma w sobie zbyt wiele pogardy. Jego los jest może okrutny, ale pozostanie zawsze przeciętny. Kiedy tak siedział przy mnie usiłując wyjaśnić mi wielkopańskim tonem wszystkie wątpliwości i skrupuły swego drażliwego honoru, przejrzałam jego serce na wylot i zrobiło mi się go żal. I to tak dalece, że gdyby chwycił mnie nagle za gardło i dusił powoli - *avec délices* - mogłabym umierając mu przebaczyć. Ta jego poprawność!... Cóż, kiedy gorycz w stosunku do mnie przebijała w każdym niemal zdaniu. Wreszcie podniosłam rękę i powiedziałam: «Dość.» Musiał być zgorszony moją plebejską porywcznością, ale dobre wychowanie nie pozwoliło mu

tego okazać.

Konwencjonalność staje zawsze na drodze jego natury. Powiedziałam mu, że wszystko, co robił i mówił w ciągu ostatnich miesięcy, byłoby całkowicie niezrozumiałe, gdyby mnie nie kochał, a jednocześnie z tych samych słów i czynów wynikało, że nie może darować mi mego istnienia. Spytałam go więc, czy nie uważa tego za absurd?...

- Może mu pani powiedziała, że to «rozkoszny absurd»? - rzekłem.

- Rozkoszny? - zdziwiła się Rita. - Dlaczego?

- Byłaby go to pogodziło z pani porywcznością. Jest to bowiem ich rodzinne powiedzenie. Odnalazłby w tym znajomy posmak i cała pani przemowa wydałaby mu się mniej obraźliwa.

- Obrażliwa? - powtórzyła Dona Rita z powagą. - Nie sądzę, aby się czuł obrażony. Cierpiał w inny sposób, ale było mi to obojętne. To ja w końcu poczułam się obrażona - bez głębszej urazy, rozumie pan - ale nie mogłam tego dłużej znieść. Nie szczędziłam go. Powiedziałam mu otwarcie, że chcę od kobiety, aby była rozwinięta w pełni duchowo i fizycznie, aby była panią siebie, niezależną w swym umyśle, wolną w swym wyborze, i kochać ją pozornie za to, czym jest - a jednocześnie żądać od niej niewinności i dziewiczej świeżości uczuć, co byłoby gorsząca hipokryzją - przyjmować ją na pozór taką, jaką ją życie uczyniło, i gardzić nią w skrytości za każde dotknięcie, którym życie nadało jej obecny kształt - że taki stosunek do kobiety nie świadczy ani o wspaniałomyślności, ani o podniosłości umysłu. Dowodzi po prostu obłędu. Wstał z krzesła i podszedł do kominka - tam, po drugiej stronie pokoju, wsparł się łokciem o gzyms i złożył głowę na dłoni. Trudno mieć wyobrażenie o wdzięku i dystynkcji tej jego postawy. Nie mogłam wyjść z podziwu nad urokiem, nad wyrazem, nad tragizmem tego bezruchu. O tak, jestem bardzo czuła na estetyczne wrażenia - wpojono we mnie przekonanie, że mieści się w nich dusza.

Utkwiła we mnie swe zagadkowe spojrzenie spod brwi i roześmiała się kontraltem. Nie było w tym śmiechu wesołości ani ironii, poruszał tylko do głębi czystością swego dźwięku.

- Myślę, że on chyba nigdy w życiu nie doznał takiego niesmaku i takiego zdumienia. Opanowanie, jakie wtedy okazał, było najwspanialszym objawem salonowej tresury, jaki mi się kiedykolwiek zdarzyło widzieć. To, co czyniło jego postawę naprawdę piękną, to piękno tragizmu, takie, jakie się wyczuwa w wielkich dziełach sztuki.

Urwała i usta jej zastygły w nieprzeniknionym uśmiechu. Jakiś wielki malarz mógłby na płótnie nadać taki uśmiech symbolicznej postaci, która budziłaby potem, przez wieki całe, zastanowienie i podziw wielu pokoleń.

- Zawsze myślałem, że miłość do pani może czynić cuda - rzekłem. - A teraz jestem tego pewien.

- Czy to ma być ironia? - powiedziała smutno, tonem, jakim mogłoby mówić dziecko.

- Nie wiem - odrzekłem z równą prostotą. - Uważam tylko, że jest bardzo trudno być wspaniałomyślnym.

- I ja także! - podchwyciła z zabawną skwapliwością. - Nie obeszałam się z nim wcale wspaniałomyślnie. Czując, że nie dość liczę się ze słowami, prawie się już nie odzywałam. Miałam wrażenie, że to byłoby profanowanie jakiejś pięknej kompozycji. Wiedziony trafnym instynktem dalej stał nieruchomo. Oszczędziło mu to kilku przykrych prawd - a mogłam była posunąć się i poza granice prawdy. Nie jestem sprawiedliwa, nie bardziej niż inni ludzie. A mogłam była stać się szorstka. Podziw, jaki dla niego odczuwałam, wzmagał tylko moje rozdrażnienie. Śmiesznie to powiedzieć o mężczyźnie ubranym przez modnego krawca, ale w całej jego postawie było tyle żalobnego wdzięku, że można go było wziąć za marmurowy posąg z nagrobka poświęconego pięknej kobiecie, na jednym z tych okropnych *Campo Santo* włoskich. Wyglądał jak uosobienie mieszczkańskich pojęć o postawie, jaką przybiera arystokratyczny oblubieniec na grobie swej ukochanej. Doszedłszy do tego wniosku ucieszyłam się, że jestem, rozdrażniona, bo inaczej parsknęłabym śmiechem w obecności biednego Don Juana.

- Słyszałem raz od pewnej 'kobiety z ludu - słyszy mnie pani, Dono Rito? - a więc kobiety zasługującej na pani uwagę - że nie należy nigdy szydzić z miłości.

- Mój drogi - odrzekła łagodnie. - Nauczono mnie śmiać się ze wszystkiego, a nauczył mnie tego człowiek, który sam nigdy się nie śmiał. Prawda, że o miłości nie mówił ze mną nigdy, to znaczy o miłości w ogólnym pojęciu tego słowa. Może więc... Ale właściwie dlaczego?

- Dlatego że (a może ta staruszka była pomyłona?) - dlatego, mówiła, że w szyderstwie z miłości tkwi zarodek śmierci.

Dona Rita wzruszyła lekko pięknymi ramionami i ciągnęła dalej:

- Więc dobrze, że się nie roześmiałam. Cieszę się także, że nie powiedziałam nic więcej. Byłam tak mało wspaniałomyślna, że gdybym wiedziała o tej aluzji jego matki do «białych gąsek», kto wie, czy nie poradziłabym jemu, aby sobie taką gąskę wybrał i wodził ją na pięknej, niebieskiej wstążeczce. Pani Blunt nie miała słuszności odzywając się o niej pogardliwie. Jej syn takiej właśnie białej gęsi potrzebuje. Ale przyzna pan, że świat jest źle urządzony! Takiego białego ptaka nie można dostać za darmo, a Don Juan ma za mało pieniędzy nawet na kupienie wstążki. Kto wie? Może właśnie świadomość tego faktu

nadawała jego postawie przy kominku tak tragiczny wygląd. Musiało tak być, tylko nie rozumiałam tego w owej chwili. Pomimo że zamilkłam, nie zamierzał się widocznie ruszyć, a we mnie wzbudziło się na ten widok szczere współczucie i poradziłam mu bardzo łagodnie, aby raz na zawsze wykreślił mnie z pamięci. Podszedł do mnie wtedy i powiedział zwykłym głosem, ze zwykłym sobie uśmiechem, że ta rada byłaby wyborna, ale na nieszczęście należę do kobiet, których się na rozkaz nie zapomina. Widząc, że potrząsani głową, dodał jeszcze z posępnym naciskiem: «Tak - nie mam co do tego wątpliwości - Dono Rito - i niech się pani nie łudzi.» Brzmiało to jakoś tak groźnie, że zaskoczona nie odpowiedziałam wcale na jego pożegnalny ukłon. Wycofał się z tej fałszywej sytuacji jak ranny z pola bitwy. Nie! Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Nie zrobiłam nic, nie dałam mu żadnej zachęty. Niezależnie od złudzeń, jakie mogłam żywić, trzymałam się z daleka, on zaś okazał się tak konsekwentny w stosunku do tego, co uważał za obowiązującą postawę w tych Okolicznościach, że odchodząc na zawsze, nie ucałował nawet koniuszków moich palców. Musiał mieć samopoczucie człowieka, który zdradził samego siebie - na próżno. To przecież okropne! Wszystkiemu winna ta moja wielka fortuna i pragnęłabym mu ją oddać, całym sercem bym tego pragnęła. On musi czuć nienawiść do tego całego splotu okoliczności, a jeśli chodzi o jego miłość, która jest równie żywa jak jego nienawiść, to czyż ja mogłam uciec od niego i zamknąć się w jakimś klasztorze? Nie? Przecież ja także mam prawo do swego miejsca pod słońcem.

V

Oderwałem oczy od jej twarzy i zdałem sobie wtenczas sprawę, że mrok zaczyna wkradać się do pokoju. Dziwny wydawał się ten pokój. Z wyjątkiem oszklonej wnęki całe ściany podzielone były na wąskie pola między płaskimi pilastrami. Na tych podłużnych polach znajdowały się freski przedstawiające wysmukłe postacie kobiece o motyliach skrzydłach i równie smukłych młodzieńców o ptasich skrzydłach - wszystko w żywych barwach na czarnym tle. Miał to zapewne być styl pompejański i oboje z Ritą natrząsałiśmy się nieraz z tych tworów, zrodzonych niewątpliwie w rozszalałej wyobraźni jakiegoś wzbogaconego sklepikarza. Mimo wszystko była w nich fantazja i pewien wdzięk, ale w owej chwili wydały mi się natrętne i niesamowicie żywe w tym lekkim tańcu nieziemskich istot, jakby obdarzone wzrokiem i słuchem.

Dona Rita mówiła dalej nie zmieniając pozy: - Brakowało bardzo niewiele, ot tyle (tu wskazała mi na koniec paznokcia), aby się ta rzecz była stała. A dlaczego? Po co? Tak sobie, bez wystarczającego powodu. Przyszło to niespodzianie, dlatego tylko, że w głowie trzeźwej starej kobiety zrodził się taki pomysł. Najciekawsze jest to, że nie mam właściwie na co się uskarżać. Gdybym była uległa, czułabym się najzupełniej bezpieczna pomiędzy tymi dwojgiem. To właśnie z ich strony, raczej z jego strony, zabrakło ufności, i to nie tyle do mnie, ile do tego wszystkiego, co przedstawiam i za czym obstaję. Mills nie chciał mi nigdy powiedzieć, co to takiego jest. Może sam dobrze nie wiedział. Określił to kiedyś jako rodzaj geniuszu. Mój geniusz! Nie czuję go w sobie, niech mi pan wierzy, nie jestem go wcale świadoma. Gdybym jednak była świadoma, że on istnieje, nie wydarłabym go z siebie, nie odrzuciła! Niech pan nie będzie tak naiwny, aby przypuszczać, że czegokolwiek żałuję. Nie czuję ani krzty żalu. Przede wszystkim dlatego, że jestem „taka, jaka jestem, a po wtóre... O mój drogi, proszę mi wierzyć, że strasznie się naszarpałam ostatnimi czasy.

Wydawało mi się, że to już ostatnie jej słowa. Pozorne była i przedtem spokojna, ale teraz dopiero opanowała się zupełnie i sięgnęła po ogromnego papierowi tego samego typu co papierosy wyrabiane dla króla - *por el Rey!* Minęła chwila, po czym strzepując lewą ręką popiół do brązowej wazy spytała przyjaznym, prawie serdecznym głosem:

- O czym pan myśli, *amigo?*

- Myślę o pani bezgranicznej hojności. Jednemu pragnie pani dać koronę, drugiemu ofiarować majątek... To bardzo piękne. Ale sądzę, że ta hojność powinna mieć jakieś granice.

- Nie widzę powodu ograniczania dobrych odruchów. Ach tak! Chciałoby się zapłacić

okup i raz skończyć z tym wszystkim!

- To jest uczucie niewolnika. A jakoś zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, aby pana mogła być kiedykolwiek czyjąś niewolnicą.

- Pan zdradza czasami zdumiewającą przenikliwość. Zaczynam podejrzewać, że mężczyźni są bardzo zarozumiali na punkcie swej przewagi. Wystawiają sobie, że nimi rządzą. Nawet ludzie wyjątkowi, wyżsi ponad próżność, nawet ludzie tej miary co Henryk Allegro, który dzięki swemu konsekwentnemu oderwaniu się od lichoty życia był jak gdyby stworzony do panowania nad ludźmi. A jednak w większości wypadków mężczyźni rządzą tylko dlatego, że kobiety - mniej lub więcej świadomie - pozwalają im na to. Jeśli kto, to Henryk Allègre mógł być pewien swej władzy, a jednak, proszę uważać: byłam wtedy nic nie znaczącym skrzatem, siedziałam z książką tam, gdzie nie powinnam się była znajdować, to jest w jego ogrodzie, gdy on niespodzianie natknął się na mnie, głupiutką, siedemnastoletnią dziewczyninę, bynajmniej nie pociągającą, ot takie rozczochrane stworzonko w zniszczonej czarnej sukience i podartych trzewikach. Mogłam była uciec, byłam do tego zdolna. A jednak nie ruszyłam się z miejsca patrząc tylko na niego i w końcu on odszedł, a ja zostałam.

- Czy pani to uczyniła świadomie? - wybąkałam.

- Czy świadomie? Można by o to równie dobrze zapytać tego cienia, który moja osoba rzucała na młoda trawę w porannym słońcu. Nie wiedziałam do tej chwili, że potrafię tak nieruchomo siedzieć. Ale znieruchomiałam wcale nie ze strachu. Pozostałam na miejscu wiedząc bardzo dobrze, że jeśli się zerwę, to on za mną gonić nie będzie. Pamiętam doskonale jego głęboki, uprzejmie obojętny głos: «*Restez donc.*» Mylił się, bo już wtedy nie miałam najmniejszego zamiaru się ruszyć. Gdyby pan mnie znowu spytał, w jakiej mierze to było świadome, najbliższa prawdy byłaby odpowiedź, że pozostałam naumyślnie, ale nie zdawałam sobie sprawy, dlaczego to robię. Doprawdy, że o to nie można mnie było podejrzewać... Czemu pan tak westchnął? Czy wolałby mnie pan widzieć idiotycznie nieświadomą, czy też przemądrzałą?

- Nie interesuję się tym - odrzekłam. - Westchnąłem, bo jestem zmęczony.

- Mógł pan nawet zeszywnieć na tym pompejańskim krześle. Lepiej by pan zrobił siadając tu, na otomanie, jak pan dawniej siadywał. Ona przynajmniej nie ma w sobie nic pompejańskiego. Nie wiem dlaczego stał się pan tak ceremonialny w ostatnich czasach. Jeśli to jest poza, niechże ją pan, na miłość boską, porzuci. Czy pan pragnie wzorować się na rotmistrzu? Nic z tego! Pan jest za młody.

- Nie chcę wzorować się na nikim - rzekłam. - A rotmistrz Blunt jest dla mnie zbyt romantyczny - poza tym on się kochał i jeszcze się kocha w pani, co wymaga jakiegoś stylu,

postawy, czegoś, do czego ja się zupełnie nie nadaję.

- A wie pan, że to nie jest głupie, co pan powiedział. W tym coś jest.

- Ja nie jestem głupi - zapewniłem bez wielkiego zapału.

- Owszem, owszem. Nie zna pan dostatecznie świata, by móc go sądzić. Pan nie wie, jak bardzo ludzie potrafią być mądrzy. Niczym sowy! I czemuż pan pragnie upodobnić się do sowy? Tysiące, tysiące takich sów czeka na mnie za drzwiami: wytrzeszczają bestie oczy i pogwizdują. Pan nawet nie wie, jaką ulgą duchową, jakim wytchnieniem pan stał się dla mnie przez tę szczerość gestów, słów i myśli - mądrych czy niemądrych - jakie wymienialiśmy między sobą! Nie spotkałam się z tym w życiu nigdy, przed poznaniem pana. Zawsze i u wszystkich wyczuwało się jakiś przymus, jakąś trwogę, z wyjątkiem pana jednego, drogi przyjacielu.

- Arkadyjski nastrój. Słowem, brak manier. Cieszę się bardzo, że to pani dogadza. Może dlatego, że pani była dość inteligentna, aby dostrzec, że ja się w pani niekocham ani w stylu rotmistrza, ani w żadnym innym.

- Tak! pan był zawsze sobą, nierozsądny, zuchwały, z domieszką czegoś, co mi było pokrewne, jeśli mi tak wolno powiedzieć bez obrazy.

- Pani wolno wszystko powiedzieć bez obrazy. Ale czy pani nigdy nie przyszło na myśl, w jej wielkiej mądrości, że ja panią kocham ot tak, po prostu?

- Ot tak, po prostu... - powtórzyła w zadumie.

- Nie chciała pani zaprzętać sobie tym głowy, prawda?

- Biedna moja głowa. Z pańskiego tonu można by sądzić, że pan ściałby ją z rozkoszą. Nie, mój kochany! Postanowiłam nie stracić głowy.

- Byłaby pani naprawdę zdziwiona, gdyby wiedziała, jak mało mnie obchodzą pani postanowienia.

- Czy tak? Niechże pan mimo to siądzie na oto - rzekła po krótkim wahaniu. Widząc zaś, że nie od razu wstaje z krzesła, dodała obojętnie: - otomana jest duża. Może pan sobie usiąść tak daleko, jak się panu podoba.

Światło uchodziło powoli z oszklonej wnęki i postać Dony Rity coraz bardziej zacierała mi się w oczach. Usiadłem na otomanie i przez dłuższy czas nie padło między nami ani jedno słowo. Nie poruszyliśmy się, nie zwróciliśmy się nawet ku sobie. Jedyna rzecz której byłem świadom, to miękkość otomany, i to wpływało na złagodzenie mego posępnego nastroju, nie powiem wbrew woli, ale bez żadnego jej udziału. Szczególniejszym sposobem kształt wielkiej wazy z brązu, służącej za popielniczkę, również dotarł do mej świadomości. Spokojnym, oszczędnym gestem Dona Rita przestawiła ją na drugą stronę. Fantastyczne

postacie kobiece o motylich skrzydłach i smukli, uskrzydleni młodzieńcy wsiąkali powoli w czarne tło, jakby usuwając się dyskretnie, by pozostawić nas samych.

Nagle poczułem się niezmiernie wyczerpany, wręcz przytłoczony zmęczeniem. Zdawałoby się, że siedzenie na pompejańskim krześle było czymś przechodzącym ludzkie siły, jakimś niezwykłym trudem, który musiał skończyć się postradaniem zmysłów. Przez jakiś czas zmagalem się z tym uczuciem, wreszcie opór mój zelżał. Nie od razu, lecz jakby pod nieprzewyciężonym naciskiem (a nie pod wpływem pociągu, którego w danej chwili nie czułem) złożyłem głowę na ramieniu Dony Rity.

Ciężar tej głowy musiał być przytłaczający, jej ramię jednak nie ugięło się ani się nie uchyliło. Nikły zapach fiołków wypełnił tragiczną pustkę mej głowy i byłem przekonany, że po prostu rozplączę się z wycieńczenia. Lecz oczy moje pozostały suche. Czułem tylko, że zsuwam się coraz niżej, niżej, aż uchwyciłem ją wpół, tuląc się do niej instynktownie, bez zastanowienia. Rita nie drgnęła przez ten czas. Tylko leciutki rytm oddechu świadczył o tym, że żyje. Zamknawszy powieki wyobrażałem sobie, że pogrążyła się w myślach, że tonąc w jakiejś niewiarogodnej zadumie unosi się wraz ze mną ponad ziemię, w nieogarnione przestworza. Odległość musiała być olbrzymia sądząc po absolutnej ciszy - ogarnęło mnie uczucie wiekuistego spokoju. Miałem wyraźne wrażenie, że wszedłem w kontakt z nieskończonością, która prawie niedostrzegalnie wznosi się i opada, a przesycona jest ciepłą, delikatną wonią fiołków. Czułem, że jakaś ręka leciutko dotyka mojej głowy. A po chwili słuch mój pochwyił słabe, regularne uderzenia jej serca, szybkie i nieskończenie wzruszające w swym tajemniczym uporze, przenikające w głąb mego ucha - i wtedy szczęście moje stało się zupełne.

Był to stan jak gdyby półsnu, połączony z uczuciem rozmarzenia. I wtedy to, zanurzony w wieczność czy w nieskończoność, ogarniającą mnie ciepłem i wonią fiołków, dosłyszałem ni stąd ni zowąd daleki, nieuchwytny odgłos dzwonka, który przeszył mnie zgrozą. Ten dźwięk rozwiął i unicestwił w jednej chwili wielkość przestworów. Poczułem, że świat zamyka się wokół mnie, ujrzałem ciemne ściany i głęboki mrok za szybami i spytałem znękanym głosem:

- Czemu zadzwoniłaś, Rito?

Taśma od dzwonka była w jej zasięgu. Nie poczułem, aby się Rita poruszyła. Odrzekła bardzo cicho:

- Dzwoniłam, żeby wnieśli światło.

- Nie potrzeba było światła.

- Już czas - szepnęła tajemniczo.

Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi. Odsunąłem się od Rity czując się małym i słabym, jakby najlepsza cząstka mojego ja została mi wydartą i utraconą na mwsze. Róża musiała się znajdować tuż za drzwiami.

- To okropne - przemówiłem do cienia tkwiącego nieruchomo na otomanie na podobieństwo bóstwa.

W odpowiedzi usłyszałem nerwowy, przyspieszony szept:

- powtarzam, że był już wielki czas. Zadzwoiłam bo nie miałam sił pana odepchnąć.

Na chwilę wszystko zakręciło mi się przed oczami. Przez otwarte drzwi wpłynęło światło i weszła Róża wyprzedzając jakiegoś człowieka w zielonym, bajowym fartuchu, którego nigdy przedtem nie widziałem. Niósł na ogromnej tacy trzy gazowe lampy, przerobione z pompejańskich urn. Róża rozstawiła je w kilku punktach pokoju. W powodzi łagodnego światła postaci skrzydlatych młodzieńców i kobiet-motyli ukazały się znów na ścianach, sztuczne, wspaniale barwne i całkowicie nieświadome tego, co się działo w ich nieobecności. Róża poprawiła lampę postawioną na najbliższym kominku i spytała poufnie, zniżonym głosem:

- *Monsieur dîne?*

Zapamiętałem się w myślach, wsparłszy łokcie na kolanach i objąwszy głowę dłońmi, mimo to słowa jej doszły do mej świadomości. Zdałem sobie również sprawę z milczenia, które po nich nastąpiło. Wyprostowałem się i wziąłem na siebie odpowiedzialność za decyzję:

- Niemożliwe. Wyruszam dziś na morze.

Była to ścisła prawda, ale przypomniałem sobie o tym dopiero teraz. W ciągu ostatnich paru dni nie żyłem pamięcią, lecz wyłącznie wrażeniami, które pochłaniały mnie całego, niepokojąc i wyczerpując do najwyższego stopnia. Czułem się jak człowiek, którego toczyły morskie fale albo którego sponiewierał motłoch i który w swej bezsilnej niedoli zatracił poczucie rzeczywistości. Ale zaczynałem już przychodzić do siebie. I naturalnie pierwszą rzeczą, jaką sobie uprzytomniłem, było to, że wyruszam na morze.

- Słyszałaś, Różo - rzekła w końcu Dona Rita z pewnym zniecierpliwieniem.

Róża poczekała jeszcze chwilę, zanim odpowiedziała:

- Tak, proszę pani. Ale tam czeka na pana w sieni jakiś człowiek. Marynarz.

Nie mógł to być nikt inny tylko Dominik. Zaświtało mi w głowie, że przecież odkąd powróciliśmy, nie widziałem się z nim wcale i nie pokazałem się na statku, co było niezwykle, wprost niesłychane i jakby obliczone na to, aby zaniepokoić Dominika.

- Ja już go przedtem widziałam - tłumaczyła Róża. - Powiedział mi, że od samego południa ugania się za panem i że nie chciałby odejść bez zobaczenia się z panem bodaj na

chwilę. Poradziłam mu więc, aby poczekał w sieni, aż pan będzie wolny.

- Bardzo dobrze - rzekłem.

Odzyskując swą zwykłą postawę nadmiernie zajętej pokojówki, która nie ma chwili czasu do stracenia, Róża wybiegła z pokoju. Ociagałem się jeszcze, zatopiony w atmosferze urojonego świata przesyconego łagodnym światłem, orgią kwiatów, nieprawdopodobieństwem barw i jakimś niepojętym szczęściem spływającym z kopuły nieba rozpiętej nad ziejącą przepaścią, z której wyglądała groza. Ovladające mną coraz silniej uczucie przerażenia wydało mi się nagle przyrodzoną atmosferą tego fantastycznego świata. Ale rozwiało się to wszystko, gdy usłyszałem szept Dony Rity, tak pełen bezgranicznej trwogi, że włosy zjeżyły mi się na głowie:

- *Mon Dieu!* I co teraz będzie?

Podniosła się z kanapy i podeszła do okna. Z chwilą gdy wniesiono lampy, wszystkie szyby stały się czarne jak atrament, bo noc już zapadła, a ogród pełen drzew i wysokich krzewów przesłaniał światło gazowych latarni na głównej alei Prado. Cokolwiek miało oznaczać pytanie Dony Rity, nie mogła spodziewać się odpowiedzi zza okna. Ale jej szept uraził mnie, dotknął we mnie boleśnie czegoś, co było w mej naturze niezmiernie głębokie, niezmiernie subtelne i nieskończenie przenikliwe. Powiedziałem nie ruszając się z otomany:

- Niech pani się uspokoi. Znajdzie pani zawsze jakiś dzwonek pod ręką.

Dostrzegłem, że niecierpliwie wzruszyła obnażonymi ramionami. Czoło jej opierało się o czarną szybę, a nad jej pięknym, silnie zarysowanym karkiem widniał gęsty splot rdzawych włosów spiętych wysoko nad głową złotą strzałą.

- Pan postanowił być nieubłagany - rzekła bez gniewu.

Zerwałem się z miejsca, ona zaś odwróciła się i podeszła ku minie odważnie, z tęsknym uśmiechem na śmiałej, młodzieńczej twarzy.

- Wydaje mi się - przemówiła głosem, który zdawał się być jedną falą miłości - że zanim się taką rzecz postanowi, należałoby starać się zrozumieć.

Przebaczenie jest bardzo pięknym słowem. Piękną inwokacją.

- Istnieją także inne piękne słowa w języku ludzkim, jak upojenie, wierność, nawet płochość - a jeżeli chodzi o inwokację, jest ich również dużo, na przykład: «Niestety» albo «Boże, miłosierdzia!»

Staliśmy bardzo blisko siebie. Jej wąskie oczy były równie zagadkowe jak zawsze, ale twarz, w której nie było nigdy fałszu ni obłudy, twarz piękna jak natchnienie artysty, wyrażała w tajemniczy sposób tak bezgraniczną cierpliwość, że uczułem się nagle głęboko zawstydzony.

- Tego nie można w ogóle ująć w słowa - rzekłem. - Ta rzecz przerasta przebaczenie, zapomnienie, przerasta gniew czy zazdrość... Nie ma między nami dwojgiem nic, co by nas skłoniło do wspólnego działania.

- Więc może by trzeba odwołać się do czegoś, co jest wewnątrz nas, do czegoś, przyzna pan, pokrewnego w nas obojgu?

- Niech pani nie będzie dziecinna - rzekłem. - Pani daje ludziom z całą mocą świeżości wrażenia i uczucia stare jak świat i wyobraża sobie, że można ten urok przełamać, odrzucić w każdej chwili! Ale to nie jest możliwe. Obecna sytuacja jest nie do zniesienia. Zapomnienie, podobnie jak wszystko inne, może przyjść tylko od pani.

Słuchała z lekko rozchylonymi wargami, jak gdyby czyhając na następne słowa.

- Jest w panu jakiś szlachetny płomień - rzekła - którego nie jestem w stanie ogarnąć. Nie rozumiem. Proszę mi wierzyć, że nie chodzi mi o siebie. A pan, czy wyruszy tej nocy znowu...

- Tak jest, Dono Rito. Za kilka godzin będę od pani daleko, próbując znów szczęścia...

- Pańskiego bajecznego szczęścia.

- O tak, szczęście mam niebywałe. A może to raczej pani ma szczęście, że znalazła człowieka, który przejmuje się tak bardzo, a jednocześnie tak mało tym, co pani leży na sercu.

- O której godzinie pan odpływa z portu? - spytała.

- Gdzieś między północą a świtem. Nasi ludzie mogą się trochę spóźnić. W każdym razie przed wschodem słońca już nas tu nie będzie.

- Co za swoboda! - szepnęła z zazdrością. - To rzecz, której nigdy nie zaznam.

- Swoboda? - wykrzyknąłem. - Jestem niewolnikiem swego słowa. W oznaczonym miejscu będzie czekał na wybrzeżu szereg wozów, mułów i gromadka prostych, nieokrzesanych ludzi, z których każdy - rozumie pani - ma żonę i dzieci albo też kochankę. Wyruszając na tę wyprawę narażają się w każdej chwili na kulę w łeb, ale mają absolutną pewność, że ja ich nie zawiodę. Tak wygląda moja swoboda. Ciekaw jestem, co by sobie pomyśleli, gdyby wiedzieli o pani istnieniu.

- Ja nie istnieję - rzekła.

- Łatwo to powiedzieć. Ja wyruszam tak, jakby pani nie istniała, ale tylko dlatego, że pani istnieje. Bo pani istnieje we mnie. Nie wiem, gdzie ja się kończę, a gdzie pani się zaczyna. Pani wżarła się w moje serce, w moje żyły, w mój mózg.

- Więc trzeba to z siebie wyrzeć, rzucić na ziemię, podeptać - wyrzekła błagalnie.

- Po bohatersku! - dokończyłem z sarkazmem rozpaczy.

- No tak, po bohatersku - potwierdziła i zamieniliśmy blade uśmiechy, na pewno strasznie niemądre i strasznie wzruszające. Staliśmy na środku pokoju, w otoczeniu barwnych fresków na czarnym tle, z którego wyłaniały się skrzydlate postacie w płomiennych aureolach rozwianych włosów, dziwacznie zastygłe w swych dekoracyjnych pozach. Dona Rita uczyniła krok w moją stronę, a gdy usiłowałem ująć jej dłoń, obie ręce zarzuciła mi na szyję. Czując, z jaką mocą przyciągała mnie ku sobie, począłem opierać się temu ślepo, rozpaczliwie. Ona zaś powtarzała nerwowo, błagalnie:

- Pan naprawdę musi wyjechać. Czy na pewno? I nie ze względu na tych ludzi, ale ze względu na mnie. Pan odjedzie, bo pan wie, że tak trzeba.

Za każdym słowem przynaglającym mnie do odejścia, coraz silniej przyciskała moją głowę do piersi. Poddąłem się wiedząc dobrze, że wystarczy mi jedno go większego wysiłku, by się oswobodzić. Ale zanim się na to zdobyłem, w jakimś rozpaczliwym porywie przywarłem ustami do jej odsłoniętej szyi. Wysilek mój, by się z jej objąć wyzwolić, stał się zbyt ciężki. Ze stłumionym okrzykiem zdumienia opuściła ręce, jakby przeszyta kulą. Musiałem doznać zawrotu głowy, a prawdopodobnie oboje musieliśmy być oszołomieni, ale już w następnej chwili zdałem sobie sprawę, że stoimy daleko od siebie, w łagodnym świetle matowych lamp, w otoczeniu skrzydlatych istot zastygłych w bezruchu.

Zupełnie niespodziewany, jakby obcy dźwięk w okrzyku Rity, a także sposób, w jaki na mnie teraz patrzyła, zbiły mnie całkowicie z tropu. Wiedziałem doskonale, co zrobiłem, a jednocześnie nie rozumiałem, co się stało. Okropnie zmieszany, bąknąłem, że powinienem pójść odprawić biednego Dominika. Rita nie powiedziała ani słowa, nie wykonała żadnego ruchu. Zdawała się być wpatrzona w jakąś wizję - może uczucie, które pochłonęło ją całkowicie. Wpadłem do sieni, głęboko zawstydzony, jakbym korzystał z tego, że ona na mnie nie patrzy. A jednak czułem na sobie jej wzrok, widziałem osłupienie na jej twarzy, w całej jej postawie. Sądząc z jej zachowania się można było przypuścić, że nie miała dotąd pojęcia, czym jest pocałunek.

Przyćmiona lampa w kształcie pompejańskiej czary wisząca na długim łańcuchu, słabo tylko oświetlała sien. Dominik, który zbliżył się do mnie z odległego kąta, wydał mi się cieniem, ledwo trochę ciemniej zarysowanym niż inne. Już od godziny trzeciej oczekiwał mnie na pokładzie, a gdy się tam nie pokazałem i nie dałem znaku życia, wyruszył, by mnie poszukiwać. Pytał o mnie różnych *garçons* po kawiarniach, *cochers de fiacre* sprzed gmachu giełdy, ekspedientki z pierwszorzędnego *debit de tabac*, staruszka sprzedająca gazety przed Cercie, wreszcie kwiaciarki stojącej przed drzwiami wykwiintnej restauracji, w której miałem zarezerwowany stolik. Ta młoda kobieta, znana pod imieniem Imy, była na stanowisku od

południa. «Zdaje ma. się, że widziałam dziś rano wszystkich jego przyjaciół - powiedziała Dominikowi - ale on sam nie pokazuje się tu chyba od tygodnia. Co się z nim mogło stać?»

«O to właśnie chodzi» - odparł z wściekłością Dominik i zawrócił do portu w nadziei, że zastanie mnie na pokładzie albo w kawiarence Madame Léonore.

Wyraziłem zdziwienie, że tak lata za mną jak kwoka aa kurczęciem. Nie było to do niego podobne. *En effet* - przyznał - to. właściwie pani Léonora nie dawała mu spokoju. Miał nadzieję, że nie wezmę mu tego za złe, dobrze jest bowiem dogodzić kobietom w rzeczach mniejszej wagi. Wyruszył więc znowu na poszukiwanie. Z początku skierował się prosto na ulicę Konsulów, gdzie mu powiedziano, że nie ma mnie w domu, ale tamtejsza gospodyni miała tak szczególny wyraz twarzy, że nie wiedział, co o tym sądzić. Toteż po pewnym namyśle pozwolił sobie zapytać o mnie w tym domu, a gdy mu oświadczono, że nie można mi przeszkadzać, postanowił nie wracać na pokład, zanim mnie nie zobaczy na własne oczy i nie usłyszy z moich własnych ust, że żadne zmiany nie zaszły w rozporządzeniach dotyczących dzisiejszej żeglugi.

- Nic się nie zmieniło, Dominiku - rzekłem.

- Nic a nic? - nalegał.

Dominik wyglądał ponuro, głos jego pod czarnym wężem brzmiał posępnie w przyćmionym świetle alabastrowej lampy wiszącej ponad jego głową. Oglądał mnie w dziwnie badawczy sposób, jakby chcąc się upewnić, że nie postradałem ręki ani nogi. Gdy go prosiłem, aby po drodze do portu wstąpił po moją torbę na ulicę Konsulów, odszedł widocznie uspokojony rzuciwszy na odchodnym ironiczną uwagę, że Madame Léonore wciąż troszczy się o mnie, odkąd zobaczyła tego amerykańskiego jeźdźca.

Gdy pozostałem sam w sieni, Róża wsunęła się bezszelestnie i stanęła przede mną.

- Monsieur zostanie jednak na obiedzie - rzekła spokojnie.

- Nie, moja droga, wyruszam dziś wieczór na morze.

- Co ja teraz zrobię z Madame?... mruknęła do siebie. - Będzie chciała koniecznie wracać do Paryża.

- Ach tak? Wspominała o tym?

- Madame zawiadamia mnie co najwyżej na dwie godziny przed wyjazdem - odrzekła.

- Ale ja wiem już, jak to będzie.

Głos jej utracił zwykły spokój:

- Umiem czuwać nad Madame do pewnego stopnia, ale całkowitej odpowiedzialności nie mogę brać na siebie. Jest taki jeden niebezpieczny człowiek, który bezustannie usiłuje zobaczyć się z panią sam na sam. Potrafiłam go już kilka razy odprawić, ale ten wstrętny,

stary dziennikarz wciąż go podjudza i ja nawet nie śmiem pani o tym powiedzieć.

- Jakiego to rodzaju człowiek?

- Taki sobie mężczyzna - odpowiedziała wzgardliwie.

Schwyciłem za palto i kapelusz:

- A czyż takich nie ma na tuziny?

- Och, ten jest szczególnie niebezpieczny. Madame musiała kiedyś, w jakiś sposób go ośmielić. Nie powinnam tego mówić o Madame i nie powiedziałabym nikomu prócz pana. Czuwam bez ustanku, ale cóż może zrobić biedna dziewczyna, jak ja?... Czy pan nie powróci do Madame?

- Nie, nie wrócę. Tym razem nie.

Zdawało mi się, że jakaś mgła zasnuwa mi oczy. Ledwo mogłem dostrzec Różę stojącą z wyciągniętą ręką przed zamkniętymi drzwiami pompejańskiego pokoju, jakby skamieniała. Ale głos mój brzmiał stanowczo:

- Tym razem nie - i teraz dopiero zdałem sobie sprawę z gwałtownego szumu wiatru w gałęziach i deszczu smagającego drzwi wchodowe.

- Może kiedy indziej - dorzuciłem.

Powtórzyła dwa razy, jakby do siebie: - *Mon Dieu! Mon Dieu!* - a potem odezwała się z przerażeniem: - I co ja mam począć? Niech mi pan powie!

Musiałem przeciwstawić jej rozpaczony pozórni nieczułość, i to nie tylko dlatego, że wobec konieczności odjazdu nie miałem innego wyboru. Przypominam sobie doskonale, że w moim zachowaniu się był upór, a w moich słowach coś w rodzaju wzgardliwego lekceważenia, gdy odrzekłem z ręką na klamce:

- Proszę powiedzieć Madame, że odszedłem. Będzie zadowolona. Proszę powiedzieć, że odszedłem - po bohatersku.

Róża przysunęła się do mnie i w odpowiedzi rozłożyła ręce z rozpaczą, jakby dla wyrażenia, że zrzeka się odpowiedzialności.

- Widzę teraz jasno, że Madame nie ma przyjaciół - rzekła z takim wybuchem tłumionej goryczy, że o mało się nie zatrzymałem. Ale jej poprzednie niedomówienia sprawiły, że mruknąłem tylko:

- Stało się tak, jak Madame sobie życzyła.

I przekroczyłem próg.

Doleciał mnie szybki, pełen napięcia szept Róży:

- Pan nie powinien był ulec!

Odchodziłem już wielkimi krokami. Wówczas opuściło Różę jej zwykłe opanowanie i

posłyszałem poprzez deszcz i wicher podniesiony jej głos, krzyczący za mną z wściekłością:

- Tak jest! Madame nie ma przyjaciół! Ani jednego!...

CZEŚĆ PIĄTA

I

Tego wieczoru zjawiłem się na statku przed samą północą i Dominik nie mógł zataić uczucia ulgi, że widzi mnie zdrowym i całym. Nie umiałem sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się niepokoił, ale odniosłem wówczas wrażenie, że moje załamanie się (gdyż to było istotnym załamaniem się) musiało się odbić na moim wyglądzie, że musiałem mieć zagładę wypisaną na czole. Stałem się jak gdyby powłoką zawierającą jedynie próchno i popiół, żywym świadectwem znikomości wszechrzeczy. Nawet myśli, przelatujące przez moją głowę, zdawały się wydawać szelest zwiędłych liści.

Nasza wyprawa udała się znakomicie. Dominik przez cały prawie czas dowcipkował w sposób oschły i zgryźliwy, twierdząc, że nikt inny, tylko ja sam zaraziłem go tego rodzaju humorem. Ponieważ siła charakteru łączyła się u niego z wielką wrażliwością na usposobienie bliskich mu ludzi, nie wątpię, że to, co mówił, było słuszne. Ale sam tego nie czułem. Zmysł obserwacyjny, słabiej lub silniej rozwinięty w świadomości każdego człowieka, zawiódł mnie najzupełniej. Ten widz wewnętrzny odwrócił widać ode mnie twarz ze zgrozą lub zemdłą z nadmiernego wysiłku. Nie kontrolowany nawet przez samego siebie, skazany byłem na ostateczną samotność.

Nasza wyprawa powiodła się mimo to. doskonale.

Wpłynęliśmy do portu spokojnie jak zwykle i przycumowaliśmy nasz statek wprowadzając go niepostrzeżenie pomiędzy pospolite barki z ładunkiem kamieni, po czym Dominik, który w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin powrotnej drogi zdążył się już wyzbyć swej ponurej jowialności, pozostawił mnie własnemu losowi, jak gdybym był rzeczywiście skazańcom przeznaczonym na zagładę. Wetknął tylko głowę do małej kajuty, w której się przebierałem, a gdy w odpowiedzi na jego zapytanie oświadczyłem, że nie mam dla niego żadnych szczególnych poleceń, opuścił statek nie oglądając się na mnie więcej.

Dotychczas schodziliśmy zawsze razem z pokładu i razem wstępowaliśmy, bodaj na chwilę, do kawiarenki Madame Léonore. Tym razem jednak, gdy znalazłem się na wybrzeżu, Dominika nigdzie nie było. Czy to miało oznaczać dyskrecję, czy chęć pozbycia się mojej osoby? A może pokłócił się ze swoją Leonorą jeszcze przed wyruszeniem na wyprawę?

Przechodząc obok kawiarni dostrzegłem przez szybę, że Dominik jednakże tam jest.

Naprzeciw niego, z wdziękiem dojrzałej piękności wsparta o marmurowy stolik, siedziała zasłuchana Madame Léonore. Minąłem kawiarnię i - kto by to przypuścił - skierowałem się na ulicę Konsulów. Nie miałem się gdzie podziąć, a tam na piętrze pozostały moje rzeczy. Nie mogłem znieść myśli o spotkaniu kogokolwiek ze znajomych.

Słaby płomyk gazu wciąż pełgał, jakby nie gaszono go wcale od chwili, kiedy przechodziłem przez tę sień o godzinie wpół do jedenastej, udając się do portu. Ten wąty języczek światła śledził mnie wychodzącego, a teraz, równie nikły (coś tam musiało być nie w porządku z palnikiem), witał mnie powracającego, jak to miało miejsce zazwyczaj. Na ogół dom sprawiał wrażenie nie zamieszkałego, tym razem jednak, zanim doszedłem do schodów, ujrzałem postać Teresy wyslizgującą się z korytarza prowadzącego do pracowni. Powitawszy mnie zwykłymi okrzykami, zapewniła, że pokoje na górze są przygotowane od szeregu dni i zaproponowała, że przyniesie mi zaraz jakiś posiłek. Przystałem na to zapowiadając, że za pół godziny zejść do pracowni. Zostałem ją tam stojącą przy nakrytym stole i oczekującą na rozmowę. Zaczęła mi opowiadać, skandując wyrazy tonem żalostnego zawożenia, że nie ma do mnie listów - żadnych listów, ani jednego listu, od nikogo... Spojrzenia jej, pełne przerażającej czułości, przeplatane chytrymi błyskami oczu, obejmowały mnie całego, podczas gdy ja usiłowałem coś przelknąć.

- Czy to jest wino rotmistrza Blunta? - spytałem ujrzawszy w kieliszku płyn koloru słomy.

Zesnurowała usta, jakby ją ząb zabołał, i zapewniła mnie, że wino należy do niej. Będę musiał za nie zapłacić. Rzecz szczególna: Blunt, który zwracał się zawsze do Teresy z uprzejmą powagą, nie był u niej w łaskach. «Ten przemiły, dzielny pan» walczył teraz w obronie króla i wiary przeciwko bezbożnym liberałom. Opuścił dom z samego rana, nazajutrz po moim wyjeździe i - ach prawda! - zapytał ją przed odejściem, czy jeszcze jestem w domu. Zapewne chciał mnie pożegnać, uścisnąć mi dłoń - ten kochany, uprzejmy człowiek.

Pozwalałem jej mówić czekając z niepokojem, co powie dalej, ale przez dłuższy czas nie mogła się oderwać od tematu Blunta. Pisał do niej raz w sprawie pozostawionych rzeczy prosząc, aby je przesłała do Paryża pod adresem jego matki. - Ja jednak nie myślę się tym zajmować - oświadczyła Teresa z nabożnym uśmiechem. Z odpowiedzi na moje pytania wywnioskowałem, że był to z jej strony podstęp mający skłonić rotmistrza Blunta do powrotu.

- Ściągnie pani na siebie kłopoty z policją, Mademoiselle Therese, postępując w ten sposób - rzekłem. Ale Teresa była uparta jak muł i zapewniała z największym spokojem, że biedna, uczciwa dziewczyna znajdzie zawsze obrońców. W całym jej zachowaniu było tym

razem coś szczególnego, czego nie mogłem zgłębić. Nagle westchnęła głęboko.

- Nasza Rita też w końcu wróci do swojej siostry.

Dźwięk imienia, którego tak oczekiwałem, na chwilę odjął mi mowę.

To «szalone, nieszczęsne stworzenie» znów wyjechało do Paryża, by się tam oddawać swym grzesznym praktykom. Czyżbym nie wiedział, że wyjechała? Naprawdę? Skądże ona mogła odgadnąć, co ja wiem, a czego nie wiem? No więc, zaledwie wyszedłem z domu, zjawiała się tu Rita z tą swoją pokojówką i zachowywała się tak, jakby ten dom naprawdę jeszcze do niej należał.

- O której godzinie to było? - zdołałem wybąkać. Zdawało mi się, że z tymi słowami życie uchodzi ze mnie. Teresa, nie zauważywszy widać nic szczególnego w moim zachowaniu się, odpowiedziała, że musiało to być Około wpół do ósmej rano.

«Nieszczęsna grzesznica» była ubrana cała na czarno, jakby szła do kościoła, ale wyraz twarzy miała tak gorszący, że każda uczciwa osoba poczułaby się wstrząśnięta. Zakazała Teresie pod strasznymi groźbami wyjawienia swej obecności komukolwiek, Wbiegła na schody i zamknęła się w mojej sypialni, podczas gdy «Francuzica» (którą Rita zdaje się kochać bardziej niż rodzoną siostrę) weszła do mego saloniku i ukryła się tam za firanką pod oknem. Zdołałem przez ten czas ochłonać do tego stopnia, że mogłem już zapytać spokojnym i naturalnym głosem, czy Dona Rita i Blunt się widzieli. Prawdopodobnie nie widzieli się. Rotmistrz, taki zwykle uprzejmy, wyglądał tak poważnie pakując swoje rzeczy, że Teresa nie śmiała się do niego odezwać. Przy tym śpieszył się bardzo. Musiał przed swoim wyjazdem wyprawić do Paryża ukochaną matkę. Ogromnie był poważny. Ale podał Teresie rękę i skłonił się bardzo grzecznie.

Teresa podniosła swą dłoń, abym ją mógł obejrzeć. Dłoń ta była szeroka i krótka, o tępo zakończonych palcach - zwyczajnie dłoń Teresy. Uścisk rotmistrza nie zmienił wcale jej nieładnego kształtu.

- I po cóż bym miała mówić mu, że nasza Rita tu była? Wstydziłabym się przyznać, że wtargnęła tu i zachowywała się tak, jakby ten dom należał do niej. Zmówiłam kilka pacierzy na intencję tego dzielnego pana, słuchając mszy świętej o wpół do siódmej rano. W chwili gdy odjeżdżał, pokojówka mojej siostry była na górze i śledziła go złymi oczami, ale ja uczyniłam znak krzyża nad dorożką, po czym wbiegłam na piętro i zaczęłam bić pięściami w pańskie drzwi, kochany paniczku, krzycząc na Ritę, że nie ma prawa zamykać się w żadnym z pokoi należących do mych lokatorów. Otworzyła drzwi i - czy pan uwierzy? - ukazała się z rozpuszczonymi włosami! Przypuszczam, że musiały jej opaść w chwili, kiedy rzuciła kapelusz na pańskie łóżko. Już po jej przyjsciu zauważyłam, że jest niedbale uczesana. A

potem użyła pana szczotek czesząc się przed pańskim lustrem.

- Proszę chwilę zaczekać - rzekłem zrywając się od stołu i przewracając kieliszek z winem. Pędem pobiegłem na górę i zapaliłem wszystkie lampy gazowe: trzy palniki na środku pokoju, jeden nad łóżkiem i dwa po obu stronach toalety. Błysnęła mi szalona nadzieja, że natrafię na jakiś ślad bytności Rity, na jakiś pozostawiony znak czy przedmiot. Gwałtownie wyciągałem wszystkie szuflady myśląc, że ukryła tam zapisaną ćwiartkę papieru - pomysł oczywiście niedorzeczny. Teresa byłaby z tym dawno zrobiła porządek. Brałem kolejno do ręki wszystkie przedmioty leżące na toalecie. Dotknięcie szczotek wzruszyło mnie do głębi - dokładnie je oglądałem zamglonymi oczami w nadziei, że cudownym zbiegiem okoliczności odnajdę złoty włos Rity, zaplątany w szczec. Ale Teresa zaradziłaby i temu. Nie dostrzegłem nic, jakkolwiek z bijącym sercem oglądałem szczotkę pod światło. Widocznie było sądzone, aby i ten ślad istnienia Rity nie został mi dany na pamiątkę; nie byłyby wprawdzie utrwalił moich wspomnień, ale przyniosłby nieco ukojenia.

Zapaliłem papierosa i powoli zeszedłem ze schodów. Moje cierpienie przytępiło się. Tak bywa z ludźmi, którzy oplakują drogich zmarłych: ból ich zwolna ucisza się, bo wiedzą, że się już dokonało wszystko, że częśćka ich duszy i cały urok życia przepadły i zatraciły się bezpowrotnie.

Zastałem Teresę stojącą wciąż jeszcze na tym samym miejscu z założonymi rękami; wpatrywała się w moje puste krzesło i w płamę z wina rozlanego na obrusie. Nie poruszyła się, nie podniosła nawet przewróconego kieliszka. Ledwo się ukazałem, zaczęła natychmiast mówić głosem przymilnym:

- Jeżeli pan zauważył, że czegoś na górze brakuje, to proszę mnie nie winić. Pan jeszcze nie wie, jaka jest nasza Rita.

- Dałby Bóg, aby coś zabrała - rzekłem.

I znowu ogarnął mnie szalony niepokój, jak gdyby moim przeznaczeniem było wiecznie umierać i wiecznie powracać do życia dla tej jednej dręczącej przyczyny że ona istnieje. A może jednak coś zabrała. Cokolwiek, jakiś choć najdrobniejszy przedmiot. Przypomniałem sobie nagle o zapalniczce z reńskiego kryształu, której nie zauważyłem na górze. Może chociaż to?... Chciałem się o tym upewnić natychmiast. Ale zmusiłem się do pozostania na miejscu.

- Ona taka bogata! - ciągnęła dalej Teresa. - Nie! Nawet pan ze swym złotym, kochanym sercem nie może nic dla niej uczynić. Nikt jej nie może dopomóc z wyjątkiem jednego może człowieka, ale ona jest tak źle dla niego usposobiona, że gdyby nawet w swej dobroci i wspaniałomyślności ofiarował jej swoją rękę, nie chciałaby go widzieć. To złe

sumienie tak ją nęka. A on ją kocha nad życie, poczciwy, litościwy człowiek.

- Pani mówi zapewne o tym łotrze, który w Paryżu prześladowuje Done Rite. Proszę mnie posłuchać, Mademoiselle Thérèse. Jeśli pani wie, gdzie on się obraca, proszę go uprzedzić, aby się miał na baczności. On zdaje się także należy do karlistowskiego spisku. Czy pani to rozumie, że siostra pani w każdej chwili może kazać go przymknąć albo wydalić przez policję poza granice kraju?

Teresa westchnęła głęboko i przybrała wyraz uciśnionej cnoty.

- Ach, to jej zatwardziało serce! Ona jest wprost okropna. Mówię do niej: «Rito, czyś ty zaprzedała duszę diabłu?» A ona, jak nie krzyknie, opętana: «Za cenę szczęścia! cha! cha! cha!» Rzuciła się na wznak na kanapę, która stoi w pańskim pokoju, i śmiała się, śmiała bez końca, jakby ją kto łaskotał. Ona jest naprawdę opętana. Ach, mój drogi, niewinny paniczu, nigdy pan czegoś podobnego nie widział. Ta zła dziewczyna, która jej służy, wpadła do pokoju i pod sunęła jej pod nos malutką flaszeczkę, ja zaś miałam ochotę pobiec po księdza, do którego codziennie chodzę na ranną mszę.

To zacny, dzielny, poważny człowiek! Ale ta fałszywa, podstępna dziewczyna (jestem przekonana, że okrada naszą Kitę od rana do nocy) zaczęła po cichu coś mówić do Rity i potrafiła ją uspokoić. Nie mam pojęcia, co jej mogła takiego powiedzieć, musi jednak być w zмовie z diabłem. A potem poleciła mi zejść na dół i przyrządzić filiżankę czekolady dla Madame. Madame, to niby nasza Rita. Madame!... Zamierzały, o ile rozumiałam, zaraz jechać do Paryża, a ta jej Madame nie miała podobno nic w ustach od poprzedniego rana. Niech pan sobie wyobrazi: mnie kazano robić czekoladę dla Rity! Ale biedactwo było takie słabe i wyczerpane, że wreszcie poszłam. Ach, szatan potrafi czasem dobrze człowiekowi dopiec!

Teresa westchnęła z głębi piersi i wzniosłszy oczy przyglądała mi się z wielką uwagą. Zachowałem nieprzenikniony wyraz twarzy chcąc wysłuchać wszystkiego, co Teresa mogła jeszcze powiedzieć o Ricie.

W pewnej chwili dostrzegłem z niepokojem, że jej twarz zaczyna przybierać wesoły wyraz.

- A więc Dona Rita wyjechała do Paryża? - spytałem niedbale.

- Tak, mój drogi panie. Zdaje się, że prosto stąd udały się na stację. Gdy Rita podniosła się z kanapy, ledwie mogła utrzymać się na nogach. Przedtem jeszcze, gdy piła czekoladę, chciałam ją skłonić do podpisania papieru oddającego mi ten dom na własność - ale gdzie tam! Zamknęła tylko oczy i zaczęła mnie błagać, abym była dobra i pozostawiła ją w spokoju przez pół godziny. A wyglądała tak, jakby nie miała dożyć jutra. Ona zawsze mnie

nienawidziła.

Odezwałem się z goryczą:

- Nie powinna była pani tak jej dręczyć. Gdyby nie była dożyła jutra, odziedziczyłaby pani i ten dom, i wszystko - byłby to duży kęs nawet na pani wilcze gardło, Mademoiselle Thérèse.

Dopowiedziałem jeszcze kilka słów świadczących o wstręcie, jaki budziła we mnie jej łąpczywość. Brzmiały one jednak blado, gdyż nie byłem w stanie znaleźć dość mocnych słów na wypowiedzenie tego, co czułem. Nie miało to zresztą znaczenia, gdyż sądzę, że Teresa wcale mnie nie słuchała. Zdawała się być pogrążona w osłupieniu i zachwycie.

- Co ja słyszę, mój drogi panie? Jak to? Wszystko przeszłoby na mnie bez żadnego zapisu?

- Tak - odrzekłem krótko, co widocznie do reszty wytrąciło ją z równowagi.

Teresa ufała mej prawdomówności, ufała bezwzględnie, o ile nie wypowiadałem prawd dotyczących jej własnej osoby. Nie przebierałem wtenczas w wyrażeniach, a ona słuchała mnie uśmiechając się skromnie, jakbym ją obsypywał najbardziej wyszukаныmi komplementami. Spodziewałem się dalszego ciągu tego okropnego opowiadania, ale Teresa znalazła widać nowy temat do rozmyślań, bo potok jej wymowy nagle się urwał. Westchnęła tylko raz jeszcze i mruknęła:

- A więc prawo może być sprawiedliwe, skoro nie wymaga żadnego zapisu. Jestem przecież jej siostrą.

- Na oko trudno w to uwierzyć - rzekłem szorstko.

- Ach, tego mogę dowieść w każdej chwili. Na to są dowody.

Po tym oświadczeniu zaczęła sprzątać ze stołu w milczącej zadumie.

Nie byłem zaskoczony wiadomością, że Dona Rita wyjechała do Paryża. Nie zadawałem sobie pytania, co ją do tego skłoniło i czy opuściła na zawsze willę na Prado. Dowiedziałem się dopiero później, rozmawiając z Teresą, że oddała tę willę na użytek karlistów i że miał tam zamieszkać - albo już zamieszkał - jakiś nieoficjalny konsul czy agent karlistowski. Teresa słyszała o tym z własnych ust siostry owego burzliwego ranka, kiedy Rita ostatnie godziny przed wyjazdem spędziła w domu przy ulicy Konsulów, w moich apartamentach.

Drobiazgowy przegląd wszystkich rzeczy dowiódł mi, że niczego tam nie brakowało. Nawet owa nieszczęsna zapalniczka, której nieobecność napępiała mnie radosną nadzieją, znalazła się w końcu na dnie jakiejś szuflady. To było prawdziwym ciosem. Rita mogła była zabrać ze sobą bodaj ten drobiazg! Wiedziała przecież, że ilekroć przebywam na łądzie, nie

rozstają się z tą zapalniczką. Mogła ją była zabrać! Postanowiła widocznie, że nic nie powinno nas łączyć, nawet najdrobniejsza pamiątka. Mimo to jeszcze przez długi czas nie zaniechałem szperania po wszystkich możliwych kątach i zakamarkach szukając czegoś, co mogła umyślnie tam zostawić. Przypominało to pasję maniaka poszukującego przez całe życie ukrytego skarbu. Nie traciłem nadziei, że znajdę bodaj jakąś zapomnianą szpilkę do włosów lub skrawek wstążki. Czasem w nocy przychodziło mi na myśl, że to zakrawa na obłąd. Pamiętam, że kiedyś zerwałem się o drugiej nad ranem, by poszukać w łazience małego tekturowego pudełka, do którego nie zdążyłem zajrzeć. Oczywiście było puste - Rita nie mogła żadnym sposobem wiedzieć o jego istnieniu. Powróciłem do łóżka dygocąc, chociaż noc była ciepła, z wyraźnym przeświadczeniem, że to wszystko doprowadzi mnie w końcu do szaleństwa. Nie było już mowy o tym aby «tego rodzaju historia» mogła mnie zabić. Atmosfera moralna tej ostatniej tortury była inna. Musiała przyprawić mnie o szaleństwo. Na tę myśl dreszcz zgrozy przeszywał moje wyczerpane ciało, przypominałem sobie bowiem, że zwiedzając kiedyś słynny zakład dla obłąkanych widziałem tam nieszczęsnego człowieka, który zwariował wyobraziwszy sobie, że został haniebnie oszukany przez kobietę. Zapewniono mnie, że powód jego cierpienia był absolutnie fikcją. Był to młodzieniec o jasnej, rzadkiej bródce, siedział skulony na brzegu łóżka obejmując samego siebie ramionami w rozpaczliwym uścisku i zawodząc żałośnie. Ten jego lament rozlegał się w długim, pustym korytarzu przejmując zgrozą każdego, kto się zbliżał do drzwi jego celi.

Nie było teraz ani jednej osoby, od której bym mógł coś usłyszeć o Ricie, z którą bym mógł o niej porozmawiać, aby choć na chwilę wywołać jej obraz. Oczywiście mogłem wymówić to imię, z czterech liter złożone, wobec Teresy, ale ona z niewiadomych powodów postanowiła unikać tego tematu.

Chwilami porywała mnie chęć rzucenia się na Teresę i wydarcia jej garści włosów ukrytych skromnie pod czarną chustką, której końce wiązała sobie niekiedy pod brodą. Ale nie umiałbym w żaden sposób usprawiedliwić się przed nią z tak okrutnej zniewagi. Teresa była zresztą wciąż zapracowana i biegała po całym domu, od strychu do piwnic, robiąc wszystko sama, gdyż nie mogła zdecydować się na wynajęcie posługaczki, której koszt wyniósłby kilka franków miesięcznie. Miałem wrażenie, że nie jestem już takim jej ulubieńcem jak dawniej. I - rzecz szczególna - to mnie drażniło. Teresa robiła teraz wrażenie osoby, w której jakieś uporczywe wyobrażenie, jakaś płodna myśl, zabiły resztę łagodniejszych, ludzkich uczuć. Chodziła po domu w świątobliwym zamyśleniu, uzbrojona w szczotki i ścierki.

Człowiekiem, który poniekąd zastąpił mnie w sercu Teresy, był sędziwy ojciec

tancerek mieszkających na parterze. Widywałem go czasem w sieni ubranego w cylinder i piękne granatowe palto, które mu Teresa zapinała na wszystkie guziki, giędnąc nieustannie, ze skromnie spuszczonej oczami. On uśmiechał się do niej poważnie, usiłując wycofać się jak najszybciej w stronę drzwi wchodowych. Nie zdaje mi się, aby przywiązywał większą wagę do łask Teresy.

Nasz postój w porcie przeciągał się tym razem długo, a ja prawie nie opuszczałem domu.

Pewnego wieczora zaprosiłem do siebie owego jegomościa na kieliszek wina. Nie robił żadnych trudności, przyniósł ze sobą drewnianą fajkę i rozmawiał bardzo zajmująco, przyjemnym głosem. Trudno było wyrozumieć, czy jest kimś nieprzeciętnym, czy zwykłym hultajem, w każdym razie biała broda nadawała mu wygląd czcigodny. Nie mógł mi oczywiście poświęcić wiele czasu, musiał bowiem pilnie strzec swoich córek i ich wielbicieli. Wprawdzie dziewczęta nie odznaczały się zbytnią płochością, ale jako bardzo młode nie miały życiowego doświadczenia. Były to miłe stworzonka o przyjemnych, wesołych głosach, a ojciec zdawał się być bardzo do nich przywiązany. Sam był mężczyzną muskularnym o srebrnych, kędzierzawych włosach, które tworzyły wieniec dokoła jego uszu i łysiny nadając mu wygląd barokowego apostoła. Wymiarkowałem, że musiał mieć dosyć ciemną przeszłość i wielce burzliwą młodość. Wielbiciele tancerek traktowali go z ogromnym respektem. Musiało to być uczucie instynktowne, gdyż zachowywał się w stosunku do nich życzliwie, nawet z odcieniem unizoności, jednakże w jego oczach pojawiały się czasem drapieżne błyski, które działały na nich hamująco. Ten hamulec przestawał działać, gdy chodziło o hojne podarki - tu raczej doznawali zachęty. Zadawałem sobie czasem pytanie, czy te lekkomyślne, wesołe stworzonka zdają sobie sprawę z utajonego w tej taktyce moralnego piękna.

Ale prawdziwym i stałym moim towarzyszem był manekin z pracowni i nie mogę powiedzieć, żeby mi jego towarzystwo całkowicie wystarczało. Po zadomowieniu się w pracowni podniosłem go troskliwie z ziemi, otrzepałem z kurzu jego powykręcane członki i twarde, drewniane łono, po czym ustawiłem go w kącie, gdzie przybrał od razu załęczoną postawę. Znałem jego historię. Nie był to zwykły manekin. Rozmawiając kiedyś z Dona Rita o jej siostrze, wyraziłem przypuszczenie, że Teresa umyślnie przewraca szcnotką tę biedną pokrakę - Dona Rita uśmieła się z tego serdecznie. «Oto przykład - rzekła - instynktownej antypatii.» Manekin został przed laty zrobiony na miarę i przez długi czas nosił na sobie szaty cesarzowej bizantyńskiej. Dona Rita pozowała w tych szatach tylko parę razy, lecz do następnych seansów trzeba było oczywiście ułożyć fałdy i zagięcia materii w podobny

sposób, w jaki były zaznaczone w pierwszym szkicu. Dona Rita opowiadała zabawnie, jak się to odbywało: musiała stać na środku pokoju, podczas gdy Róża, drepcząc dokoła niej z centymetrem, zapisywała cyfry na świstku papieru. Ten papierek, przesłany do pracowni manekinów, został Jej zwrócony z pełnym oburzenia listem kierownika pracowni, który stwierdzał, że tego rodzaju proporcje są wręcz niemożliwe dla jakiegokolwiek kobiety. Widocznie Róża poplątała wszystkie cyfry i dużo czasu upłynęło, zanim wykonany manekin przywędrował w długim koszu do Pawilonu, by przywdziać na siebie szaty cesarzowej i przybrać hieratyczną jej pozę. Później z równą cierpliwością nosił na głowie wspaniałą kapelusz Dziewczyny w kapeluszu. Dona Rita nie mogła odgadnąć, jakim sposobem manekin znalazł się teraz w Marsylii, pozbawiony swej biednej głowy w kształcie rzepy. Prawdopodobnie przyjechał w jednej z pak przewożących suknie i cenne brokaty, które Rita sama wysyłała z Paryża.

Świadomość jego pochodzenia, pogardliwe aluzje rotmistrza Blunta, wreszcie antypatia, okazywana mu przez Teresę sprawiły, że ten z grubsza ociosany kształt kobiecej postaci nabrał w mych oczach pewnego uroku, dając mi blade, żalosne złudzenie oglądania oryginału. Mniej sztuczny niż fotografia, był także o wiele mniej dokładny... Ale tego wyjaśnić nie podobna. Dość, że odczuwałem wyraźną sympatię do manekina, jakby był jakimś zaufanym pomocnikiem Rity. Odkryłem w nim nawet pewien swoisty wdzięk. Nie posunąłem się jednak nigdy tak daleko, by do niego przemawiać, kiedy nieśmiało wзираł z kąta, lub wyciągać go stamtąd w celu kontemplacji. Pozostawiałem go w spokoju. Nie byłem wariatem. Miałem tylko niezłomne przekonanie, że obłęd wkrótce mnie osiągnie.

II

Mimo tak rozwiniętej mizantropii, musiałem odwiedzić kilka osób w związku ze sprawą karlistowską, którą niełatwo mi było porzucić i której właściwie porzucić nie chciałem. Stanowiła ona dla mnie pretekst pozostawania w Europie, a nie czułem się wewnętrznie na siłach, aby zdobyć się na nową wyprawę do Indii Zachodnich czy innej części świata. Z drugiej zaś strony moje awanturnicze przedsięwzięcie dawało mi kontakt z morzem, gdzie znajdowałem zatrudnienie, osłonę i ukojenie, ulgę moralną, jaką daje zetknięcie się z konkretnymi zadaniami, równowagę, jaką się uzyskuje przez obcowanie z prostymi ludźmi, wreszcie w pewnym stopniu wiarę w siebie zdobywaną w walce z żywiołem. Tego nie mogłem się wyrzec. A przy tym wszystko to było związane z osobą Dony Rity. Bądź co bądź, otrzymałem to z jej ręki, z tej ręki, której uścisk miał w sobie męską siłę i prawość, a obok tego obdarzał jedynymi w swoim rodzaju wrażeniami. Na samo wspomnienie tego uścisku doznawałem uczucia, że przepływa przeze mnie fala roztopionego żaru. Ta ręka była powodem naszej pierwszej sprzeczki, która pociągnęła za sobą wiele innych - byliśmy bowiem oboje tak drażliwi jak ludzie trawieni wewnętrzną gorączką, a nie zdający sobie w pełni sprawy ze swego cierpienia.

Nad mętными wodami legitymizmu unosił się przecież duch Rity. Było rzeczą mało prawdopodobną, aby magiczny dźwięk tego imienia obił się teraz o moje uszy. Tak na przykład, pewien potentat ze świata finansów, z którym musiałem kilkakrotnie się naradzać, czynił częste aluzje do nieodpartego uroku tej potęgi, która władała mym sercem i duszą - tej tajemniczej postaci, której niezapomniane rysy łączyły w sobie promiennosc słonecznego dnia z niezgłębionym czarem nocy - i nazywał ją po prostu: «Madame de Lastaola». Ten człowiek o stalowosrebrnych włosach takie, a nie inne miano nadawał największej tajemnicy wszechświata. Wymawiając to nazwisko przybierał wyraz twarzy uroczy i powściągliwy, jakby w obawie, abym ja się nie uśmiechnął lub aby sobie samemu nie pozwolić na uśmiech, co naruszyło by w fatalny sposób uświęcony ceremoniał naszych stosunków.

Tonem wyszukanie poważnym napomykał o życzeniach, instrukcjach i czynnościach pani de Lastaola lub wyciągając jakiś list ze stosu papierów nagromadzonych na biurku, rzucał nań okiem, by sobie coś odświeżyć w pamięci. Podczas gdy mnie na sam widok znajomego pisma zasychało w gardle, on zapytywał bezbarwnym głosem, czy przypadkiem w ostatnich dniach nie miałem wiadomości «bezpośrednio... hm, bezpośrednio z Paryża»?

Z tymi wizytami łączyło się dla mnie wiele innych nieznośnych przykrości. Mój

dostojny rozmówca zwracał się czasem do mnie jako do poważnego człowieka, mającego jasny sąd o rzeczy, gdy ja w tej samej chwili miałem w głowie i w oczach jedną tylko wizję: zdawało mi się, że po ścianie poza jego plecami spływa strumień złotych włosów, obfitych i mglistych, nieziemskich i cudownych, przetykanych płonącymi iskrami. Niemiła była dla mnie także atmosfera legitymizmu, przesycająca powietrze tego pokoju, równie rozrzedzona i nieuchwytna jak to powietrze. Zdawało się, że w pojęciu tego człowieka nie istnieje żaden legitymista z krwi i kości z wyjątkiem może mnie jednego. On sam był bankierem - i tylko bankierem - zresztą wybitnym, wpływowym i zupełnie nieskazitelnym. Uparcie zasięgał mojej opinii i odwoływał się do mego sądu, a czynił to z przesadnym naciskiem, jakby chcąc pokryć nieustanne zdziwienie, jakie w nim budził mój chłopięcy wygląd. Jakkolwiek widział mnie już kilka razy (poznałem nawet jego żonę), nie mógł ochłonąć ze zdumienia, że jestem taki młody. On sam musiał urodzić się jako gotowy, pięćdziesięcioletni człowiek, ze stalowymi bokobrodami i nabiegłymi żółcią oczami, które w czasie rozmowy często przymykał. Pewnego razu odezwał się do mnie:

- Ale, ale! Przybył tu na pewien czas markiz de Villarel i pytał o pana za ostatnią swą bytnością u mnie. Czy mogę go powiadomić, że pan jest w Marsylii?

Nic mu na to nie odpowiedziałem. Markiz de Villarel to był don Rafael, znany mi z opowiadań Dony Kity. Cóż ja mogłem mieć wspólnego z hiszpańskim grandem? Cóż z nim mogła mieć wspólnego ona, kobieta wszystkich epok, której powinny były być obojętne wszelkie pozory, wspaniałe czy mizerne stroje, w które się nicość ludzka przyobleka? Wszystko to istniało kiedyś, w przeszłości; teraz przeważało dojmujące uczucie, że dla mnie nie istnieje terażniejszość ani przyszłość, nic poza głuchym bólem i beznadziejną namiętnością, której moc była tak wielka, że - zamknięta w mej piersi - dawała mi złudzenie samotnej wielkości i uczucie, iż moja nieszczęsna głowa tkwi gdzieś wysoko, pomiędzy gwiazdami.

Gdy pewnego razu postanowiłem złożyć wizytę żonie bankiera (niezwłocznie, by się tego jak najprędzej pozbyć), jedną z pierwszych nowin, jakie od niej usłyszałem, było to, że markiz de Villarel «przebywa wśród nas». Oznajmiła mi to radosnym głosem. O ile tam w banku, w gabinecie jej męża, legitymizm był pojęciem oderwanym i zasadą, o tyle w jej salonie oznaczał wyłącznie osoby.

- *Il m'a causé beaucoup de vous* - oświadczyła dowcipnym tonem, jakby to powiedzenie zawierało coś, co powinno było napęłnić mnąc dumą. Usunąłem się pośpiesznie w kąt salonu. Nie chciało mi się wierzyć, aby grand rozmawiał z nią o mnie, nie czułem się też nigdy prawdziwym stronnikiem tej rojalistycznej imprezy. Wyznaję, iż byłem tak

obojętny na wszystko, tak zgnębiony moralnie, że wszedłszy do tego salonu nie miałem siły stamtąd wyjść, chociaż doskonale widziałem wszystkie manewry roztrzepotanej pani domu, która krążyła od jednego gościa do drugiego i powtarzała każdemu, wskazując niewidocznym gestem na moją osobę:

- Proszę spojrzeć, o tam, w rogu pokoju. To ten słynny Monsieur George!

Wreszcie sama potrafiła mnie wypłoszyć. Żywym ruchem zajęła miejsce obok mnie i poczęła rozplýwać się w zachwytach nad tym *cher monsieur Mills* i wielkodusznym lordem X. A potem ze wstrętnym przymrużeniem oczu wymówiła nazwisko Madame de Lastaola i zniżonym głosem spytała, czy rzeczywiście pozostaję w tak bliskich stosunkach z tą zadziwiającą osobą?

- *Vous devez bien regretter son départ pour Paris* - szczebiotała wpatrując się w swój wachlarz z udanym zmieszaniem.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób wydostałem się z tego pokoju. Były tam dalej jakieś schody. To tylko wiem, że nie zleciałem z nich głową naprzód; pamiętam także, że potem długo przechadzałem się wzdłuż wybrzeża i że bardzo późno wróciłem do domu. Wybrałem drogę, prowadzącą przez Prado i mijając willę, rzuciłem na nią lęklive spojrzenie. Poprzez rzadkie listowie otaczających ją drzew nie przenikał żaden promień światła.

Następny dzień spędziłem z Dominikiem na naszym stateczku przypatrując się robocie cieśli pracujących na pokładzie. Sposób, w jaki wywiązywali się z zadania, wykazywał, że są to ludzie trzeźwi i normalni, toteż przebywanie w ich towarzystwie znacznie mnie pokrzepiło. Dominik krzątał się także koło swojej roboty, ale jego milczenie było raczej sarkastyczne. Wieczorem wstąpiłem na chwilę do kawiarni, a głośny krzyk Madame Léonore: «Ach, Signorino! wreszcie pana widzę!», brzmiał tak serdecznie, że sprawił mi przyjemność. Niemniej spojrzenie jej roziskrzonych oczu, gdy siadała naprzeciwko mnie przy stoliku, trudne było do zniesienia. Tych dwoje wiedziało coś o mnie. Co mogli wiedzieć? Rozstając się ze mną Madame Léonore uścisnęła mi rękę znacząco. Co to miało oznaczać? Nie czułem się jednak dotknięty tymi objawami życzliwości. Serca bijące w piersiach tych ludzi nie przypominały nadętych i uperfumowanych pęcherzy. Nie odznaczali się także tą gruboskórnością, która zdaje się być regułą w wielkim świecie, gdzie każdy myśli tylko o tym, jakby się wybić. Wyczuwali, że coś jest ze mną nie w porządku, ale cokolwiek myśleli, mogłem być spokojny, że nie stanę się dla nich przedmiotem kpin.

Powróciwszy do domu zastałem Teresę czekającą na mnie, co się w ostatnich czasach rzadko zdarzało. Wręczyła mi bilet wizytowy z nazwiskiem markiza de Villarel.

- Skąd się to wzięło? - spytałem.

Teresa odkręciła natychmiast kurek swej wymowy. Dowiedziałem się, że grand nie posunął się tak daleko, aby osobiście trudzić się do mnie, co zresztą wcale mnie nie zdziwiło. Przysłał bilet przez jakiegoś młodego człowieka.

- Taki przystojny młodzieniec! - wtrąciła Teresa z wyrazem potulnej hieny. - Nie był bardzo wysoki. Miał bardzo gładką cerę (ta kobieta była niepoprawna) i śliczne, czarne wąsiki. Musiał być - jak wywnioskowała - oficerem *en las filas legitimas*. W tym przekonaniu zapytała go o zdrowie rotmistrza Blunta, tego drugiego wzoru elegancji i wdzięku. Ku jej niezmiernemu zdziwieniu uroczy młodzieniec o pięknych oczach nigdy nie słyszał o rotmistrzu Bluncie. Zdawał się natomiast bardzo interesować otoczeniem, rozglądał się po hallu, zauważył kosztowne drzewo, którym były wykładane drzwi, przypatrywał się uważnie srebrnej figurce podtrzymującej uszkodzony palnik gazowy u stóp schodów i w końcu spytał, czy to rzeczywiście jest dom jej ekscelencji Senory Dony Rity de Lastaola? To pytanie podziało na Teresę piorunująco, ale z wielką przytomnością umysłu odpowiedziała młodzieńcowi, że nie wie, o jaką «ekscelencję» mu chodzi, co zaś do tego domu, to stanowi on jej osobistą własność, gdyż został jej podarowany przez rodzoną siostrę. Na to młody człowiek zrobił minę zdziwioną i urażoną, wykręcił się na pięcie i wrócił do swego powozu. Jakże można było rozgniewać się na biedną dziewczynę, która nigdy nikomu nie zrobiła nic złego?

- Przypuszczam, że nasza Rita okrutnie szkaluje przed ludźmi swą nieszczęśliwą siostrę. - Tu westchnęła głęboko (miała kilka rodzajów westchnień, a to należało do beznadziejnych) i dodała w zamyśleniu:

- Grzech za grzechem, niegodziwość za niegodziwością! Im dłużej będzie żyła, tym będzie gorsza. Byłoby lepiej dla naszej siostry Rity, gdyby umarła.

Oświadczyłem Mademoiselle Thérèse, że trudno orzec, czy jest bardziej głupia, czy bardziej okrutna, ale prawdę mówiąc, niezbyt się tym przejmowałem. Te jej wybuchy nie dowodziły w gruncie rzeczy niczego. Można było do nich przywyknąć. Były tylko wyrazem jej drapieżnej chciwości i swoście pojętej sprawiedliwości. Nasza rozmowa skończyła się na tym, że zapytałem Teresę, czy nie ma dla mnie obiadu.

- I na cóż panu obiad, mój kochany paniczku - droczyła się ze mną czule. - Albo to pan je? Dziobie tylko pożywienie jak to pisklątko. Lepiejby pan zaoszczędził te pieniądze.

Byłem zdziwiony tym zapatrywaniem Teresy na mój apetyt: dowodziło ono tylko, jak dalece moje cierpienie odrywało mnie od ziemi. Badawczo na nią popatrzyłem i zaraz oznajmiła, że obiad jest gotów.

Ów nieznanym młodzieniec, który pojawił się na horyzoncie Teresy, nie zaskoczył mnie

zbytńio. Viliarel podróżował zwykle z rodzajem świty, a przynajmniej z paru sekretarzami. Nasłuchawszy się wiele o karlistowskiej Kwaterze Głównej, domyśliłem się, że ten młody człowiek był dawniej - a może pozostał i obecnie - dowódcą gwardii królewskiej. Miał podobno duże wpływy polityczne (i personalne) na dworze Don Carlosa.

Doręczony przez niego bilet był w uprzejmej formie rozkazem stawienia się przed jego ekscelencją. Żaden monarchista z przekonania (a za takiego musiałem uchodzić w oczach Villarela) nie mógłby mieć co do tego wątpliwości.

Wsunąłem bilet do kieszeni i zjadłszy coś z podanego mi obiadu, spędziłem resztę wieczoru w pracowni paląc papierosy, pogrążony w myślach na przemian tkliwych i bolesnych, wpatrzony w wizje porywające i okrutne. Od czasu do czasu rzucałem okiem na manekin. Raz nawet zwlokłem się z kanapy, na której wilem się jak robak, i podszedłem do niego, jakbym go pragnął dotknąć, ale wnet się opanowałem, nie tyle pod wpływem wstydu, co beznadziejnej rozpacz. Po jakimś czasie ukazała się znowu Teresa. Było już późno i zapewne zamierzała pójść spać. Wyglądała jak uosobienie pogodnej, sielskiej niewinności i uraczyła mnie zagadką rozpoczynającą się od słów:

- Gdyby nasza Rita wkrótce umarła...

Nie zdołała zakończyć, bo zerwałem się gwałtownie i przestraszyłem ją krzyknawszy:

- Co się stało? Czy jest chora? Miała pani list?

Okazało się, że miała list. Gdybym ją poprosił, byłaby mi go zapewne pokazała. Ale nagle wydało mi się, że wszystko na świecie jest względne. Teresa przypatrywała mi się przez chwilę tępym i przebiegłym wzrokiem, wybąkała jakąś niedorzeczną uwagę na temat sprawiedliwego prawa i wyszła pozostawiając mnie w pracowni na pastwę okrutnych myśli. Zdaje mi się, że zasnąłem zaraz z samego wyczerpania. Obudziłem się późną nocą, wśród ciemności, skostniały z zimna i przejęty zgrozą. Powlokłem się na górę do łóżka mijając statuetkę wznoszącą wysoko w niezmordowanej ręce słabe światło. W czarnobiałej sieni panowało lodowate zimno.

Do odwiedzenia markiza de Villarel skłoniła mnie refleksja, że zostałem zwerbowany przez Donę Ritę, że jestem jej rekrutem. Nikt inny, tylko ona musiała poręczyć za moją stałość i wierność. Nie mogłem znieść myśli, aby pierwszy lepszy dureń i plotkarz związany ze «sprawą» ośmielił się ją krytykować. A że poza tym jednym nic innego nie miało dla mnie istotnego znaczenia, więc postanowiłem, że pójdę.

Okazało się, że nie przemyślałem dostatecznie skutków tej decyzji. A więc przede wszystkim widok zaniedbanej, lecz wesoło świecącej w słońcu wili (w której nie było już Rity) poruszył mnie tak głęboko, że o mało nie zawróciłem od ogrodowej furtki. Kiedy zaś po

dłuższym wahaniu wszedłem do willi, wpuszczony do sieni przez człowieka w zielonym bajowym fartuchu (który mnie poznał), perspektywa ujrzenia pokoju opuszczonego przez Ritę nieodwołalnie, jak przez osobę zmarłą, przejęła mnie takim wzruszeniem, że musiałem oprzeć się o stół, bo zrobiło mi się nagle słabo. Gdy jednak człowiek w zielonym fartuchu minął drzwi sali pompejańskiej zdążając w głąb sieni odczułem to niemal jako zdradę. Odrzwia pokoju, do którego mnie wprowadził, nie miały w sobie nic pompejańskiego (były raczej w stylu Ludwika XV, gdyż cały dom przedstawiał istną *salade russe* przeróżnych stylów). Pokój, do którego wszedłem, był duży i jasny, umeblowany współcześnie. Na przeciwległej ścianie wisiał portret *en pied* oficera, przybranego w bladoniebieski mundur. Oficer miał małą głowę, czarną brodę, przyciętą w kwadrat, i silną, masywną postać. Ręce w rękawiczkach wspierał na rękojeści prostej szabli. Ten uderzający portret królował nad masywnym mahoniowym biurkiem, przed którym stał ogromny fotel z wysokim oparciem, pokryty ciemnozielonym aksamitem. Myślałem, że mnie wprowadzano do pustego pokoju, ale przypatrując się jaskrawym wzorom na dywanie ze zdziwieniem dostrzegłem parę nóg przed fotelem. Podeszedszy bliżej ujrzałem drobną postać człowieka zanurzoną w ten ciemnozielony aksamit. Nie odezwał się ani się nie poruszył, dopóki nie stanąłem tuż przed nim. Wtedy odwrócił się ku mnie powoli i utkwiał w mej twarzy swoje zapadnięte, czarne, spokojnie gorejące oczy, które przypatrywały mi się długo i przenikliwie. W jego żółtej, wyniszczonej twarzy dopatrzyłem się czegoś groźnego, teraz jednak myślę, że był po prostu zaskoczony moim młodzieńczym wyglądem. Skłoniłem się głęboko. Wyciągnął do mnie szczupłą, małą rękę.

- Proszę siadać, Don Jorge.

Był drobny, szczupły i chudy, ale w jego głosie nie wyczuwało się słabości, jakkolwiek mówił nieledwie szeptem. Taka była ziemską powłoka fanatycznej duszy, należącej do wielkiego mistrza ceremonii, i naczelnego dowódcy gwardii przy Kwaterze Głównej, a obecnie wysłannika królewskiego obdarzonego specjalną misją. Ten człowiek był uosobieniem wierności, niezłomności i posępnej wiary, ale na podobieństwo niektórych świętych posiadał bardzo wątłe ciało dla pomieszczenia tylu i tak wielkich zalet.

- Pan jest bardzo młody - zauważył na początek. - Sprawy, o których pragnę z panem mówić, są pierwszorzędnej wagi.

- Sądziłem, że Wasza Ekscelencja chce widzieć się ze mną niezwłocznie. Ale mogę stawić się i później, jeśli Wasza Ekscelencja sobie tego życzy - powiedzmy, za siedem lat. Może będę wtenczas dostatecznie dojrzały, aby można było mówić ze mną o sprawach poważnych.

Nie poruszył się wcale i nawet drgnieniem powiek nie dał poznać po sobie, iż moja wysoce niewłaściwa odpowiedź doszła do jego świadomości.

- Pan zastał nam polecony przez szlachetną, prawomyślną osobę, w której Jego Królewska Mość - niech ją Bóg zachowa - pokłada całkowitą ufność. Bóg wynagrodzi ją według jej zasług, a także i pana, Senor, zależnie od motywów, jakie pana skłoniły do współdziałania w tym wielkim przedsięwzięciu, które otrzymało błogosławieństwo (tu się przeżegnał) naszej świętej Matki, Kościoła.

- Przypuszczam, że Wasza Ekscelencja rozumie, że za swą działalność nie oczekuję żadnej nagrody.

Lekki, prawie niedostrzegalny grymas pojawił się na jego twarzy.

- Miałem na myśli łaski nadprzyrodzone, które są nagrodą ludzi służących sprawie religii i które przyniosą pożytek pańskiej duszy - wyjaśnił Don Rafael, a w jego głosie przebijał cień cierpkości. - Tamto rozumie się samo przez się, a pańska wierność nie ulega wątpliwości. Jego Królewska Mość - niech ją Bóg zachowa - dał już wyraz zadowolenia z pańskich usług we własnoręcznym liście skierowanym do wielce szlachetnej i prawomyślnej Dony Rity.

Może spodziewał się, że odpowiem na to oświadczenie jakimś słowem, ukłonem lub w jakikolwiek inny sposób, gdyż moja nieruchoma postawa sprawiła, że poruszył się w fotelu, który lekko zaskrzypiał.

- Obawiam się, Senor, że pan przejął się duchem szyderstwa i lekceważenia, tak rozpowszechnianym w tym nieszczęsnym kraju, w którym obaj - i pan, i ja - jesteśmy cudzoziemcami. Czyżby pan należał do tego pokroju młodzieży?

- Jestem tylko dobrym przemytnikiem amunicji, Ekscelencjo - odpowiedziałem spokojnie. Skłonił głowę z powagą.

- Zdajemy sobie z tego sprawę. Pragnąłem tylko poznać pobudki pańskiego postępowania, które powinny mieć swoje źródło w religii.

- Muszę wyznać szczerze, że nigdy nad nimi nie zastanawiałem - rzekłem. - Wystarczała mi świadomość, że nie ma w nich nic niezgodnego z honorem, a każdy może stwierdzić, że nie są to pobudki awanturника ubiegającego się o marne zyski.

Słuchał cierpliwie, a widząc, że nie zamierzam nic więcej powiedzieć, postanowił zamknąć dyskusję.

- Senor - należy zastanawiać się nad swymi pobudkami. Jest to zbawienne dla naszego sumienia i zalecone (tu znów się przeżegnał) przez Matkę naszą, Kościół... Mam tu pewne listy z Paryża, w sprawie których pragnę naradzić się z panem odwołując się do pańskiej

młodzieńczej bystrości zachwalanej nam przez wielce szlachetną Donę Ritę.

Dźwięk tego imienia w jego ustach brzmiał po prostu ohydnie. Byłem przekonany, że ten człowiek, przesiąknięty fanatycznym legitymizmem oraz kultem form i ceremoniału, pozbawiony jest doszczętnie serca. Być może, iż zastanawiał się nad swymi pobudkami, ale zdawało mi się, że jego sumienie musi być czymś potwornym i że tylko bardzo nieliczne sprawy mogłyby je głębiej poruszyć. Mimo to, ze względu na Donę Ritę, nie wahałem się przedłożyć mu swych poglądów i spostrzeżeń, które zawdzięczałem «młodzieńczej bystrości».

Nie mam pojęcia, jak on tę bystrość ocenił. Sprawy, któreśmy poruszali, nie wkraczały oczywiście w zakres wielkiej polityki, ale z punktu widzenia wojny toczącej się na Południu miały poważne znaczenie. Uzgodniliśmy wspólnie pewien plan działania, po czym, wciąż ze względu na Donę Ritę, oświadczyłem grandowi, że oddaję się do jego dyspozycji lub do dyspozycji jego zastępcy - nie sądziłem bowiem, aby Don Rafael długo pozostawał w Marsylii.

Audycja była skończona. Villarel podźwignął się z fotela z trudem, jak chore dziecko. Zauważywszy, że zwracam oczy w stronę portretu, dodał miarowym, przyciszonym głosem:

- Zawdzięczam ten wspaniały obraz łaskowości pani de Lastaola, która, znając moje przywiązanie do królewskiej osoby mego władcy, przysłała ten portret z Paryża, aby mnie tu powitała i zdobiła ściany domu przeznaczonego na moje biuro. Przekazanie nam tego domu jest także dowodem jej wspaniałomyślności i oddania się sprawie królewskiej. Niestety - i ona dotknięta jest zarazą tego wieku pozbawionego wiary i szacunku dla autorytetu. Ale jest jeszcze młoda. Jest młoda.

Ostatnie słowa wymówił szczególnym tonem groźby, jakby dzięki nadprzyrodzonym spostrzeżeniom świadom był jakichś zagrażających jej klęsk. Gorejące oczy nadawały mu wygląd inkwizytora o niezłomnej duszy uwięzionej w wątłym ciele. Nagle opuścił powieki i nasza rozmowa zakończyła się w sposób równie charakterystyczny, w jaki się zaczęła: markiz de Villarel skłonił głowę na znak, że odprawa skończona, i pożegnał mnie słowami: - Adios, Senor - niech Bóg pana ustrzeże od grzechu.

III

Muszę powiedzieć, że przez następne trzy miesiące oddawałem się swemu zakazanemu rzemiosłu z pewnego rodzaju rozpaczliwym zapamiętaniem, beznadziejnym i zaciekłym. Byłem jak człowiek, który dotychczas zachowywał się przyzwoicie, a obecnie z całą świadomością postanawia pić.

Nasze wyprawy stawały się coraz niebezpieczniejsze. Organizacja wojsk na Południu pozostawiała wiele do życzenia; poszczególne grupy działały bez ściśle określonego planu i nieprzyjaciół zaczynał następować im na pięty. Dostawa żywności i amunicji stawała się nie lada zagadnieniem - nasi stronnicy z wybrzeża zaczęli wyraźnie się bać. Coraz częściej spotykała nas taka niemiła niespodzianka, że po całym dniu zręcznego manewrowania nie zastawaliśmy nikogo na umówionym miejscu. Trzeba było znowu wypływać na morze z kompromitującym ładunkiem, znowu się przemykać i przyczajac kładąc przez kilka dni, a czasem tygodni wzdłuż wybrzeża, nie mogąc nikomu zaufać i spoglądając podejrzliwie na każdy okręt.

Pewnego razu zostaliśmy zaskoczeni przez oddział «łotrowskich karabinierów» - jak ich Dominik nazywał - który ukrył się między skałami rozstawiwszy poprzednio szereg mułów na bardzo widocznym miejscu. Na szczęście Dominik przewąchał coś podejrzanego. Na jakiej podstawie? - nie mogłem wyrozumieć - chyba dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi, który snadź posiadają ludzie stworzeni do nielegalnych zawodów. «To pachnie zdradą» - zauważył w pewnej chwili i przekreślił wiosło. (Wybraliśmy się tego dnia samowtór na rekonesans.) Co do mnie, nie czułem wcale, aby to pachniało zdradą, i do dziś dmą uważam nasze ocalenie za zupełnie cudowne. Wierzę, że jakaś moc nadprzyrodzona musiała podbić lufy karabinierów, które chybiły nas ledwie o kilka metrów. A że karabinierzy mają opinię niezawodnych strzelców, Dominik - zakławszy szpetnie - stwierdził, że nasze ocalenie należy przypisać jedynie temu aniołowi stróżowi, którego zadaniem jest czuwać nad młodymi wartogłowami. Wierzył w aniołów stróżów w sposób konwencjonalny, nie roszcząc sobie pretensji do posiadania własnego. Wkrótce potem, żeglując nocą zupełnie spokojnie, ujrzeliśmy nagle przed sobą mały statek przybrzeżny, który, podobnie jak my, płynął bez świateł i uczestował nas znienacka salwą strzałów karabinowych. Potężny, natchniony okrzyk Dominika: «*A plat ventres!*», w połączeniu z nagłym podmuchem wiatru ocalił życie nam wszystkim. Nikt nie został nawet draśnięty, a pomyślny wiatr pozwolił nam wyprzedzić możliwą pogoń. W godzinę później, gdyśmy stali obok siebie wpatrując się w ciemność,

Dominik mruknął przez zęby: - *Lé metier se gête*. - Ja również miałem wrażenie, że jeśli nasze rzemiosło nie popsuło się jeszcze ze szczętem, to najpiękniejsze dni powodzenia mamy poza sobą. Ale było mi wszystko jedno. Ten stan rzeczy osobiście nawet mi dogadzał, gdyż dawał silniejszą podniecie, taką, jaką daje pijakowi czysty alkohol.

Na krótko przed usłyszeniem strzałów, upojony ciszą nocną i świeżym oddechem morza pełnego łagodnych poszeptów, wpatrywałem się oczyma duszy w cudowną zjawę: w pochyloną głowę Rity, jaśniejącą własnym, nikłym światłem rdzawych włosów przetykanych czerwonymi iskrami. Te włosy spięte były wysoko nad białym karkiem złotą strzałą wysadzaną brylantami i rozsiewającą rubinowe błyski. Ów klejnot połączony w jakiś sposób z szylkretowym grzebieniem, który - przekomarzając się z Ritą - nazywałem ozdobą barbarzyńską, odgrywał w moich wspomnieniach nadmiernie wielką rolę i nabierał znaczenia nawet w snach. Często śniła mi się postać Rity o białych kształtach majaczących w mroku jak postać nimfy w gąszczu liści; podnosiła nieskazitelnego wyrazu białe ramię, by wyjąć z włosów strzałę i rzucić nią we mnie jak grotem. Widziałem świetlną smugę, łowiłem uchem jej świst i budziłem się, zanim zdążyła mnie osiągnąć. Nie ugodziła mnie nigdy. Salwa z ręcznej broni dokonałaby tego skuteczniej, a można było się jej spodziewać niemal każdego dnia i każdej nocy.

Nadszedł wreszcie taki dzień, kiedy wszystko wymknęło mi się z ręki: i mały statek, strzaskany i unicestwiony jak jedyna zabawka samotnego dziecka i morze, które go pochłonęło wyrzucając mnie na brzeg.

Zamiast wspomnienia pięknej, rzetelnej walki, wyniosłem z tej katastrofy wspomnienie popełnionego samobójstwa. Zabrała mi ona życiową niezależność i pozostawiła mnie jak na przekór na tym świecie, który - zaiste - wydawał mi się już «tamnym światem», przeznaczonym dla zmarłych. Opuścił mnie nawet Dominik, złamany moralnie przez to, co uważał za najtragiczniejszy koniec naszych wspólnych wysiłków. Katastrofa nastąpiła z przerażającą szybkością, którą można jedynie porównać do uderzenia gromu.

Pewnego wieczoru wysiadłem na dworcu kolejowym w Marsylii, wycieńczony, rozbity moralnie, z oszołomioną głową i sercem przepelnionym zgrozą. Przeżyłem niezliczoną ilość bardzo nieprzyjemnych przygód, na które składały się: niedostatek, wielkie wysiłki i przykre zatargi z różnego rodzaju ludźmi, którzy brali mnie raczej za podejrzanego włóczęgę zasługującego na uwagę żandarmów, niż za przyzwoitego (aczkolwiek narwanego) młodzieńca, nad którym czuwa własny anioł stróż. Wyznaję, że wymykałem się pośpiesznie z dworca, bo wydawał mi się on zbyt rześcicie oświetlony. Człowiek pokonany przez los doznaje snadź nieuchronnie wrażenia, że stał się wyrzutkiem społeczeństwa. Nie miałem ani

grosza w kieszeni, nie miałem nawet kija ani węzelka, które dopełniają zaopatrzenia nędzarza-włóczęgi. Serce we mnie zamierało. Byłem nie umyty i nie ogolony, a przyodziewek mój tak wyglądał, że nie śmiałem zbliżyć się do stojących przed stacją pojazdów.

Dostrzegłem zresztą tylko dwie pary latarni, z których jedna oddaliła się natychmiast, drugą zaś pozostawiłem wybrańcom losu będącym w szczęśliwszym ode mnie położeniu.

Wycieńczony do cna, nie wierzyłem w swoją siłę perswazji. Trzęsąc się z zimna przemykałem się przez ludne ulice huczące szaleńczą wrzawą. Był to bowiem czas karnawału.

Drobne, bezwartościowe przedmioty mają czasem szczególną właściwość przywierania do swego właściciela. O mało nie utraciłem wolności i życia; straciłem statek, a także pas na pieniądze wypełniony złotem, utraciłem wszystkich towarzyszy i rozstałem się z przyjacielem; przepadło moje zajęcie, to jedyne ogniwo łączące mnie z życiem - mój kontakt z morzem; postradałem czapkę i kurtkę - ale mały scyzoryk i klucz od zatrzasku nie opuściły mnie ani na chwilę. Tym kluczem otworzyłem drzwi domostwa, które było jedynym moim schronieniem. Sień zachowała swój zwykły, głuchoniemy wygląd, swą czarnobiałą ciszę.

Płomyk przygasał to znów rozbłyskiwał w uszkodzonym palniku podtrzymywanym przez srebrną statuetkę, która nie zmieniła ani o włos swej wdzięcznej pozy na czubkach palców jednej nogi, powyżej zaś schody gubiły się - jak zwykle - w zupełnym mroku. Teresa oszczędzała na świetle. Widok tego wszystkiego sprawił mnie w zdumienie. Zdawało mi się, że wszystko powinno się było zapaść w momencie ostatecznej katastrofy na hiszpańskim wybrzeżu. A oto Teresa we własnej osobie ukazała się na schodach, przerażona, ale nie cofająca się przed niebezpieczeństwem. Może sądziła, że tym razem naprawdę będzie zamordowana? Żywiła bowiem dziwaczne, spokojne przeświadczenie, że ten dom w szczególniejszy sposób nadaje się do popełnienia zbrodni. Nie podobna było zgłębić tych jej maniackich wyobrażeń, których trzymała się z tępym, chłopskim uporem połączonym z zewnętrzną pogodą zakonniczy. Trzęsła się teraz cała wychodząc na spotkanie okrutnego losu, a poznawszy mnie doznała takiego wstrząsu, że aż przysiadła na najniższym schodku. Nie spodziewała się mnie przed upływem co najmniej tygodnia, a poza tym - tłumaczyła mi - stan, w jakim się znajdowałem, «zmroził jej krew w żyłach».

Zdawało się rzeczywiście, że ten mój żalorny wygląd ujawnił, czy też poskromił prawdziwą jej naturę. Któż jednak zbadał naturę Teresy! Wystarczy powiedzieć, że tym razem nie przejawiała nawet śladu zwykłej wielomówności. Żadnych okrzyków («drogi paniczku! kochane serduszko!»), żadnych wzmianek o grzechu. W głuchym milczeniu biegła

po domu przygotowując pokój, zapalając lampy i rozpalając w piecu - w końcu pomogła mi nawet zawlec się na górę. Tak jest - objęła mnie ramieniem spełniając ten miłosierny uczynek. Ręce jej drżały. Spojrzenie jej bladych oczu prawie nie schodziło z mej twarzy.

- Co pana doprowadziło do tego stanu? - wyszeptwała.

- Gdybym pani wszystko opowiedział, Mademoiselle Thérèse, zobaczyłaby Pani w tym palec boży.

Upuściła z ręki zapasową poduszkę, którą niosła na górę, i o mało na niej nie usiadła.

- O biedne dziecko! - zamruczała i pośpiesznie pobiegła do kuchni.

Zapadłem się w łóżko, jak w chmurę, i jak przez mgłę ujrzałem przed sobą postać Teresy podającej mi filiżankę z jakimś napojem. Zdaje się, że to było gorące mleko, a gdy je wypilem, Teresa wzięła mi z rąk filiżankę i patrzyła na mnie bez ruchu. Z trudem zdołałem powiedzieć: «Proszę już odejść.» - lecz zanim mój głos przebrzmiał, znikła jak za sprawą czarów. Wkrótce potem słońce wdarło się przez szpary w żaluzjach do pokoju napełniając go rozproszonym światłem. Znów ujrzałem nad sobą Teresę i usłyszałem jej głos jakby dochodzący z daleka: «Już południe...»

Młodość odzyskiwała swoje prawa. Spałem jak kamień przez siedemnaście godzin.

Wyobrażam sobie, że uczciwy bankrut doznaje przy obudzeniu się podobnych uczuć, jakie w tej chwili przeżywałem: wrażenie katastrofy, lęk przed koniecznością rozpoczynania życia na nowo, niewyraźne poczucie, że są nieszczęścia, za które trzeba płacić szubienicą. W ciągu ranka dowiedziałem się od Teresy, że pokoje zajmowane poprzednio przez Blunta są puste, ale że nie zamierza ich odnajmować, gdyż - dodała tajemniczo - powiedziano jej, iż lepiej je trzymać w pogotowiu. Nie rozumiałem, co by mogło skłonić Blunta do powrotu do Marsylii.

Powiedziała mi także, że w domu nikt teraz nie mieszka poza mną, dwiema tancerkami i ich ojcem. Wszyscy troje na jakiś czas wyjeżdżali, ponieważ dziewczęta były zatrudnione latem w jakichś włoskich teatrzykach, widocznie jednak zapewniły sobie pracę na sezon zimowy w Marsylii, gdyż obecnie powróciły na stałe. Pozwalałem Teresie wygadać się, powstrzymywało to bowiem moją wyobraźnię od zaprzętania się sprawami, które - zgodnie z moim postanowieniem - powinny były przestać mnie obchodzić.

Wyszedłem jednak dosyć wcześnie z domu mając do spełnienia przykry obowiązek. Wypadało mi bowiem zawiadomić ukrywającego się w willi na Prado karlistowskiego agenta o nagłym zlikwidowaniu mych czynności.

Wiadomość ta była dla niego ogromnie ważna, a obowiązek oznajmienia mu o tym, co się stało, sprawiał mi szczególniejszą przykrość z przyczyn osobistych. Miałem bowiem jedną

wspólną cechę z Dominikiem: nie znosiłem niepowodzeń.

Markiz de Villarel oczywiście dawno już wyjechał. Jego następca należał do karlistów zupełnie innego typu - był z usposobienia i zawodu handlowcem. Jako główny dostawca królewskiej armii, a przy tym uczciwy pośrednik, cieszył się opinią bardzo zręcznego człowieka. Ważne zadania zmuszały go naturalnie do przebywania we Francji, podczas gdy jego młoda żona, słynna z piękności i oddania królowi, reprezentowała go z powodzeniem w Kwaterze Głównej, gdzie on sam niezmiernie rzadko się pojawiał. Odmienną, lecz uzgodnioną lojalność tych dwojga nagrodziły: tytuł barona i wstęga jakiegoś wysokiego orderu.

Plotkarze z kół legitymistycznych oceniali te królewskie łaski z uśmiechem pobłażania. Baron był tym samym człowiekiem, którego tak przeraziła i zmartwiła pierwsza wizyta Dony Rity w Tolosie. Miał dla swej żony najwyższe uznanie. W tej atmosferze intryg i wśród szczęku broni nikomu nie przyszłoby na myśl pokpiwać sobie z niepokojów barona, gdyby sama jego osoba nie była nieco groteskowa.

Musiał być zaskoczony, gdy posłałem mu swój bilet, bo oczywiście nie spodziewał się ujrzeć mnie tak prędko - nikt się tego nie spodziewał. Wyszedł cichymi krokami na moje spotkanie. Wystający nos, spłaszczona czaszka i czarny ubiór czyniły go podobnym do zażywnego kruka. Dowiedziawszy się o kłęsce wyraził swój żal i zdumienie w sposób iście plebejski, wydając cichy i znaczący gwizd. Ja oczywiście nie podzielałem jego przerażenia odczuwając to wszystko zupełnie inaczej - niecierpliwił mnie tylko jego mało inteligentny wzrok utkwiony we mnie.

- Przypuszczam - rzekłem - że pan podejmie się zawiadomić Donę Ritę, która bardzo interesuje się tą sprawą.

- Owszem, ale dano mi do zrozumienia, że Madame de Lastaola miała wyjechać z Paryża wczoraj lub dziś rano.

Teraz ja z kolei oniemiałem i wytrzeszczyłem oczy. Dopiero po chwili zdołałem zapytać tonem człowieka wtajemniczonego w te sprawy:

- Do Tolosy?

Czy to wskutek pochylenia głowy, gry światła czy innej przyczyny nos pana barona wyraźnie się wydłużył.

- Tak, Senor - to jest miejsce, do którego ta wiadomość powinna dotrzeć natychmiast, niezwłocznie - odrzekł sapiąc z podniecenia. - Mógłbym oczywiście zatelegrafować do naszego agenta w Bajonnie, który by znalazł wysłańca. Ale to nie byłoby dobrze. Stronnicy Alfonsa mają także swoich agentów, którzy kręcą się po urzędach telegraficznych. Nie można

dopuszczyć, aby nieprzyjaciel przejął tę wiadomość.

Był widocznie zgnębiony i usiłował myśleć o dwu rzeczach naraz.

- Niechże pan siada, Don George, niech pan siada. - Wprost zmusił mnie do zapalenia cygara. - Jestem dosłownie zrozpaczony. Ta... hm, chciałem powiedzieć, Dona Rita znajduje się z pewnością w drodze do Tolosy. To przecież straszne.

Muszę stwierdzić, że ten człowiek miał jednak pewne poczucie obowiązku. Potrafił opanować osobiste obawy. Po chwili namysłu zaczął mówić szeptem:

- Jest inny sposób przekazania tej wiadomości do Kwatery Głównej. Powiedzmy, że pan napisze do mnie oficjalny list, w którym pan tylko stwierdzi fakty - nieszczęśliwe fakty - ja zaś prześlę ten list dalej. Mam pewnego agenta, bardzo uczciwego człowieka, którym się posługiwałem przy zakupach żywności. Przyjeżdża tu przed północą pociągiem o godzinie dziesiątej wioząc dla mnie różne poufne dokumenty. Kłopotalem się nawet, dokąd go skierować na noc. Byłoby niedobrze, gdyby się dostał w jakieś tarapaty. Nie odznacza się inteligencją. Czyby pan nie był łaskaw, Don George, wyjść na jego spotkanie na dworzec i zająć się nim aż do jutra rana? Wolałbym, aby się sam po mieście nie wtoczył. Jutro wieczorem zaś wysłałibyśmy go z wiadomością do Tolosy drogą wiodącą wzdłuż zachodniego wybrzeża. Będzie mógł jednocześnie odwiedzić Donę Ritę, która niewątpliwie jest już na miejscu.

Myśl jego powróciła widać do przedmiotu, pochłaniającego całą jego uwagę, gdyż nagle załamał pulchne ręce.

- O tak, już jest na miejscu! - westchnął patetycznie.

Nie byłem wcale usposobiony do śmiechu i baron musiał czuć się zadowolony z powagi, z jaką patrzyłem na jego dziwaczne zachowanie się. Przeniosłem się myślą daleko: Pomyślałem sobie: «Czemu nie? Dlaczego nie miałbym napisać także do Dony Rity, donosząc jej, że teraz nic już nie stoi na przeszkodzie memu wyjazdowi z Europy, ponieważ nie podobna wszystkiego na nowo rozpoczynać ani wskrziesić tego, co się już skończyło. Pojęcie «nigdy już» opanowało całkowicie mój umysł. Nie mogłem o niczym innym myśleć. Tak! - napiszę.»

Wysoki komisarz sił zbrojnych Jego Królewskiej Mości sądził, że patrzę na niego - ja zaś widziałem przed sobą korowód kobiet-motyli i skrzydlatych młodzieńców, łagodne błyski lamp migające na złotej strzale w splotach włosów i tę głowę wspaniałą, która zdawała się zawsze uchylać przed moją wyciągniętą ręką.

- Doskonale - odrzekłem. - Nie mam teraz nic do roboty, nie mam nawet o czym myśleć. Spotkam pańskiego człowieka, gdy będzie wysiadał z pociągu o dziesiątej wieczór.

Jak on wygląda?

- Ma czarne wąsy i czarne faworyty, a brodę ogoloną. To bardzo uczciwy człowiek. Oddał nam już niejedną usługę. Nazywa się Jose Ortega.

Świeżo mianowany baron udzielił mi tych objaśnień tonem niemal serdecznym. Był już całkowicie opanowany i swym miękkim krokiem odprowadził mnie aż do drzwi. Podając mi rękę uśmiechnął się melancholijnie:

- Tak, położenie jest okropne. Moja biedna żona będzie w rozpacz. To taka gorąca patriotka. Dziękuję panu, Don George! Ulżyło mi niezmiernie. Ten Ortega jest dość ograniczony i ma przykry charakter. Dziwak, ale uczciwy.

IV

Był to ostatni wieczór karnawału. Te same maski, te same okrzyki, te same roztańczone, oszalałe gromadki poprzebieranych ludzi wirujące po ulicach wśród podmuchów mistralu, który zdawał się miotać nimi jak zwiędłymi liśćmi po tym padole ziemskim, gdzie na każdy przebłysk radości czyha śmierć. Mijało dokładnie dwanaście miesięcy od owego wieczoru, kiedy czułem się zmęczony i osamotniony, ale w zgodzie z całym światem. Tak, to była rocznica - niemal co do dnia. To, co odczuwałem teraz, nie tylko było uczuciem osamotnienia. Czułem się ogołocony, a w tym uczuciu było więcej urazy niż bólu. Miałem wrażenie, że zostałem wyzuty ze wszystkiego, nie z nakazu wyższych wyroków, ale przez podstęp złośliwego losu, i to właśnie w chwili, kiedy świat objawił mej roznamiętnionej wyobraźni cały zasób swego ciepła, blasku i piękna. Tkwiąca we mnie świadomość całkowitej porażki miała przynajmniej tę dobrą stronę, że wprowadziła mnie w stan filozoficznej obojętności na wszystko.

Idąc na dworzec byłem tak nieczuły na podmuchy zimnego wiatru jak człowiek prowadzony na szafot. Opóźnienie pociągu nic mnie mię wzruszało. Zdecydowałem ostatecznie, że napiszę do Dony Rity, a ten «bardzo uczciwy człowiek» zawiezie mój list. Nie będzie mu trudno odnaleźć w Tolosie panią de Lastaola. W Kwaterze Głównej, która jest także rodzajem dworu, musiało brzęczeć jak w ulu od przeróżnych komentarzy na temat jej przybycia. Dona Rita mogła znać osobiście tego «uczciwego człowieka», może nawet był na równi ze mną jej «rekrutem». Mnie zawsze też uważano za dość «uczciwego chłopca» i zapewne też za dość ograniczonego, z chwilą gdy się przekonano, że moje szczęście nie jest niewyczerpane. Miałem nadzieję, że wioząc mój list wysłannik nie zostanie schwytany przez jakichś alfonsowych «guerillasów», którzy by go niezwłocznie rozstrzelali. I dlaczego miałby wpaść? Ja na przykład wyniosłem życie z dużo niebezpieczniejszej imprezy niż przejście granicy przy pomocy zaufanego przewodnika. Wyobrażałem sobie naszego agenta wspinającego się po skalistych zboczach i schodzącego w głąb dzikich wą wozów z moim listem w kieszeni. Miał to być list pożegnalny, taki, jakiego me napisał jeszcze żaden kochanek, jakiego żadna kobieta na świecie nie czytała odkąd miłość poczęła się na ziemi. List godny tej jedynej kobiety.

Natchnienia do tego listu nie zamierzałem czerpać ani ze wspomnień i doświadczeń, ani z martwych tradycji cudzych namiętności i cudzych słów. Ona sama miała być moim jedynym natchnieniem. Po przeczytaniu tego listu ujrzy swój własny obraz jak w zwierciadle

i może wtedy zrozumie, z czym się żegnałem na samym progu życia... Musnął mnie powiew autorskiej próżności. Ten list, tak wzruszający jak jej własne istnienie, miał być czymś jedynym na świecie. Żałowałem, że nie jestem poetą.

Zbudził mnie z tych marzeń głośny tupot nóg i nagły przypływ ludzi do drzwi wiodących z peronu. Od razu dostrzegłem faworyty «uczciwego człowieka», o których mi wspomniał sławetny Komisarz Generalny. W pierwszej chwili nie widziałem nic poza tymi faworytami. Były czarne, przycięte na kształt płetw rekina, a tak cienkie i rzadkie, że najlżejszy powiew wprawiał je w śmieszny niepokój. Ich właściciel miał głowę wsuniętą w ramiona, a gdy cała jego postać wypłynęła z tłumu pasażerów, zauważyłem, że wygląda na jakieś nieszczęsne, roztrzęsione stworzenie. Widać nie spodziewał się, że ktoś wyjdzie na jego spotkanie, bo gdy spytałem go z bliska, pochylając się nad jego uchem: «Senor Ortega»? - odskoczył ode mnie i o mało nie wypuścił z ręki niewielkiej torebki. Cerę miał jednostajnie białą a usta czerwone o przykrym wyrazie. Trudno było określić, do jakiej sfery należy. Ubrany w granatowe, pospolite palto, miał wygląd zupełnie przeciętny, ale te ruchliwe jego faworyty przy mocno czerwonych wargach i podejrzliwe spojrzenie czarnych oczu ściągały na siebie uwagę. To mi się nie podobało, tym bardziej że dostrzegłem jakieś dwa indywidua wyglądające na policjantów ubranych po cywilnemu, które kryły się w kącie wielkiej hali dworcowej i zdawały się nas śledzić. Wsadziłem swego przybysza szybko do dorożki. Był, jak się okazało, w drodze od samego rana, jadąc bocznymi liniami kolejowymi, i skorośmy się trochę zapoznali, przyznał się, że jest bardzo głodny i zziębnięty. Czerwone jego wargi drżały. Widziałem w jego oczach ukrytą, cyniczną ciekawość, ilekroć na mnie spoglądał. Jadąc tak umiarkowanym kłusem, zastanawiałem się, co z nim dalej robić. Wreszcie doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie umieścić go na noc w pracowni. Drugorzędne domy zajezdne bywały właśnie najbardziej strzeżone przez policję, lepsze zaś hotele miały obowiązek legitymowania przyjezdnych gości. Bardzo mi zależało na tym, aby mój pupil nie doznał żadnych przeszkód i mógł dojechać bezpiecznie do Kwatery Głównej.

Na skrzyżowaniu ulic,, gdzie mistral dał najgwałtowniej, czułem, że mój towarzysz cały się trzęsie. Teresa musiała zapewne przed pójściem spać napalić w żelaznym piecyku w pracowni, mimo to zamierzałem wyciągnąć ją z łóżka, by przygotowała gościowi posłanie na kanapie. W służbie dla króla! Muszę zresztą przyznać, że Teresa zawsze była uprzejma i nie robiła trudności, gdy ją o cokolwiek prosiłem. Układałem sobie, że podczas gdy nasz gość będzie spał w pracowni, ja zasiądę na górze w swoim pokoju i będę pisał swój list. Znajdę słowa dość wielkie, by wyrazić ból i namiętność kipiące w moim sercu - słowa te widać mimo woli cisnęły mi się na wargi, gdyż w pewnej chwili mój towarzysz zapytał:

- Co pan mówi?

- Nic - odpowiedziałem zdumiony,

W świetle mijanych latarni ulicznych wyglądał jak uosobienie nieszczęścia; szczekał zębami, a faworyty targane wiatrem zasłaniały mu uszy. Mimo to nie budził we mnie współczucia. Słyszając, że klnie pod nosem po francusku i po hiszpańsku, usiłowałem pocieszyć go zapewnieniem, że to już niedaleko.

- Umieram z głodu - oświadczył cierpko. Uczułem pewną skruchę. Trzeba było przede wszystkim nakarmić nieboraka. Wjeżdżaliśmy właśnie na Cannebiere, a że nie miałem ochoty pokazywać się z nim w wykwintnej restauracji, gdzie każda obca twarz (cóż dopiero taka fizjonomia!) zwracała na siebie uwagę, kazałem dorożkarzowi zatrzymać się przed «Maison Dorè». Ten lokal odwiedzali najrozmaitsi ludzie i wśród tłumu przygodnych gości mój towarzysz mógł ujść niepostrzeżenie.

Na tę ostatnią noc karnawału wszystkie balkony wielkiego domu, w którym mieściła się restauracja, zostały przybrane aż po sam dach rzędami różnokolorowych lampionów. Skierowałem się do wielkiej sali, gdyż wszystkie gabinety od dawna były zamówione. Sala natłoczona była ludźmi w przeróżnych kostiumach, ale szczęście nam sprzyjało i zdobyliśmy mały stolik w samym rogu. Biesiadujący goście zajęci własną zabawą nie zwracali na nas uwagi. Senior Ortega następował mi na pięty, a zasiadłszy naprzeciwko mnie obrzucił rozochoczoną publiczność niechętnym spojrzeniem. Mogło być wówczas około wpół do jedenastej.

Dwa kieliszki wina wypite duszkiem jeden po drugim nie poprawiły mu humoru. Tyle tylko, że przestał się trząść. Podjadłszy sobie, doszedł jednak do wniosku, że nie ma racji dąsać się na mnie, i usiłował być uprzejmy, niemal serdeczny. Ale wyraz goryczy nie schodził z jego ust, szczególnie gdy się uśmiechał. Te usta, w spoczynku, pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu, tylko zbytnia czerwoność nadawała im swoisty charakter. Wszystko w tym człowieku było przesadnie podkreślone: czarność i połysk. włosów, bladość czoła, wreszcie ruchliwość oczu, które wpijały się we mnie tak chciwie, że to stawało się wprost przykre. Zdawał się czyhać na jakieś niebaczone słowo, które podchwyciłby z rozkoszą. Nie miałem pojęcia, kim jest człowiek, który siedzi naprzeciwko mnie, i właściwie nic mnie to nie obchodziło. Zdolność odbierania wrażeń była we mnie przytępiona, a instynkt całkowicie uśpiony. Od czasu do czasu doznawałem pewnego rodzaju halucynacji: jawiła mi się postać kobieca ze złotą strzałą i to wywoływało we mnie na przemian uniesienie i depresję, przed którą szukałem ucieczki w rozmowie. Ale Senior Ortega nie był zajmujący. Zaprzętały go wyłącznie sprawy osobiste. Gdy zapytał mnie z nienacka, czy nie wiem, dlaczego oderwano

go od pracy (skupywał żywność od chłopów w którejś z prowincji środkowej Francji), odpowiedziałem, że nie wiem, jaka była pierwotna przyczyna, ale zdaje mi się, że obecnie baron H. ma zamiar wysłać go jako kuriera do Kwatery Głównej w Tolosie.

Zmierzył mnie wzrokiem bazyliuszka.

- A dlaczego' wysłano pana po mnie na dworzec? - zapytał takim tonem, jakby się z góry spodziewał, że usłyszy kłamliwą odpowiedź.

Wyjaśniłem, że stało się to na życzenie barona, który chciał w ten sposób zapobiec trudnościom, jakie mogłyby wyniknąć z zainteresowania się policji jego osobą.

Ortega źle to przyjął. - Cóż za absurd! - był przecież od szeregu lat urzędnikiem firmy trudniącej się importem, znanej firmy Braci Hernandez w Paryżu i podróżował na ich zlecenie, czego w każdej chwili może dowieść. Zagłębiwszy rękę w boczną kieszeń wyciągnął z niej plik różnych papierów, które jednak natychmiast wsunął tam z powrotem.

Nawet wówczas nie domyślałem się, kogo mam przed sobą, kim jest człowiek pozerający w tej chwili porcję *pâte de fois gros*. Skądże miałem wiedzieć? Ta Rita, której obraz mnie prześladował, nie miała dla mnie historii; stanowiła tylko element życia obciążony fatalizmem. Jej postać była tylko mirażem pożądania, strącającym człowieka powoli i nieuchronnie na dno rozpacz.

Senor Ortega przełknął znów trochę wina, po czym wyraził chęć poznania mego nazwiska.

- Powinienem chyba wiedzieć, z kim przestaję - dodał. Nie mogłem temu zaprzeczyć. Uważałem, że będzie rzeczą najwłaściwszą, jeżeli temu człowiekowi, związanemu z karlistowską organizacją, przedstawię się jako Monsieur George, o którym musiał słyszeć.

Przechylił się przez stół prawie do połowy ciała i wpatrzył się we mnie straszonym wzrokiem. Jego oczy były jak sztylety, które zdawały się chcieć dotrzeć w głąb mego mózgu. Dopiero później zrozumiałem, jak bliski śmierci byłem w owej chwili. Szczęściem noże leżące na obrusie były zwykłymi restauracyjnymi nożami o zaokrąglonych końcach, równie nieszkodliwe jak kawałki połamanej żelaznej obręczy. Może w paroksyzmie wściekłości Ortega zdał sobie jednak z tego sprawę i reszta zdrowego rozumu nakazała mu poniechać zamiaru przebicia mi serca, gdyż z jego strony byłby to tylko odruch, a właściwy jego cel był zupełnie inny. Nie o moje serce mu chodziło. Wprawdzie palce jego błędziły między trzonkami noży leżących obok talerza, ale moją uwagę przykuły przede wszystkim te czerwone usta, na których osiadł w tej chwili dziwny, przebiegły, schlebający uśmiech.

- Czy słyszał o panu Georgu?

- Spodziewam się! Monsieur George! Wódz naczelny wielkiej organizacji przemytu

broni.

- Ach, pan przypisuje mi zbyt wielkie znaczenie - rzekłem. - Osobą odpowiedzialną, którą uważam za szefa całej akcji, jest - jak pan zapewne słyszał - pewna szlachetna i lojalna pani...

- Jestem równie szlachetny jak ona - warknął gniewnie, a ja uświadomiłem sobie od razu, że mam do czynienia ze szkodliwą bestią. - Co zaś do lojalności... Cóż to znaczy być lojalnym? To jest być wiernym. To jest być prawym. Ja zaś wiem, co o niej myśleć.

Udało mi się zachować doskonale obojętny wyraz twarzy. To nie był człowiek, z którym można rozmawiać o Donie Ricie.

- Pan jest Baskijczykiem - rzekłem. Przyznał tonem dość pogardliwym, że jest Baskijczykiem, a mnie nawet i wówczas prawda nie zaświtała w głowie. Przypuszczam, że z podświadomym egoizmem człowieka zakochanego myślałem o sobie, i tylko o sobie w związku z Doną Ritą, nie zaś o niej samej. On widać także. Po chwili odezwał się:

- Jestem człowiekiem wykształconym, ale znam jej rodzinę - to sami chłopię. Jest tam jakaś siostra i wujaszek ksiądz, także chłop, zupełnie ciemny człowiek. Po księdzu wiele nie można się spodziewać, a ten jest całkiem niemożliwy - wyjątkowo tępe bydło. (Jestem oczywiście wolnomyślicielem.) O reszcie jej krewnych, przeważnie nieżyjących, nie warto wspominać. Mieli nawet kawałek ziemi, ale pracowali przeważnie na cudzych folwarkach - ot, bosa hołota, nędzne głodomory! Wiem dobrze, bo jestem z nimi spokrewniony - jakies tam kuzynostwo w dwudziestym stopniu. Tak! Mam zaszczyt być kuzynem tej szlachetnej pani. A czymże ona jest, jeśli nie paryżanką o niezliczonej ilości kochanków, jak mi mówiono?

- Nie zdaje mi się, aby pańskie informacje były ściśle - rzekłem udając, że tłumię ziewanie. - To są uliczne plotki i dziwię się, że pan, który w gruncie rzeczy nic o tym nie wie...

Ale ta odrażająca bestia pogrzyżyła się znowu w ponurej zadumie. Nawet czarne jego faworyty znieruchomiały. Porzuciłem teraz wszelką myśl o przesłaniu przez niego listu. On zaś nagle począł mówić dalej:

- Kobiety są źródłem wszelkiego zła. Nie powinno im się nigdy ufać. Nie mają honoru. Nie mają honoru! - powtórzył uderzając się w piersi zaciśniętą pięścią, z której wystawały bardzo białe knykcie.

- Opuściłem swoją wieś przed wielu laty, jestem bardzo zadowolony ze swego stanowiska i nie widzę powodu zaprzątania sobie głowy tą szlachetną panią. Wyobrażam sobie, że właśnie w ten sposób kobiety robią karierę.

Nabrałem przekonania, że ten człowiek nie jest odpowiedni na kuriera do Kwatery

Główniej. Miałem wrażenie, że nie zasługuje wcale na zaufanie, przy tym nie byłem pewien, czy jest przy zupełnie zdrowych zmysłach. Utwierdziłem się jeszcze w tym przekonaniu, gdy zniemacka, bez związku z dotychczasową rozmową, jakby pod wpływem wewnętrznej udręki wypowiedział słowa: - Byłem kiedyś małym chłopcem... - i zamilkł równie nagle, uśmiechając się. W tym jego uśmiechu było coś przerażającego. Łączył bowiem w sobie złośliwość z bolesnym niepokojem.

- Może pan jeszcze coś zje? - zapytałem.

Odmówił posępnie - jadł już dość. Ale wysączył resztę wina z butelki i przyjął ofiarowane sobie cygaro.

Podczas gdy je zapalał, doznałem niejasnego wrażenia, że nie jest on dla mnie tak zupełnie obcy, jak sądziłem - choć z drugiej strony byłem pewien, że go nigdy w życiu nie widziałem. W następnej chwili wysunął zdumiewające pytanie i czułem, że mógłbym dać mu po łbie, gdyby nie wyglądał tak nieszczęśliwie.

- Czy kochał się pan kiedy w młodości, Senor?

- Co pan chce powiedzieć? - zapytałem. - Ileż lat pan mi daje?

- To prawda - odrzekł spoglądając na mnie takim wzrokiem, jakim patrzeć muszą potępieni, smażący się w kotłach ze smołą, na duszę, która swobodnie przechadza się po miejscu tortur. - To prawda, pan wygląda na człowieka, któremu nic nie dolega.

Przybrał wygodną pozę przerzucając ramię przez poręcz krzesła i wypuszczając dym ze swych skreconych warg, które wyglądały jak krwawiąca rana.

- Niech mi pan powie - rzekł - no, rozumie pan, jak to między mężczyznami... Czy długo ta wielce znakomita osoba - nie wiem, jakie tam imię obecnie przybrała - czy długo była pańską kochanką? Zorientowałem się błyskawicznie, że gdybym uderzeniem na odlew przewrócił go razem z krzesłem, pociągnęłoby to za sobą nieskończone komplikacje, poczynszy od wizyty u dyżurnego komisarza policji, a skończywszy na Bóg wie jakim skandalu i rewelacjach natury politycznej, albowiem nie podobna było przewidzieć, co to niepokromione bydlę może powiedzieć, jak daleko posunąć się w zeznaniach i ilu ludziom nadać niepożądany rozgłos. Palił swoje cygaro z diabelnie drwiącą miną, nie patrząc nawet na mnie. Poza tym trudno rąbnąć po głowie kogoś, kto na nas nie patrzy. Gdy tak siedział, kołysząc nogą, z szyderyczym uśmiechem i kamiennymi oczami, uczułem, że mi go żal. W tym krześle tkwiło jego ciało, co zaś do duszy, było dla mnie oczywiste, że jest nieobecna, że męczy się przez ten czas w jakimś własnym piekle. I w tej samej chwili zabłysło mi w świadomości, kogo mam przed sobą. Tak, to był ten człowiek, którego Dona Rita i Róża tak się obawiały. Nie pozostawało mi nic innego jak otoczyć go czujną opieką w ciągu nocy, a

nazajutrz rano, po porozumieniu się z baronem H., natychmiast wysłać gdziekolwiek, byle nie do Tolosy. Oczywiście nie powinienem spuszczać go z oka.

Zaproponowałem mu głosem spokojnym, że teraz zaprowadzę go do mieszkania, w którym będzie mógł się położyć i wypocząć. Podniósł się żwawo, wziął swoją torebkę podróżną i ruszył naprzód przede mną. Tym, co na niego spoglądali - z wyjątkiem mnie jednego - mógł wydawać się człowiekiem całkiem przeciętnym.

Musiało być wtedy po jedenastej, gdyż w restauracji siedzieliśmy niespełna godzinę. Karnawał zakłócił widocznie normalny porządek nocnych godzin, bo przed «Maison Dorée» nie zastaliśmy zwykłego szeregu dorożek, których zresztą w ogóle nigdzie nie było widać. Być może, że nawet dorożkarze przybrali tej nocy kostiumy pierrotów i łatali w podskokach po mieście pokrzykując na równi z resztą mieszkańców Marsylii.

- Będziemy musieli iść pieszo - rzekłem po chwili.

- Dobrze, chodźmy pieszo - przystał Senor Ortega - inaczej zamarznę.

Wyobrażałem sobie, że całe ciepło zawarte w tym człowieku skupiło mu się w mózgu. Ze mną było odwrotnie. Głowę miałem chłodną, lecz nie zauważyłem, aby noc była rzeczywiście zimna. Szliśmy obok siebie pośpiesznym krokiem. Trzeźwe myśli rodzące się w mej głowie były niejako zagłuszone przez piekielną wrzawę tej uświęconej obyczajem nocy karnawałowej. Od tej pory wiele słyszałem hałasów, ale nigdy tak żywo nie wyczuwałem dzikich instynktów drzemających w sercach ludzi. Ta pozornie wesoła wrzawa nasuwała myśl o nieuleczalnym smutku ludzkiej doli, o dzikości żądzy, o szale morderstwa, o straszliwym lęku. A przecież ci ludzie byli przekonani, że się bawią jak najlepiej, zgodnie z tradycją, z sumieniem, z odwiecznym obyczajem.

Nasz wygląd zewnętrzny i spokojny, równy chód ludzi trzeźwych ściągały na nas uwagę. Parę razy gromadki masek, w porywie wspólnego podniecenia, okręzały nas i tańczyły wokoło wydając drwiące okrzyki, stanowiliśmy bowiem rażący dysonans w tym środowisku nie biorąc udziału w powszechnej zabawie - poza tym byliśmy najoczywiściej bezbronni i samotni. Nie pozostawało w tych wypadkach nic innego jak zatrzymać się i spokojnie przeczekać, aż się tańcząca gromada rozproszy. Ale mój towarzysz tupął nogami z wściekłością, ja zaś, muszę przyznać, żałowałem, że nie zaopatrzyliśmy się w tekturowe nosy, które mogły być rozbroić słuszną niechęć tych ludzi. Można było również przyłączyć się do tańczących, ale nie wpadliśmy na ten pomysł, i raz doleciał mnie wysoki, ostry głos kobiecy, piętnujący nas okrzykiem: «Purchawy nadęte!» (*espèce d'enflés*). Posuwaliśmy się dalej j statecznie, mój towarzysz mruczał coś wściekły pod nosem, ja zaś wróciłem do swych rozmyślań. Byłem głęboko przekonany, iż człowiek idący obok mnie jest ofiarą obłędu, i to

zupełnie innego niż obłęd karnawałowy, który objawia się tylko raz do roku w określonym dniu. On był obłąkany od podstaw, chociaż może nie całkowicie, co czyniło go istotą nie tyle niebezpieczną, co kłopotliwą i dokuczliwą.

Przypomniał mi się pewien młody lekarz, który twierdził, że większość katastrof rodzinnych, niezrozumiałych wydarzeń w życiu publicznym i klęsk w życiu prywatnym wynika z tego, że po świecie chodzi mnóstwo ludzi półobłąkanych. Zapewniał nawet, że stanowią ilościową większość. Zapytany, czy sam do ich rzędu się zalicza, odpowiedział szczerze, że nie - o ile wypowiedzianie tego rodzaju zapatrywań w towarzystwie niezdolnym do zrozumienia całej ich grozy nie jest pierwszym objawem choroby, która i jego czeka. Zakrzyczeliśmy go wraz z jego teorią, niewątpliwie jednak zmroziło to wesoły nastrój zebrania.

Dotarliśmy wreszcie do spokojniejszej dzielnicy i Senor Ortega przestał mruczeć pod nosem. Co do mnie, nie miałem najmniejszej wątpliwości, że jestem przy zdrowych zmysłach. Dowodem tego był sposób, w jaki teraz pracował mój umysł chcąc rozwiązać problem, co należy dalej robić z Senorem Ortega.

Zasadniczo nie podobna było powierzyć mu żadnej misji. Chwiejność charakteru naraziłaby go z pewnością na jakieś kłopoty. Zawieszenie listu do Kwatery Głównej oczywiście nie było rzeczą skomplikowaną i tego rodzaju funkcję można by niemal powierzyć odpowiednio wytresowanemu psu. Co się zaś tyczy mojego pożegnalnego listu do Dony Rity, tego cudownego listu, jedyne w świecie - to na razie poniechałem całkowicie tej myśli. Sprawę Ortegi ujmowałem przede wszystkim z jednego punktu widzenia: bezpieczeństwa Rity. Jej obraz przewodził moim myślom, moim wątpliwościom i panował nad wszystkimi moimi władzami. Unosił się przed moimi oczami, potęrał o mój łokieć, zachodził od prawej strony, od lewej strony; uszy moje słyszały szmer jej kroków za sobą, nozdrza chwytaly delikatną woń perfum, odczuwałem tchnienie ciepła i leciutkie muśnięcie jej włosów. Przenikała mnie na wskroś. Głowę miałem pełną jej - jej i tylko jej. «I on także» - pomyślałem nagle, rzucając spojrzenie spod oka na mego towarzysza. Szedł krokiem spokojnym, z głową wsuniętą w ramiona i sądząc z wyglądu, wydawał się być uosobieniem przeciętności.

Tak! Istniało między nami najokropniejsze koleżeństwo - ta sama przyczyna leżała u podstaw jego obłąkanych tortur i wzniosłych cierpień moich namiętności. Nie byliśmy z sobą nawet kwadransa, kiedy postać tej kobiety wyłoniła się z siłą fatalizmu i stanęła między mną i tym nieszczęsnym łotrem. Ten sam obraz prześladował nas obu. Ale ja byłem przytomny! Byłem przytomny! Nie tylko dlatego, że nie chciałem dopuścić do wyjazdu Ortegi do Tolosy,

ale że zdawałem sobie jasno sprawę, jak trudno będzie temu wyjazdowi zapobiec, z chwilą gdy decyzja zależała wyłącznie od barona H.

Gdybym stanął przed nim jutro rano i oświadczył temu opasłemu tetrykowi: «Panie! ten pański Ortega to wariat» - pomyślałby niezawodnie, że ja sam jestem wariatem, przeląkłby się okropnie i... nie wiadomo, jakby ze mną postąpił. Prawdopodobnie odsunąłby mnie od wszystkiego. Ja zaś nie mogłem dopuścić do spotkania tego człowieka z Ritą, gdyż on niewątpliwie ją prześladował, napełniał niepokojem, a nawet trwogą, i na jej życiu zaciążył w sposób szkodliwy, destrukcyjny - choć to się wydawało rzeczą na pozór niewiarogodną. Nie mogłem dopuścić, aby nadal ją dręczył, aby zmusił ją do opuszczenia miejscowości, w której chciała (z jakichkolwiek powodów) przebywać, wreszcie, by stał się przyczyną jakiegoś głośnego skandalu.

A Róża, jak się zdawało, obawiała się rzeczy nawet gorszej od skandalu... Gdybym jednak otwarcie przedłożył to wszystko baronowi H., ucieszyłbym go serdecznie. Nic nie mogło sprawić mu większej przyjemności jak konieczność wyjazdu Dony Rity z Tolosy. Cóż by to była za ulga dla niego i dla jego żony! Gdybym zaś chciał posunąć się dalej i napomknął o obawach, których Róża nie umiała przede mną ukryć, to ten usłużny mąż (myślałem sobie, odrzucając z zimnym stoicyzmem wiarę w ludzką prawość) mógłby po prostu pozostawić wolną rękę swemu złowrogiemu wysłannikowi... i przyczyna niepokoju zostałaby raz na zawsze usunięta. Okropne? Tak, okropne! Takiego ryzyka nie wolno mi było brać na siebie. W przeciągu ostatnich dwunastu miesięcy posunąłem się bardzo daleko w nieufności do ludzi.

Idąc naprzód spokojnym krokiem, rozmyślałem, w jaki sposób go zatrzymać. Gdyby się to wydarzyło miesiąc temu, kiedy miałem odpowiednie możliwości i wiernego Dominika pod ręką, byłbym po prostu uprowadził tego człowieka. Przejazdźka po morzu nie zaszkodziłaby Senorowi Ortega, mimo że przyprawiłaby go o trwogę. Ale teraz nie byłoby to możliwe. Nie wiedziałem nawet, gdzie się Ukrywa mój biedny Dominik umniejszony we własnym mniemaniu o całą głowę.

Znowu spojrzałem z boku na mego towarzysza. Byłem od niego wyższy i w świetle ulicznej latarni dostrzegłem jego wzrok utkwiony we mnie z wyrazem nieopisanej męki. Zdawało mi się, że widzę duszę tego człowieka wijącą się w jego ciele jak robak na szpilce. Pomimo zupełnego jeszcze niedoświadczenia domyślałem się, jakie obrazy powstają w jego mózgu, gdy patrzy na człowieka, który pozostawał w stosunkach z Doną Ritą. Mogło to wywołać w każdym odruch współczucia, aczkolwiek połączony z odrazą, ja jednak litowałem się nie nad nim, ale nad Doną Ritą. Jej jednej współczułem. Myśl, że jest tropiona przez to przekłete indywiduum, napełniała mnie czułością dla niej, a zarazem oburzeniem, jakby to

było czymś, co jednocześnie zagraża i poniża.

Nie twierdę, aby te myśli, przelatujące mi przez głowę, były całkiem świadome. Wytwarzały tylko pewien trwały stan uczuciowy. Aż nagle jedna myśl wybiła się ponad inne. Stało się to niespodzianie. Uświadomiłem sobie: «Trzeba więc zabić tę bestię!»

Zdało mi się podówczas, że innego wyjścia nie ma. Nie mogłem się przecież wahać między nim a Doną Ritą. Zdaje mi się, że roześmiałem się z rozpacz. Nagłość tej złowrogiej decyzji miała w sobie coś niewiarogodnego. Osłabiła napięcie moich władz umysłowych. Przyszło mi na myśl łacińskie powiedzenie, według którego człowiek z łatwością zsuwa się ku przepaści. Podziwiałem słusność tej maksymy i to, że mi się tak w porę przypomniała. Dziś myślę, że lekka pochyłość ulicy Konsulów, położonej na zboczu, wywołała ją w mojej pamięci. Skręciliśmy właśnie w tę uliczkę. Wszystkie domy były ciemne, a w perspektywie całkowitej pustki nasze dwa cienie chwiały się i kręciły dokoła naszych nóg.

- Jesteśmy na miejscu - rzekłem.

Mój nieszczęsny towarzysz musiał być niezwykle wrażliwy na chłód. Gdy przystanęliśmy, słyszałem wyraźnie, jak szczekał zębami. Nie umiem powiedzieć co się ze mną działo; nerwy odmówiły mi posłuszeństwa i nie mogłem znaleźć nie tylko klucza, ale i kieszeni. Zdawało mi się, że widzę na ścianie domu wąską smugę światła, jak gdyby się przedostawała przez szczelinę w murze.

Senor Ortega czekał spokojnie z torbą w ręku, podobny do ocalonego rozbitka.

- Pan mieszka w tym domu; nieprawda? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałem bez wahania. Nie wiadomo, jakby się ten człowiek zachował, gdyby wiedział, że przebywam pod tym samym dachem. Był przecież na wpół obłąkany. Mogła mu przyjść ochota rozmawiania ze mną przez całą noc, mógł także wtargnąć do mego pokoju. Co można było wiedzieć? Zresztą sam nie byłem pewien, czy pozostanę w domu, czy też będę się przechadzał po ulicy Konsulów do samego rana.

- Nie. Jeden nieobecny przyjaciel upoważnił mnie... Pozostawił klucz... Gdzież on się podział? O, jest nareszcie.

Wpuściłem gościa pierwszego. Wąty płomyk gazu płonął wytrwale, jakby czekając na koniec świata, który by go wreszcie wykończył. Zdawało mi się, że widok czarno-białej sieni zdumiał Ortegę. Zamknąłem cichutko drzwi wchodowe i stałem przez chwilę nasłuchując, podczas gdy on rozglądał się ukradkiem. Z tej sieni wychodziło tylko dwoje drzwi, po prawej i po lewej stronie. Mahoniowe tafle na tych drzwiach miały pośrodku ozdoby odlane z brązu. Drzwi z lewej strony prowadziły do dawnych apartamentów Blunta. Ponieważ korytarz wiodący w głąb domu był nieoświetlony, wziąłem Senora Ortegę pod rękę

i prowadziłem go bezwolnego jak dziecko. Z niewiadomych przyczyn szedłem po cichu, na palcach, a on zachował się tak samo za moim przykładem. Światło i ciepło pracowni sprawiło na nim dobre wrażenie; położył swoją torbę, zatarł ręce i uśmiechnął się z zadowolenia, ale był to wymuszony uśmiech człowieka albo całkowicie zrujnowanego, albo skazanego na niedługi żywot. Zachęcałem go, aby się rozgościł jak we własnym domu, obiecując, że zaraz odnajdę gospodynię, która mu przygotuje pościel na dużej kanapie. Zdawał się ledwo słyszeć, co do niego mówię. Cóż go to wszystko mogło obchodzić? Wszak wiedział, że jego przeznaczeniem jest spać na łożu najeżonym cierniami i żywić się jadem zmij. Czuł się jednak w obowiązku okazać uprzejme zainteresowanie tym, co go otaczało.

- Co to za pokój? - zapytał.

- Mieszkał tu pewien malarz - odburknąłem.

- Aha, ten pański nieobecny przyjaciel - rzekł wykrzywiając usta. - Nienawidzę tych wszystkich artystów, pisarzy i polityków, którzy są w gruncie rzeczy złodziejami. Posunę się nawet dalej, przeklinając tych beczynnych gachów, co się uganiają za kobietami. Pan może myśli, że jestem monarchistą? Nie! Gdyby istniała jakaś istota w niebie albo w piekle, do której by się można było modlić, to modliłbym się o rewolucję - o krwawą rewolucję - i to wszędzie, wszędzie!

- Pan mnie zadziwia - rzekłem, aby coś powiedzieć.

- Nie. Jest na świecie z pół tuzina takich ludzi, z którymi bym chciał załatwić porachunki. Można by ich wtedy powystrzelać bez pytania, jak kuropatwy. Taką rewolucję bym rozumiał.

- Jest to niezwykle proste ujmowanie sprawy - rzekłem. - Wyobrażam sobie, że pan nie jest jedynym, który wyznaje podobne zasady - ale teraz, doprawdy, muszę pomyśleć o urządzeniu dla pana wygodnego noclegu. Proszę nie zapominać, że jutro wczesnym rankiem musimy stawić się u barona H. Mówiąc to spokojnie wyszedłem na korytarz zastanawiając się, w której części domu Teresa obrała sobie tej nocy legowisko. Ale zaledwie doszedłem do schodów, ujrzałem ją niespodzianie, zstępującą po stopniach w nocnej koszuli krokiem lunatyczki. Musiała jednak być zupełnie przytomna, bo nim zdążyłem się odezwać, zniknęła bezszelestnie w korytarzu na piętrze jak smuga białej mgły. Jej strój dowodził, że nie słyszała nas wchodzących - przeciwnie, musiała być przekonana, że dom jest zupełnie pusty, wiedząc równie dobrze jak ja, że włoskie tancerki miały wprost z opery udać się na bal maskowy. Tym razem dla własnej przyjemności, oczywiście pod eskortą sumiennego ojca. Tym bardziej nie mogłem zrozumieć, co za nagła podnieta, zamysł czy potrzeba wyгнаły ją z łóżka o tej godzinie.

Nie wołałem na nią w przekonaniu, że sama powróci. Powoli wchodziłem na pierwsze piętro i rzeczywiście spotkałem ją już schodzącą ze świecą w ręku.

Potrafiła przyodziać się w niezwykle szybkim tempie.

- Ach, mój drogi panie, jakże się pana przelekkłam!

- Tak. A ja o mało także nie zemdlałem - rzekłem. - Pani wyglądała wprost okropnie. Co pani się stało? Czy pani jest chora?

Zapaliła przez ten czas gazowy płomyk nad schodami i muszę powiedzieć, że takiej twarzy nigdy jeszcze u niej nie widziałem. Kręciła się zmieszana odwracając oczy, ja jednak przypisywałem to jej zachowanie obrażonej pruderii i nie przejmując się stanem jej uczuć powiedziałem tylko, że w pracowni znajduje się pewien karlista, któremu trzeba przygotować nocleg. Zupełnie niespodzianie okazała śmieszoną konsternację, ale trwało to zaledwie chwilę, po czym zaproponowała, by temu panu udzielić gościny na górze, w mojej ubiera Ini, gdzie znajduje się łóżko polowe.

- Nie - rzekłem. - Będzie nocował w pracowni, tam gdzie teraz siedzi. Tam przynajmniej jest ciepło. I niech pani pamięta! Pod żadnym pozorem nie wolno mi powiedzieć, że mieszkam w tym domu. Właściwie nie jestem pewien, czy będę tu dziś nocował, mam pewne sprawy do załatwienia jeszcze tej nocy. Rano przygotuje mi pani kawę, a przed dziesiątą zabiorę go stąd.

Wydawało się, że wszystko robi na niej większe wrażenie, niż się spodziewałem. Przybrała teraz świątobliwy, pozornie oderwany wyraz twarzy, który pojawiał się u niej, ilekroć była zaintrygowana lub czymś poruszona.

- Ten kochany pan to zapewne pański przyjaciel?

- Wiem tylko, że jest Hiszpanem i że służy karlistom - odrzekłem. - To powinno pani wystarczyć.

Zamiast zwykłych entuzjastycznych wykrzykników, wymamrotała tylko: «0 Boże mój, Boże!» i pośpieszyła ze świecą na górę w poszukiwaniu kołdry i poduszek. Ja zaś wolnym krokiem skierowałem się w stronę pracowni. Miałem dziwne uczucie, że działałem w sposób z góry przesądzony, że życie jest czymś zgoła innym, niż przypuszczałem, albo też, że ja sam zmieniłem się całkowicie przez ten jeden dzień, że nie jestem tym samym człowiekiem, który dziś rano wstał z łóżka w pokoju na pierwszym piętrze. Moje uczucia także zmieniły swą wartość. Nawet wypowiedane słowa brzmiały dziwnie. Tylko otoczenie, martwe przedmioty pozostały tym, czym były dawniej. Na przykład pracownia...

Podczas mej nieobecności Senior Ortega zrzucił marynarkę. Zastałem go siedzącego w kamizelce na krześle, które wyciągnął na sam środek pokoju. Opanowałem śmieszoną chęć

obejścia krzesła dookoła i przyjrzenia mu się ze wszystkich stron. Nie było w tym jego wyglądzie nic szczególnego, nic upiornego ani przerażającego martwością. Wrażenie to nie rozwiało się nawet wtedy, gdy podniósł na mnie swe podejrzliwe, czarne oczy, które zresztą natychmiast opuścił. Był to odruch jakby machinalny. Postanowiłem nie zajmować się dłużej jego osobą. Z niepokojem zacząłem myśleć o sobie samym, o tym, że pora się wycofać, zanim jakieś nowe, dziwaczne wyobrażenia nie zrodzą się w mojej głowie. Zabawiłem więc w pracowni nie dłużej, niż było potrzeba na oznajmienie mu, że gospodyni zaraz przyniesie mu pościel, po czym życzyłem mu dobrej nocy. Słowa moje wydały mi się najdziwniejszym przemówieniem, z jakim można się było zwrócić do tego rodzaju figury. On jednak nie wyglądał ani na zdziwionego, ani na poruszonego i wyrzekł tylko: - Dziękuję.

W najciemniejszej części długiego korytarza spotkałem Teresę dźwigającą naręcz koców i poduszek.

V

Wychodząc z jasno oświetlonej pracowni nie mogłem dokładnie przyjrzeć się Teresie - natomiast ona po dłuższym szperaniu w szafach musiała mieć źrenice dość oswojone z mrokiem, by dostrzec, że mam kapelusz na głowie. Ten szczegół posiadał znaczenie, gdyż po tym, co jej powiedziałem na górze, utwierdziło ją to w przekonaniu, że wychodzę z domu na jakąś nocną wyprawę. Minałem ją bez słowa i usłyszałem za sobą niespodzianie głośne trzaśnięcie drzwi od pracowni. Wydaje się, że w tych okolicznościach mogłem być zawrócić i bez skrupułu podsłuchać pode drzwiami, co się tam dzieje. Ale prawdę mówiąc, związek wydarzeń nie przedstawiał się wtedy dla mego umysłu tak jasno, jak się może dziś przedstawiać czytelnikowi. Nie zdawałem sobie dokładnie sprawy z wzajemnych stosunków osób wchodzących w grę. Poza tym podsłuchiwanie pod drzwiami bez wyraźnego powodu byłoby pospolitą bezmyślną ciekawością, która nie leżała w moim charakterze. Nie miałem też żadnego planu działania. Przemykałem się pomiędzy ślepą ścianą i czarno-białą klatką schodową tak cicho, jak gdyby w domu znajdowała się jakaś śmiertelnie chora osoba. Jedynym zaś człowiekiem, który by mógł odpowiadać temu określeniu, był Senior Ortega.

Posuwałem się ukradkiem, pochłonięty myślami, niezdecydowany, zadając sobie poważnie pytanie:

- Cóż ja mam z nim zrobić, u kaduka? Skupienie wszystkich moich władz umysłowych na tym jednym zagadnieniu stanowiło dla Senora Ortegi podobne niebezpieczeństwo, jak powiedzmy - tyfus. To porównanie wydawało mi się właściwe. Ludzie wychodzą wprawdzie z tyfusu, ale zdarza się to stosunkowo rzadko. Wypadek Ortegi był analogiczny. Jego szansę były niewielkie, aczkolwiek nie czułem do niego nienawiści, podobnie jak złośliwa choroba nie ma animozji do swej ofiary. Nie mógł mi nic zarzucić - po prostu natknął się na mnie przypadkiem jak człowiek, który nieświadomie przestępuje próg zakażonego domu. Teraz był chory, bardzo ciężko chory. Określonych zamiarów względem niego nie miałem, czułem tylko, że Senior Ortega jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Mam wrażenie, że najodważniejsi ludzie (a nie mam pretensji zaliczania się do nich) muszą czasami wzdragać się przed logicznym tokiem myśli. Tylko diabeł, jak powiadają, kocha się w logice. Ja zaś nie byłem diabłem.

Moja inteligencja abdykowała wobec tego problemu, a raczej ten problem obezwładniał ją i w połączeniu z przesadnym lękiem zapanował nad' moim umysłem. Zdawało mi się, że jakiś straszliwy nakaz powstaje w najgłębszym mroku mojej duszy.

Szaleństwo tego karlisty o duszy jakobina, nieczne obawy barona H., tego świetnego dostawcy armii, zetknięcie się z sobą tych dwóch tępych łbów - wreszcie moje uczucie dla Rity wplątane w to wszystko na skutek klęski poniesionej na morzu - wszystko to razem przejmowało mnie dreszczem zgrozy, nie tyle na myśl o wystawieniu się na niebezpieczeństwo, ile na myśl o powzięciu decyzji. Moja to bowiem miłość powołana tu była do działania - nic więcej. Wiadomo zaś, że miłość, która odtrąca wszelkie hamulce narzucone przez zasady, wszelką troskę o własne bezpieczeństwo i cały nędzny wysiłek panowania nad sobą - że ta miłość stoi mimo to zawsze na realnym gruncie i podsuwa zadziwiająco praktyczne rozwiązania. Uczyniłem teraz odkrycie, że mimo przeżytych cierpień i na przekór wyobrażeniu, iż wyrzekłem się Rity, nie straciłem właściwie nigdy nadziei odzyskania jej.

Tratowana, wyrywam z korzeniami, targania na strzepy nadzieja ta żyła we mnie, zatajona, nienaruszona, niezwalczona. Wobec grozy położenia ocknęła się natychmiast, pełna życia - nieśmiertelne dziecię nieśmiertelnej miłości. To, co mnie teraz pobudzało, niezależne było od współczucia czy honoru - był to nakaz miłości wyższej ponad wszystko, pozbawionej skrupułów, praktycznej w dążeniu do celu, była to trzeźwa myśl, że żadnej kobiety nie można uważać za straconą, dopóki nie umarła.

Ta myśl usunęła w tej chwili na bok wszelkie refleksje na temat sposobu działania, ryzyka i trudności. Nadmierne jej napięcie pozbawiło ją kierunku, mnie zaś, kroczącemu po czarno-białej posadzce hallu, dawało poczucie, że jestem wrakiem unoszonym przez spokojną wodę. Nie było to właściwie mówiąc niezdecydowanie. Raczej niepewność, jak postąpić w następnej chwili, i to w rzeczy stosunkowo mniej ważnej, mianowicie, jak spędzić resztę tej nocy. Nie wybiegałem myślą dalej dla wielu przyczyn natury mniej lub więcej optymistycznej. Główną jednak przyczyną był absolutny brak we mnie popędu do męzobójstwa. Pożądanie mordu tkwiło nie w moim sercu, tylko w tym nieszczęsnym człowieku zamkniętym obecnie w pracowni, w tym potencjalnym jakobinie, wzorowym dostawcy produktów i urzędniku firmy Braci Hernandez; w tym zawistnym łotrze o plugawej wyobraźni i plugawym języku - którego zazdrość przyprawiała o szaleństwo. Myślałem o nim. bez współczucia, ale i bez pogardy. Zastanawiałem się nad tym, że nie mam sposobu przesłania Donie Ricie ostrzeżenia do Tolosy, gdyż oczywiście komunikacja z Kwaterą Główną nie istniała. A gdyby nawet takie ostrzeżenie doszło, czy ona uwierzyłaby od razu, czy wiedziałaby, jak postąpić? Jaki był sposób narzucenia innej osobie tej pewności, która powstała w mym umyśle - pewności tym silniejszej, że nie popartej żadnymi dowodami?

Ostatnie słowa, rzucone w oburzeniu przez Różę, brzmiały mi w uszach: «Madame nie

ma przyjaciół! Ani jednego!» - i ujrzałem Donę Ritę całkowicie osamotnioną, osaczoną przez intrygantów, otoczoną wilczymi dołami. Największe niebezpieczeństwo tkwiło w niej samej, w jej wspaniałomyślności, w jej obawach, a także w jej zuchwalstwie. Pierwszą i nieodzowną rzeczą było zapobiec wyjazdowi tego nędznika.

Uświadomiłem sobie w tej chwili moją wielką nieufność do Teresy. Nie chciałem,, aby zastała mnie w hallu, a jednocześnie wzdrgałem się przed pójściem do siebie na górę, bo - nie wiadomo dlaczego - wydało mi się, że będę tam zanadto na uboczu. Pozostawała jeszcze możliwość spędzenia całej nocy na czatach, pod ciemną ścianą domu, ale ta perspektywa nie była zachęcająca. Przyszło mi wtedy na myśl, że dawny pokój Blunta byłby najwłaściwszą strażnicą. Znałem ten apartament. Kiedy przed laty Henryk Allègre oddał ten dom Ricie (na długo przed sporządzeniem testamentu) i zamierzał go całkiem przerobić, ten pokój przeznaczal na salon. Meble wykonane na zamówienie Allègre'a pokryte były piękną materią jego pomysłu, matowozłocistą, przetykaną bladoniebieskimi arabeskami. Na oparciach krzeseł i kanap oraz na ciężkich zasłonach sięgających od sufitu do podłogi wyobrażone były medaliony z monogramem Rity. Z tego też czasu pochodziły drzwi z hebanu wykładane ozdobami z brązu, srebrna statuetka w klatce schodowej i balustrada z kutego żelaza, biegnąca wzdłuż marmurowych schodów aż na górę z tymże dekoracyjnym monogramem wplecionym w zawile ornamenty. Prace zostały później wstrzymane i dom uległ zaniedbaniu. Kiedy Rita oddała go na użytek karlistów, do salonu wstawiono łóżko - łóżko i nic więcej. Pokój, przylegający do tego złotego salonu, był za młodych lat Allègre'a salą fechtunkową, w której mieściła się wanna i przyrządy do natrysków i prysznicu. Był to ogromny pokój oświetlony z góry - jedna z jego ścian była ozdobiona trofeami wszelkiego rodzaju, iście wyszukaną kolekcją chłodnej stali na tle indyjskich mat i dywanów. Blunt używał tej komnaty jako ubieralni. Wąskie drzwiczki łączyły ją z sąsiednią pracownią.

Pozostawało mi tylko uczynić jeden krok i sięgnąć ręką, by ująć za klamkę wspaniałych hebanowych drzwi. Nie było czasu do stracenia. Nie chciałem się natknąć na Teresę. Nacisnąłem klamkę drżąc z obawy, że przy mym braku szczęścia drzwi mogą być zamknięte na klucz. Ale się otworzyły. W przeciwieństwie do ciemnej sieni pokój oświetlony był *à giorno* - rzecz zgoła nieoczekiwana. Żaden głos nie dochodził z głębi, ale mnie nic nie było w stanie zatrzymać. Gdy się odwróciłem, by cichutko zamknąć drzwi, dostrzegłem kobiecą suknię na krześle i porozrzucane tu i tam przybory toaletowe. Mahoniowe łóżko z zarzuconym na nie kawałkiem jasnego jedwabiu (który Teresa skądś wyciągnęła i używała jako kapy) uderzało oczy wspaniałym połączeniem barw, białej i szkarłatnej w obramieniu lśniącej powierzchni ciemnego drzewa. Cały pokój robił wrażenie przepychu dzięki

marmurowym konsolom, złożonym rzeźbom, podłużnym zwierciadłom i przepysznemu żyrandolowi weneckiemu, który zwisał z sufitu na kształt zamrzętego wodospadu. W lodowych soplach żyrandola rozpalaly się iskierki od światła świec umieszczonych w ośmioramiennym kandelabrze, który stał, na stoliczku u wezglowia kanapy. Ta ostatnia przysunięta była teraz do kominka.

Nieuchwytna woń dobrze mi znanych perfum przyprawiła mnie o taki zawrót głowy, że uchwyciłem się poręczy najbliższego mebla. Marmury i zwierciadła, rzeźby i kryształy zawirowały w mych oczach w złotej mgle obić i draperii dokoła jednej, bardzo widocznej pary czarnych pończoszek porzuconych na stołku od fortepianu. Ten tylko stołek był dla mnie jedynym w pokoju nieruchomym przedmiotem.

Wokół panowała głucha cisza. Wkroczyłem w zaczarowaną krainę. Nagle odezwał się głos, wyraźny, spokojny, lecz zdradzający wielkie znużenie i nieskończenie wzruszający:

- Czy nie dość dręczyłaś mnie dzisiaj? - mówił ten głos...

Głowa moja siedziała już mocno na karku, ale serce poczęło bić gwałtownie. Słuchałem do końca nie ruszając się z miejsca.

- Czyż nie możesz zdobyć się na to, aby przynajmniej tej nocy zostawić mnie w spokoju?

Przenikający akcent tego głosu, którego przez wiele, wiele dni nie słyszałem, sprawił, że oczy nabiegły mi łzami. Osobę mówiącą oddzielało ode mnie wysokie oparcie kanapy. Łatwo odgadłem, że przemówienie to skierowane było do niegodziwej Teresy. Wypowiadane żale były uzasadnione - czyż nie ja bowiem zawróciłem Teresę, pobożną, a nienasyconą Teresę, w chwili gdy schodziła ze schodów w nocnej koszuli z zamiarem dręczenia siostry? Samo zdumienie wywołane obecnością Rity w tym domu wystarczyłoby, aby mnie obezwładnić. Przede wszystkim wpłynęło na mnie uczucie niewysłowionej ulgi, uczucie bezpieczeństwa dla niej, bezpieczeństwa dla siebie. Nie zadałem sobie nawet pytania, skąd Rita znalazła się tutaj. Wystarczyło mi, że nie znajduje się w Tolosie. Gotów byłem uśmiechnąć się do tej myśli, że jedyne moje zadanie - to przyśpieszyć wyjazd tego ohydneho maniaka właśnie do Tolosy. Zadanie łatwe - właściwie żadne! Tak, mógłbym się być uśmiechnąć, gdybym się nie czuł znieważony faktem, że Senor Ortega przebywa pod jednym dachem z Dona Ritą. W tym było coś obmierzłego, coś, co wywoływało moralny bunt. Najchętniej byłbym wtargnął do pracowni i wyrzucił go na ulicę. Ale tego nie mogłem uczynić z wielu względów. Jednym z nich była litość. Poczulem się nagle pogodzony z całą ludzkością, z całą przyrodą. Nie byłbym w stanie zabić muchy. Intensywność moich uczuć zamykała mi usta. Z bojaźliwą radością w sercu obszedłem kanapę nie mówiąc ani słowa.

W dużym kominku żarzyły się głównie mocnym, czerwonym blaskiem, a Dona Rita, wsparta na boku i odwrócona od ognia, leżała owinięta w skóry jakiegoś zwierzęcia, podobna do młodego wodza dzikich plemion spoczywającego przy obozowym ognisku. Nie podnosiła oczu, miałem więc sposobność przyglądania się jej w milczeniu. Zapatrzyłem się w tę młodzieńczą głowę, która miała w sobie coś męskiego, a jednocześnie była tajemniczo kobieca przez moc swego powabu i nieskończenie słodka w zarysie, niemal dziecięca przez swą świeżość, a porywająca przez swój doskonały kształt. Ta cenna głowa spoczywała na dłoni Rity, a twarz jej była lekko zaróżowiona (może od gniewu). Oczy jej wpatrywały się uporczywie w stronicę książki, którą trzymała w drugiej ręce. Skorzystałem z tego, by swe nieskończone uwielbienie złożyć u jej stóp, których białe podbicie odcinało się od ciemnego futerka niebieskich, pikowanych pantofli naszywanych perełkami. Nie widziałem ich przedtem nigdy (mówię o pantofelkach) ani też połysku białego podbicia stopy. Ogarnęło mnie uczucie głębokiego uspokojenia, jakby przedsmak ery szczęśliwości, która musi zawierać w sobie spokój, gdyż inaczej nie byłaby wieczna. Nigdy nie zaznałem podobnego spokoju. Nie był to już ziemski spokój. Posunąłem się znacznie dalej. Osiągnąłem, zda się, najwyższą mądrość, która przerasta wszelkie marzenia i wszelką namiętność. Rita była tym, przed czym dusza zatracą się w kontemplacji - na wieczność całą.

Niezmacona cisza i milczenie sprawiły, że podniosła wreszcie oczy, niechętnie, z wyrazem ostrym i jakby przygotowanym do walki - wyrazem, którego nigdy u niej nie widziałem. Nic dziwnego! To spojrzenie przeznaczone było dla Teresy i oznaczało pozycję obronną. Przez chwilę pozostało niezmienione, po czym wyraz jego nagle skamieniał. Takiego wzroku także u niej nie znałem. Rita pragnęła jak nigdy, aby ją pozostawiono w spokoju. W życiu nie doznała takiego zdumienia. Przybyła wieczornym ekspresem na dwie godziny przed Senorem Ortega. Ledwo zajechała do tego domu i posiliła się nieco - stała się bezbronną ofiarą swej siostry, która pochlebstwem i wymówkami, łaszeniem się i groźbą potrafiła ją doprowadzić do rozpacz. Korzystając z tak nieoczekiwanej sposobności Teresa rozwinęła przed nią oszalałającą różnorodność uczuć. Na przemian objawiały się: chciwość, cnota, pobożność, pokora i udana czułość, a przez cały ten czas - co było charakterystyczne dla Teresy - krzątała się wokół Rity rozpakowując jej rzeczy, przygotowując dla niej posłanie i rozczesując włosy grzesznicy, przy czym od czasu do czasu rzucała się do całowania jej rąk, bądź przemocą, bądź ukradkiem. Po tym wszystkim zaś, spokojnie wycofała się z pola walki, nie pokonana i jeszcze wyzywająca, rzucając na odchodnym bezczelne pytanie: «Powiedz mi Rito, czy sporządziłaś testament?» Na co nieszczęsna Rita, w której duch opozycji rozpętał się do najwyższego stopnia, odpowiedziała: «Nie - i nie mam zamiaru tym się zajmować» -

będąc przekonana, że jej siostrze zależy na testamencie. Tymczasem Teresie musiało zależeć jedynie na uzyskaniu informacji.

Zanadto wzburzona i obawiając się bezsennej nocy Rita nie miała odwagi położyć się do łóżka. Postanowiła pozostać przed kominkiem i, uspokoić się czytaniem. Z braku szlafroka włożyła na nocną koszulę długie futro, dorzuciła parę szczap do ognia i wyciągnęła się na kanapie. Nie dochodził ją żaden odgłos, dopóki nie usłyszała mego bardzo cichego zamknięcia drzwi. Ponieważ jedną z właściwości Teresy była umiejętność bezszelestnego poruszania się po domu, znękana spadkobierczyni milionów Allègre'a sądziła, że to znów nadchodzi jej siostra z zamiarem wznowienia przykrew rozmowy. Serce w niej zamarło. Przedłużające się milczenie musiało ją zaniepokoić i podniosła oczy.

Przez dłuższy czas nie mogła im uwierzyć, sądząc, że ma przed sobą zjawę. Pierwszym słowem, jakie się jej wyrwało, było: «Nie...» wypowiedziane cichym i przerażonym głosem; jakkolwiek zrozumiałem jego znaczenie, zmroziło mnie to jak zły omen.

Wtedy dopiero odezwałem się: «Tak, to ja» - i uczyniłem krok naprzód. Nie zerwała się z miejsca, tylko uchwyciwszy drugą ręką brzegi futra ściągnęła je na piersiach.

Dostrzegłem ten gest i usiadłem na najbliższym krześle. Książka, którą czytała, zsunęła się na -podłogę.

- Jak to być może, aby pan tu się znajdował? - rzekła jakby z niedowierzaniem.

- A jednak jestem tu naprawdę - odpowiedziałem. - Czy chciałaby pani dotknąć mojej ręki?

Nie poruszyła się. Jej palce zaciskały się na brzegach futra.

- Co się stało?

- To długa historia - wystarczy powiedzieć, że wszystko skończone. Łączący nas węzeł został rozerwany. Nie przypuszczam, aby kiedykolwiek był bardzo silny. To była rzecz zewnętrzna. Prawdziwym nieszczęściem jest to, że panią w ogóle ujrzałem.

Te ostatnie słowa zostały wywołane okrzykiem współczucia ze strony Rity. Podniosła się na łokciu i wpatrując się we mnie uważnie wyszeptała:

- Wszystko skończone...

- Tak. Musieliśmy zatopić nasz mały okręt. To było straszne. Czuję się mordercą. Ale trzeba było z nim skończyć.

- Dlaczego?

- Bo kochałem go za bardzo. Czy pani nie wie, że miłość i śmierć chodzą w parze?

- Czułabym się niemal szczęśliwa, że już po wszystkim, gdyby pan przy tym nie

stracił przedmiotu swej miłości. Ach, *amigo* George, to była dla pana miłość bezpieczna.

- Tak - odrzekłem - to był wierny statek. Ocaliłby nas wszystkich, w każdym niebezpieczeństwie. Ale tam była zdrada. Tam była... Ale mniejsza o to. Już po wszystkim. A teraz pytanie: jak będzie wyglądała następna?...

- Dlaczego miałyby przyjść następna?

- Nie wiem! Życie zdaje się być szeregiem zdradzieckich zasadzek. A jest ich tyle. W tym wypadku zdrada dotyczyła planu działania., ale można także zdradzić zaufanie, nadzieję i pragnienia, i najświętsze...

- Ale co pan tu robi? - przerwała.

- Ach, tak! Wieczne co i dlaczego. Przed paru godzinami naprawdę nie wiedziałem, po co tu jestem. A pani co tu robi? - spytałem bez ogródek, z odcieniem gorzkości, którą Rita pominęła odpowiadając zresztą chętnie na samo zapytanie.

Z wielu jej słów dowiedziałem się bardzo niewiele. Przytoczyła co najmniej pięć powodów, z których żaden nie wywarł na mnie głębszego wrażenia.

Musiała opuścić Paryż w pośpiechu, z jedną torebką w rękę, dając Róży dwudniowy urlop na odwiedzenie starych rodziców, po czym Róża miała dogonić swą panią w Marsylii. Ta dziewczyna zdawała się być od pewnego czasu tak niespokojna i zatroskana że wrażliwa Rita w obawie, iż dotychczasowa praca zbyt Różę wyczerpuje, ofiarowała jej znaczną sumę pieniędzy proponując, aby zajęła się całkowicie starymi -rodzlicami. Czy potrafię odgadnąć, co ta niezwykła dziewczyna odpowiedziała: «Proszę nie przypuszczać, abym przez pychę nie zgadzała się przyjąć czegokolwiek od Madame, ale nie mogę nawet myśleć o pozostawieniu jej samej. Zdaje mi się, że Madame nie ma przyjaciół. Ani jednego.» Na to Dana Rita zamiast pieniędzy obdarzyła ją serdecznym uściskiem, a ponieważ kilka osób nagabywało ją o wyjazd do Tolosy, więc wyrwała się tu do Marsylii, by pozbyć się tych wszystkich natrętów!

- Chciałam się przed nimi ukryć - mówiła z przejęciem - tak, po to tu przyjechałam - powtarzała zadowolona, że wreszcie znalazła powód, który usprawiedliwiał jej postępowanie.

- Skąd mogłam wiedzieć, że pana tu zastanę? I z nagłym ożywieniem, które wzmogło tylko za chwyt, z jakim śledziłem grę jej fizjonomii, dodała: - Dlaczego pan wszedł do tego pokoju? Ogarniał mnie znowu jej czar. Żywa modulacja głosu, lekkie poruszenie prześlicznych warg, spokojny szafirowy blask podłużnych oczu przywodzących na myśl zamierzchłe wieki, a wpatrzonych w jakieś rzeczy dla innych niepojęte, podkład wesołości, tak lekkiej jak drżenia powierzchni wody, a przejawiającej się w każdym jej usposobieniu - tej wesołości, która zdawała się być darem bogów współczujących samotnej kobiecie - wszystko to razem, zamknięte w czterech ścianach i przeznaczone wyłącznie dla moich oczu, napawało mnie

uczuciem radości trudnej do zniesienia. Słowa nic tu nie znaczyły. Trzeba było jednak na nie odpowiedzieć.

- Wszedłem tu z kilku powodów. Przede wszystkim nie wiedziałem, że pani tu jest.

- Teresa nie wspominała panu o tym?

- Nie.

- I nigdy o mnie nie mówiła?

Zawahałem się. - Nigdy - rzekłem wreszcie. I zapytałem z kolei:

- A czy powiedziała pani, że ja tu jestem?

- Nie.

- To jasne, że nie życzyła sobie, abyśmy się spotkali.

- Równie jak i ja, mój drogi.

- Do czego pani zmierza mówiąc tym tonem, tymi słowy? Używa pani tego zwrotu jak gotowej formułki. Czy to ja jestem dla pani drogi, czy kto inny?... Czy może wszyscy?...

Leżała wsparta na łokciu, lecz teraz osunęła się, aż głowa jej opadła na poduszkę, jakby jej siły zostały podcięte.

- Czemu pan usiłuje mnie obrazić? - spytała.

- Dla tej samej przyczyny, dla której mnie pani nazwała drogim - i to na zakończenie tak miłej sentencji. Zapewne z braku przyjemniejszego zajęcia. Nie wzmieni mi pana. przecież, że kierowały nią pobudki, do których mogłaby się przyznać szanująca się osoba.

Krew odbiegła z jej twarzy, ale mnie ogarnęła furia i ciągnąłem dalej:

- Jakież to są pobudki, które kierują pani słowami, pani czynami? Pani sama przyznaje, że jej życie jest ciągłą ucieczką. Teraz uciekła pani z Paryża, a dokąd ucieknie pani jutro? I przed czym pani tak ucieka albo. za czym goni? Za człowiekiem, za widmem? Czy za jakąś sensacją, do której woli się pani nie przyznawać?

Przyjęła ten mój wybuch zupełnym milczeniem, co mnie trochę zmieszało. Spodziewałem się bowiem protestów obrażonej godności i postanowiłem sobie nie pozwolić, aby jakiegokolwiek patetyczne słowa rozbroiły mój słuszny gniew. Dziś przypuszczam, że nie byłem wtedy naprawdę przy zdrowych zmysłach. W średnich wiekach nazwano by to opętaniem przez złego ducha.

Brnąłem dalej podniecony własną nikczemnością:

- Czemu pani nie jest teraz w Tolosie? Powinna pani być w Tolosie. Wszak to najwłaściwsze miejsce popisu dla pani uzdolnień, porywów współczucia, dla pani hojnych gestów i wspaniałomyślności. Król bez korony! Młody człowiek bez fortuny! A tu nie ma już nic godnego pani uwagi. Nie ma co robić ani się o co troszczyć. Nie ma już nawet tej

śmiesznej figury, którą nazywano «Monsieur George». Z pewnością na całym wybrzeżu, od Marsylii aż po Cettę ludzie powtarzają sobie, że «Monsieur George» utonął. I dalibóg, sądzę, że tak jest. Dobrze mu tak! Pozostaje jeszcze Teresa, ale nie przypuszczam, aby afekt do siostry...

- Na miłość boską, niech pan nie dopuści, aby tu weszła i zastała pana.

Te słowa otrzeźwiły mnie. Czarujące brzmienie jej głosu podziało na mnie jak egzorcyzmy na złego ducha. Zawierały jakiś sens konkretny, coś w każdym razie dalekiego od uczuciowych powikłań. Zły duch opuścił mnie i poczułem się nieco zaskoczony.

- Dobrze - rzekłem - ale jeśli pani sobie życzy, abym zaraz wyszedł z tego pokoju, to muszę powiedzieć, że to jeszcze w tej chwili nie jest możliwe. Mogę tylko zamknąć drzwi jedne i drugie, o ile pani pozwoli.

- Niech pan robi, co się panu podoba, byle ona tu nie weszła. Obecność was obojga tej nocy byłaby ponad moje siły. Czemuż pan nie zamyka tych drzwi? Mam wrażenie, że ona się tu gdzieś snuje w pobliżu.

Powstałem z miejsca, mruknąwszy:

- Musiała się już położyć do tej pory.

Czułem się absolutnie spokojny i odpowiedzialny. Przekręciłem klucz w obu zamkach tak cichutko, że sam nie słyszałem ich zgrzytu. Uczyniwszy to przeszedłem pokój miarowym krokiem, ze spuszczonej oczami i nie podnosząc ich od dywanu osunąłem się na kolana i oparłem czoło o brzeg kanapy. Ta pokutnicza poza nie oznaczała właściwie skruchy. Klęcząc tak nie zauważyłem żadnego poruszenia ze strony Rity, nie uchwyciłem żadnego dźwięku. Uczułem tylko muśnięcie futra na mym policzku, ale żadna przebacząca ręka nie spoczęła na mej pochylonej głowie. W głębokim westchnieniu chłonałem w siebie delikatny zapach fiołków, jej zapach, który przeniknął mnie całego docierając do serca i stwarzając uczucie tak niepojętego zbliżenia, jakiego nie mógł mi dać żaden uścisk, żaden pocałunek. Ta woń przesubtelna, afirmująca istnienie Rity, wywołała we mnie wzbierające uczucie pałającej, przemożnej tkliwości - coś, co dałoby się jedynie przyrównać do wrażeń, jakich człowiek doznaje, gdy po białej spiekocie dnia zapadający wieczór poczyna przed nim odsłaniać niewysłowioną głębię barw i duchem nieprzeczuwanego spokoju obdarza wszystkie zmienne kształty życia. Takiego spokoju nie zaznałem od wielu miesięcy. Odczułem nieopisane zmęczenie i jedną tylko żądzę: pozostania na tym miejscu, w tej pozie, do skończenia czasów. Wydało mi się, że to jedno byłoby całkowitym rozwiązaniem wszystkich zagadnień, jakie życie nasuwa, włącznie do zagadnienia śmierci.

Niepożądana refleksja, że to jednak jest niepodobieństwem, skłoniła mnie wreszcie do

powstania z klęczek z głębokim westchnieniem. Skończył się mój sen. Lecz nie czułem się zrozpaczony. Dona Rita nie odezwała się ani nie poruszyła. Było coś uroczystego w ciszy tego pokoju. Dziwny był ten spokój, który ona dzieliła ze mną w przygodnym schronieniu, pełnym śladów przepychu i niedbalstwa. Uświadomiłem sobie nagle, w sposób niemal namacalny, że czas przemija jak płynąca rzeka, i to sprawiało mi przykrość. Wydało mi się, że tylko wytrwałość mego uczucia utrzymuje ciało tej kobiety na powierzchni fal - w spokojnej, wyciągniętej pozie. Gdy jednak ośmieliłem się podnieść na nią oczy, ujrzałem rozpalone policzki, zaciśnięte zęby (co było widoczne) i rozszerzone nozdrza, a w jej podłużnych oczach wyraz głębokiej, pełnej lęku ekstazy.

Brzezi jej futra rozchyliły się - czułem, że powinienem odwrócić głowę. Odniosłem to samo wrażenie, co owego wieczoru, kiedyśmy się rozstali - wrażenie, że stało się coś, czego nie mogłem zrozumieć, a przecież tym razem nie dotknąłem jej wcale. Naprawdę nie rozumiałem. Gdyby zażądała ode mnie bodaj szeptem, abym odszedł, uczyniłbym to bez szemrania, jak gdyby to przeżywane wzruszenie dawało jej prawo wymagać ode mnie posłuszeństwa. Ale nie usłyszałem nawet szeptu. Przez dłuższą chwilę stałem wsparty o kominek i wpatrzony w ogień odczuwając wyraźnie, jak w tych czterech ścianach zamkniętego pokoju czas upływa niezatamowanym strumieniem mijając dwoje rozbitków stojących na brzegu.

I nagle przemówiła. Przemówiła tym swoim głosem, głęboko wzruszającym, nie smutnym, może tylko zadumany - głosem, który był szczytem jej uroku.

Spytała, jakby nic nie zaszło:

- O czym pan myśli, *amigo*?

Odwróciłem głowę. Leżała na boku, spokojna, jakby wyniesiona ponad wartki prąd czasu. Futro otulało ją znowu szczelnie, a głowa spoczywała na matowozłotej poduszce, na której widniał jej monogram zdobiący wszystkie przedmioty w tym pokoju.

Twarz jej była teraz bledsza, tylko koncha ucha przeświecała mocno różową barwą poprzez złotawą mgławicę rozpuszczonych włosów. Wargi rozchyliły się lekko, a oczy z roztopionego szafiru, przyćmione zmęczeniem, wpatrywały się nieruchomo w jeden punkt.

- Czy mogę myśleć o czymkolwiek poza panią - powiedziałem przysuwając sobie krzesło do kanapy. - Nie jest to właściwie myślenie, raczej świadomość stałej pani obecności we mnie, obecności tak całkowitej, że widzę każdy pani włos, najlżejszy odcień wyrazu, i to nie tylko wtedy, kiedy jesteśmy od siebie daleko, ale nawet gdy jesteśmy razem sami i blisko siebie, jak obecnie. Na przykład teraz: patrzę na panią leżącą na tej kanapie i mam wrażenie, że to, co widzę, jest widmem bez cienia uczucia, złudnym odbiciem prawdziwej Rity, która

mieszka we mnie. To odczucie jest tym zrozumialsze, że nie mogę wiedzieć, czy ta postać, którą inni widzą i nazywają po imieniu, nie jest tylko czarującą mgławicą. Pani usuwała się przede mną zawsze z wyjątkiem dwóch czy trzech momentów, które wydają mi się bardziej rzeczywiste niż wszystkie inne. Odkąd wszedłem do tego pokoju, nie uczyniła pani nic, co by zachwiało moim przekonaniem, że pani poza mną nie istnieje. Nie podała mi pani nawet ręki, abym mógł jej dotknąć. Czy może pani sama podejrzewa, że poza mną jest pani tylko widmem, i obawia się stwierdzenia tego faktu?

Jedną z jej rąk kryła się pod futrem, drugą podpierała policzek. Postać Rity została nieporuszona - nie wydała głosu. Nie poruszyły się nawet jej oczy, gdy po chwili wyczekiwania dodałem:

- Moje przypuszczenie się potwierdza. Pani jest zimnym złudzeniem.

Uśmiechnęła się tajemniczo, nie do mnie, lecz jakby do ognia - i to było wszystko.

VI

Miałem przez chwilę podejrzenie, że powiedziałem głupstwo. Jej uśmiech poza wielu innymi rzeczami zdawał się i to wyrażać. Odezwałem się z pewną rezygnacją:

- Może niesłusznie nazywam panią mgławicą. Pamiętam, że raz uczepliłem się pani jak człowiek tonący... Ale o tym może lepiej nie mówić. To było niedawno i pani zapewne... - Nic nie szkodzi. A więc...

- A więc wyznaję, że odniosłem wtedy wrażenie czegoś bardzo silnego. Wrażenie kobiety z granitu.

- Pewien lekarz powiedział mi przed laty, że przy takiej budowie jak moja można trwać bez końca.

- W gruncie rzeczy to na jedno wychodzi - ciągnąłem dalej. - Granit także nie czuje.

Śledziłem jej profil na tle poduszki i dostrzegłem na jej twarzy dobrze mi znany wyraz, gdy oburzona i rozśmieszona zarazem, rzucała mi słowo: *imbécile!* Czekałem na to słowo, ale nie usłyszałem go. Prawdę mówiąc, kręciło mi się w głowie i chwilami miałem w uszach jeszcze łoskot morza, więc mogłem być nie dosłyszeć. Kobieta z granitu, o budowie mającej przetrwać wieki, nie przestawała wpatrywać się w żarzące się głownie, które spiętrzyły się na kształt niewygasłych ruin.

- Powiem pani, jak to jest - rzekłem. - Gdy na panią patrzę, cała moja istota tak się rwie do pani, że nie widzę jej wyraźnie. Było tak od początku. Mogę powiedzieć, że nigdy nie widziałem pani wyraźnie aż do chwili, kiedyśmy się rozstali i kiedy mi się zdawało, że utraciłem panią z oczu na zawsze. Wtedy dopiero pani stała się ciałem w mej wyobraźni i przybrała określony kształt, który pobudzał do adoracji, a także do profanacji. Proszę sobie nie wystawiać, że czołgałem się tylko w pokorze jak przed obrazem. Chwyliłem panią w szpony, z których się pani nigdy już nie wyrwie.

- Niech pan tak nie mówi - przerwała - to dla mnie za wiele. A przed nami jeszcze cała, długa noc.

- Czy pani może uważa, że nie byłem dość sentymentalny? Otóż ten sentyment był i gorzał najjaśniejszym płomieniem, jaki kiedykolwiek płonął na tej ziemi od najbardziej zamierzchłych czasów, przed tym czymś wiecznym, co w pani tkwi, co jest jej dziedzictwem. Czy to moja wina, że mogłem dać tylko płomień, a nie mistyczne kadzidło? Nie ma w tym ani mojej, ani pani winy. I cokolwiek powiemy sobie jeszcze, we dnie albo w nocy, musimy się liczyć z tym, że ten sentyment istnieje. Przetrwa aż do dnia mojej śmierci, przy której pani nie

będzie.

Wpatrywała się dalej uporczywie w żarzące się głownie i z jej prawie nieruchomych warg wypłynął szept ledwo dosłyszalny:

- Nie byłoby nic łatwiejszego jak umrzeć za ciebie.

- Doprawdy! - wykrzyknąłem. - I pani się zdaje, że po tym, co usłyszałem, rzucę się pani do nóg w porywie wdzięczności i z dumą przycisnę do piersi jej słowa. Tymczasem to podniosłe oświadczenie budzi we mnie tylko pogardę. Jak pani śmie ofiarowywać mi taki surogat miłości? Po co to ma istnieć między nami, między jedynym dwojgiem ludzi na świecie, którzy nie potrzebują okłamywać się wzajemnie? Czy to możliwe, aby w pani sercu zagnieździł się fałsz? A gdyby nawet pani była szczerą - proszę to zapamiętać - nie przebaczyłbym pani nigdy. Przychodziłbym codziennie na pani grób i złorzeczyłbym jej za zły uczynek.

- Za zły uczynek... - powtórzyła cichutko.

- Czy wolałaby pani być fikcją, o której się zapomina?

- Pan mnie nigdy nie zapomni - powiedziała łagodnie, odwracając się do rozżarzonego paleniska. - Ani złej, ani dobrej. Ja, mój drogi, nie czuję się ani uosobieniem zła, ani fikcją. Muszę być tym, czym jestem, a to, *amigo*, rzecz niełatwa. Mogę być prosta, ale jak wszyscy ludzie, którzy nie znają spokoju, nie czuję, abym była tylko j e d n a . Nie, jedna nie jestem!

- Pani zjednoczyła w sobie wszystkie kobiety świata - szepnąłem pochylając się nad nią. Zdawała się nie zwracać na to uwagi i mówiła dalej - do ognia:

- Gdybym jednoczyła w sobie wszystkie kobiety, powiedziałabym: - niech je Bóg wspomaga! Ale to byłoby raczej w stylu Teresy. Ja nie mogę im dać nic więcej, jak tylko nieskończone współczucie. Zachowałam w duszy zbyt wiele czci, by szafować imieniem Boga, którego już dawno odebrali mi mędrkujący ludzie. Cóż miałam robić? Ich wywody były rozumne, ja zaś byłam pojętna i - jak Teresa mówi - z przyrodzenia skłonna do grzechu. Tak jest, mój drogi. Mogę być z natury niedobra, ale samym złem nie jestem i potrafiłabym za pana umrzeć.

- Wszak pani boi się śmierci - rzekłem.

- Tak, ale nie tam, gdzieby chodziło o pana.

Znienacka zapadła się budowla rozżarzonych głowni, podnosząc fontannę iskier i białego popiołu. Lekki trzask, jaki przy tym powstał, otrzeźwił Kitę, zda się, całkowicie. Obróciła głowę na poduszce i spojrzała na mnie.

- Jakie to dziwne, żeśmy się tu zeszli oboje - rzekła z przekonaniem. - To, że pan wszedł do pokoju nie wiedząc, że mnie tu zastanie, i to pańskie powiedzenie, że pan

właściwie nie może stąd wyjść... To bardzo dziwne powiedzenie. Gdyby pan oświadczył, że nie chce wyjść, nie byłabym się rozgniewała, tylko by mnie to zabolalo. Ale nikt nigdy nie troszczył się o moje uczucie. Czemu się pan tak uśmiecha?

- Do jednej myśli. Bez żadnej szarlatanerii mogę pani powiedzieć coś, co' równoważy pani ofiarność. Nie wahałem się z pani powodu powziąć zamiaru popełnienia zbrodni. Byłem o jeden krok od tego, co w oczach świata uchodziłoby za ohydne morderstwo. Jesteśmy przecież oboje - i pani, i ja - ludźmi honoru. A mogło się to skończyć dla mnie sądem, może szafotem.

- Czy pan mówi te okropności, aby mnie przerazić?

- O! teraz nie potrzebuje pani trząść się ze strachu. Morderstwa już nie będzie. Nie grozi mi już szafot, z chwilą gdy pani jest bezpieczna. Ale jeszcze gdy wchodziłem do tego pokoju, rozważałem z zimną krwią sposoby popełnienia zbrodni, obliczałem jej możliwości i szansę bez cienia skruchy. Wszystko to się skończyło! Skończyło z chwilą, gdy panią ujrzałem - niemniej byłem tak bliski zamordowania człowieka, że jeszcze teraz wzdrygam się na to przypomnienie.

Musiała być okropnie zaskoczona, bo na chwilę odjęło jej mowę.

- Dla mnie? dla mnie? - wyjąkała słabym głosem.

- Dla pani - a może dla siebie? Nie! egoizmu w tym chyba nie było. Cóż by mi z tego przyszło, że pani pozostałaby na tym świecie? Nie miałem najmniejszej nadziei ujżenia pani kiedykolwiek. Ułożyłem nawet piękny list pożegnalny. List, jakiego jeszcze żadna kobieta nie otrzymała.

Natychmiast wyciągnęła rękę w mój kierunku. Brzegi jej futra rozchyliły się. Moje nozdrza wchłonęły ledwo wyczuwalny powiew perfum.

- Proszę mi go dać - rzekła rozkazująco.

- Nie mogę go dać. List pozostał w mojej głowie. Nie będzie go czytała żadna kobieta. Mam wrażenie, że nie mógł być napisany. O, jakież to było pożegnanie! Teraz przypuszczam, że pożegnamy się wkrótce nawet bez uścisku dłoni. Ale pani przynajmniej jest bezpieczna. O jedno proszę: niech pani nie opuszcza tego pokoju, dopóki nie powiem, że już można.

Zależało mi nia tym, aby Senor Ortega nie rzucił nawet okiem na Donę Ritę, aby nigdy się nie domyślił, jak blisko niej się znajdował. Pragnąłem jednego - żeby co prędzej wyjechał do Tolosy i aby go w drodze ustrzelono w pierwszym lepszym rowie lub żeby sobie poszedł do diabła czy dokąd chce, byle zmylił trop i przestał śledzić Donę Ritę. Było prawdopodobne, że w przyszłości zwariuje i zamkna go w zakładzie albo też wyzdrowieje, zapomni o wszystkim i weźmie się do pracy w jakimkolwiek zawodzie - może na przykład

otworzy sklep i w spokoju zacznie nabierać tuszy. Te refleksje przemknęły mi przez głowę w przeciągu jednej chwili i czułem się ukołyszany tymi kojącymi obrazami, kiedy głos Dony Rity wyrwał mnie z zamyślenia:

- Czy pan chce przez to powiedzieć, żebym nie wychodziła z domu?

- Nie. Żeby pani nie opuszczała tego pokoju - odpowiedziałem z pewnym zakłopotaniem.

- Co pan ma na myśli? Cóż się w tym domu dzieje? To niesłychane. Mam nie wychodzić z pokoju? I pan także? Czy pan boi się także o siebie?

- Nie umiem powiedzieć, jak bardzo się bałem. Teraz już dużo mniej. Pani wie dobrze, Dono Rito, że nigdy nie noszę broni przy sobie.

- Dlaczego nie? - wykrzyknęła w gniewnym zapale, który mnie tak zachwycił, że nawet nie zdobył na uśmiech.

- Dlatego że odrzuciwszy wszelki konwencjonalizm pozostałem mimo to starym Europejczykiem - odpowiedziałem łagodnie. - Tak, Excellentissima, przejdę przez życie nie mając nawet szpicruty w ręku. Nie ma o co się gniewać. Przystosowując do obecnej ważnej chwili znane pani powiedzenie, powtórzę: - Taki jestem - taki jest mój charakter.

Dona Rita spojrzała mi wprost w oczy, co czyniła bardzo rzadko. I nagle zerwała się na nogi.

- Don George - rzekła z cudownym ożywieniem - ja muszę wiedzieć, kto znajduje się w moim domu.

- Pani musi wiedzieć... Ale Teresa twierdzi, że to jej dom.

Gdyby pod ręką Rity znajdował się jakikolwiek przedmiot, na przykład pudełko z papierosami, byłby frunął w powietrze, a cała jego zawartość byłaby się rozsypała. Zaróżowiła się cała: policzki, szyja, ramiona, wszystko wydawało się rozświetlone od wewnątrz jak piękny transparent. Ale głosu nie podniosła.

- Sprzysięgliście się na moją zgubę - pan i Teresa. Jeśli mi pan zaraz nie powie, co pan ma na myśli, wyjdę do sieni i poty będę wołała, aż Teresa zejdzie z góry. Wiem przecież dobrze, że poza nami trojgiem nie ma w całym domu nikogo.

- Jest nas troje, zapewne, asie nie licząc mego jakobina. Jest tu bowiem pewien jakobin.

- Jakob!... O, George, czy to pora na żarty? - zaczęła tonem fierswazji, gdy jakiś cichy, ale szczególnie odgłos zamknął jej usta, jakby nagle zastygła. I cała jej postać skamieniała, ja zaś mimo woli uczyniłem ruch naprzód, by zaraz potem znieruchomieć jak człowiek martwy. Nastawiliśmy uszu. Ten szczególnie, metaliczny zgrzyt był tak

nieuchwytny, a cisza, która potem nastąpiła, tak zupełna, że trudno było wiedzieć, czy nie ulegliśmy złudzeniu. Dona Rita spojrzała na mnie pytająco, ja zaś lekko skinąłem głową. Patrzyliśmy sobie w oczy i natężaliśmy słuch dopóty, dopóki cisza nie stała się nie do zniesienia. Rita szepnęła spokojnie:

- Słyszał pan?

- Sam nie wiem. Zdaje mi się teraz, że nie.

- Niech pan mnie nie zwodzi. To był jakiś zgrzyt.

- Raczej coś upadło.

- Coś upadło? Jakie coś? Co może spaść nieporuszone? I co to za człowiek, o którym pan wspomniał? Jest tu jakiś człowiek?

- Co do tego nie ma wątpliwości. Sam go tu wprowadziłem.

- Po co?

- Czemuż nie miałbym posiadać własnego jakobina? Czy pani nie ma swojego? Ale mój jest w zupełnie innym rodzaju, niż ten pani białowłosa błazen. To okaz autentyczny. Dużo musi istnieć podobnych na tym świecie. Ma porachunki z różnymi ludźmi i czeka tylko - jak sam powiada - na rewolucję, która mu da sposobność uregulowania tych porachunków.

- Na cóż go pan tu wprowadzał?

- Nie wiem... z nagłego afektu...

Rozmawialiśmy tak cicho, że raczej odgadywaliśmy wymawiane słowa po ruchu warg, niż je słyszeliśmy. Człowiek jest dziwnym stworzeniem. Nie dbałem o to, co mówię. Pragnąłem tylko jednego: żeby Rita pozostała w tej samej pozycji, podniecona, a zarazem spokojna, lekko zaróżowiona, z rozpuszczonymi włosami, w tym ciemnym futrze, które tak pięknie odcinało się od bieli koronek na jej piersiach. Myślałem tylko o jednym, że jest cudowna i że nie ma słów na wyrażenie zachwyty, jaki we mnie wzbudza. Nie obchodziło mnie w tej chwili nic poza tym wrażeniem najwyższego piękna. A w tym wrażeniu zawarta była cała radość, cała poezja życia - akcent boskości.

Jestem przekonany, że nie znajdowałem się wtedy przy zdrowych zmysłach. Spośród czterech osób przebywających podówczas w domu Dona Rita była jedyną, która zachowała trzeźwy umysł.

Wpatrując się badawczo w moją twarz musiała w niej wyczytać coś z mej wewnętrznej egzaltacji.

Wiedziała, jak się zachować. Najłagodniejszym, jaki tylko może być, głosem, niemal tak cichym jak oddech, wyrzekła:

- George, musisz się opamiętać.

Jej łagodność działała kojąco jak wieczorne światło. Spłynęło na mnie uspokojenie. Wzruszyłem się głęboko tym zaufaniem, jakie miała do swej władzy nade mną. Moja miłość była widać zbyt wielka, aby mogło mnie opanować szaleństwo. Nie mogę powiedzieć, że ochłonąłem całkowicie, ale uczułem coś w rodzaju lekkiego zawstydzenia.

- Nie, nie uczyniłem tego przez afekt - szepnąłem. - To miłość do pani kazała mi go tu przyprowadzić. Ten idiota H. chce go posłać do Tolosy.

- Jakobina?... - Dona Rita była, jak łatwo zrozumieć, niesłychanie zdumiona. Po chwili spytała szeptem, rezygnując z rozwiązywania zagadek:

- I co pan z nim zrobił?

- Położyłem go do łóżka w pracowni.

Jakże cudna była w tej chwili z tym natężeniem uwagi, które przejawiało się w przechylaniu głowy i w wyrazie twarzy, w wysiłku, aby cośkolwiek zrozumieć i móc zaaprobować mój postępek.

- Cóż dalej? - spytała.

- Potem wszedłem tu, aby spokojnie rozważyć potrzebę zglądzenia kogoś ze świata. I nie cofałem się w myśli przed tą koniecznością. Oto' do czego doprowadziło mnie ostatnie dwanaście miesięcy. Niech pani nie myśli, że jej to wyrzucam. O ślepa siło! Panią usprawiedliwia to jedno, że pani jest! A cokolwiek by się miało stać, nie dowiedziałaby się pani o tym zapewne nigdy.

Przerażenie zamroczyło promienny wyraz jej twarzy, która całkowicie zbieła od nadmiernego wysiłku myśli. W domu panowała absolutna cisza. Wydawało mi się, że wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie na świecie, zostało już wypowiedziane, że świat osiągnął jakieś stadium najwyższe i doszedł do kresu, gdzie panuje już tylko wieczysta, upiorna cisza.

Nagle Dona Rita podniosła ostrzegawczo palec. Ja nie słyszałem nic i potrząsałem głową przecząco, ale ona potakiwała i rzekła z podnieceniem:

- Tak, tak, w sali fechtunkowej, jak poprzednio.

Odpowiedziałem również szeptem:

- Niemożliwe. Drzwi są zamknięte i Teresa ma klucz.

Bardzo oględnie spytała:

- Czy widział pan wieczorem Teresę?

- Tak - przyznałem jeszcze bez złych przeczuć.

Pozostawiłem ją w pracowni ścielącą łóżko dla gościa.

- Dla tego jakobina? - rzekła takim tonem, jakim się przytakuje wariatom.

- Wolę już od razu powiedzieć, że ten człowiek jest Hiszpanem i - o ile się zdaje - zna panią z bardzo dawnych czasów...

Spojrzałem jej w twarz. Była niezmiernie skupiona, niezmiernie strwożona. Co do mnie, nie miałem już żadnej wątpliwości, kim jest ten człowiek, i żywiłem nadzieję, że ona słowa moje zrozumie. Ale zanadto była widać poruszona i znękana, by móc powiązać myśli. Czuła tylko, że w powietrzu jest coś złego. Nachylając się ku niej ostrożnie szepnąłem jej na ucho:

- Nazywa się Ortega.

Spodziewałem się, że to nazwisko sprawi wrażenie, ale nie przewidziałem tego, co się stało. Z błyskawiczną, odruchową zręcznością młodego zwierza zeskoczyła z kanapy pozostawiając na niej pantofle i jednym susem znalazła się na środku pokoju. Siła oraz instynktowna pewność tego skoku miały w sobie coś zdumiewającego. Stała lekko na bosych nogach, ani na mgnienie oka nie tracąc równowagi, i zastygła w nagłym bezruchu. To znieruchomienie trwało zaledwie sekundę, po czym zawirowała jak szalona i rzuciła się w stronę pierwszych dostrzeżonych drzwi. Mojej zręczności wystarczyło zaledwie na to, by uchwycić ją za brzeg futra, wreszcie ująć w pól, zanim zdążyła wysunąć się z futra. Przez cały czas powtarzała z zaciekłością: «Nie, nie, nie!» Skorzystałem z krótkiej chwili, w której jakby zasłabła w moich ramionach, i ściągnąłem ją z powrotem na środek pokoju, a widząc, że usiłuje się wyzwolić, natychmiast uwolniłem ją z uścisku.

Z twarzą pochyloną ku mojej, lecz widocznie nie zdając sobie sprawy, na kogo patrzy, powtórzyła znów dwukrotnie: «Nie! Nie!» - tonem tak rozdzierającym, że mógł być wycisnąć łzy z moich oczu i kazał mi żałować, że od razu mię uśmiercił czegoś Ortegi. Po krótkiej chwili Dona Rita obróciła się nagle i zwijając oburącz rozpuszczone włosy poczęła je upinać przed jednym ze wspaniałych zwierciadeł. Szerokie rękawy futra spłynęły z jej białych ramion. Zręcznym ruchem, przypominającym prostopadłe pchnięcie sztyletu, przebiła gęsty zwój iskrzących się, rdzawych włosów złotą strzałą, którą dostrzegła na marmurowej konsoli.

Odskoczyła od lustra powtarzając gorączkowo: «Wydostać się, wydostać się z tego domu!» Wpatrzona w jeden punkt wzrokiem strasznym, nieprzytomnym, usiłowała mnie wyminąć, gdy ja rozpostartymi rękami zagradzałem jej drogę. W końcu udało mi się uchwycić ją za ramiona. Półprzytomny z rozpaczycy począłem ją gwałtownie potrząsać. Gdyby się wtedy mię uspokoiła, serce by mi pękło.

- Nie puszcze cię, tu zostaniesz - rzuciłem jej szeptem w samą twarz. Zdawało mi się, że mnie poznaje uspokojona; stanęła mocno nią swych białych stopach, opuściła ręce i

wyszeptala z przejmujacą rozpaczą:

- O, George, nie mogę, nie mogę - wszystko, tylko nie Ortega.

Ogrom męki nagromadzonej przez lata drżał w jej głosie. Była wzruszająca i bezbronna jak opuszczone dziecko. Co można było zrobić? Jak ją uciszyć? Nie podobna było przecież głaskać ją po głowie, posadzić sobie na kolana i podsunąć jej czekoladkę czy książkę z obrazkami. Poczulem się całkowicie bezradny.

- No tak, Ortega. I cóż z tego? - mruknałem z ogromną pewnością siebie.

VII

W głowie mi się kręciło. Dona Rita załamała się całkowicie.

Pozostał w niej jednak silny instynkt życia, pozostał chaos uczuć i wrażeń podsycanych przez wrodzoną żywotność. Mnie zaś zabrakło jakiegokolwiek myśli przewodniej. Jediną nadzieją, na której jeszcze mogłem coś budować, było przypuszczenie, że Ortega nie wie o niczym. Szeptem podzieliłem się tą myślą z Doną Ritą. Ale ona potrząsnęła tylko głową jak niepokieszone dziecko i cicho mi odszepnęła: - Teresa musiała mu powiedzieć. Słowa: «Co znowu», nie przeszły mi przez gardło, gdyż nie można się było łudzić; słyszeliśmy łoskot, i ten łoskot pochodził z sali fechtunkowej. Znałem ten pokój. Nie było w nim nic, co by mogło wydać tego rodzaju dźwięk, nawet przy największym natężeniu wyobraźni ze strony nadśluchujących. W jednym końcu pokoju był stół, a nad nim długie lustro;

Z chwilą jednak gdy Blunt zabrał ze sobą wszystko, co stanowiło ekwipunek polowy, nie pozostał na konsoli ani jeden przedmiot, który by mógł w niewytłumaczony sposób wydać podobny odgłos. Na jednej ze ścian znajdował się skomplikowany aparat z grubych miedzianych rur, a poniżej olbrzymia wanna wpuszczona w podłogę. Na obu ścianach wzdłuż pokoju rozwieszane były maty, pod którymi stały długie, wąskie ławki pokryte skórą i przytwierdzone do muru. To było wszystko. Drzwi prowadzące do pracowni były zamknięte, a klucz był u Teresy. Więc i ja również niezależnie od Rity, doszedłem do przekonania, że Teresa uprzedziła Ortegę o obecności siostry.

Uświadomiłem sobie kolejność wydarzeń, doskonale skoordynowanych i zmierzających do takiego właśnie rozwiązania. Teresa musiała mu powiedzieć! Oczyma wyobraźni zobaczyłem te dwie tak niepodobne do siebie głowy dwojga niebezpiecznych wariatów, jak nachylają się ku sobie i szepczą tajemnicze słowa przesycone chciwością, fanatyzmem i zawiścią, jak ukuwają cały spisek z poczuciem całkowitego bezpieczeństwa i w przekonaniu, że sama Opatrzność to zrzędziła. Takie przynajmniej musiało być przekonanie Teresy. Wyobrażała sobie zapewne, że to właśnie Opatrzność wyprowadziła mnie z domu na całą noc.

Pod wpływem tych myśli ocknął się we mnie jedyny w tym gronie przytomny człowiek, odzyskałem bowiem zupełne panowanie nad swymi władzami umysłowymi. Siedząc kolejność wydarzeń zobaczyłem - tak wyraźnie, jakbym oglądał obraz na ścianie - Teresę wciskającą w podnieceniu klucz w rękę Ortegi, tego zamożnego, imponującego, cnotliwego kuzyna, w nadziei, że on potrafi narzucić Ricie swoją wolę i uczynić z siebie

ofiare, by pozyskać błogosławieństwo Tego, którego oko. przenika wszystkie ludzkie uczynki. Widok tych dwojga skradających się z kluczem w ręku do drzwi pracowni wydał mi się okropnym połączeniem fanatyzmu i obłędu. Któż bowiem mógł wątpić, że tylko obłędowi można było przypisać obecny wygląd Ortegi budzący jednocześnie litość i strach? Co do mnie, nie zaprzeczam, że rozumiałem dokładnie - choć nie w całej rozciągłości - naturę jego cierpienia. Pomimo iż byłem bardzo młody, potrafiłem już przejrzeć na wylot to śmieszne, ciemne indywiduum. Spotkanie się ze mną - z człowiekiem będącym w jego mniemaniu jednym z obecnych kochanków Rity - kobiety, która ściągnęła nań jeszcze w dzieciństwie przekleństwo bogów - było dla mego czymś jak przeważający ciężarek rzucony na chwiejną szalę. Niewątpliwie byłbym bardzo bliski śmierci w tym «Grand Salon» modnej «Maison Dorée», gdyby jego cierpienie nie było doszło do tak ostrego stanu. Podczas gdy siedział ze mną przy wieczerzy, mogłem być słyszeć skowyt jego duszy. Ale już po chwili przestał się mną zajmować. Byłem dla niego niczym. W jego wyobraźni, podnieconej przez dziką zazdrość, byłem tylko jednym spośród stu tysięcy. Cóż by znaczyła moja śmierć? Nic! Cała ludzkość posiadała tę kobietę. Wiedziałem, jak by wyglądały zaloty Ortegi: «Będziesz moją lub umrzesz.»

Wszystko to powinno być jasne jak słońce dla każdego głupca, ale Teresa była, prawdę mówiąc, więcej niż głupia. Była idiotką, istotą opanowaną przez natrętą myśl. Jednakże w skład tej myśli wchodziło wiele pierwiastków i dlatego nie podobna było powiedzieć, do czego okaże się zdolna. Jej uwagi bywały przez to tak zdumiewające, a jej procesy wewnętrzne tak pogmatwane i obmierzłe. Któż mógł odgadnąć, gdzie się u niej kończy prostota, a gdzie się zaczyna przebiegłość? Miała przy tym jeszcze jedną właściwość: nie zapominała nigdy o najdrobniejszej rzeczy mającej związek z jej natrętą myślą. Przypomniałem sobie, jakie niezatarte wrażenie uczyniła na niej rozmowa na temat testamentu Rity i jak zachwycała się sprawiedliwością prawa, które nie wymagało przy dziedziczeniu po siostrze żadnego «papierka». Wspominając teraz ten naiwny zachwyt ujrzałem ją w duchu przytakującą nabożnie rozpętanemu przeznaczeniu. Było rzeczą oczywistą, że Teresa wręczy klucz od sali temu kochanemu, cnotliwemu, bezinteresownemu kuzynowi o puszystych faworytach, temu potępieńcowi, przypuszczając, że Rita zamknie drzwi wiodące do hallu, a nie pomyśli o zamknięciu drugich. Sama sprawiedliwość wymagała, aby ta zbląkana siostra została zaskoczona znienacka.

Cała ta moja analiza trwała bardzo krótko. Obrazy w stosunku do słów są jak światło w stosunku do dźwięku: powstają nieporównanie szybciej. Przeleciało mi to wszystko przez głowę na kształt rozświetlającej błyskawicy. A zaraz potem przyszła pocieszająca myśl, że

jedne i drugie drzwi są zamknięte na klucz i że wobec tego niebezpieczeństwo właściwie nie istnieje.

Jakiś odgłos jednakże był - a skąd się wziął i dlaczego? Gdyby Ortega po ciemku wpadł do wanny, sprawiłoby to większy hałas i nie przypominałoby zgrzytu.

W pokoju nie znajdowało się nic, co by można było potrącić. Ortega mógł jedynie upuścić lichtarz, o ile mu Teresa pożyczyła swojego. To wydawało się możliwe - pokój był jednak wyłożony grubymi matami. I właściwie dlaczego to miałyby się wydarzyć? Czemuż, do licha, nie przyjąć prostszej hipotezy, że podszedł od razu do drzwi i próbował klamki? Oczom wyobraźni przedstawił się ohydny widok człowieka przyczojonego przed dziurką od klucza i wyteżającego słuch. Podśluchiwał, nasłuchiwał, czy nie usłyszy oddechu lub jakiegokolwiek poruszenia śpiącej kobiety, którą zamierzał wyrwać światu, żywą czy umarłą. Byłem przeświadczony, że jeszcze podśluchuje. W jakim celu miałby to czynić - Bóg jeden wie. Mógł' równie dobrze rozkoszować się pewnością, że ma przed sobą długą noc i że wszystkie godziny tej nocy do niego należą. Wydawało się rzeczą pewną, że naszych szeptów nie mógł słyszeć, gdyż pokój był na to za duży i drzwi zbyt solidne. Mniej zaufania budziły we mnie zamki.

- Pssst!

Oslaniając ręką usta, przynaglałem Donę Ritę, by wróciła na kanapę. Nie odpowiedziała mi wcale i gdy ująłem ją za ramię, zrozumiałem, że nie ruszy się z miejsca. Zdawało mi się, iż wrosła w gruby, puszysty dywan *aubusson*, a stała na nam tak nieruchomo, że drogie kamienie, którymi wysadzany był trzon złotej strzały, nie rzucały żadnych ogni, pomimo że padało na nie światło z sześciu świec umieszczonych w kandelabrze nad wezłowiec kanapy. Chodziło mi przede wszystkim o to, aby Rita się nie zdradziła. Nie będąc psychologiem rozumowałem jak psycholog. Było oczywiste, że ten człowiek świadom jest obecności Rity w domu, ale wiedział o tym tylko ze słyszenia. To samo było już dostatecznym złem. Czuję jednak, że jeśli przekona się o tym osobiście, przy pomocy zmysłów, podchwytując najlżejszy szelest, głos lub poruszenie, szaleństwo jego wzmoże się do tego stopnia, iż gotów jest wysadzić drzwi. Zamek we drzwiach napawał mnie obawą posuniętą do śmieszności. Uczułem okropną nieufność do tego całego domu, który wydawał mi się w tej chwili groźną pułapką. Nie miałem przy sobie żadnej broni, a nie wiedziałem, czy nie posiada jej Ortega. Walka z nim nie przestraszałaby mnie wcale, gdyby o mnie samego chodziło, ale bałem się tego dla Dony Rity. Widok nas dwóch, szczepionych zębami i paznokciami i tarzających się u jej stóp na dywanie, byłby zbyt ohydny. Chciałem oszczędzić jej tego rodzaju wzruszeń zupełnie tak samo, jakby chodziło o uchronienie jej bosych stóp od

zetknięcia się z błotem. Bosych stóp tej pasterki z gór, o symbolicznej twarzy... Spojrzałem na jej twarz, którą znieruchomienie czyniło podobna do rzeźbionej maski. Cóż bym dał za to, aby wiedzieć, w jaki sposób postąpić z tą wcieloną tajemnicą, w jaki sposób na nią wpłynąć, jak nią pokierować! Czemuż nie posiadałem daru rozkazywania! W dodatku, odkąd przyszedłem do siebie, odezwały się we mnie dawne skrupuły nie pozwalające mi narzucać się Donie Ricie. Czułem się onieśmielony i zakłopotany. Wpatrywałem się uporczywie w miedzianą klamkę drzwi dzielących nas od sali fechtunkowej, tak jakby ta klamka była żywą istotą. Truchlałem na myśl, że zaraz się poruszy. To musiało prędzej czy później nastąpić. Pochyli się leciutko...

Serce poczęło mi walić, postanowiłem jednak trwać w zastygłej pozie i miałem nadzieję, że Dona Rita okaże się dość rozsądna, by zachować się tak samo. Spojrzałem na nią raz jeszcze i w tej chwili uszu moich doszło słowo: «Ukochana!» - które zabrzmiało w ciszy pokoju, dość wyraźne, choć słabe i żałosne jak ostatnia prośba konającego.

Z pełną przytomnością umysłu szepnąłem Donie Ricie w samo ucho: - Zachować absolutną ciszę - i uradowałem, się dostrzegłszy, że mnie słyszy i rozumie, że zachowała jeszcze władzę nad skamieniałymi ustami,

Odpowiedziała mi jednym tchem (nasze twarze niemal się stykały):

- Niech mnie pan wyprowadzi z tego domu.

Rzuciłem okiem na części jej ubrania porozrzucane po całym pokoju i syknąłem: - Nie ruszać się!

Stwierdziłem z ulgą, że Rita nie zamierza się poruszyć, jakkolwiek twarz jej poczyniała się ożywiać, a usta rozchyliły się w jakimś okropnym uśmiechu. I nie umiałbym powiedzieć, czy odczułem zadowolenie, kiedy nagle ta sama kobieta, której nie wolno mi było dotknąć, chwyciła mnie gwałtownie za przegub ręki. Uczyniła to snadź świadomie, bowiem prawie natychmiast doszło nas powtórzone słowo: «Ukochana» - tym razem głośniejsze i jeśli to możliwe, jeszcze boleśniejsze. Ugodziło mnie ono wprost w serce. A potem zaraz rozległ się ryk: «Odpowiadaj, bestio przekłeta!» - który przeszył Ritę od stóp do głów.

Dopóki Ortega nie zaczął trząść klamką, co nastąpiło natychmiast, nie byłem pewien, zza których drzwi przemówił, drzwi bowiem znajdowały się dość blisko siebie. Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Ortega był w sali fechtunkowej. Podniecenie jego doszło do szczytu, a wyostrzone zmysły czekały na choćby najlżejszy znak życia ze strony Rity. Sytuacja stawała się poważna. O wyjściu z pokoju nie było mowy. Ortega byłby wyskoczył do hallu, zanim byśmy zdolali dotrzeć do drzwi frontowych. To samo groziło w razie, gdybyśmy chcieli przebiec na górę - gonitwa po pustym domu, ze ścigającym nas wariatem,

byłaby szaleństwem.

Nawet gdybyśmy się zamknęli w którymkolwiek pokoju na górnym piętrze, byłoby to niecelowe, gdyż zarówno zamki, jak i drzwi były tam o wiele słabsze. Nie! Bezpieczeństwo mogły zapewnić tylko absolutna cisza i milczenie - to jedno mogło zachwiać pewnością siebie napastnika i' wyczerpać jego wściekłość.

Gdybym sam wyszedł na jego spotkanie, popełniłbym niedorzeczność. Nie miałem już wątpliwości, że był uzbrojony. Przypomniałem sobie ścianę w sali fechtunkowej, zawieszoną białą bronią najrozmaitszego pochodzenia: były tam oszczepy, ułożone w wiązki i słupki, a pomiędzy nimi słońca i gwiazdy złożone z siekier młeczów i noży pochodzących z Włoch, Damaszku, Abisynii, ze wszystkich zakątków świata. Ortega miał w czym wybierać, by zadowolić swe barbarzyńskie instynkty.

Musiał prawdopodobnie wspiąć się na ławkę i grzebiąc się w tych trofeach upuścić na podłogę jakiś przedmiot, który spadając wydał metaliczny dźwięk.

Tak czy inaczej, szaleństwem byłoby wychodzić na jego spotkanie, gdyż, bądź co bądź, mogłem być przez niego obezwładniony (nawet gołymi rękami), a w tym wypadku Dona Rita pozostałaby całkiem bezbronna. Doleciał mnie jej przerażony szept:

- Będzie mówił. Niech mnie pan stąd zabierze, zanim zacznie mówić.
- Cicho! - syknąłem. - Zmęcz się i przestanie.
- Pan go nie zna.
- Przeciwnie, znam go. Spędziłem z nim dwie godziny.

Słyszając to Rita puściła moją rękę i rozpaczliwym ruchem zakryła sobie twarz. A gdy jej ręce opadły, wyglądała na całkowicie złamaną.

- Co on panu mówił?
- Ach, brednie.
- Niech pan słucha: to wszystko prawda.
- Możliwe. I cóż z tego?

Ta upiorna rozmowa odbywała się w takiej ciszy, że mogła być raczej tylko wymianą myśli, a nie słów.

Po mojej odpowiedzi Rita zamilkła, rzuciła na mnie badawcze spojrzenie i odetchnęła głęboko. A z tamtej strony doszedł nas znowu głos namiętny i błagalny, skamlający o litość, o odrobinę litości, żebrzący o parę słów, o jedno najmniejsze słówko. Chwila milczenia i znowu: «Rito, przyznaj się, że tam jesteś. Powiedz t a k , jedno króciutkie t a k .»

- Widzi pan - szepnęła i zakryła powiekami oczy, które poprzednio z lękiem wpatrywały się we mnie. Przez chwilę można było mieć złudzenie, że Ortega się oddalił. Ale

nie sędzę, aby którekolwiek z nas się łudziło. Głos Ortegi rozległ się znowu. Padały słowa bez związku, jękające się, to milknące, by nagle wybuchnąć namiętą prośbą. Słowa płynęły potoczyste i wyniosłe, chwilami wstrętne i nikczemne. Gdy wreszcie zamilkł, spojrzeliśmy sobie w oczy.

- To staje się niemal komiczne - szepnąłem.

- Tak, jest się z czego śmiać - odrzekła pośepnie. Takiego wyrazu twarzy nigdy u niej nie widziałem. Była to przez chwilę inna niepodobna do siebie Rita!

- Czyż nie wyśmiewałam się z niego niezliczoną ilość razy? - dodała ponurym szeptem.

Ortega, który przez ten czas mamrotał tylko za drzwiami, krzyknął niespodzianie: «Co takiego?» - jakby mu się wydawało, że coś usłyszał. Przeczekał chwilę, po czym znow głośno począł wołać:

- Gadajże, kozia królowno! Znam twoje kozie sztuki!

Nastąpiła dłuższa cisza i nagle drzwi zachwiały się od wściekłego uderzenia. Ortega musiał cofnąć się o parę kroków i rzucić na drzwi całym ciężarem ciała. Zdawało się, że cały dom się zatrzęsł. Powtórzył tę próbę raz jeszcze, po czym dla odmiany jął grzmocić Pięściami. To było istotnie komiczne. Ja jednakże czułem wyprowadzi - szeptała gorączkowo Rita. - Niech mnie pan wyprowadzi, póki nie będzie za późno.

- Musi pani to przetrzymać - odpowiedziałem.

- Niechże i tak będzie, ale w takim razie pan musi wyjść stąd natychmiast. Niechże pan idzie, póki nie będzie za późno.

Nie raczyłem na to odpowiedzieć. Bębnienie we drzwi ustało. Nie wiem, dlaczego w tym właśnie momencie ujrzałem czerwone wargi Ortegi wykrzywione grymasem wściekłości i śmieszne jego faworyty. Zaczął od nowa, ale głosem, w którym czuło się już zmęczenie:

- Czy myślisz, że nie pamiętam twoich sztuczek, diable wcielony? Czy nigdy nie dostrzegłaś mnie przyglądającego się tobie z daleka, gdy harcowałaś na komu w towarzystwie pięknych panów niczym księżniczka, dziewicza, nietykalna i jak posąg świętej niedostępna? Dziwię się, że nie obrzuciłem cię wtedy kamieniami, że nie biegłem za tobą wykrzykując wszystko, com wiedział o tobie. Przekłeta moja nieśmiałość! Lecz oni musieli cię znać równie dobrze jak ja. Może lepiej. Wszystkie twoje nowe sztuczki, na które cię wciąż jeszcze było stać.

W czasie tej całej przemowy Rita zakryła sobie uszy rękami, po czym zasłoniła i moje, obejmując mi głowę oburącz. Gdy uwolniłem się odruchowo, usiłowała powtórzyć ten manewr.

Stoczyliśmy krótką walkę. Nie poruszając się z miejsca uczułem, że głowę mam wolną i że dokoła panuje zupełna cisza. Ortega wyczerpał się widocznie. Dona Rita, westchnąwszy dwukrotnie: «Za późno, za późno», wyrwała ręce z mego uścisku i wysunąwszy, się z futra, chwyciła odzież leżącą tuż obok na krześle (zdaje się, że to była spódnica), aby się ubrać i wyskoczyć z domu. Nie mogąc do tego dopuścić i nie zastanawiając się, co czynię, schwyciłem ją za ramię. Cała ta utarczka odbywała się w ciszy, ponieważ jednak nie chciałem użyć wszystkiej swojej siły, cofnąłem się w tył, by uniknąć upadku. Popchnięty przez Ritę potrąciłem stoliczek, na którym stał sześcioramienny lichtarz. Lichtarz ten runął na podłogę z głuchym łoskotem i wszystkie w nim świece zagasły. Ortega, który czyhał poza drzwiami, usłyszał hałas i powitał go triumfalnym skrzykiem: «Aha, zdołałem cię obudzić.»

Głos jego był tak dziki, że sprawił efekt niemal zabawny. Mocno trzymałem Donę Ritę, lecz czując jej ciężar uznałem, że lepiej będzie pozwolić, aby osunęła się na podłogę, bowiem wobec obawy, że rozwścieczony hałasem Ortega będzie usiłował wyważyć drzwi, musiałem mieć pełną swobodę ruchów. Ale on nie uderzył. Widocznie wyczerpał się ostatecznie. W pokoju nie było teraz żadnego światła oprócz tylko słabego odbłasku żarzących się głowni. Wśród cieni padających od mebli ledwie mogłem rozeznąć widniejącą w mroku postać Dony Kity klęczącej w postawie zrozpaczonej pokutnicy. Wobec takiego jej załamania się nie śmiałem jej dotknąć.

Trudno mi było zrozumieć aż tak wielkie jej wzruszenie. Z tamtej strony znów dała się słyszeć żalosna, błagalna prośba o otworenie drzwi. Ortega powtarzał: «Otwórz, Rito, otwórz» - głosem na przemian rozkazującym, skamlącym, natrętnym, czasem nawet jowialnym. Słuchając go uśmiechałem się do siebie, choć ponury niepokój ciążył mi na sercu. W pewnej chwili Ortega znów zaczął:

O, ty potrafisz dręczyć człowieka, ty spalony od słońca, złośliwy, rozczochrany diabełku! Zapamiętaj sobie - ciągnął dalej - że wszystko jest w tobie ohydne: i twoje oczy, i twoje usta, i włosy, a całe ciało masz zimne i obmierzłe jak u węża. Wszystka od stóp do głów jesteś potępieniem!

Całą tą tyradę wypowiedział tonem dziwnie spokojnym. Po chwili począł się skarżyć rozzierającym głosem:

- Ty wiesz, Bito, że nie mogę żyć bez ciebie. Nie żyłem. Nie żyję. Nie można wydrzeć chłopcu duszy i porzucić go - niech sobie nieborak rośnie i niech sobie idzie w świat! - a samej używać, co się zamieści, i przechodzić z rąk do rąk stosując wszystkie swoje najbardziej wyszukane sztuczki. Ale wybaczę ci wszystko, jeśli natychmiast otworzysz mi

drzwi. I kończył tonem patetycznym:

- Pamiętajsz, ile razy przysięgałaś, że będziesz moją żoną? Nadawałabyś się bardziej na żonę dla czarta, ale to mi wszystko jedno. Będziesz moją żoną!

Stłumiony chichot sponad podłogi kazał mi szybko się pochylić i rzucić surowe: «Nie śmiej się!»

Wyczuwałem w tych groteskowych wybuchach tyle grozy, namiętności i prawdy, że mogły być skałę poruszyć.

Jakieś podejrzenie powstało widocznie w umyśle stojącego za drzwiami człowieka. Najniespodziewaniej wybuchnął znowu ostrym, piskliwym głosem:

- Ach, ty nędzna szachrajko! Nie umkniesz mi, będę cię miał... I nagle zniknął.

Oczywiście nie mogłem tego widzieć, ale takie odniosłem wrażenie. Ledwom to sobie uświadomił, on już się znalazł pod drugimi drzwiami. Myślał widocznie, że zdobycz mu się wymyka. Uczynił to z szyb kością zdumiewającą, wprost niewiarogodną. Dało się teraz słyszeć uderzenie w drzwi tak gwałtowne, jak gdyby napastnik nie zdołał się zatrzymać w rozpędzie. Po tym nastąpiła znów cisza. Wnet jednak usłyszeliśmy głuchy pomruk - maniak nawracał do swojej natrętnej myśli:

- Musisz być moją żoną. Wyzbyłem się wstydu. Przysięgłaś i musisz być moją.

Ten sam stłumiony chichot kazał mi powtórnie nachylić się ku klęczącej, której biała postać majaczyła w odblasku ciemnoczerwonego żaru z kominka.

- Na miłość boską, przestań! - szepnąłem.

Rita zmagiała się z napadem szału wesołości powtarzając: - A jakże! Dzień po dniu, przez dwa miesiące. Przynajmniej sześćdziesiąt razy, przynajmniej sześćdziesiąt razy. - Zaczynała podnosić głos. Walczyła ze śmiechem, ale gdym usiłował zasłonić jej usta, poznałem, że ma twarz wilgotną od łez. Obracała głową na wszystkie strony pragnąc uwolnić się od mojej ręki i pojękiwała z cicha. Niepomny ostrożności rzekłem:

- Uspokój się! - tak ostro, że z przestachu zaniemówiliśmy oboje.

W sieni rozległ się wyraźnie głos Ortegi: - He, he, a to co? - i znowu cisza. Nasłuchiwał widocznie i zastanawiał się, czy go słuch nie mylił. Musiał być także wyczerpany. Milczał i wypoczywał. Po pewnym czasie westchnął głęboko i począł znów mówić:

- Moje kochanie, moja duszo, moje życie, przemów do mnie! Czymże jestem, że tyle sobie zadajesz trudu, aby mnie przekonać, że cię tam nie ma? Przemów wreszcie - powtarzał roztrzęsionym głosem dodając całą litanię dziwacznie czułych przezwisk.

Nagle urwał. Nastąpiła dłuższa przerwa. Usłyszeliśmy wyraźnie słowa wyrzeczone

jakby do siebie głosem śmiertelnie znużonym: - I co ja teraz pocznę?

Zadrzałem, gdyż u mych stóp rozległ się donośny, gniewny głos Rity:

- Co masz począć?... Ano zmykaj do domu, jakieś to robił przed laty, kiedy cię miałam już dość!

- Rito! - syknąłem przerażony.

Jemu odjęło mowę na dłuższą chwilę, po czym - Bóg raczy wiedzieć dlaczego - zaczął z furią krzyczeć po francusku, najokropniejszym akcentem:

- A więc odnalazłaś język, *catin*. Niczym innym nie byłaś od kołyski. Czy pamiętasz, jak...

Dona Rita skoczyła na równe nogi, wołając już głośno:

- Nie, George, nie, nie! - czym oszołomiła mnie do reszty. Nagłość i siła tego krzyku sprawiły, że po obu stronach drzwi zaległa cisza, która stała się nie do zniesienia. Rozumiałem, że jeśli nie zdobędę się na największą odporność, to lada chwila coś się we mnie załamie. Postać Rity w długich fałdach nocnej koszuli wyglądała jak posąg, a ja czułem, że też kamienieję, wsłuchując się w dzikie wrzaski dochodzące z hallu.

- Tereso! Tereso! - ryczał Ortega - ona ma kogoś u siebie.

Podbiegł do schodów i ryczał dalej:

- Tereso! Tereso! U niej jest mężczyzna! Mężczyzna! Złazże na dół, babo przekłeta, nędzniczo jedna! Zejdź i przekonaj się sama!

Nie wiem, gdzie znajdowała się Teresa, ale jestem pewien, że dotarł do niej ten głos - straszny, wołający o pomstę do niebios, a tak ostry i przejmujący, że jeśli była już w łóżku, to niewątpliwie ukryła głowę pod poduszką. Z okrzykiem: «Zejdź i zobacz!» - podbiegł znowu do naszych drzwi i zaczął je bombardować z całej siły.

Były to drzwi podwójne i bardzo wysokie. Zawiasy, rygle zamki i ozdoby z brązu na słabo trzymających się śrubach musiały być już nadwężone, gdyż przy, tych wstrząsach wydawały nieopisany brzęk i łoskot, który rozlegał się echem grzmotu po wielkiej, pustej sieni. Hałas to był niehumaniczny, ogłuszający. Budził trwogę, że cały dom runie. Ortega chwilami wypoczywał i wtedy gadał do siebie, miotając mściwe obelgi. O! teraz przejrzał!

- Ściągnięto go podstępnie do tego miasta, aby uczynić zeń pośmiewisko! A któż to sprawił? - krzyczał, jakby się podniecając czynionym przez siebie hałasem. - Ta bezwstydną kobieta! *Catin! Catin! Catin!* - I znów z nadludzką siłą rzucił się na drzwi.

Za sobą słyszałem przyciszony śmiech Rity. Stała jak posąg, coraz słabiej rysujący się wśród mroku, bo żar na kominku dogasał. Odezwałem się podniesionym głosem:

- Musisz panować nad sobą.

Odpowiedziała równie głośno:

- O, mój drogi, czy potrafisz kiedykolwiek rozmawiać ze mną po tym wszystkim, co się tu dzieje? Ale teraz nie żądaj niepodobieństwa. Wszak ten człowiek po to tylko się urodził, ażeby się z niego śmiać.

- Dobrze - odrzekłem - ale panuj nad sobą.

Nie wiem, czy Ortega nas słyszał. Wrzeszczał aż do wyczerpania płuc, przeklinając spiszek, który go wydał na pośmiewisko szatańskich współników tej bezwstydnicy.

Tu znowu zaczął walić w drzwi z taką siłą, że mało tynk z sufitu nie odleciał.

Aż wreszcie, mamrocząc jakieś przekleństwa, ustał na skutek wyczerpania.

- Cały świat będzie o tym wiedział - rozpoczął po chwili. - Zwabiony, oszukany, sponiewierany, a w końcu wystawiony na pośmiewisko łotrów najniższego rzędu: tej kobiety i jej współników.

Brzmiało to niemal jak głośne rozmyślanie. Wreszcie 'rozległ się okrzyk: - Zabiję was wszystkich!

I raz jeszcze rzucił się na drzwi, ale było to już słabe natarcie, którego wnet zaniechał.

Musiał być u kresu sił. Ze środka pokoju Rita odezwała się tonem wyzywająco głośnym:

- No powiedz, czy nie po to się urodził, aby się z niego śmiać?

- Nie odpowiedziałem nic. Stałem tak blisko drzwi, że mogłem być słyszeć przerywany oddech Ortegi.

Ten człowiek był okropny, ale już niegroźny. Znajdował się u kresu ludzkiej wytrzymałości, ale ja przecież o tym nie wiedziałem. Był wyczerpany, był skończony, z czego nie zdawał sobie może sprawy. Gdy się nad tym zastanawiałem, usłyszałem wyraźnie, jak Ortega huknął się w czoło.

- Rozumiem teraz! - wykrzyknął. - To ta nędzna, obłudna baba urządziła to wszystko. Poradziła się swoich klechów. Niech więc pierwsza umiera!

Usłyszałem skok w kierunku schodów. Struchlałem. Zrzącenie losu, dzięki któremu Teresa miała wpaść w sidła przez siebie zastawione, wydawało się być podobne do efektownego finału farsy. Okrutnej farsy. Instynktownie przekręciłem klucz w drzwiach, aby je otworzyć, gdy z jednej strony dał się słyszeć kontraltowy śmiech Rity, pełen goryczy i wzgardy, a z drugiej - oszalały krzyk człowieka branego na tortury: - Boli, boli, boli!

Zawahałem się przez ułamek sekundy, nie więcej; zanim zdołałem otworzyć szeroko drzwi, uszu moich doszedł jęk i łoskot ciężko upadającego ciała.

Widok Ortegi leżącego na wznak pod schodami zatrzymał mnie na progu. Jedną nogę

miał zgiętą w kolanie drugą wyrzuconą prosto, ale tak, że stopą niemal dotykał srebrnej statuetki podtrzymującej lampę o słabym, lecz wytrwałym płomyku, który tyle głębi nadawał cieniom obszernej sieni. Jedną z rąk spoczywała na piersiach, druga rozprostowana była na czarno-białych taflach posadzki, dłonią do góry, ukazując rozwarte, zeszywniałe palce. Cień padający od najniższego stopnia schodów przecinał mu skośnie twarz pozwalając dostrzec zarys brody i jeden wiecheć faworytów. Cała postać wydawała się dziwnie spłaszczona. Nie ruszał się wcale. Nie miał na sobie marynarki. Widok ten wzbudził we mnie głęboką odrazę.

W tej samej chwili doszedł moich uszu charakterystyczny zgrzyt klucza borykającego się z opornym zamkiem. Nie umiałem zlokalizować tego dźwięku i zrazu nie zwracałem nań uwagi, pochłonięty widokiem Ortegi. Gdyby nie podkurczona noga, można by sądzić, że jego ciało jest cieniem człowieka, tak zdawało się być zrośnięte z 'podłogą i tak dziwnie zniekształcone. Było coś fascynującego w zastygłym spokoju tego ciała, po paroksyzmach furii, po dzikich krzykach i piekielnym hałasie. Nie można było sobie wyobrazić nic równie uciszonego jak ten leżący bez czucia Senor Ortega. Zdecydowałem, że nile należy mu przeszkadzać.

Brzęk łańcucha, zgrzyt i trzask rozległy się echem w ciszy wielkiej sieni i jakiś głos zaczął kląć po włosku. Te niespodziane dźwięki były czymś pożądanym, bo przywołały mnie do przytomności. Zdałem sobie sprawę, że dochodzą one od strony drzwi frontowych, które były lekko uchylone. Czy ktoś usiłował dostać się do wnętrza domu? Podszedłem do drzwi i rzekłem:

- Proszę poczekać, łańcuch założony.

Niski głos po tamtej stronie odburknął: - Cóż to za dziwna historia? - W duchu przyznałem mu słuszność. To była dziwna historia. Łańcucha nigdy się nie zakładało, ale Teresa była osobą przemyślną; ze zaś postanowiła, abym tę noc spędził poza domem, więc najwyraźniej rzecz była wymierzona przeciwko mnie. Człowiekiem, który się dobijał u wejścia, był stary Włoch z córkami, powracający z nocnej zabawy.

W mgnieniu oka objąłem całą sytuację. Jednym susem znalazłem się przy drzwiach pokoju Blunta, zamknąłem je i zwróciłem się do Włocha:

- Trochę cierpliwości.

Ręce mi drżały, ale udało mi się spuścić łańcuch, a gdy drzwi się rozwarły szeroko, zaszedłem drogę wchodzącym. Włoch był figurą dość zażywną i pełną godności, wydawał się nieco podrażniony, ale rozplęwał się w podziękowaniach. Za nim stały obie jego córki, ubrane w krótkie kostiumy, białe pończoszki i pantofelki, z upudrowanymi głowami i mocno świecącymi kolczykami w uszach. Miały na sobie tylko lekkie płaszczyki - jedna z nich nie

zdążyła jeszcze zdjąć maseczki z twarzy, druga trzymała swoją w ręku.

Włoch wydawał się zdziwiony, że zagradzam mu drogę, i zauważył uprzejmie:

- Zimno jest na dworze, Signor.

- Tak - odpowiedziałem i pośpiesznie dodałem szeptem: - W sieni leży trup.

Nie wyrzekł ani słowa, tylko odsunął mnie z lekka na bok i pochylił się naprzód, rozglądając się bacznie po sieni.

- Pańskie córki... - szepnąłem.

Odpowiedział dobrodusznie: - *Va bene, va bene, va bene.* - A zwracając się do nich, zarządził: - Chodźcie, dziewczęta.

Nie ma nic przyjemniejszego niż mieć do czynienia z człowiekiem posiadającym bogatą i urozmaiconą przeszłość. Zręczność, z jaką zasłonił własną osobą ciało Ortegi, była sztuką nie lada, a także sposób, w jaki potrafił przeprowadzić córki przez hali zachowując wyraz godny, stanowczy i nakazujący spokój.

Dziewczęta zdołały zaledwie rzucić okiem przez ramię. Zapędził je do mieszkania i zamknął na klucz, po czym zawróciwszy przeszedł się z powrotem krokiem sprężystym, celowym. Doszedłszy do ciała Ortegi, przystanął.

- Rzeczywiście, krew - zauważył i wybrawszy odpowiednie miejsce ukląkł przy leżącym nie zdejmując ani cylindra, ani pięknego okrycia. Dostojna, biała broda dodawała mu autorytetu.

- Ależ ten człowiek żyje! - wykrzyknął podnosząc ku mnie głowę. Biała broda jest snadź oznaką głębokiej znajomości życia, gdyż mój Włoch nie zadał sobie trudu pytania mnie o cokolwiek i zdawał się być przeświadczony, że nie mam nic wspólnego z tą makabryczną historią.

- Rozplątał sobie cały bok - zauważył spokojnie. - I jaką bronią! - dodał wyciągając jakiś przedmiot spod ciała rannego. Był to abisyński czy nubijski sprzęt bojowy dziwnego kształtu, przypominający jednocześnie sierp i tasak - najniezgrabniejsze narzędzie, jakie można sobie wyobrazić, bardzo wyostrzone po brzegach i ostro zakończone. Ciekawe to było jako okaz, ale dla oczu Europejczyka było nieprawdopodobnym dziwolągiem. Z rozbawionym i pogardliwym wyrazem twarzy stary pan odrzucił go na bok.

- Niech pan ujmie rannego za nogi - rzekł nakazująco. Nie miałem zamiaru się sprzeciwiać. Gdyśmy podnieśli ciało Senora Ortegi, głowa jego bezsilnie opadła w tył odsłaniając wielką, białą, bezbronną gardziel.

W pracowni zastaliśmy zapaloną lampkę i pościel na otomanie, na której złożyliśmy nasz ciężar. Mój czcigodny przyjaciel natychmiast ściągnął prześcieradło i począł je drzeć na

pasy.

- Tę czynność może pan zostawić mnie - rzekł tonem doświadczonego mędrca - ale sprowadzenie lekarza jest już pańską rzeczą. Jeśli pan sobie nie życzy, aby ta historia nabrała rozgłosu, trzeba znaleźć bardzo dyskretnego człowieka.

Oddawał się swej czynności z poczciwym przejęciem. Drąc prześcieradło zauważył z wyrozumiałym uśmiechem:

- Lepiej by pan zrobił, nie tracąc czasu.

Nie traciłem czasu. W ciągu następnej godziny wykazałem sprawność fizyczną wprost zdumiewającą. Bez słowa i z gołą głową wybiegłem na ulicę w tę ostatnią noc karnawału.

Na szczęście wiedziałem o takim lekarzu, jakiego mi było potrzeba. Był to człek czterdziestoletni, szpakowaty i trochę ociężały, zdolny jednak do wysiłku. Gdyśmy biegli razem przez puste, ciemne uliczki, jego poważny krok odbijał się głośnym echem wśród zimnej nocy. Ja zaś sunąłem przodem wyprzedzając go nieco. Podeszedłszy do samego domu spostrzegłem, że wychodząc pozostawił frontowe drzwi szeroko otwarte. Całe miasto i każde lichy mogło być wtargnąć do czarno-białej sieni. Nie miałem czasu, by zastanawiać się nad brakiem swej przezorności. Obaj z doktorem pracowaliśmy w milczeniu prawie całą godzinę i dopiero przy obmywaniu rąk w sali fechtunkowej zapytał mnie on znienacka:

- O co temu durniowi chodziło?

- Ach, oglądał sobie to *curiosum*.

— I wymknęło mu się samo z rąk, co? - zadrwił doktor, spoglądając na nubijski nóż porzucony przeze mnie na stole. Wycierając zaś ręce dodał:

- Założyłbym się, że tu wchodzi w grę kobieta, ale to nie wpływa oczywiście na charakter rany. Mam nadzieję, że upust krwi dobrze mu zrobi.

- Jemu nic dobrze nie zrobi - odrzekłem.

- To szczególny jakiś dom - ciągnął dalej doktor. - Jego właścicielka to też osobliwa kobieta. Widziałem ją raz czy dwa razy i nie dziwiłbym się, gdyby na śladach jej pięknych stopek powstało jeszcze wiele, wiele zamętu. Pan pewno zna ją dobrze?

- Tak.

- Dziwni ludzie zamieszkiwali ten dom. Przypominam sobie pewnego karlistowskiego oficera - wysoki, szczupły brunet - cierpiał na bezsenność. Zwracał się do mnie o poradę. Czy pan nie wie, co się z nim stało?

- Nie wiem.

Skończył wycierać ręce i odrzucił ręcznik.

- Ogromne wyczerpanie nerwowe. Niespokojny, podniecony mózg. To była niedobra

rzecz. Poza tym wzorowy gentleman. A tego Hiszpana zna pan bliżej?

- Dostatecznie, by nie interesować się jego losem - odrzekłem. - Nie życzę sobie tylko, by ten wypadek ściągnął jakąś biedę na tutejszych karlistów, w razie gdyby policja coś przewąchała.

- Wobec tego musi pozostać w tej pracowni czy oranżerii, w której go pan umieścił. Postaram się znaleźć osobę godną zaufania, która się nim zajmie. A tymczasem zostawiam go panu.

VIII

Ledwo drzwi zamknęły się za doktorem począłem wołać na Teresę. - Schodź natychmiast, obłudnico! - krzychałem w zapamiętaniu, jakbym był drugim Ortegą. Nie odpowiedziało mi nawet echo, ale po chwili mały płomyczek zamigotał w mroku nad schodami i na wysokości pierwszego piętra ukazała się Teresa z zapaloną świecą. W jej blasku ujrzałem twarz sinoblada i zawziętą - twarz, do której nie miały dostępu wyrzuty sumienia ani litość, ani współczucie. Małostkowa cnota i drapieżne instynkty wyrwały na niej swe piętno. Teresa ubrana była - jak zwykle - w brzydką brunatną suknię o sztywnych fałdach i gdy tak schodziła w dół, stopień po stopniu, można było sądzić, że jest wyciosana z drzewa. Cofnąłem się i palcem wskazałem na ciemny korytarz wiodący do pracowni. W momencie kiedy mnie mijała na odległość kroku, blade jej oczy nieruchomo patrzyły przed siebie, a zastygła twarz wyrażała zawód i wściekłość. Tak mi się to przynajmniej wówczas zdawało. Jakieś nieodgadnione postanowienie mogło równie dobrze wywołać u niej ten niehumaniczny wyraz.

Przeczekawszy dłuższą chwilę, ukradkiem, z niezmierną ostrożnością odemknąłem drzwi od tak zwanego pokoju Blunta. Żar na kominku wygasł całkowicie. Było zimno i ciemno; zanim jednakże zamknąłem za sobą drzwi, ujrzałem w smudze bladego światła wpadającego z sieni Donę Ritę stojącą na tym samym miejscu, na którym ją zostawiłem, podobną w swej nocnej koszuli do posągu. Nawet po zamknięciu drzwi jej postać majaczyła przede mną, ogromna, sztywna, nieporuszona. Podniosłem z ziemi kandelabr, odszukałem po omacku świecę na dywanie i zapaliłem ją. Przez cały ten czas Dona Rita ani drgnęła. Dopiero gdy zwróciłem się do niej, poczęła budzić się jakby z hipnotycznego snu. W twarzy śmiertelnie bladej oczy jej - barwy roztopionego szafiru - były teraz czarne jak węgle. Obróciła je ku mnie, zrazu jakby niewidzące, ale po chwili zaczęła mnie poznawać. A gdy mnie już poznała, podniosła ręce i zakryła nimi twarz. Przeczekawszy chwilę, odezwałem się:

- Spójrz na mnie. - Zrezygnowana, z wolna opuściła ręce, jakby się godząc z losem. - Czy mam rozpalić ogień?... - 'Milczenie. - Czy słyszysz mnie? - Nie odezwała się, więc dotknąłem ją końcami palców w obnażone ramię. Gdyby nie elastyczność skóry, sądziłbym, że dotykam lodu. Rozejrzałem się szukając futra, miałem bowiem wrażenie, że nie ma ani chwili czasu do stracenia, by ją ratować. Sam musiałem wsuwać jej ręce w rękawy futra; ręce te były zimne i martwe. Zaszedłszy z przodu, zapiąłem jej kołnierz futrzany szczelnie pod szyją. By móc to uczynić, musiałem podnieść jej brodę, która potem znów z wolna opadła na

piersi. Pozapinałem wszystkie guziki od góry do dołu. Futro było długie i wspaniałe. Przed powstaniem z klęczek dotknąłem jej stóp, zimnych jak lód. Poufałość, jaką wytwarzały tego rodzaju posługi, wzmogła moje poczucie autorytetu.

- Proszę się położyć - rzekłem półgłosem. - Przykryję panią wszystkimi kołdrami, jakie tylko tu znajdę. - Ona jednak potrząsnęła głową.

Przypuszczam, że nawet w dawnych czasach, kiedy, zręczna jak konik polny i chuda jak zapalka, biegała po rodzinnych wzgórzach wśród chłodnej mgły, nie mogła czuć się bardziej zziębnięta, opuszczona i nieszczęśliwa. Nawet jej dusza, pełna poważnej zadumy, ta buntownicza i fantastyczna dusza zdawała się teraz poddawać wyczerpaniu, podobnie jak śmiertelnie znużony wędrowiec poddaje się snowi, z którego się już nie obudzi. Gdy poprosiłem ją raz jeszcze, żeby się położyła, Rita zdołała odpowiedzieć:

- Nie w tym pokoju.

Zakłęte milczenie zostało przewyciężone. Obracała głową to w jedną, to w drugą stronę - ale jakżeż jej było zimno! Zamróz idący od niej zaczął i mnie ogarniać.

Nawet brylanty osadzone na złotej strzale lśniły teraz jak szron przy blasku jednej świeczki.

- Nie tu, nie w tym pokoju - powtarzała tym swoim szczególnym, za serce chwytającym głosem, któremu nie można się było oprzeć, którego nie można było zapomnieć.

- Nie, po tym wszystkim, co się tu działo, nie mogłabym tu oka zmrużyć. Pełno tu brzydoty i zła, które widzę wszędzie, wszędzie - i w sobie także. Nie ma ich tylko w pańskim sercu. Pan nie powinien znajdować się tam, gdzie ja oddycham. Mnie można tutaj zostawić! Ale gdy pan już odejdzie, proszę pamiętać, że ja nie jestem złem, ja złem nie jestem!

- Nie mam najmniejszego zamiaru zostawiania pani samej! Na górze jest mój pokój - pani kiedyś w nim była.

- Ach, i o tym już pan słyszał... - szepnęła uśmiechając się niepewnie.

- Ja też uważam, że pani nie powinna tu zostać. Doprawdy nie ma się co wahać.

- Tak. To jest bez znaczenia. On mnie zabił. Rita nie żyje.

Udało mi się odnaleźć pikowane, niebieskie pantofelki, które zaraz wsunąłem jej na stopy. Zachowywała się potulnie. Ujawszy ją pod rękę skierowałem się ku drzwiom.

- Zabił mnie - powtórzyła z westchnieniem. - Tę ostatnią odrobinę radości, jaka we mnie była.

- Próbował zabić siebie w tej oto sieni - rzekłem. Cofnęła się jak przerażone dziecko, ale jak dziecko pozwoliła się prowadzić dalej.

Upewniałem ją, że Ortegi dawno już tam nie ma, ale powtarzała tylko: - Nie przejdę

przez sień. Nie mogę iść. Nie mogę...

- Jeżeli tak - rzekłem otwierając drzwi i biorąc ją z nienacka w ramiona - jeśli pani nie może iść, to się ją zaniesie.

I podniosłem ją z ziemi tak szybko, że odruchowo chwyciła mnie za szyję, podobnie jak to czynią dzieci, gdy się je bierze na ręce. Właściwie powinienem był te niebieskie pantofelki wsadzić do kieszeni. Jeden bowiem spadł tuż pod schodami, gdy starałem się wyminąć krwawe ślady na marmurowej posadzce, a drugi na stopniach, gdy Rita nie wiedząc czemu (może z obawy, że ją upuszczę) poczęła mi się wyrywać. Miałem wrażenie, że bawimy się jak dzieci, ale waga Dony Rity nie była wagą dziecka. Ledwo ją mogłem udźwignąć. Postawiłem ją więc na podłodze i dalej szła już sama, podtrzymywana przeze mnie. W moim pokoju oczywiście było ciemno, doprowadziłem ją do sofy, na którą padła wycieńczona. Miałem 'uczucie, jakbym ją wydarł śmierci na szczycie alpejskim albo na podbiegunowej krze. Pośpiesznie zabrałem się do zapalenia gazu i rozpalenia w piecu. Nie pomyślałem nawet o zamknięciu drzwi na klucz. Przez cały ten czas czułem jej obecność, a właściwie coś bardziej głębokiego i bardziej własnego, niż samą tylko jej obecność; wyczuwałem raczej jej istnienie, które przedstawiało mi się jako jasny, niebieski płomyk koloru jej oczu, tlejący w zlodowaciałym ciele. Gdy zwróciłem się w jej stronę, siedziała sztywna, wyprostowana, hieratyczna, ze stopami spuszczone na dywan i głową wyłaniającą się z sutego, futrzane go kołnierza jak kwiat uczyniony z masy perłowej, wykwitający z ciemnego wagonu. Ściągnąłem z łóżka wszystkie kołdry i poduszki i ułożyłem je obok sofy na podłodze, jedne na drugich. Pokój był duży, za duży na jeden kominek, sofa zaś znajdowała się najbliżej paleniska. Rita nie poruszyła się, tylko na ustach jej pojawił się błydy uśmiech. Ruchem naturalnym, jakbym wykonywał najzwyczajszą czynność, wyjąłem strzałę z jej włosów i położyłem ją na stoliku. Zwoje rdzawych włosów rozsypały się na ramiona Rity nadając jej wygląd jeszcze żałośniejszy niż poprzednio. W jej naturze leżała jednak nieprzewyciężona potrzeba wesołości. Przyglądając się strzale połyskującej w gazowym świetle wykrzyknęła zabawnie:

- Ach, biedny, wyśmiany klejnot!

Coś, jakby echo dawnych minionych dni - może nie bardziej niewinnych, lecz o ileż bardziej młodzieńczych - zadźwięczało w jej głosie i pod wpływem serdecznej tęsknoty za nimi spojrzeliśmy na siebie rozjaśnionymi oczami.

- Tak - rzekłem. - Jakież to dalekie! Nie chciała pani zostawić mi tej ozdoby na pamiątkę przechodząc kiedyś przez ten pokój. Może dlatego prześladowała mnie, szczególnie w nocy. Śniłem o pani czasem jako o nimfie-łowczyni o białych kształtach przeświecających

przez listowie. Rzuciła pani we mnie tą strzałą, która miała jak żądło ukłuć mnie w samo serce. Ale nie trafiła mnie nigdy, zawsze padała mi pod nogi i wtedy się budziłem. Widać, że łowczynie niewiele zależało na tej zwierzynie.

- Łowczynie była półdziką kobietą, ale nie była zła. I nie była nigdy nimfą, tylko pasterką kóz. Niech ci się ona nigdy już nie śni, przyjacielu. Zdobyłem się na potakujące kiwnięcie głową i pospiesznie ułożyłem poduszek! na drugim końcu otomany.

- Pasterko kóz - rzekłem - nie jesteś odpowiedzialna za moje sny. Dalibóg, nie jesteś. Połóż tu swoją niespokojną głowę - mówiłem dalej usiłując półzartobliwą nutą umniejszyć mój wielki smutek - tę głowę, która marzyła kiedyś nawet o koronie, ale nie dla siebie.

Położyła się posłusznie. Okryłem ją, spojrzałem raz jeszcze w jej oczy i uczułem nagle, że ogarnia mnie wskutek przemęczenia tak wielki niepokój, że pragnąłem jedynie wyjść stąd czym prędzej i iść przed siebie, iść, byle dalej, aż do wyczerpania. Zapamiętałem się - i dopiero stanowczy głos Rity wyrwał mnie z zadumy:

- Nie, tu także nie. Nie mogę zmrużyć oka. To niepodobieństwo. Mam wstręt do samej siebie. Jego głos brzmi ciągle w mych uszach. Mówił prawdę. To wszystko prawda!

Usiadła na otomanie, a, na jej twarzy, którą otaczała aureola rdzawych rozpuszczonych włosów, malowało się ogromne skupienie. Odsunąłem poduszki, na których leżała, i wsparłem się o jej plecy.

- Może w ten sposób będzie lepiej - powiedziałem, chyląc łagodnie jej głowę do swej piersi. Nie opierała się, nie wydała westchnienia, nie spojrzała na mnie, nie próbowała usadowić się wygodniej. To ja ułożyłem ją, jak mogłem, przybrawszy taką pozycję, w której sądziłem, że potrafię przetrwać godziny - nawet wieki całe. Po pewnym czasie spłynęło na mnie takie uspokojenie, że słyszałem już tykanie zegara i znajdowałem w tym przyjemność. Zegar odmierzał chwile jej spoczynku, podczas gdy ja siedziałem tak nieporuszenie, jakby od tego bezruchu życie moje zawisło, wpatrując się bezmyślnie w złotą strzałę migocącą przyćmionym blaskiem na stole w świetle przykręconego kurka gazowego. Kiedy wreszcie Rita usnęła, myślałem sobie, że teraz nic już nie ma znaczenia, skoro świat cały bezpiecznie spoczywa w mych ramionach. W ramionach? czy w sercu?

I nagle wydało mi się, że to serce pęka na dwoje, a piersi nie mają już czym oddychać. To było wstrząsające przebudzenie. Czynił się dzień. Dona Rita otworzyła oczy i widząc, że leży w moich ramionach, natychmiast zerwała się gwałtownie. Wypadki ubiegłej nocy odżyły snadź w pamięci jej, ledwo obudzonej, wywołując dziecinny przestrah i odrazę.

- Już dzień - wyszeptała przerażonym głosem. - Nie patrz na mnie, George. Ja nie mogę ci się pokazać w świetle dnia. Tobie nie mogę. Dopóki się nasze oczy nie spotkały,

moja przeszłość nie istniała dla mnie. Wykreśliłam ją z pamięci. Nic nie mogło dotknąć tej Rity, której rękę cisnąłeś do ust. Ale teraz w biały dzień - nigdy!

Siedziałem zmartwiony z bólu i przerażenia. Nie była to już niewinna historia dwojga przemyślnych dzieci, opisywana w książce z obrazkami. Serce moje wezbrało goryczą, podejrzliwą, pełną uprzedzeń, zbliżoną do nienawiści, goryczą dojrzałego mężczyzny.

- Czy mam przez to rozumieć, że mnie znowu chcesz opuścić? Dobrze. Nie obrzucę cię kamieniami... Odchodzisz?

Zwolna opuściła głowę czyniąc jednocześnie ręką stanowczy ruch, który miał mnie od niej odgrodzić. Skoczyłem na równe nogi jak oszalały.

- To odejść czym prędzej - rzekłem. - Boisz się żyć prawdziwie, jak kobieta z krwi i kości. Za czym że się uganiasz? Czy za tym, co nazwałaś uczciwym życiem, czy za jakimś widziadłem, które by dogadzało twej próżności? Zaspiesz w mych ramionach, budzisz się i odchodzisz. Czy to obliczone na pogłębienie wrażeń, jakie odbieram? Szarlataneria, moja miła, nic innego, tylko szarlataneria.

Wstała stąpając bosą po podłodze, która w mych oczach zdawała się wznosić i opadać. Szła krokiem mocnym i pewnym jak przed laty, wtedy, gdy jako mała pasterka biegła po skalnych zboczach tych wzgórz rodzinnych, których nie miała już nigdy oglądać. Schwyciłem ze stołu złotą strzałę i cisnąłem ją za odchodzącą.

- Nie zapomnij tej ozdoby! - krzyknąłem. - Nie darowałybyś sobie tego nigdy!

Strzała odbiła się od jej futra i upadła na podłogę. Rita nie obejrzała się nawet. Doszedłszy do drzwi otworzyła je bez pośpiechu. W rozproszonym świetle, padającym z niewielkiego okienka o matowej szybie, ukazała się sztywna i surowa jak tajemniczy a nieubłagany los okropna postać Teresy czekającej na swą siostrę. Końce wielkiego czarnego szala, który zarzuciła sobie na głowę, zwisały z niej w ciężkich fałdach. Dona Rita, która mię zdążyła jeszcze przekroczyć progu mego pokoju, wydała cichy okrzyk przerażenia. Obie kobiety patrzyły na siebie w milczeniu. Teresa przemówiła pierwsza. W głosie jej nie było surowości - wyczuwało się w nim tylko jak zwykle upór, nieczułość, połączone z żalonym zawodem, i przerażającą zaciekłość, z jaką ta kobieta przywykła spełniać swe zamysły.

- Stałam pod tymi drzwiami całą noc - mówiła. - Nie wiem, jak to potrafiłam przeżyć. Ze sto razy myślałam, że padnę martwa ze wstydu. Więc w taki sposób spędzasz czas? Jesteś gorzej niż bezwstydną. Ale Bóg może ci jeszcze przebaczyć. Masz przecież duszę. I jesteś moją siostrą. Ja nie opuszczę ciebie - aż do śmierci.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - przerwała jej Rita żywo. - Nie opuścisz mej duszy czy tego domu?

- Wyjdź stąd czym prędzej i pochyl głowę w pokorze. Jestem twoją siostrą i nauczę cię modlić się do Boga i jego świętych. Zostaw w spokoju tego biednego młodzieńca, który - jak wszyscy inni mężczyźni - żywi dla ciebie tylko wstręt i pogardę. Chodź, ukryj tu głowę, nikt nie będzie ci robił wyrzutów prócz mnie jednej, twojej siostry. Uderz się w piersi. Chodź ze mną, nieszczęsna grzesznico, i daj mi się ucałować. Wszak jestem twoją siostrą.

Dona Rita cofnęła się o krok, a gdy Teresa posunęła się naprzód z wyciągniętą ręką, Rita zatrzasnęła przed nią drzwi.

- Ach, ty obrzydła dziewczyno! - zawołała wyniośle.

Po czym zwróciła się ku mnie. Nie ruszałem się z miejsca. Okrutny ból, którego doznałem, obezwładnił mnie zupełnie. Rita przystanęła, by wziąć ze stołu złotą strzałę, i zbliżając się do mnie, podała mi ją na otwartej dłoni.

- Myślałeś, że nie chcę ci ofiarować tej pamiątki, *amigo*. A ja niczego bardziej nie chciałam, jak ci ją zostawić. Teraz może zgodzisz się ją wziąć.

- Nie bez kobiety, która ją nosiła - odpowiedziałem posepnie.

- Więc ją bierz! - rzekła. - Nie mam odwagi oddać się w ręce Teresy. Nie, tej ofiary nie zrobię nawet dla ciebie. Czy nie sądzisz, że byłam już dość nieszczęśliwa?

Pochwyciłem z jej ręki złotą strzałę i w śmiesznym uniesieniu przycisnąłem ją do serca; z chwilą gdy otwierałem już usta, Rita, wiedząc, co się dzieje w moim sercu i co pragnie ono wypowiedzieć, krzyknęła:

Tylko żadnych wyznań miłosnych, George! Jeszcze nie teraz. Nie w tych ścianach, nie w tym przybytku nieszczęścia i obłudy. Musimy znaleźć się o sto mil od domu, w którym podobne słowa padały zszargane z ust tamtego człowieka. Czy nie słyszałeś tych okropności? Pomiedzy tobą a mną co mogą znaczyć słowa?

Ręce jej wyciągnęły się ku mnie błagalnie. Zmieszany jak żak wybąkałem:

- Ależ, Rito, jakże tego uniknąć mówiąc do ciebie? Słowa miłości same cisną się na usta.

- Same cisną się na usta? - powtórzyła. - No, to przypieczętuj te usta - ot, tak!

ZAKOŃCZENIE

Opowieść naszego bohatera ciągnie się jeszcze przez blisko sześć miesięcy, poczynając od ostatniej nocy karnawału, a kończąc na sezonie róż; przekracza ona nawet cokolwiek okres ich kwitnienia. Znajdujemy w tych zapiskach mniej radosnej egzaltacji, niżby się można było spodziewać. Jest rzeczą wiadomą, że miłość nie ma nic wspólnego z rozsądkiem, będąc obojętna na przepowiednie i ślepa na oczywistość. Toteż beztroska, z jaką tych dwoje oddało się swemu niepewnemu szczęściu, nie zawiera sama w sobie nic dziwnego, a obraz tego szczęścia - taki, jakim go autor przedstawił - całkowicie pozbawiony dramatycznych momentów, nie budzi szczególniejszego zainteresowania. Mógłby on porwać wyobraźnię tylko takich czytelników, którzy będąc zakochani przeżywają podobne stany uczuciowe. Oddźwięk w umyśle czytelnika zależy od chwilowego nastroju, i to tak dalece, że tę samą książkę, która wydawała się nam niezmiernie zajmująca z wieczora, odrzucamy nazajutrz rano jako cczą i bezwartościową. W moim przekonaniu niewielu by się znalazło czytelników, którzy by potrafili z sympatią śledzić dalszy ciąg tych wspomnień, z tego więc względu skreśliłem dalsze rozdziały, notując tylko pewne fakty mające związek z poprzednimi wypadkami i mogące zaspokoić ciekawość rozbudzoną przez czytanie pierwszej części pamiętnika.

Chcąc ten okres scharakteryzować można by go raczej nazwać radosnym okresem głębokiego, tkliwego uczucia niż namiętności. Gwałtowny płomień wypalił się widocznie w poprzednich wahaniach, w tym ustawicznym zmaganiu się bądź z własnym sumieniem, bądź z osobą ukochaną. Ogólnie biorąc, wydaje się rzeczą wątpliwą, czy miłość posiada to samo podstawowe znaczenie dla kobiet co dla mężczyzn. Cywilizacja odegrała w tym niemałą rolę. Faktem jest jednakże, że w tym wypadku oboje przeżywali w jednakowy sposób każdą fazę odkryć i reakcji, przy czym okazali się zdumiewająco niewinni w przeżywaniu miłości. Przypuszczam, że prawdziwi znawcy kobiet wcale się nie zdziwią, gdy powiem, że Rita okazała się w tej sztuce równą nowicjuszka jak młody Jej przyjaciel.

W Alpach Nadmorskich, w małym domku z nieciosanego kamienia, zarośniętym pnącymi różami, zachowywali się nie tyle jak kochankowie oswobodzeni z pęt konwenansu, ile jak doskonale dobrani towarzysze. Nasz bohater miał, w moim mniemaniu, słuszność dopatrując się czegoś dziecięcego w ich wzajemnym stosunku. Rzeczywiście, w tej nieskrępowanej, natychmiastowej wymianie wszystkich ich wrażeń, uczuć i myśli była jakaś naiwna impulsywność przypominająca zachowanie się dwojga małych poszukiwaczy

przygód. Dla niego ten brak ograniczeń i zastrzeżeń wyrażał prawdę sytuacji - u niej mogło to być nieco inaczej. Mogła tu wchodzić w grę pewna doza sztuki aktorskiej, nie ma jednak aktora, który by choć trochę nie wierzył w odgrywaną przez siebie rolę. Z nich dwojga Rita zdawała się być pewniejsza siebie i okazywać więcej zaufania. Gdyby ta jej postawa była nawet cokolwiek sztuczna, należałoby to przypisać bezwzględnej prawości jej charakteru. Z chwilą bowiem wyrzeczenia się szlachetnych skrupułów na korzyść przyjaciela postanowiła nie dopuścić, aby on wyczuł najłżejszy bodaj smak zawodu na dnie czary. Jako starsza od niego potrafiła nadać ich współzyciui taki charakter, jakiego sobie życzyła. Jedyną wyższością mężczyzny było chyba to, że kochał z większym i zupełniejszym oddaniem się.

Tak przedstawiały się sprawy, sądząc z tych rozdziałów pamiętnika, które postanowiłem usunąć. Uczyniłem to w części ze względu na ich treść. Każda tajemnica, nawet ziemską, mieści w sobie pierwiastek świętości. Szczegółowy komentarz do miłostnego stosunku nie może być przeznaczony dla wszystkich oczu. Nie ma nic trudniejszego niż ocenić poszczególny wypadek na zasadzie ogólnego doświadczenia.

Jak się na ten poszczególny wypadek zapatrywała Róża, jedyna towarzysząca dwojga pustelników w ich ustroniu, tonącym w kwiatach, nie umiem powiedzieć. Zaryzykuję wszakże twierdzenie, że dla różnych przyczyn, nad którymi nie będę się rozwodził, zacna ta dziewczyna nie przestała martwić się o swoją panią. To, na co patrzyła teraz, nie mogło uspokoić jej obaw, gdyż z biegiem lat utwierdzała się coraz bardziej w przekonaniu, że jakikolwiek obrót sprawy przybiorą, Madame nie będzie nigdy miała przyjaciół. Być może, iż Dona Rita przyczyniła się do tego, pozwalając jej domyślać się końca sielanki - dość, że w matowych oczach tej dziewczyny malował się teraz stale bezradny, zalękniony smutek.

Co się tymczasem działo z fortuną Henryka Allegro - to drugie ciekawe pytanie. Słyszeliśmy już, że była za wielka, aby się dała pomieścić w worku i wrzucić do morza. Bajeczne zbiory, stanowiące część tej fortuny, były nadal strzeżone przez policję, co do reszty zaś, to wolno przypuszczać, że jej potęga i znaczenie przestały istnieć dla zainteresowanych na przeciąg przynajmniej sześciu miesięcy. Jedno zdaje się być niewątpliwe, że dawny pełnomocnik Henryka Allègre mógł sobie teraz swobodnie wypocząć, co było rzeczą pożądaną dla jego przepracowanego mózgu. Dona Rita zawiadomiła go pokrótce, że usuwa się na jakiś czas w zacisze i nie zamierza przysyłać mu swego adresu, nie chcąc odbierać żadnej korespondencji ani zajmować się jakimikolwiek interesami.

- Wystarczy - pisała - aby pan wiedział, że żyję.

Później, w nieregularnych odstępach, otrzymywał od niej listy wysyłane z najrozmaitszych miejscowości, a zawierające tylko dwa słowa: «Jeszcze żyję.» Podpisane

były zamasyżycie olbrzymią literą R., pełną zakrętasów. Wyobrażam sobie, że Róża musiała odbywać dalekie podróże koleją, aby na rozmaitych pocztach te listy nadawać. Gęsta zasłona oddzielała zakochanych od świata; okazało się jednak, że i przez nią coś mogło przeniknąć.

Młodzieniec, którego najwygodniej nam będzie do końca nazywać Monsieur George, podzielał z Doną Ritą jej całkowite oderwanie się od spraw doczesnych, mimo to musiał dwukrotnie udać się do Marsylii. Do pierwszej podróży skłoniło go wierne przywiązanie do Dominika. Chciał dowiedzieć się, co się z przyjacielem stało lub dzieje, czy nie można mu w czymś pomóc. Dominik nie należał jednak do ludzi, którym łatwo jest przyjść z pomocą. Monsieur George nie zdołał go nawet odnaleźć. Wyglądało to tak, jakby ostatnie wypadki złamały serce starego marynarza. George przesiedział w ukryciu przez dwadzieścia cztery godziny w tym samym domu, w którym mieściła się kawiarenka pani Leonory. Większą część tego czasu spędzili razem, rozmawiając o Dominiku. Madame Léonore była zgnębiona, ale całkowicie zdecydowana. Ta kobieta o roziskrzonych oczach, pozornie leniwa, a namiętna, prowadziła teraz układy o odstąpienie swojej kawiarni, byle móc wyjechać i połączyć się z Dominikiem. Dokąd - nie chciała powiedzieć.

Upewniwszy się, że jego pomoc jest zbędna, Monsieur George - według własnego określenia - «wymknął się z miasta nie widziany przez nikogo, komu by wolał nie leżeć w oczu».

Powód drugiej podróży był zgoła prozaiczny i pozostawał w rażącej sprzeczności z nieziemskim nastrojem jego ówczesnego życia. Nie posiadał fortuny Henryka Allègre ani własnego adwokata. A trzeba było zapłacić komuś czynsz za domek z nieociosanego kamienia, przy tym Róża musiała także mieć trochę pieniędzy na zakupy, po które schodziła do małej wioski położonej na zboczu wzgórza. Monsieur George musiał więc, chcąc nie chcąc, zejść z wyżyn miłości, by wedle własnych słów «p0większyć zapas gotówki». Ponieważ zeszedł ludziom z oczu bardzo nagle, trzeba się było teraz pokazać i popodpisywać różne papiery. Tej ostatniej czynności musiał dokonać w gabinecie tego samego bankiera, o którym poprzednio wspominał w swym opowiadaniu. George pragnął uniknąć spotkania z nim, ale mu się to nie udało. Rozmowa trwała krótko. Bankier nie pytał go o nic, nie czynił żadnej aluzji do osób i wypadków, nie wspominał też ani razu o «zasadzie legitymizmu», która nie interesowała go już wcale. W świecie nie mówiono teraz o niczym innym, jak o nieudanej imprezie Don Carlosa. Załamała się ona całkowicie pozostawiając za sobą, jak to bywa, moc wzajemnych oskarżeń, zarzutów niekompetencji i zdrady, wreszcie skandalicznych ploteczek.

Bankier twierdził teraz, że ani przez chwilę nie wierzył w powodzenie całej tej afery.

(Salon jego żony słynął ze swych ultrakarlistowskich sympatii.)

- Dobrze, że się pan z tego wyplątał - rzekł z chłodnym uśmiechem. Monsieur George odpowiedział, że nigdy nie był w to poważnie wplątany i że cała impreza była mu w gruncie rzeczy obojętna.

- Pozostawił pan w niej jednak kilka piórek - zauważył bankier kończąc rozmowę. Twarz jego miała wyraz nieprzenikniony, a słowa wypowiedział zwięzłym tonem człowieka, który wie, co mówi.

Monsieur George powinien był opuścić miasto pierwszym pociągiem, ale uległ pokusie zajrzenia na ulicę Konsulów, by się przekonać, co się stało z domem, z którego wymknęli się oboje z Dona Rita jak dwoje zastraszonych, lecz radosnych dzieci. Został tam jakąś otyłą kobietę o wyglądzie megery, sprowadzoną widocznie przez adwokata Rity do pilnowania domu. Z trudem wyciągnął od niej zeznanie, że przebywa tu od czterech miesięcy, to jest od chwili, kiedy poprzednia gospodyni odjechała w towarzystwie pewnego Hiszpana, który przedtem chorował w tym domu przez sześć tygodni. Nie, nie widziała tej osoby nigdy. Hiszpana także nie. Słyszała o nich tylko od sąsiadów. Oczywiście nie ma pojęcia, dokąd ci ludzie się udali. Nie kryła się z chęcią pozbycia intruza, starała się nawet wypchnąć go za drzwi. Monsieur George nazwał to osobliwym przeżyciem. W sieni zauważył słaby płomyk gazu czekający cierpliwie końca świata, który by go wreszcie zagasił.

Wyszedłszy stamtąd postanowił zjeść cośkolwiek w Restaurant de la Gare, pewny, że nie spotka tam nikogo z dawnych przyjaciół. Nie mógł zaprosić się na obiad do Madame Léonore, gdyż ta opuściła już Marsylię. Jego znajomi nie należeli do ludzi, których by się spotykało w restauracjach tego typu, chcąc się jednak zabezpieczyć usiadł przy stoliku twarzą do ściany.

Mimo tych środków ostrożności poczuł w pewnej chwili, że jakaś ręka lekko kładzie się na jego ramieniu, a obejrzawszy się, poznał jednego z dawniejszych znajomych, członka Klubu Monarchistów.

Był to chłopak znany z wesołego usposobienia, teraz jednak głowa jego pochylała się nad George'em z wyrazem bardzo poważnym i stroskanym. Monsieur George nie ucieszył się bynajmniej z tego spotkania i zdziwił się ogromnie, gdy się dowiedział z pierwszych słów przyjaciela, że ten umyślnie przyszedł na stację, by go tam odnaleźć.

- Nie widywano pana od dłuższego czasu - mówił. - Był pan zapewne daleko i wieści ze świata nie docierały do pana? A tu wiele zmian zaszło i w gronie naszych przyjaciół, i pośród ludz., o których się dużo mówiło. Taka na przykład pani de Lastaola, zupełnie znikła z horyzontu, a świat interesował się nią tak żywo! Czy nie wie pan, gdzie przebywa obecnie?

Monsieur George burknął niecierpliwie, że me wie nic. Młody człowiek usiłował zachowywać się w sposób naturalny i swobodny. W Paryżu tyle o tym gadają! Kręci się tam podobno jakiś międzynarodowy finansista o włoskim nazwisku, dosyć ciemna osobistość, który szuka Dony Rity po całej Europie i rozpowiada o tym po wszystkich klubach (niezrozumiała rzecz, żeby tego rodzaju figury miały dostęp do przyzwoitych klubów). - Aha, nazywa się Azzolati! Można by ostatecznie nie zwracać uwagi na to, co taki człowiek mówi, ale jest jedna okoliczność, która pogarsza sprawę. Zauważono mianowicie, że żaden z mężczyzn wybitniejszych i znanych w tutejszym świecie nie wyjeżdżał teraz nigdzie na czas dłuższy.

Według wiadomości, otrzymanych z Paryża pewien głośny dziennikarz miał udać się na Południe z postanowieniem rozwiązania tej zagadki i powrócił stamtąd równie mądry jak wyjechał.

Monsieur George zauważył tonem jeszcze mniej uprzejmym niż poprzednio, że nic na to nie poradzi.

- Zapewne - odpowiedział bardzo łagodnie młodzieniec. - Pozostaje jednak faktem, że robiąc przegląd osób, związanych ściślej lub luźniej ze sprawą Don Carlosa, zauważono, że pan jest jedynym, który znikł z horyzontu przed ostatecznym załamaniem się tej imprezy.

- Co? - wykrzyknął George.

- Nie inaczej - potwierdził tamten znacząco. - Pan wie, jak pan jest lubiany przez moich bliskich, choć oni rozmaicie oceniają pańską roztropność. Nie dawniej jak kilka dni temu rozmawialiśmy o panu z moją zamężną siostrą, Janiną. Ogromnie była poruszona. Zapewniałem ją, że jeśli pan nie dał znaku życia i nie zareagował na prowokację, to znaczy, że pan ukrył się w jakiejś mysiej dziurze, dokąd żadne wiadomości nie docierają.

Monsieur George zażądał oczywiście wyjaśnienia, co tamtemu sprawiło widoczną ulgę.

- Byłem pewien, że pan o niczym nie słyszał! Nie chcę być niedyskretny i nie pytam, gdzie pan dotąd przebywał. Obiło się tylko o moje uszy, że widziano pana dzisiaj w banku, i postanowiłem złapać pana za wszelką cenę, nim pan nam znowu nie ucieknie. Żyliśmy przecież zawsze w przyjaźni i cały nasz klan lubił pana ogromnie! Proszę o chwilę uwagi. Zna pan niejakiego rotmistrza Blunta, nieprawdaż?

George odpowiedział, że go zna, lecz dość powierzchownie. Przyjaciel poinformował go wtedy, że rotmistrz Blunt pozostawał, o ile się zdaje, w zażyłych

stosunkach z panią de Lastaola, a przynajmniej dawał do zrozumienia, że tak jest. Rotmistrz ma opinię człowieka honoru, należy do jednego z najlepszych klubów, posiada

przy tym wiele cech prawdziwego paryżanina, ale w tym wypadku pogarsza to tylko sprawę. Jemu, przyjacielowi pana George'a, przypadł przykry obowiązek ostrzeżenia go przed tym człowiekiem. Zdarzyło się bowiem trzykrotnie, że kiedy w męskim towarzystwie wspomniano o pani de Lastaola, rotmistrz Blunt wyrażał się o niej z ubolewaniem mówiąc, że padła ofiarą młodego awanturnika, który ją bezczelnie wyzyskuje. Mówił to z naciskiem jak człowiek pewien swoich danych - i wymieniał nazwisko...

- Nie będę dłużej tał - wybuchnął młodzieniec - że wymienił pańskie nazwisko, a nie inne! Celem zaś dokładnego ustalenia tożsamości dodawał za każdym razem, że tym awanturnikiem jest młody przemytnik, znany wśród karlistów na Południu pod pseudonimem Monsieur George.

Skąd Blunt mógł zaczerpnąć informacji, na podstawie których tak ohydną potwarz wymyślił, pozostało dla George'a tajemnicą. Niemniej istniał fakt oszczerstwa.

George przeżuwał to w milczeniu, dopóki młody przyjaciel nie odezwał się przyciszonym głosem:

- Pan pewno sobie życzy, aby rotmistrz Blunt dowiedział się o pańskim pobycie w tym mieście?

- Tak. Mam nadzieję, że pan zechce podjąć się całej akcji. Przede wszystkim proszę zawiadomić go telegraficznie, że czekam na niego. To wystarczy, aby go tu ściągnąć - zapewniam pana. I niech od razu przywiezie dwóch świadków. Bardzo bym sobie nie życzył, aby tę sprawę podchwycili paryscy dziennikarze.

- Oczywiście trzeba temu kres położyć niezwłocznie - odparł żywo młodzieniec. Ułożyli zgodnie, że spotkanie odbędzie się w wiejskiej posiadłości jego starszego brata, do której rodzina jego rzadko zaglądała, a gdzie znajdował się odpowiedni ogród otoczony murem. Pozostawiając młodemu przyjacielowi wszystkie dalsze przygotowania i obiecując stawić się na czwarty dzień, Monsieur George zdążył jeszcze dopaść swojego pociągu.

Rad był z siebie, że przez następne cztery dni potrafił nie zdradzić się przed Dona Rita i że te dni upłynęły im w niezmałym szczęściu. Ona jednakże musiała wyczuć intuicją, że coś się niedobrego święci, gdyż w tym samym dniu, w którym George pod pierwszym lepszym pozorem opuścił wspólną siedzibę, ona przed zapadnięciem nocy znalazła się już w swym domu przy ulicy Konsulów, skąd wysłała wierną Różę na zwiady.

Nie ma potrzeby szczegółowo się rozwodzić nad wydarzeniami, jakie się rozegrały w wiejskim ogrodzie osłoniętym murem.. Wszystko odbyło się poprawnie i według przepisów, tylko nastrój niezwyklej powagi przesycającej atmosferę nadawał całej rzeczy charakter donioślejszy, niż zwykle bywa przy 'tego rodzaju spotkaniach. Warto wspomnieć o jednym

epizodzie, nie dostrzeżonym przez sekundantów, którzy w tej właśnie chwili zajęci byli przygotowaniami. Nie zwracając uwagi na surowe przepisy obowiązujące w tych wypadkach, Monsieur George zbliżył się do przeciwnika i odezwał się do niego wprost:

- Panie rotmistrzu - dzisiejsza przeprawa może się obrócić przeciwko mnie. Gdyby się tak stało, oświadczy pan publicznie, że pan cofa swoje słowa, bo są niezgodne z prawdą - i pan wie o tym. Czy mogę zaufać pańskiemu honorowi?

W odpowiedzi rotmistrz Blunt, zawsze nienagannie poprawny, nie otworzył ust, tylko lekko się skłonił. Poza tym okazał się nieubłagany. O ile bowiem nie był zdolny do uczynienia z siebie ofiary dla miłości, o tyle jego zazdrość była niedwuznaczna. Takie zjawisko psychologiczne nie jest rzadkie, a z punktu widzenia samej walki nie można mu nic zarzucić.

Przebieg pojedynku był następujący: Monsieur George wystrzelił ma komendę i dzięki szczęściu i zręczności trafił rotmistrza w prawe ramię. Ręka trzymająca pistolet opadła bezwładnie. Ale ranny nie wypuścił broni. Bez chwili wahania z zimną krwią ujął pistolet lewą ręką i - celnie mierząc - przestrzelił przeciwnikowi lewe płuco.

Można sobie wyobrazić konsternację czterech sekundantów i gorączkowy pośpiech dwóch lekarzy, zmuszonych do działania w tropikalnej temperaturze ogrodu zamkniętego murami. Niewielka przestrzeń dzieliła tę miejscowość od miasta. Podczas gdy wózek, na którym złożono rannego George'a, posuwał się krok za krokiem, na drodze ukazała się karetka nadjeżdżająca z przeciwnej strony. Przystanąła z boku, a z jej okna wysunęła się głowa kobieca osłonięta gęstą woalką. Ocenivszy sytuację jednym rzutem oka, nieznajoma pani nakazała silnym głosem:

- Jedźcie za mną!

Karetka zawróciła z miejsca i ruszyła przodem wskazując drogę. Spora jeszcze odległość 'dzieliła ten konwój od miasta, gdy minął ich inny powóz, wiozący czterech panów, z których jeden, z ręką na temblaku, wsparty na poduszkach, zdawał się być omdlewający. Powóz oddalał się szybko i znikł w tumanach prowansalskiego kurzu. Było to ostatnie pojawienie się rotmistrza Blunta we wspomnieniach George'a. Ale dowiedział się on o tym wszystkim znacznie później.

Na razie nie był zdolny do jakichkolwiek spostrzeżeń. Przez wiele, wiele dni nie interesował się otoczeniem, a wrażenia, jakie odbierał, były koszmarnie i mgliste. Od czasu do czasu zdawało mu się, że znajduje się w pokoju dobrze sobie znanym i że widzi postać Rity, ale w sposób niezadowolający, gdyż ilekroć chciał przemówić, jakby nic nie zaszło, ona kładła mu rękę na ustach i zaczynała sama przemawiać jakimś nie swoim głosem, który

czasem przypominał mu głos Róży. Twarz jej chwilami również przypominała Różę. Widywał także koło siebie twarze mężczyzn, których - zdawało mu się - znał dobrze, ale nie mógł przypomnieć sobie ich nazwisk. Przy niedużym wysiłku może byłby tego dokonał, ale mu się nie chciało.

Potem przyszedł okres, w którym opuściły go halucynacje i nie widywał już ani Rity, ani wiernej Róży. W następnej fazie (trwającej może rok? może godzinę?) przewinęło mu się przed oczyma, jakby we śnie, całe minione życie. Nie odczuwał żadnej obawy, nie zastanawiał się nad przyszłością. Zdawało mu się, że wszystko przerasta jego siły, więc zobojętniał na wszystko. Był jak człowiek, któremu zwidują się we śnie jakieś dziwne historie, on zaś poprzestaje na roli bezinteresownego widza, bo nie wie, co dalej nastąpi. Aż w pewnej chwili, po raz pierwszy w życiu, doznał świadomie błęgiego uczucia, że zapada w głęboki sen.

Gdy się z tego snu obudził (po godzinie? po dniu? po miesiącu?), w pokoju panował mrok; mimo to poznał go doskonale. Był to jego dawny pokój w domu Dony Rity, pełen dobrze mu znanych sprzętów. Tu, w tych ścianach, ileż razy mówił sobie w myślach, że umrze lub zwariuje! A teraz miał zupełnie jasną głowę i poczucie życia, które napępiało go półsenną rozkoszą. Najrozkoszniejsze zaś było to, że nie potrzebował się ruszać, co dawało mu rodzaj moralnej satysfakcji. Po pewnym czasie zrodziła się w jego głowie myśl, już niezależna od osobistego samopoczucia, mianowicie zaczął się zastanawiać, kiedy tu wejdzie Teresa i rozpocznie zwykłą gawędę. W głębi pokoju majaczyła jakaś ludzka postać, ale była to postać mężczyzny. Ten ostatni rozmawiał głosem zniżonym, jednak niezmiernie wyraźnym.

- To już drugi wypadek, z jakim stykam się w tym domu - mówił - i jestem przekonany, że oba miały pośredni lub bezpośredni związek z tą kobietą. Poty będzie zostawiała ślady na swej drodze, dopóki pewnego dnia nie natkniemy się na trupa. Temu młodemu człowiekowi niewiele brakowało do śmierci.

- W tym wypadku, doktorze - przemówił drugi głos - nie można potępić kobiety. Upewniam pana, że stoczyła z sobą ciężką walkę.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Ze mię chciała...

- Tak, walczyła dzielnie. Wiem o tym dobrze. Łatwo ją potępić, ale czy to jej wina? Spytała mnie kiedyś, w przystępie zwątpienia, czy ma na siebie narzucić zasłonę i tak przejść przez życie, czy też wycofać się z życia zamykając się w klasztorze. Nie, to nie jest jej wina. Ona jest po prostu tym, czym jest.

- A jakąż ona jest?

- Bardzo kobieca. Może tylko bardziej niż inne kobiety zdana na łaskę sprzecznych popędów. Ale i to nie jest jej wina. Uważam ją za osobę niezmiernie prawą.

Głosy zniżyły się przechodząc w niewyraźny pomruk, po czym jedna z postaci wycofała się z pokoju. Monsieur George słyszał wyraźnie otwieranie i zamykanie drzwi. Wtedy odezwał się po raz pierwszy, stwierdzając z przyjemnością, że mówienie jest rzeczą zupełnie łatwą. Zdawało mu się nawet, że głośno zawołał: - Kto tu jest?

Z mroku wyłoniła się charakterystyczna sylweta Millsa (George poznał go od razu po szerokich barach). Mills podszedł do jego łóżka. Rita telegrafowała po niego w dniu pojedynku i ten miłośnik książek porzucając swe zacisze, pośpieszył wszystkimi środkami lokomocji na południe. Uświadomił sobie bowiem w pełni - jak to później wyznał młodemu przyjacielowi - swą odpowiedzialność w całej tej sprawie. I dodał: - Ale nie tylko o panu jednym wtedy myślałem.

Pierwszym pytaniem, jakie George zadał mu w tej chwili, było:

- Kiedy ja pana widziałem po raz ostatni?

- Około dziesięciu miesięcy temu - odpowiedział Mills dobrotliwie.

- Czy Teresa nie stoi pode drzwiami? Ona, wie pan, potrafiła tak stać całą noc.

- Słyszałem o tym. Ale teraz jest o sto mil od Marsylii.

- To niech pan będzie tak dobry i poprosi Ritę.

- Tego nie mogę zrobić, chłopcze kochany - odrzekł Mills niezmiernie serdecznie i łagodnie. Zawahał się przez chwilę. - Dona Rita wyjechała wczoraj - dodał ciszej.

- Wyjechała? Dlaczego?

- Wyjechała, gdy - szczęśliwy jestem, że mogę to powiedzieć - pańskie życie przestało być w niebezpieczeństwie. A mówię tak otwarcie o jej wyjeździe dlatego, że choć to może brzmi dziwnie, łatwiej będzie panu znieść tę wiadomość teraz niż później, kiedy pan nabierze sił.

Trzeba przyznać, że Mills miał słuszość. Monsieur George usnął, zanim zdołał zrozumieć i odczuć, co go spotkało. W jego umyśle powstało bezładne zdumienie i nic więcej. Oczy zamknęły się same. Zupełnie inaczej wyglądało przebudzenie, ale Mills i to przewidział. Całymi dniami wysiadywał cierpliwie przy łóżku chorego pozwalając nieszczęśliwemu mówić o Donie Ricie.

Sam nie odzywał się prawie wcale aż do chwili, kiedy George spytał go bez ogródek, czy Rita kiedykolwiek rozmawiała z nim szczerze. Wtedy odpowiedział twierdząco, dodając, że zdarzyło się to parokrotnie.

- Wyznała między innymi, o ile to może dać panu zadowolenie - mówił Mills - że

przed poznaniem pana nie wiedziała, czym jest miłość. Ze pod wielu względami był pan dla niej zupełną rewelacją.

- I wyjechała. Uciekła przed tą rewelacją - rzekł gorzko młody człowiek.

- Nie trzeba się gniewać - upominał go Mills łagodnie. - Pan wie, że ten świat nie jest stworzony dla kochanków, nawet takich jak wy, którzy nie chcieliście mieć z nim nic wspólnego. Nie! Świat złożony z zakochanych jest nie do pomyślenia. Byłaby to ruina ludzkich istnień, które zdają się być do czegoś innego przeznaczone. Do czego? Nie wiem! I sądzę - dodał z współczującym uśmiechem - że ani ona, ani pan nie rozwiążecie nigdy tej zagadki.

W kilka dni później rozmawiali znowu o Ricie. Mills rzekł:

- Przed wyjazdem wręczyła mi tę strzałę, którą zawsze nosiła we włosach, prosząc, abym ją dał panu na pamiątkę! Powiedziała, że posiadając ten przedmiot przestanie pan o niej śnić. Brzmiało to dosyć zagadkowo.

- Rozumiem doskonale - odpowiedział George. - Ale proszę mi tej strzały teraz nie dawać. Niech pan ją położy w takim miejscu, gdzie mi ją łatwo będzie odnaleźć, gdy już zostanę sam. A pisząc do Rity, proszę jej powiedzieć, że teraz wreszcie strzała ugodziła celniej niż kula Blunta! Ona zrozumie.

- Nie wiem nawet, gdzie przebywa Dona Rita - mruknął Mills.

- Można poinformować się u jej adwokata... A teraz, drogi panie, proszę mi powiedzieć, co się z nią stanie?...

- Ona się zmarnuje - odrzekł smutno Mills. - To bardzo nieszczęśliwe stworzenie. Nawet ubóstwo nie uratowałoby jej teraz. Nie może przecież powrócić do swoich kóz. Ale kto wie? Może znajdzie coś w życiu. Może coś znajdzie! Nie będzie to jednak miłość. Poświęciła możliwość szczęścia, po bohatersku, nieskazitelnej linii pańskiego życia. Czy pamiętasz, chłopcze, coś jej kiedyś powiedział - że zamierzasz przeżyć życie w sposób całkowity i nieskazitelny? Tak, młody zarozumiałcze. A więc odjechała. Teraz, jakkolwiek się jej przyszłość ułoży, nie odnajdzie już nigdy spokoju. Rozumie pan? Nawet, nawet w klasztorze.

- Ona była najcudniejszą istotą... - wyszeptał młodzieniec myśląc o niej tak, jakby już leżała martwa na jego zdruzgotanym sercu.

- I najnieuchwytniejszą - dokończył Mills przyciszonym głosem. - Bywają takie kobiety na świecie. Ona nie zmieni się nigdy. Poprzez cienie i skazy jej życia będzie przezierał zawsze promień jej nienagannej prawości. O pańskiej prawości nie wiem nic, ale panu będzie łatwiej żyć, bo pan zawsze będzie miał... swoją drugą miłość - niepoprawny

entuzjasto morza!

- Ach morze! morze! - zawołał młody entuzjasta. - Tam chcę powrócić!

I powrócił doń rzeczywiście, a uczynił to z chwilą, gdy odzyskał dosyć sił na to, żeby móc odczuć w pełni druzgocący ciężar swojej straty (a może korzyści?) i kiedy stwierdził, że potrafi tę stratę znieść bez zmrużenia oka. Po tym odkryciu mógł stawić czoło każdemu losowi.

W liście do osoby, dla której przeznaczony był ten pamiętnik, napisał, że gdyby był prawdziwym romantykiem, nie spojrzalby już nigdy na żadną kobietę. On zaś, przeciwnie - nie przeoczył ani jednej twarzy zasługującej na uwagę. Przyglądał się wszystkim, gdyż każda z nich przypominała mu Donę Ritę, bądź przez jakieś szczególne podobieństwo, bądź przez głęboki kontrast.

Niezawodzący nigdy potężny szum morza zagłuszył ludzkie głosy i uchronił go od ludzkich sądów. Nie usłyszał już nigdy o Ricie. Nie doszła go nawet wieść o sprzedaży olbrzymich zbiorów Allègre'a - wieść, która musiała szerokim echem rozejść się po świecie. Do niego nie dotarło nic. O niczym nie wiedział.

A po latach utracił i złotą strzałę. Zginęła podczas burzy w katastrofie okrętowej. Autor wyznaje, że gdy nazajutrz, stojąc na skalistym wybrzeżu, wpatrywał się w miejsce, gdzie szalejące morze ukryło jego skarb, doznał uczucia, że jednak - tak jak się stało - stało się dobrze. Przecież nie mógł tej pamiątki pozostawić nikomu. Obojętne oczy nie powinny jej były oglądać, obce ręce dotykać. Przed śmiercią należało zatopić ją w morzu, tak jak to zrobił stary król Thule z czarą swej kochanki. Romantyzm tej analogii przywołał uśmiech na jego usta. Ale naprawdę, cóż by innego mógł uczynić z tą złotą strzałą?

KONIEC